

WIELKA KSIĘGA

OPOWIEŚCI O CZARODZIEJACH

TOM II

OPRACOWAŁ

MIKE ASHLEY

- URSULA K. LE GUIN •
- MIKE RESNICK • I INNI •



fabryka słów
WWW.FABRYKASLOW.PL

WIELKA KSIĘGA OPOWIEŚCI O CZARODZIEJACH

Tom 2

Opracował Mike Ashley

Przełożył: Marcin Mortka



fabryka słów

2010

Spis treści

Karta tytułowa

Przedmowa - ZACZAROWANY

Darrell Schweitzer - ŻYCIE CZAROWNIKA

Ralph Adams Cram - RUE M. LE PRINCE, NR 252

Ursula K. Le Guin - KOŚCI ZIEMI

A.C. Benson - ZAMKNIĘTE OKNO

Lawrence Schimel i Mike Resnick - ODARCIE Z ILUZJI

Esther M. Friesner - W KRÓLESTWIE SMOKÓW

Tim Lebbon - WIECZNOŚĆ

David Sandner - CZARODZIEJ POPIOŁÓW I DESZCZU

James Bibby - OSTATNIA WIEDŹMA

Louise Cooper - OSTATNIE RYTUAŁY

Peter Crowther - NIEKOŃCZĄCA SIĘ WAŚŃ

Przedmowa

ZACZAROWANY

Cóż jest takiego w czarodziejach i czarnoksiężnikach, co fascynuje nas od setek lat, od Merlina aż po Gandalfa?

Odpowiedź jest bardzo prosta.

Moc.

Cecha, dzięki której zdobywa się władzę nad czasem, nad pogodą, nad innymi ludźmi. Nad tobą.

To spełnienie najskrytszych marzeń. Ile razy każdy z nas fantazjował, by stać się niewidzialnym, by latać, by stworzyć coś z niczego lub wymazać kogoś z tego świata? Oto pojawia się owo pragnienie, by osiąść władzę nad wszystkim.

Opowiadania zebrane w dwóch tomach *Wielkiej Księgi opowieści o czarodziejach* właśnie o tym mówią. O potędze. O władzy. O źródle osobliwych mocy i świadomości, że tak naprawdę dysponowanie nimi nie jest aż takie fajne. O byciu zaczarowanym!

Nie mieści mi się w głowie, żeby ktoś, kto odkrył jakąś niezwykłą moc, wykorzystał ją do dobrych celów. Być może na początku, jasne. Ale przyznaj sam przed sobą – owo pragnienie, by spróbować czegoś innego, czegoś odrobinę niegrzecznego, może nieco złego, w końcu całkiem by cię pochłonęło. Jestem o tym święcie przekonany. W końcu jesteśmy tylko ludźmi. Poza tym pamiętaj, że gdybyśmy dysponowali magicznymi mocami, może nie bylibyśmy ludźmi, co zresztą stanowi kolejny temat zawarty w kilku poniższych opowiadaniach. Niejedno z nich mówi o konflikcie między ludzką etyką i moralnością a złem, które gotowe jest przejąć kontrolę. Tak to już jest, że gdybyśmy kiedykolwiek zdobyli magiczne moce, każdy z nas toczyłby nieustającą walkę między porządkiem a chaosem. Wystarczy przypomnieć sobie, jak trudno nam było przez ostatnie pięćdziesiąt lat trzymać na uwięzi broń atomową, a

teraz uporać się z terroryzmem. Wyobraź sobie więc, że jakiś naród zdobywa władzę nad magią.

Każde z poniższych opowiadań porusza temat konfliktów i dylematów związanych z posługiwaniem się magią. Nie spodziewaj się cukierkowatych bajeczek o dobrotliwych czarodziejach w spiczastych kapeluszach. Nie znajdziesz tu niczego w tym guście. W wielu z tych opowiadań magia prowadzi do zła i zepsucia. Wątpię, czy któreś z nich jest straszniejsze od czarownicy w *Rowerze więdźmy* Tima Pratta czy magów w *Wieczności* Tima Lebbona.

Są wśród władających magią tacy, którzy próbują wykorzystać ją do dobrych celów, jak choćby dziewczynka w *Ostatniej więdźmie* Jamesa Bibby'ego, Ogion w *Kościach ziemi* Urszuli K. le Guin czy czarodziej dochodzeniowy, który pomaga policji w rozwikłaniu sprawy porwania dziecka w *Co potrzeba do rytuału*, ale nawet oni mają spore trudności w korzystaniu z magii. Doprawdy niełatwo korzystać z niej tak, by jej nie ulec.

Magia może przybierać wiele form. Nie podejmę się próby zdefiniowania czarodzieja. W zebranych tu opowiadaniach znajdziesz czarowników, więdźmy, czarnoksiężników, zaklinaczy, ba, nawet magię komputerową w opowiadaniu Douga Horniga. W opowieści Johna Morressy'ego pojawi się temat władzy nad czasem, u Toma Holta przeczytasz o władzy nad smokami, a w powalającym opowiadaniu końcowym autorstwa Petera Crowthera o ostatecznej władzy nad ludzkim przeznaczeniem. Nie ma jednego świata, w którym te opowiadania są osadzone, nie ma też dla nich jednego czasu.

Jak zwykle przygotowałem mieszankę nowych opowiadań i przedruków. Sześć tekstów zostało napisanych specjalnie na potrzeby tej antologii. Uczynili to James Bibby, Peter Crowther, Tom Holt, Michael Kurland, Tim Lebbon i Richard Lupoff. Znalazłem też kilka perełek, które doprawdy trudno znaleźć gdzie indziej. Chciałem w związku z tym przekazać podziękowania dla Hugona Lamba, Stefana Dziemianowicza, Marka Owingsa i wszystkich członków internetowej grupy dyskusyjnej Horrabin Hall za ich sugestie co do ostatecznego składu opowiadań. Żałuję tylko, że jestem ograniczony miejscem i nie udało się wydrukować

wszystkich propozycji.

Od tego momentu przestań się łudzić, że będziesz w stanie rozumieć rzeczywistość. I uważaj na siebie.

Mike Ashley

*Istnieje niewielka, ale doborowa grupka twórców fantasy, których uważam za prawdziwych spadkobierców jednego z największych fantastów w dziejach, lorda Dunsany'ego. Dunsany nie miał sobie równych w kreowaniu wiarygodnych magicznych światów, zamieszkanym niekoniecznie przez bohaterów, ale za to przez rzesze łajdaków, pomniejszych bogów i nicponi. Co więcej, potrafił wymyślić dla nich imiona, które brzmiały jednocześnie pięknie i obco. Niech przykładem będzie smok Tharagawerug i czarodziej Allathurion w The Fortress Unvanquishable, Save for Sacnotb. Wielu próbowało naśladować Dunsany'ego, ale z powodzeniem robili to nieliczni. Wśród prawdziwych spadkobierców lorda znaleźli się Jack Vance, Clark Ashton Smith (z którym się już spotkaliśmy), Michael Shea oraz wreszcie mistrz stylu doby współczesnej, **Darrell Schweitzer** (ur. 1951). Od roku 1991 Schweitzer pisuje od czasu do czasu opowiadania o czarowniku Sekenre. Zamieszczony tu tekst, który otwiera serię, został nominowany do World Fantasy Award. Autor przekonstruował go później, by stanowił początek powieści The Mask of the Sorcerer (1995).*

Darrell Schweitzer

ŻYCIE CZAROWNIKA

Surat–Kemad to bez wątpienia największy z bogów, albowiem włada on zarówno martwymi, jak i żywymi. Z ust wypływa Wielka Rzeka, a Rzeka jest jego głosem.

Mowa Surat–Kemada i wszelkie życie biorą początek w Rzece. Martwi wracają do Surat–Kemada, unosząc się wśród fal lub zanurzeni w toni, aż pchani niewidocznym prądem na powrót docierają do żołądka boga. Co dzień przypomina nam się o Surat–Kemadzie, albowiem stworzył on krokodyla na swoje podobieństwo.

Ja, Sekenre, syn Vashtema czarownika, mówię wam o tym, ponieważ to prawda.

O tym, że mój ojciec jest czarodziejem, wiedziałem od najmłodszych lat. Czyż nie rozmawiał z wiatrami i wodami? Nieraz słyszałem późno w nocy, jak to robi. Czyż nie umiał sprawić, by z jego dłoni wystrzelił ogień? Tak, potrafił to uczynić i nigdy się przy tym nie sparzył, ponieważ ten ogień był zimny niczym wody rzeki zimą.

Pewnego razu rozpostarł dłonie, a moim oczom ukazał się przepiękny, szkarłatny motyl wykonany z drucików i papieru, ale żywy. Fruwał później po domu przez jakiś miesiąc i nikt nie potrafił go złapać. Płakałem, gdy umarł, a w jego skrzydełkach zgasło światło, aż zamieniły się w kupkę popiołu.

Opowieści ojca stanowiły całkiem inny rodzaj magii. Jedna z nich ciągnęła się bez końca – opowiadała o młodym pisklaku czapli, który został wyrzucony z gniazda przez inne ptaki, gdyż miał króciutkie nóżki, a przy tym brakowało mu dzioba i piór. Mógł udawać człowieka, ale człowiekiem też nie był. Stał się więc wyrzutkiem i wędrował po odległych krainach, doświadczając wielu przygód między bogami i między umarłymi w krainie śmierci.

Co wieczór przez prawie rok ojciec opowiadał szeptem o kolejnej przygodzie, jakby był to nasz wspólny sekret. Nigdy zresztą nie zdradziłem tej historii nikomu.

Matka również miała niezwykle zdolności, choć nie potrafiła wypuścić ognia z dłoni ani obdarzyć niczego życiem. Do jej talentów zaliczało się tworzenie *hevat* – owych osobliwych cacek z drewna, drucików i papieru, z których słynęło Miasto Trzcina. Czasami były to drobne figurki, które zwisały z patyków i wydawały się ożywać, gdy poruszył nimi wiatr, a czasami ogromne widowiska ze statkami, miastami, gwiazdami i górami umieszczone pod sufitem, gdzie obracały się wolno w skomplikowanym tańcu.

Pewnego lata matkę zaatakowała gorączka. Spędzała wówczas całe tygodnie nad pojedynczym, niezmiernie wyrazistym dziełem. Nikt nie potrafił jej wówczas odciągnąć od zajęć. Ojciec nakazywał jej leżeć w łóżku, a ona zrywała się w środku nocy i wracała do pracy, póki dzieło nie zostało

ukończone. Przez wszystkie pokoje naszego domu wiło się cielsko ogromnego, wężopodobnego stworzenia o pomalowanych drewnianych łuskach, zawieszane na sznurkach tuż pod sufitem. Wtedy matka wreszcie obdarzyła je twarzą – ni to ludzką, ni to krokodylą – i nawet ja, choć miałem zaledwie sześć lat, wiedziałem, że jest to wyobrażenie Surat-Kemada, Boga, Który Pożera.

Gdy powiał wiatr, dzieło matki zaczęło się wić i w końcu przemówiło. Matka krzyknęła i upadła na podłogę, a jakiś czas później wężopodobny stwór po prostu zniknął.

Nikt nie miał pojęcia, co się z nim stało. Gdy matka wyzdrowiała, nie mogła sobie nic przypomnieć z owych wydarzeń.

Pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy przy ognisku, wyjaśniła nam, że było to swego rodzaju prorocstwo i kiedy duch zniknął, wizjoner stał się ledwie pustą rękawiczką, ciśniętą niedbale w kąt przez któregoś z bogów. Nie miała pojęcia, co jej słowa oznaczały, wiedziała tylko, że przemówił przez nią bóg.

Myślę, że nawet ojciec był wtedy przerażony.

Tamtej nocy opowiedział mi o kolejnej przygodzie czapli, która zarazem okazała się ostatnią. Jego również opuścił duch – duch tej opowieści.

Ojciec musiał być jednym z najwybitniejszych magów w całej Krainie Trzciny, gdyż za moich dziecięcych lat w naszym domu zawsze panował gwar. Ludzie przybywali do nas z miasta i z mokradeł. Bywali tacy, którzy podróżowali całymi dniami wzdłuż brzegów Wielkiej Rzeki, by kupić u nas eliksiry lub poprosić o przepowiedzenie przyszłości. Matka czasami sprzedawała im *hevat* – niektóre z nich miały funkcję religijną, inne upamiętniały zmarłych, jeszcze inne były po prostu zabawkami.

Nie uważałem się za innego od reszty chłopców. Jeden z moich najlepszych przyjaciół miał ojca rybaka, ojciec drugiego wytwarzał papier. Ja byłem synem czarodzieja, czyli nikim szczególnym. Ot, kolejnym dzieciakiem.

Lecz w opowieści ojca ów pisklak sądził, że jest czaplą...

Gdy trochę podrosłem, ojciec stał się bardziej tajemniczy, a klienci nie wchodzili już do domu. Podawał im buteleczki na progu, tam też dobijał targu. Wkrótce w ogóle przestali przychodzić.

Niespodziewanie dom opustoszał. Co prawda w nocy słyszałem dziwne hałasy, a bladym świtem znów zaczęli odwiedzać nas goście, ale wydaje mi się, że tych ojciec przyzywał wbrew ich woli. Nie chcieli niczego od nas kupować. Na czas ich wizyt matka, moja siostra Hamakina i ja byliśmy zamykani w sypialni, z której nie mogliśmy wychodzić.

Kiedyś wyjrzałem na zewnątrz przez szparę między luźnymi deszczułkami w drzwiach i w słabym świetle lampy korytarza ujrzałem zgarbioną, straszliwie wychudłą postać, która cuchnęła jak zgniłe mięso moczone w wodzie rzeki płynącej pod domem.

Nagle tajemniczy gość spojrzał wprost na mnie, jakby doskonale wiedział, gdzie się kryję. Odwróciłem się błyskawicznie, tłumiąc jęk. Wspomnienie owego przerażającego, zapadniętego oblicza jeszcze długo prześladowało mnie w snach.

Gdy miałem dziesięć lat, a Hamakina trzy, włosy matki zaczęły siwieć. Myślę, że to właśnie tego roku nadeszła ciemność. Powoli, lecz nieubłaganie, ojciec z czarodzieja, który czynił cuda, zmieniał się w czarnoksiężnika, który wzbudzał lęk.

Nasz dom wznosił się na samym skraju Miasta Trzcina, gdzie zaczynały się wielkie mokradła. Ojciec kupił go od pewnego kapłana. Była to wielka konstrukcja kryta drewnianymi kopułkami, z nieco krzywymi pokojami i wielkimi oknami wykonanymi tak, by przypominały oczy. Wspierał się na palach na samym końcu długiego nabrzeża, przez co wciąż uznawany był za część miasta. Wystarczyło bowiem przejść nabrzeżem w przeciwnym kierunku, by znaleźć się w plątaninie uliczek i starych domów, z których część już dawno opustoszała. Dalej znajdował się rybny rynek, potem ulica, na której swe siedziby mieli skrybowie i papiernicy, a w końcu wielkie przystanie, gdzie rzeczne statki cumowały na podobieństwo ogromnych wielorybów.

Pod naszym domem znajdował się pływający dok, dzięki któremu mogłem obserwować miasto z dołu. Wystające z wody pale i drągi tworzyły wokół las, ciemny i nieskończenie tajemniczy.

Czasami razem z innymi chłopcami schodziliśmy do naszych łódeczek o płaskich dnach i wypływaliśmy w ciemność między palami. Docieraliśmy do jakiegoś zapomnianego przylądka, na kupę śmieci lub ławicę piasku,

gdzie bawiliśmy się bez końca w nasze sekretne zabawy. Wszyscy prosili mnie wówczas, bym pokazał jakąś magiczną sztuczkę.

Gdy tylko mogłem, stwierdzałem z wielką godnością i tajemniczą miną, że nie będę dla tak błahych zachcianek ujawniać ogromnych sekretów, o których po prawdzie nie wiedziałem więcej od reszty. Czasami chwaliłem się umiejętnością zonglowania, ale zwykle w ten sposób tylko rozczarowywałem rówieśników.

Mimo tego tolerowali mnie w nadziei, że któregoś dnia pokażę im więcej, a także dlatego, że bali się mojego ojca. Później, gdy nastąpiła ciemność, bali się go jeszcze bardziej.

Nie miałem już towarzystwa podczas wypraw w ciemność między zanurzonymi w wodzie palami.

Nie wiedziałem, jak to rozumieć, ale matka kłóciła się wtedy z ojcem coraz częściej, aż w końcu zaczęła się go naprawdę obawiać. Zmusiła mnie, bym poprzysiągł, że nigdy nie stanę się taki jak on.

– Nigdy, nigdy, przenigdy nie idź w jego ślady – mówiła, a ja złożyłem przysięgę na święte imię Surat–Kemada, nie do końca wiedząc, czego tak naprawdę się wyrzekam.

Którejś nocy, gdy miałem już czternaście lat, poderwałem się w środku nocy, przebudzony krzykami matki i gniewnymi pohukiwaniami ojca. Jego głos był przenikliwy i zniekształcony, momentami zupełnie nie przypominał ludzkiego. Sądzę, że wyklinał wówczas matkę w jakimś nieznanym mi języku. Po chwili rozległ się trzask pękającej gliny i łoskot walącego się drewna, aż wreszcie nastąpiła cisza.

Hamakina usiadła przy mnie na łóżku.

– Och, Sekenre, co to było?

– Bądź cicho – powiedziałem. – Nie wiem.

Usłyszeliśmy ciężkie kroki, a zaraz potem skrzypienie zawiasów. W progu stanął blady ojciec z szeroko rozwartymi, dzikimi oczyma. W uniesionej ręce trzymał zapaloną latarnię. Hamakina odwróciła głowę, by uniknąć jego wzroku.

Stał tam przez minutę, jak gdyby nas nie dostrzegając, a wyraz jego twarzy stopniowo łagodniał. Wyglądało na to, że coś sobie przypomina, jak gdyby budził się z transu. W końcu odezwał się drżącym, niepewnym głosem: –

Synu, miałem wizję zesłaną mi przez bogów, ale to była twoja wizja. Dowiesz się z niej, po co przyszedłeś na ten świat i jaki jest cel twojego życia.

Bardziej mnie te słowa zdumiały, niż przerażyły. Wstałem z łóżka. Podłoga pod moimi stopami była zimna i śliska.

Ojciec ze wszystkich sił starał się zachować spokój. Przywarł do futryny, usiłując opanować drżenie ciała.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale z jego ust nie wydobyło się żadne słowo. Jego oczy, znów szeroko rozwarte, połyskiwały dziko.

– Teraz? – zapytałem, nie wiedząc, co właściwie mówię.

Ojciec zrobił krok i złapał mnie mocno za koszulę nocną. Hamakina załkała, ale nie zwrócił na nią uwagi.

– Bogowie nie zsyłają wizji tylko dlatego, że nie mają akurat nic innego do roboty.

Teraz. Właśnie teraz masz wyruszyć na bagniska, a wtedy ujrzysz swą wizję. Pozostań tam aż do świtu.

Wywłókł mnie z pokoju. Zdążyłem jeszcze zerknąć na siostrę, ale wtedy ojciec zatrzasnął drzwi do sypialni i zastawił je własnym ciałem, zagradzając mi drogę. Zdmuchnął płomień w latarni.

Dom tonął w całkowitych ciemnościach, cuchnął rzeczonym mułem i czymś o wiele gorszym. Wyczułem w powietrzu jakby swąd spalenizny i zepsucia.

Ojciec uniósł klapę w podłodze. Poniżej unosił się dok, do którego przywiązywaliśmy nasze łodzie.

– Na dół. Szybko!

Po omacku zszedłem po drabince, przestraszony i drżący z zimna. Była wczesna wiosna, deszcze już prawie się skończyły, ale w chłodnym powietrzu wciąż wisiały drobniutkie krople mżawki. Ojciec zatrzasnął klapę nad moją głową. Odnalazłem właściwą łódź i wsiadłem do niej. Siedziałem w ciemnościach po turecku, z nogami zakrytymi połami koszuli nocnej. Coś plusnęło niedaleko mnie, potem znów. Siedziałem nieruchomo, kurczowo ściskając wiosło, na wszelki wypadek gotów do obrony, choć nie miałem pojęcia, co może mi zagrażać.

Ciemności powoli ustępowały. Daleko nad bagnami księżyc wyjrzał zza

rzedniejących chmur. Woda lśniła srebrem i połyskiwała czernią, to cienie, to znów fale. To właśnie w tym momencie dostrzegłem, że w rzece wokół mnie unoszą się setki krokodyli. Ich pyski niemalże wystawały z wody, a ślepia połyskiwały w bladym blasku księżyca.

Jedyne, na co było mnie stać, to powstrzymanie krzyku. Jakoś zdołałem zachować ciszę, gdyż wiedziałem, że to dopiero początek wizji. Te potwory z łatwością mogły przecież przewrócić łódkę i mnie pożreć, a poza tym było ich zbyt wiele w jednym miejscu, żeby przypisywać to przypadkowi.

Gdy wychyliłem się, chcąc zdjąć cumę, dostrzegłem, że nie są to nawet krokodyle. Ich ciała przypominały ludzkie, zaś plecy i pośladki były blade niczym u topielców. Otaczali mnie *evatim* – posłańcy boga rzeki. Zawsze mi mówiono, że nikt nigdy ich nie widział poza tymi, którzy właśnie mieli umrzeć, lub tymi, z którymi bóg chciał porozmawiać.

A zatem mój ojciec mówił prawdę, naprawdę miałem doświadczyć wizji. Chyba że lada moment była mi pisana śmierć.

Ostrożnie wiosłując, oddaliłem się od doku. *Evatim* ustępowali mi z drogi. Uważałem, by nie dotknąć żadnego z nich. W ciemności za plecami usłyszałem, jak ktoś schodzi po drabinie, a potem coś ciężkiego wskoczyło do wody. Wszyscy *evatim* zasycieli jak jeden, co zabrzmiało, jakby zrywał się silny wiatr.

Miałem wrażenie, że mijają całe godziny, a ja wciąż wiosłowałem wśród słupów, czasem badając głębiny wiosłem, aż w końcu dotarłem na otwarte wody. Pozwoliwszy nieść się prądowi, spojrzałem na Miasto Trzcina, które kucalo wśród bagnisk niczym ogromna, drzemiąca bestia. Tu i ówdzie migotały lampy, ale poza nimi miasto spowijały ciemności.

Nikt przecież nie opuszcza domu w nocy. Powodów jest wiele – choćby taki, że po zachodzie słońca pojawiają się roje komarów ciemne niczym kłęby dymu, a poza tym bagna są pełne duchów, które wyłaniają się z błota na podobieństwo obłoków mgły. Myślę jednak, że najważniejszym powodem jest lęk przed *evatim*, krokodylogłowymi sługami Surat–Kemada, którzy pod osłoną ciemności wypełzają z wody i chodzą po pustych ulicach, wlokąc za sobą ciężkie ogony.

Tam, gdzie rozpoczynały się głębokie wody, kotwiczyły statki, ogromni, ozdobnie pomalowani przybysze z Miasta Delt. Ze świetlików wielu z nich

sączyło się światło, a ze środka dobiegały muzyka i głośnie śmiechy. Cudzoziemscy żeglarze nie znają naszych zwyczajów i nie dzielą naszych lęków.

W Mieście Trzcina wszyscy ludzie, którzy nie są żebrakami, noszą spodnie i skórzane buty, dzieci natomiast ubierają się w luźne szaty i biegają na bosaka. Gdy nastanie chłodniejszy dzień, co zdarza się raczej rzadko, owijają stopy szmatami lub po prostu zostają w domach. Kiedy chłopiec staje się mężczyzną, jego ojciec przekazuje mu w darze buty. To starożytny zwyczaj, nikt nie wie, skąd się wywiódł.

Tymczasem mój ojciec wypędził mnie z domu bez choćby płaszcza. Noc była więc dla mnie koszmarem – szczykałem zębami, dłonie i stopy całkiem mi zdrętwiały, a od oddychania zimnym powietrzem płuca aż paliły.

Najlepiej jak umiałem, wiosłowałem wśród traw i trzcina od jednej płycizny do drugiej.

Czasami musiałem nachylać się pod pnączami, czasami torowałem sobie drogę wiosłem.

Co rusz nawiedzały mnie pojedyncze, oderwane od siebie wizje, które nie tworzyły spójnej całości. Nie miałem pojęcia, co bóg usiłuje mi przekazać.

Księżyc zaszedł całkiem niespodziewanie – rzeka po prostu go połknęła i przez chwilę jego blask wił się na powierzchni niczym nieskończone długi, jaśniejący dziwnym blaskiem krokodyl zrobiony przez matkę.

Odłożyłem wiosło na dno łodzi i wyjrzałem na zewnątrz, próbując dostrzec oblicze stworzenia. Ujrzałem jedynie brudną, bagnistą wodę. Wokół mnie niczym żelazne pręty wyrastały badyle martwej trzciny. Pozwoliłem łodzi dryfować. W pewnym momencie dostrzegłem krokodyla, starego, ogromnego potwora odrętwiałego z chłodu, który unosił się na wodzie niczym kłoda, ale było to zwyczajne zwierzę, a nie jeden z *evatim*.

Chwilę później wpłynąłem na jezioro. Wokół widziałem śpiące kaczki przypominające białe kłaki bawełny na powierzchni czarnej wody. Gdzieś zaskrzeczały nocne ptaki, ale ich krzyk nie był skierowany do mnie.

Przyglądałem się gwiazdom, z których wyczytałem, że do świtu została zaledwie godzina. Ogarnęła mnie rozpacz i zacząłem wołać do Surat-Kemada, by zesłał mi wreszcie moją wizję. Nie miałem bowiem

wątpliwości, że przyjdzie ona właśnie od niego, a nie od innego boga.

Mimo to nie opuszczał mnie strach, gdyż nie poczyniłem żadnych przygotowań, nie złożyłem żadnej ofiary.

Lecz Surat–Kemad, ten, który ma potworne szczęki, nie gniewał się na mnie. Wizja w końcu nadeszła.

Choć drobny deszczyk przestał padać, powietrze stało się jeszcze chłodniejsze. Drżąc z zimna i wilgoci, skuliłem się na dnie łódki, przyciskając dłonie do piersi i kurczowo trzymając wiosło. Być może zapadłem w sen, nie wiem – w każdym razie w pewnym momencie ktoś dotknął delikatnie mojego ramienia.

Poderwałem się wystraszony, ale wtedy nieznajomy uniósł palec, dając mi znać, że powinienem zachować ciszę. Nie widziałem jego twarzy, bo przesłonił ją srebrną maską Księżyca, nierówną, krytą plamami i otoczoną promieniami. Jego biała, sięgająca do kostek szata łopotała lekko na wietrze.

Gestem wskazał mi, bym podążył za nim, a ja usłuchałem. Łagodnie zanurzyłem wiosło w wodzie i popłynąłem. Nieznajomy szedł bosy po powierzchni wody, a z każdym krokiem jego stopa tworzyła drobne fale.

Wędrowaliśmy długo przez labirynt sadzawek i kęp traw, wśród martwej trzciny, aż dotarliśmy do zatopionej w połowie zrujnowanej wieży, która przypominała teraz jedynie czarną, pustą muszlę pokrytą szlamem i pnączami.

Wtedy z otaczających nas bagien wyłoniły się kolejne postacie, całe setki odzianych w podobne szaty zamaskowanych postaci. Te jednakże, miast iść po wodzie, jak mój przewodnik, pełzały w błocie, komicznie kołysząc się na boki niczym krokodyle zmuszone do wyjścia na ląd. W zdumieniu patrzyłem, jak gromadzą się wokół nas, składając przed nami niskie, niemalże błagalne pokłony.

A wtedy mój przewodnik rozłożył ręce i zapłakał.

Przypomniałem sobie wówczas inną opowieść ojca – o królu, którego pałac był piękniejszy od samego słońca i któremu zazdrościli nawet bogowie. Pewnego dnia na jego dwór przybył posłaniec o krokodylim łbie i wysyczał: „Mój pan wzywa cię do siebie, Wasza Wysokość, tak jak wzywa wszystkich!”. Król jednakże, w swej dumie nie bojąc się bogów, rozkazał

strażnikom, by zabili posłańca i cisnęli go do rzeki, skąd przybył.

Surat–Kemad nie dbał o to, czy ktoś się go boi, czy nie. Zależało mu tylko na tym, by wszyscy byli posłuszni jego woli, tak więc Wielka Rzeka zalała kraj, pochłaniając pałac wraz z królem.

– To bardzo krótka historia – poskarżyłem się wówczas ojcu.

– Ale prawdziwa – odparł.

Teraz stałem z ustami rozwartymi z niedowierzania i nabożnego lęku. Chciałem zadać wiele pytań, lecz bałem się odezwać. Tymczasem niebo stawało się coraz jaśniejsze i szloch mego przewodnika wkrótce przypominał jedynie szelest wiatru wśród trzcin.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i zgięci w pokłonie przybysze odrzucili maski, by przybrać postać zwykłych krokodyli. Ich szaty znikwały w zmieniającym się świetle, a ja obserwowałem, jak ciemne cielska pogrążają się w bagiennej wodzie.

Spojrzałem też na przewodnika, lecz zamiast niego ujrzałem długonogiego ptaka, który zaskrzeczał i z łopotem wzbił się w powietrze.

Ciepłe promienie słońca przywróciły mnie do życia. Zakaszlałem, otarłem zasmarkany nos i rozejrzałem się dookoła. Wciąż znajdowałem się przy zatopionej wieży, która przypominała teraz rumowisko martwych głazów. Byłem sam. Nim wróciłem do Miasta Trzcin, nastąpiło południe.

W świetle dnia miasto jest zupełnie innym miejscem. Z wież zwisają barwne proporce, a domostwa strojne w ozdoby i ornamenty wymalowane na ścianach i dachach w niczym nie ustępują im urodą. Załogi statków rzecznych wyładowują towary, a ulice wypełniają się gwarem wielu języków, gdy kupcy, urzędnicy miejscy, przybysze i gospodynie domowe przystępują do zacieklej targów.

Nad miastem unosi się intensywny zapach ryb, osobliwych kadzideł i skóry, a także mokrego płótna i niemytych ciał rzecznych ludzi, którzy przywożą bydło z wiosek położonych wysoko w górach, tam, gdzie rodzi się rzeka.

Za dnia w mieście pojawia się też tysiąc bogów, po jednym dla każdego cudzoziemca czy kupca, dla każdego, kto kiedykolwiek minął któregoś z nich, mieszkał przy nim lub choć śnił o nim podczas poobiedniej drzemki. Na ulicy rzeźbiarzy każdy może nabyć podobiznę dowolnego boga lub

nawet zażyczyć sobie nową, jeśli doznał boskiej inspiracji.

W nocy w mieście pozostaje oczywiście jedynie Surat–Kemad, którego szczęki rozrywają zarówno żywych, jak i martwych, którego ciałem jest czarna woda, którego zębami są gwiazdy.

Wróciłem jednakże za dnia, przedzierając się przez rojowisko statków i mniejszych łodzi, mijając nabrzeża i pływające doki, aż znalazłem się na drugim krańcu miasta, niedaleko domu ojca.

Hamakina podbiegła do mnie, gdy wyłoniłem się z luku w podłodze. Jej twarz była mokra od łez. Wtuliła się we mnie, szlochając.

– Och, Sekenre, tak się boję!

– Gdzie jest ojciec? – zapytałem, ale moja siostrzyczka jedynie wtulała twarz w moją szatę. Zmieniłem więc pytanie: – Gdzie jest matka?

Hamakina uniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

– Odeszła – szepnęła cichutko.

– Odeszła?

– Odeszła do bogów, mój synu.

Uniosłem wzrok. Ojciec stał na progu pracowni, odziany w szatę czarnoksiężnika luźno obwiązaną na ubrudzonych, białych spodniach. Ruszył ku nam, utykając i zataczając się, jakby zapomniał, jak się chodzi. Przyszło mi do głowy, że może coś mu się stało w nogę.

Hamakina krzyknęła i wybiegła na nabrzeże. Słyszałem, jak trzaska drzwiami. Sam nie drgnąłem nawet o stopę.

– Ojczy, gdzie jest matka?

– Jak już mówiłem, odeszła do bogów.

– Czy wróci? – zapytałem, pozbawiony nadziei.

Ojciec nie odpowiedział. Stał przez chwilę nieruchomo, wpatrzony w jakiś nieokreślony punkt w oddali, zupełnie jakby zapomniał, że znajduje się tuż obok. A potem nagle zwrócił się do mnie: – Co widziałeś, Sekenre?

Opowiedziałem mu o wszystkim.

Znów zamilkł.

– Sam nie wiem, jak to rozumieć – dodałem. – Ten rytuał nie miał znaczenia. Czy zrobiłem coś źle?

I wtedy odezwał się do mnie z czułością, jak za dawnych dni, gdy byłem tylko dzieckiem: – Nie, mój drogi, nie zrobiłeś niczego źle. Pamiętaj, że

wizja twego życia trwa tak długo, jak samo życie, i podobnie jak ono jest tajemnicą, labiryntem pełnym zakrętów, w którym wiele spraw nagle się pojawia, a inne pozostają w ukryciu na zawsze. Im będziesz starszy, tym więcej będziesz rozumiał z tego, co ujrzałeś tej nocy. Każdy nowy element ogromnej układanki zmienia znaczenie wszystkiego, co już się wydarzyło, w miarę jak zbliżasz się coraz bardziej do prawdy. Do celu nie dotrzesz jednak nigdy, a na pewno nie całkiem.

Zimno i wilgoć dały mi się we znaki i wkrótce zachorowałem. Leżałem ponad tydzień, czasem dręczony delirium, czasem śniąc o zamaskowanej postaci z wizji, stojącej tuż przy moim łóżku. Jej białe stopy w jakiś sposób znajdowały oparcie na powierzchni czarnej wody, a wokół trzeszczała stara trzcina. Czasem, gdy słońce wznosiło się wyżej, nieznajomy zdejmował maskę i wtedy słyszałem wrzask czapli, która wzbija się do lotu z głośnym łopotem skrzydeł. Czasem maska odsłaniała twarz ojca. Przybywał do mnie co świt, kładł mi dłoń na czole, recytował słowa, których nie rozumiałem, i wmuszał we mnie porcję słodkiego syropu.

Od chwili, gdy doszedłem do siebie, nie widywałem go zbyt często. Zamykał się w pracowni, hałaśliwie barykadując drzwi. Musieliśmy sami o siebie zadbać z Hamakiną.

Bywało, że z trudem zdobywałem cokolwiek do jedzenia. Próbowaliśmy składać ostatnie *hevat* wykonane przez matkę, ale rzadko przynosiło to jakieś efekty.

W międzyczasie z pracowni ojca strzelały pioruny i dochodziły potworne grzmoty.

Cały dom trzął się w posadach. Niekiedy buchał stamtąd straszliwy fetor, a wtedy wraz z siostrą uciekaliśmy na całe noce. Woleliśmy spać na dachach wśród żebraków, nawet pomimo wszelkich zagrożeń. Raz, gdy przykucnąłem przy drzwiach pracowni, przerażony, z trudem panujący nad płaczem, usłyszałem, jak ojciec coś mówi. Odpowiedziało mu wiele słabo słyszalnych, dobiegających z oddali głosów, z których jeden przypominał głos matki.

Niektóre z nich wrzeszczały, inne bełkotały nieskładnie, jeszcze inne błagały o litość.

Wszystkie pełne były przerażenia.

Czasami zastanawiałem się, dokąd odeszła matka, i próbowałem pocieszyć Hamakinę.

Czułem jednak, że znam prawdę, że doskonale wiem, co się z nią stało, a tego nie mogłem powiedzieć siostrzyczce.

Nie miałem do kogo się zwrócić, gdyż ojciec niespodziewanie stał się najbardziej przerażającym z miejskich czarnoksiężników i nawet kapłani nie ośmielali się go drażnić. W naszym domostwie regularnie zbierały się demony powietrza i rzeki. Słyszałem, jak drapią drzwi, szurając ogonami i skrzydłami, a wtedy kuliliśmy się z Hamakiną w naszym pokoiku lub umykaliśmy na dachy.

Na nasz widok ludzie na ulicach odwracali wzrok, czynili znaki odczyniania uroków i soplowali. Wreszcie któregoś dnia przyszedł do mnie ojciec. Poruszał się powoli i z bólem niczym chorowity kaleka. Posadził mnie przy stole kuchennym i przez dłuższą chwilę patrzył mi prosto w oczy. Bałem się odwrócić spojrzenie. Na jego twarzy widniały ślady łez.

– Sekenre – zaczął łagodnym głosem. – Czy wciąż kochasz swego ojca?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

– Musisz pojąć, że ja kocham cię bardzo – ciągnął. – I zawsze będę cię kochał, bez względu na to, co się wydarzy. Chcę, żebyś był szczęśliwy. Chcę, żebyś poradził sobie w życiu. Żebyś ożenił się z ładną dziewczyną. Nie chcę, żebyś stał się tym, czym ja się stałem.

Bądź dla wszystkich przyjacielem, nie przysparzaj sobie wrogów. Unikaj nienawiści.

– Ale... ale jak?

Chwycił mnie za rękę i ścisnął mocno.

– Chodź ze mną. Szybko.

Choć bałem się jak nigdy dotąd, poszedłem.

Gdy wypadł na ulicę, ciągnąc mnie za rękę, niewiele brakowało, a w mieście wybuchłaby panika. Ojciec szedł jednak przed siebie, nie zwracając na nic uwagi. Kroczył w osobliwy sposób – zakryte czarnoksięską szatą plecy bez przerwy falowały, co rusz zmieniały kształt i położenie, jakby był gadem usiłującym stąpać na ołowianych nogach.

Mijani przez nas ludzie krzyczeli, kobiety podnosiły dzieci, dwaj kapłani skrzyżowali laski w geście odpędzającym złe moce. Ojciec ignorował ich

wszystkich.

Dotarliśmy do ulicy, wzdłuż której ciągnęły się najpiękniejsze kamienice. Z okien na piętrze odwracały się ku nam zaskoczone twarze. Wtedy ojciec zaprowadził mnie na koniec alei, gdzie weszliśmy do tunelu i pokonawszy go, znaleźliśmy się na podwórzu za jedną z posiadłości. Tam ojciec zapukał do drzwi. Otworzył nam jakiś starzec, sądząc po garbie – uczony. Na nasz widok rozdziawił szeroko usta i wykonał znak obrony przeciw demonom.

Ojciec bezceremonialnie wepchnął mnie do środka.

– Naucz mego syna wszystkiego, co wiesz – przykazał starcowi. – Dobrze zapłacę.

Tak oto stałem się uczniem Velachronosa, historyka, skryby i poety. Już umiałem pisać, ale on nauczył mnie, jak stawiać ozdobne litery z zawijasami i kolorowym wypełnieniem. Nauczył mnie również sporo o historii miasta, o rzece oraz o bogach.

Przesiadywałem z nim długimi godzinami, pomagając przekładać starożytne księgi.

Najwidoczniej ojciec umyślił sobie, że powinienem zostać uczniem, abym żył otoczony ludzkim szacunkiem i we względnym dostatku, tak jak Velachronos. Starzec poczynił nawet pewnego dnia związaną z tym aluzję: – Biednego uczonego widuje się równie rzadko, co umierającego z głodu.

Moją siostrę ojciec lekceważył całkowicie. Pewnego razu, gdy przyszedłem do domu po lekcjach i zastałem go poza pracownią, zapytałem: – A co z Hamakiną?

– Zabierz ją ze sobą, jeśli chcesz. – Wzruszył ramionami. – To bez znaczenia.

Tak więc Velachronos miał od tej pory dwoje uczniów. Myślę, że z początku przyjął nas ze strachu. Próbowałem mu wytłumaczyć, że nie jesteśmy potworami, co z czasem zrozumiał. Ojciec płacił mu dwa razy więcej niż inni. Ja ślęczałem nad książkami, a Hamakina uczyła się stawiać piękne litery. Starzec uczył ją też muzyki, by mogła śpiewać starożytne ballady o mieście. Miała zaiste piękny głos.

Był dla nas bardzo dobry i miło wspominałem spędzony u niego czas. Przypominał trochę dziadka lub hojnego wujka. Wiosną zabrał nas na

dziecięcy festiwal – poderwał się z miejsca i z zapalem bił brawo, gdy Hamakina zwyciężyła w konkursie na najpiękniejszą maskę, a aktor w przebraniu jaskółczogłowego boga Haedosa–Kemada pochylił się, by obsypać ją słodyczami.

Czułem, że jestem już za stary na takie rzeczy, ale ojciec nigdy nie zaprowadził mnie do kapłanów, by ci uznali mnie za mężczyznę. Zwykle ten rytuał ma bardzo prostą formę, chyba że rodzice życzą sobie inaczej. Opłata również nie wynosi zbyt wiele. I chociaż doznałem już wizji od bogów, ojciec nie zabrał mnie do świątyni. Tak oto pozostałem dzieckiem. Nie wiem dlaczego – może byłem niegodny, a może po prostu zapomniał.

W międzyczasie jego magia nabierała mocy. W nocy niebo migotało od horyzontu po horyzont. Czasami wychodził na nabrzeże, by porozmawiać z piorunami – grzmiały w odpowiedzi jego imię, a raz nawet moje.

Odór bijący z pracowni stawał się coraz trudniejszy do zniesienia, dochodziło z niej coraz więcej głosów coraz straszliwszych gości. Bywało, że ojciec zataczał się po domu, szarpał za brodę i wymachiwał rękami jak człowiek niespełna rozumu, jak owładnięty przez szalonego ducha. Bywało, że łapał mnie za ramiona, potrząsał aż do bólu i pytał: – Kochasz mnie? Kochasz?!

Pewnego wieczoru, gdy Hamakiny nie było w domu, a ja się uczyłem, do mojego pokoju wskoczył przez okno ogromny barbarzyńca, a za nim człowieczek z Miasta Delty o szczurzej gębie.

Barbarzyńca wyrwał mi książkę z rąk, wyrzucił ją do rzeki, złapał mnie za nadgarstek i szarpnął. Załkałem cicho z bólu, gdy przedramię trzasnęło. Wtedy szczurogęby wyciągnął z za pasa długi, wąski nóż przypominający ogromną szpilę i przysunął mi go do twarzy.

Ostrze oparło się delikatnie najpierw o jeden mój policzek, tuż pod okiem, a potem o drugi w tym samym miejscu.

– Gdzie twój tata czarodziej i jego zakichany skarbiec, co? – szeptał, szczerząc zepsute zęby. Jego oddech cuchnął. – No, powiedz nam wszystko, mały, albo zrobię z ciebie ślepą dziewczynkę i zaplotę ci flaki w warkoczyki...

Barbarzyńca złapał ogromną dłonią za moją szatę i pchnął mnie na ścianę z taką siłą, że krew buchnęła mi z nosa i z ust.

Udało mi się jedynie skinąć głową w lewo, gdzie znajdowały się drzwi do pracowni ojca.

Gdy odzyskałem przytomność, usłyszałem wrzask. Wycie obydwu mężczyzn dobiegało zza drzwi pracowni przez długie dni, podczas gdy ja leżałem chory, a Hamakina ocierała mi pot z czoła, nie mogąc dla mnie zrobić nic więcej. W końcu wrzaski przeszły w odległe, ledwie słyszalne pomruki przypominające głosy, które już kiedyś słyszałem, a z których jeden mógł należeć do matki. Dopiero wtedy ojciec opuścił pracownię i wyleczył mnie mocą swej magii. Jego twarz była popielata. Wyglądał na wykończonego.

Spałem, a bosonogi mężczyzna w srebrnej masce klęczał na wodzie, wzbudzając wokół mojego łóżka drobne fale. Szeptał opowieść o młodym pisklęciu czapli, które stało pośród członków stada o świcie, gdy nagle inne ptaki wzbiły się do lotu. Stało samotnie w wodzie i rozpaczliwie machało niezgrabnymi, pozbawionymi piór skrzydłami.

Kilka tygodni później wyrzucił nas Velachronos. Nie wiem, co tak nagle zmieniło jego stosunek do mnie i mojej siostry. Być może powodem była jedynie płotka lub kilka plotek naraz, a być może poznał prawdę o czymś, o czym ja nie miałem pojęcia. W każdym razie pewnego dnia, gdy wraz z Hamakiną przyszliśmy na lekcje, zastaliśmy go na progu.

Powitał nas wrzaskiem:

– Precz! Wynoście się, demonie nasienie!

Nie chciał nic tłumaczyć i nic więcej już nie powiedział. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko wrócić do domu.

Tej nocy od ujścia rzeki nadciągnęła straszliwa burza. Czarne, wirujące masy chmur napierały niczym potwór gotowy zdusić i pochłonąć cały świat, kroczący na tysiącach migotliwych odnóży błyskawic. Rzeka i bagna szalały niczym gniewne fale praooceanu istniejącego przed powstaniem Ziemi, a niebo grzmiało i błyskało. Gdy kolejny zygzak pioruna przecinał mrok, przez krótką chwilę można było dostrzec całe mile spienionych fal, całe łany trzciny uginających się pod naporem wiatru, a potem ciemność pochłaniała świat aż do kolejnego uderzenia. Pioruny znów raz po raz grzmiały imieniem ojca.

On zaś odpowiadał na ich ogłuszający zew z sekretnej komnaty, a jego

głos był równie donośny. Krzyczał w języku, który w niczym nie przypominał ludzkiej mowy – były to dzikie wrzaski, przenikliwe pohukiwanie i gwizdy podobne do tych, które wydawał szalejący wiatr.

Rankiem okazało się, że żywioł rozrzucił statki po rzece i obrócił połowę miasta w perzynę. W powietrzu niósł się rozpaczliwy lament tych, którzy stracili bliskich. Pod naszym domem, gdzie do tej pory znajdowały się płycizny, szalały brudne fale rzeki.

Wielu ludzi ujrzało tego dnia krokodylogłowych posłańców Boga, Który Pożera. Ja siedziałem z siostrą w naszym pokoju, baliśmy się prawie do siebie odezwać. Nie mogliśmy stamtąd wyjść.

W pracowni ojca panowała cisza, która ciągnęła się tak długo, że mimo wszystko zacząłem się o niego obawiać. Spojrzałem Hamakinie prosto w szeroko otwarte oczy pełne zdumienia. Dziewczynka po chwili pokiwała głową.

Podszedłem do drzwi pracowni i zapukałem.

– Ojcze? Wszystko w porządku?

Ku memu zaskoczeniu otworzył niemal natychmiast i wyszedł na zewnątrz. Jedną ręką wsparł się o framugę i zastygł w tej pozycji, ciężko dysząc. Dłonie miał poskręcane i węzlaste, wyglądały, jakby płonęły. Jego twarz była z kolei tak blada i dzika, że przez krótką chwilę miałem wątpliwości, czy aby na pewno patrzę na ojca. Sam rozwiął moje wątpliwości, gdy tylko się odezwał: – Niebawem umrę. Czas już, bym i ja odszedł do bogów.

I znów, pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, zapłakałem z żalu.

– Teraz musisz po raz ostatni okazać się wiernym synem – ciągnął ojciec. – Nazbieraj trzciny i spleć łódź pogrzebową. Nim skończysz, będę martwy. Ułóż me ciało na łodzi i puść ją z prądem, bym, jak inni ludzie, mógł się udać do Surat–Kemada.

– Nie, ojcze! Nie może tak być!

Miałem teraz przed oczyma tego ojca, jakim był dla mnie we wczesnym dzieciństwie, a nie potwora, którym stał się później.

Zacisnął mocno dłoń na moim nadgarstku i wysyczał ze złością: – Ależ tak właśnie będzie i nic tego nie zmieni. Idź!

Tak więc wyszliśmy wraz z Hamakiną na zewnątrz.

Jakimś cudem nasz dom stracił w wyniku burzy ledwie kilka desek, a dok nadal znajdował się pod klapą w podłodze. Była tam też moja łódka, zanurzona w wodzie i miotająca się na cumie. Wyciągnęliśmy ją z trudem, osuszyliśmy, a potem znów zepchnęliśmy na fale. O dziwo, nawet wiosła pozostały na swoim miejscu.

Weszliśmy do łodzi i wiosłowaliśmy w milczeniu przez ponad godzinę, pokonując bagniska, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie wody były płytkie i spokojne. Trzcina grubości mego ramienia kołysała się łagodnie na tle nieba. Zabraną z domu siekierą ściąłem kilka najbliższych łodyg. Przez resztę dnia mozolnie pracowaliśmy z Hamakiną nad zbudowaniem prymitywnej łodzi. Pod wieczór przyciągnęliśmy ją pod nasz dom.

Wszedłem na górę po drabinie, a zdjęta bojażnią Hamakina czekała na dole. Po raz pierwszy, odkąd sięgałem pamięcią, drzwi do pracowni ojca stały otworem. On zaś leżał w środku na kanapie otoczonej półkami z książkami i butelkami. Wystarczył rzut oka, bym zyskał pewność, że nie żyje.

Niewiele pozostało tej nocy do zrobienia. Wraz z siostrą przyrzadziliśmy zimną kolację, wykorzystując wszystko, co tylko znaleźliśmy w spiżarni. Potem zabarykadowaliśmy okna oraz drzwi i przywaliliśmy klapę w podłodze ciężkim kufrem. Mieliśmy obawy, że *evatim* zechcą wspiąć się na górę, by pożreć trupa, co czasem im się zdarzało.

Poświęciłem też chwilę na badanie pracowni. Zajrzałem do książek ojca, otworzyłem kilka kufców. Gdyby rzeczywiście chował jakiś skarb, znalazłbym go. Potem podniosłem jakąś ciemną butelkę, a wtedy coś w jej wnętrzu wrzasnęło na mnie cichutkim, przytłumionym głosem. Przerażony, upuściłem butelkę. Szkło się rozbiło, a wrzeszcząca istota pomknęła po podłodze.

Dom był pełen hałasów, skrzypnięć, szeptów i westchnień. Raz coś wielkiego, może ogromny ptak, biło skrzydłami i drapało przesłonięte okiennicami okno. Nie zmrużyliśmy z siostrą oka przez większą część nocy. Czuwaliśmy z latarniami, ściskając w dłoniach kije, gotowi stawić czoła wszelkim koszmarom, jakie zrodzi noc. Ja siedziałem na podłodze, oparty o drzwi pracowni, a Hamakina leżała z główką na moim kolanie, cicho szlochając.

W końcu usnąłem, a we śnie zobaczyłem matkę. Pochylała się nade mną, ociekając wodą i mułem, wrzeszczała i rwała mi włosy. Próbowałem jej wytłumaczyć, że wszystko będzie dobrze, że zajmę się Hamakiną, że wyrosnę na skrybę, który pisze dla ludzi listy.

Obiecywałem jej, że nie stanę się kimś takim jak ojciec, ale ona nadała szlochała i włóczyła się bez końca po pokoju. Rankiem podłoga była mokra i zabłocona.

Przywdzialiśmy z Hamakiną najlepsze ubrania i udaliśmy się do kapłanów. Niektórzy z mijanych po drodze ludzi odwracali się do nas plecami, inni wykrzykiwali przekleństwa lub wyzywali nas od morderców. Na placu przed świątynią otoczył nas tłum zbrojny w noże i kije. Zamachałem wtedy rękami, mając nadzieję, że wezmą to za magiczne gesty, i tak też się stało. Napastnicy rzucili się do ucieczki, wykrzykując, że jestem równie zły jak mój ojciec. W tej krótkiej chwili niemalże żałowałem, że tak nie jest.

W drodze powrotnej do domu towarzyszyła nam cała armia kapłanów, dostojnie wyglądających w swych obszernych, złoto-srebrnych spodniach, błękitnych kurtkach i wysokich kapeluszach obszytych łuską. Niektórzy dzierżyli wysoko poświęcone ikony Surat-Kemada i innych bogów: Ragun-Kemada, Boga Orłów, Bel-Kemada, Boga Wiosny, Meliventry, Pani Latarni, która zsyła wybaczenie i miłosierdzie. Akolici śpiewali chórem i wymachiwali wiszącymi na złotych łańcuchach czarami z płonącym kadzidłem.

Nie pozwolili nam jednak wejść do domu. Dwie świątynne siostry przełożone zostały z nami na nabrzeżu i trzymały nas mocno za ręce. Ogarnięci przerażeniem sąsiedzi przyglądali się wszystkiemu z bezpiecznej odległości.

Kapłani dosłownie ogołocili pracownię ojca. Wyłamali okiennice i wylewali przez okno butelkę za butelką, a potem wysypywali proszki i wyrzucali księgi. Następnie znowu poleciały butelki, większość słoików, figurki i wszystkie osobliwe okazy. Wiele ksiąg zostało skonfiskowanych, a młodszy kapłani zataszczyli całe ich kosze do świątyni. Po tym wszystkim kapłani przystąpili do czegoś, co wyglądało na egzorcyzmy. Te ciągnęły się przez długie godziny, a użyto przy nich tyle kadzidła, że w pewnym

momencie odniosłem wrażenie, jakby dom stanął w płomieniach.

W końcu kapłani wymaszerowali z domu z tą samą powagą, z jaką do niego weszli.

Jedna z matek przełożonych wręczyła mi miecz należący niegdyś do mojego ojca. Była to wspaniała broń, której rękojeść owinięto miedzianym drutem, a ostrze inkrustowano srebrem.

– Może ci się to przyda – powiedziała.

Przepełnieni lękiem, ostrożnie weszliśmy z Hamakiną do domu. Powietrze do tego stopnia przesycone było wonią kadzideł, że krztusząc się i łzawiąc, natychmiast przypadliśmy do okien, by otworzyć je na oścież. Rozwieszonych wszędzie koszy z płonącymi kadzidłami baliśmy się jednak usuwać.

Ciało ojca spoczywało na kanapie w pracowni, zawinięte w gazę. Kapłani usunęli mu oczy, a w pustych oczodołach umieścili amulety przypominające wielkie monety.

Wiedziałem, że uczynili to ze strachu przed jego powrotem z zaświatów.

Wraz z Hamakiną musieliśmy go znieść do łodzi pogrzebowej. Nikt nam nie pomógł i był to dla nas ogromny wprost wysiłek. W końcu Hamakina miała zaledwie osiem lat, a ja piętnaście. Przez cały czas obawiałem się, że ojciec nam się wyślizgnie. Na ziemię upadł jeden ze złotych amuletów, a pusty oczodół spozierał na nas niczym wyschnięta, czerwona rana. Gdy umieszczałem amulet z powrotem na miejscu, walczyłem z torsjami.

Łódź była przystrojona gazą i bibelotami, ze srebrnej czarnej na dziobie unosiły się jęczyczki kadzidlanego dymu. Jeden z kapłanów wymalował na rufie symbol – żmiję pożerającą własny ogon.

Gdy nadszedł zmierzch, wraz z Hamakiną zaciągnęliśmy łódź na głębokie wody daleko za miastem i za przekrzywionymi masztami zatopionych statków. Kolor nieba z wolna przechodził w czerń tu i ówdzie upstrzoną purpurowymi strzępami ostatnich chmur burzowych. Znad bagien niósł się niemalże mroźny wiatr. Gwiazdy lśniły odbijane przez falującą wodę.

Stałem w mojej płytkiej łódeczce i najlepiej jak umiałem, recytowałem słowa nabożeństwa dla ojca, którego nadal kochałem, choć jednocześnie bałem się go i nie rozumiałem. Potem Hamakina puściła linę i łódź

pogrzebowa ruszyła z miejsca. Z początku szła z nurtem w kierunku delty oraz morza, lecz potem, tuż nim zniknęła w ciemności na dobre, przez chwilę bez wątpienia sunęła pod prąd. Był to dobry znak, który oznaczał, że łódź została pochwycona przez czarny prąd, który wynosi martwych ze świata żywych prosto do krainy bogów.

Pomyślałem wówczas, że nadszedł czas na żałobę. Po powrocie z bagien zastaliśmy pusty dom. Po raz pierwszy od wielu lat w ogóle się nie bałem. To uczucie wydało mi się zaskakujące i oszałamiające. Spałem tej nocy spokojnie, nic mi się nie śniło. Hamakina też spała cichutko.

Następnego ranka pewna staruszka, która mieszkała w jednym z pierwszych domów po drugiej stronie nabrzeża, zastukała do naszych drzwi i spytała: – Dzieci, jak się czujecie? Nic wam nie jest? Macie co jeść?

Zostawiła dla nas kosz pełen jedzenia.

To też był dobry znak. Czyn staruszki oznaczał, że sąsiedzi kiedyś nam wybaczą, nie sądzili więc chyba, że stanę się taki jak mój ojciec.

Wniosłem kosz do domu, szlochając z radości. Życie będzie lepsze. Dobrze pamiętałem złożoną matce obietnicę. Powiedziałem jej przecież, że nie pójdę w ślady ojca.

Miałem nadzieję, że za góra dzień lub dwa Velachronos przyjmie nas z powrotem na naukę.

Tylko że następnej nocy we śnie nawiedził mnie ojciec. Owinięty w gazę stanął przy moim łóżku i zwrócił ku mnie twarz wyglądającą przerażająco z dwoma złotymi dyskami zamiast oczu. Jego głos był – naprawdę nie wiem, jak to opisać – oleisty, zupełnie jak ściekający roztwór, gęsty i złowieszczy. Sam fakt, że taki dźwięk mógł przekazywać słowa, wydawał się największą okropnością ze wszystkich.

– Zawędrowałem daleko w ciemność, synu. Mój koniec zbiega się z odkryciem największej tajemnicy. Wciąż jej poszukuję. Moje studia są niemalże zakończone, to będzie prawdziwa kulminacja wszelkich moich starań. Aby jednak do tego doszło, potrzebuję czegoś, jednej jedynej rzeczy, po którą wróciłem.

– Cóż to takiego, ojczy? – zapytałem we śnie.

– Twoja siostra.

Wtedy przebudziłem się, wyrwany ze snu wrzaskiem Hamakiny.

Sięgnęła po moją dłoń, ale nie znalazła jej, złapała za krawędź łóżka i spadła z niego z głuchym łoskotem, ściągając kołdrę na podłogę. Zawsze trzymam latarnię przy łóżku. Pochwyciłem ją i otworzyłem metalowe drzwiczki, zalewając pokój światłem.

– Sekenre! Pomóż mi!

Wpatrywałem się z niedowierzaniem, jak Hamakina zawisa w powietrzu, wymachując rękami i nogami, jak gdyby niewidzialna ręka porwała ją za włosy. Potem wrzasnęła raz jeszcze, głośniejsze, i wydawało się, że wylatuje przez okno. Zdążyła chwycić za parapet, a wtedy spojrzała na mnie. Nasze oczy się spotkały. Nim jednak mogłem cokolwiek powiedzieć czy zrobić, nieznana siła porwała ją w mrok. Podbiegłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz.

Niczego już nie słyszałem, tylko woda poniżej pluskała łagodnie. Noc była cicha i spokojna.

Hamakina po prostu znikła.

Rankiem trzeciego dnia po śmierci ojca poszedłem spotkać się z Sybil. Nie pozostało nic innego do zrobienia. Każdy człowiek z Miasta Trzcina wie, że gdy nadchodzi prawdziwy kryzys w twoim życiu, gdy nie ma już żadnej alternatywy poza rezygnacją lub śmiercią i gdy żadne ryzyko nie wydaje się zbyt wysokie, to właściwy czas, by ujrzeć Sybil.

Stare przysłowie mówi, że szczęśliwym jest ten, kto nigdy nie musiał wzywać jej imienia. Ja jednak do szczęściarzy nie należę.

Niektóre z jej imion to Córka Rzeki, Głos Surat–Kemada i Matka Śmierci, choć nosi również wiele innych. Nikt nigdy nie dowiedział się, kim lub czym tak naprawdę jest, mimo że mieszka pod samym sercem miasta, tam, gdzie słupy podtrzymujące największe domy są grube niczym pnie drzew. Opowiada się o niej wiele przerażających historii i niejednym razem słyszałem o okropnie wysokich cenach, jakich żąda w zamian za swe proroctwa. Słyszałem też, że ci, którzy do niej przychodzili, wracali odmienieni, o ile w ogóle wracali. Tak czy inaczej od niepamiętnych czasów znajdowali się ludzie chętni wysłuchać jej słów.

Na przykład ja. Jako ofiarę wziąłem ze sobą miecz ojca, ów srebrny miecz, który wręczyła mi matka przełożona świątyni.

Zaczynało już dzień, gdy raz jeszcze odchyliłem klapę w podłodze i

ześlizgnąłem się na dół. Na wschodzie, czyli po mojej prawej, mrok nieba zaczął z wolna przechodzić w szarość, lecz serce miasta przede mną nadal tonęło w odmętach nieprzeniknionej ciemności.

Wiosłowałem wśród śmieci, które przywlokła ostatnia burza – wśród desek, beczek i skrzyń unoszących się na falach. Trafiłem też na obracającego się powoli trupa, jakimś cudem przeoczonego przez *evatim*. Widziałem dom, którego podpora nie wytrzymała ataków żywiołu, przez co zapadł się głęboko. Opłukiwany falami, uległ całkowitemu zniszczeniu, a czarne okna ziały niczym rozwarte usta. Później, gdy mrok nieco się rozproszył, natknąłem się też na wywrócony do góry dnem statek, który utknął między palami niczym ogromna, martwa ryba pochwycona przez twarde trzciny. Resztki jego takielunku falowały na wodzie.

Tuż za nim wyrastała ciemna bryła domostwa Sybil, oczywiście nietkniętego przez burzę.

Jest jeszcze jedna historia, którą o niej opowiadają – mówią mianowicie, że Sybil nigdy nie była młoda, a urodziła się starą wiedźmą w krwi konającej w połogu matki. Stała w kałuży posoki, spowita ciemnościami zarania dziejów, i złożyła dłonie. Gdy je rozwarła, wystrzeliły z nich słupy ognia.

Mój ojciec lubił tę sztuczkę i pewnego dnia ogromnie się rozgniewał, gdy zauważył, że próbuję ją powtórzyć. Oczywiście nie udało mi się, siedziałem jedynie i wpatrywałem się w swe dłonie, które otwierałem i zamykałem bez widocznego rezultatu. Wystarczył mu jednak sam fakt, że próbowałem. Z początku chyba nawet przestraszyła go myśl, że w końcu mi się uda. Potem wyraz jego twarzy przeszedł z zaskoczenia w chłodny gniew. Był to jedyny przypadek w dzieciństwie, gdy zebrałem od ojca lanie.

Wypuściwszy ze swych dłoni języki płomieni, Sybil zręcznymi ruchami palców uformowała z nich dwie ogniste kule. Dmuchnęła na jedną z nich, by ściemniała, a następnie wypuściła obie, tworząc Słońce i Księżyc. Potem piła długo z wód Wielkiej Rzeki, z którymi zmieszała się krew jej matki. Gdy ugasila pragnienie, wyprostowała się, skąpana w blasku księżyca i wypluła z siebie migotliwe gwiazdy. Światło gwiazd zbudziło zaś bogów, którzy stanęli wzdłuż brzegów rzeki i spojrzeli na świat po raz pierwszy.

Spoglądając na jej dom, niemalże uwierzyłem w tę historię. Nie, nie

niemalże – uwierzyłem w nią całkowicie. Dom Sybil przypominał gigantyczny kokon, był niczym pajęcza sieć rozwieszona u początku czasu, wypełniona po brzegi naniesionymi przez wodę śmieciami i trupami. Zwisała wzdłuż podbrzusza miasta, rozciągnięta w płataninie lin i sieci, które wybiegały w każdym praktycznie kierunku i co do jednej niknęły w ciemnościach. Nie miałem pojęcia, gdzie ta gigantyczna sieć się zaczyna, a gdzie kończy.

Jej jądro zwisało natomiast tuż nad zwierciadłem wody niczym monstrualny żołądek.

Przywiązałem łódź do najbliższego słupa, zatknąłem miecz ojca za pasek, zawiązałem szatę, by zapewnić nogom swobodę i rozpocząłem wspinaczkę.

Liny drżały i skrzypiały niczym odległe, ledwie słyszalne pioruny. Co rusz błoto i śmieci spadały na moją twarz lub przelatowały tuż obok, by z pluskiem wylądować w wodzie.

Mimo to trzymałem się kurczowo i potrząsałem gwałtownie głową, by oczyścić oczy. Nie przestawałem się wspinać.

Wyżej, gdy otoczyły mnie całkowite ciemności, precyzyjnie się przez tunel z butwiejącego drewna. Bez przerwy traciłem oparcie i przez przerażająco długą chwilę zsuwałem się w dół, póki nie odnalazłem kolejnego punktu zaczepienia. Ciemności zaś wydawały się... ciężkie. Miałem wrażenie, że wszędzie wokół znajdują się nieprzebrane, nieskończone masy śmieci i odpadków, które przemieszczają się i napierają na siebie.

Czasami moje nozdrza atakował smród, przez który niemalże odchodziłem od zmysłów.

Przebrnąłem przez kadłub przewróconej łodzi, który kołysał się łagodnie pod moim ciężarem. Tuż obok spadło coś miękkiego i prześlizgnęło się u mego boku. W ułamku sekundy straciłem równowagę. Przez chwilę trwającą całą wieczność drapałem gorączkowo dłońmi i bosymi stopami w poszukiwaniu punktu zaczepienia na gnijącym drewnie, ale udało się, nie spadłem.

Potem były kolejne liny i jeszcze więcej sieci. Wkrótce znalazłem się w komnacie spowitej w niemal absolutnym mroku, gdzie pełznąłem wśród

skrzyń, wiklinowych koszy i ciężkich glinianych dzbanów, które kołysały się i unosiły z każdym moim ruchem.

Gdziekolwiek nie położyłem dłoni, natrafiałem na cuchnący szlam, a w nim na trzepoczące się ryby i wijące węże.

Nadal niewiele widziałem, ale na czworakach wreszcie dotarłem do miejsca, gdzie zaczynała się pozornie solidna podłoga. Chwilę później deski trzasnęły pode mną, a ja z wrzaskiem stoczyłem się w dół, między kawałki drewna oraz, co mogłem wywnioskować z dotyku, ludzkie kości. Zatrzymałem się na rozkołysanej sieci z czaszką na kolanie i nagimi piszczelami klekoczącymi u bosych stóp. Odrzuciłem czaszkę i próbowałem skoczyć dalej, ale poślizgnąłem się i uświadomiłem sobie, że znów spadam.

W ostatniej chwili złapałem za jakiś sznur i zawisłem, wierzgając z rozpaczą. Lina pękła chwilę później i opadłem, kołysząc się niczym ludzkie wahadło. Wrzeszczałem, a daleko pod moimi nogami pluskały wpadające do wody ludzkie szczątki.

Niespodziewanie w tym właśnie momencie przypomniała mi się inna historia – ta, wedle której *evatim* pożerają tylko ciała rzecznych topielców, a kości trafiają do Sybil, która wróży z nich przyszłość.

Wydawało mi się to wielce prawdopodobne.

Dokładnie w tej chwili usłyszałem wołanie. Głos przypominał szelest jesiennego wiatru wśród zeschniętych łodyg trzciny.

– Synu Vashtema!

Przywarłem ciaśniej do strzępów sieci, przełknąłem ślinę i zawołałem w ciemność: – Jestem tutaj!

– Czarowniku, synu czarownika! Oczekuję twego przybycia.

Byłem tak przestraszony, że niemalże puściłem sieć.

– Ale przecież ja nie jestem czarownikiem!

– Czarowniku, synu czarownika...

Znów zacząłem się wspinać, przez cały czas opowiadając jej o sobie urywanym głosem. Niespodziewanie z ciemności nade mną spadło jeszcze kilka kości, niektóre uderzyły mnie w głowę jakby w szyderczej odpowiedzi na wydyszane przeze mnie słowa. Nie poddawałem się, wciąż mówiłem o tym, że nigdy samodzielnie nie korzystałem z magii, o tym, że zgodnie z przysięgą daną matce nie mam zamiaru stawać się nikim

podobnym do ojca, o tym, jak studiowałem u mędrca Velachronosa i planowałem zostać skrybą, a nawet i o tym, że marzyłem o napisaniu własnych książek, o ile Velachronos znów mnie przyjmie na nauki.

Lecz wtedy z mroku w górze, niczym księżyc w pełni zza chmury, wyłoniła się twarz Sybil, blada i okrągła z czarnymi oczyma niewyrażającymi żadnych uczuć. Z początku wydawało mi się, że jej skóra lekko świeci, a już po chwili nabrałem pewności, że tak jest w istocie.

– Czarowniku, synu czarownika – powiedziała, śmiejąc się łagodnie. – Ty się kłócisz ze straszliwą Sybil?! Ciekawa jestem, czy to akt męstwa, czy głupoty!

Przystanąłem, kołysząc się z boku na bok na linach.

– Przykro mi. Nie miałem zamiaru...

– Istnieje wielka różnica między tym, co zamierzasz, a tym, co robisz, Sekenre, a to, czy ci jest później przykro, czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia. O właśnie. Wymówiłam po raz pierwszy twoje imię. Sekenre. Teraz wymówiłam je po raz drugi. Czy wiesz, co się stanie, gdy wymówię je po raz trzeci?

– Nie, Wielka Sybil – odrzekłem potulnie.

– Czarowniku, synu czarownika, wejdź tu i usiądź przede mną. Nie bój się.

Wspiąłem się wyżej. Z trudem dostrzegłem krawędź drewnianej półki bądź pomostu zasłanego śmieciami i kośćmi. Ostrożnie wysunąłem stopę, by jej dotknąć i ku memu zdumieniu palce wymacały solidną, suchą deskę. Puściłem linę i usiadłem, a Sybil otwierała drzwiczki kolejnych latarni i zapalała knoty. Patrząc, jak rozjarzają się w mroku, od razu pomyślałem o dzikich bestiach, które mrugają przebudzone z głębokiego snu.

W niewielkim pokoiku z niskim sufitem zamigotało światło, a na ścianach zatańczyły cienie. Sybil siedziała po turecku z nogami przykrytymi kocem obszytym błyszczącą nicią, na którym leżał wąż z ludzką głową o łuskach lśniących niczym złote monety. W pewnym momencie zasyczał, a Sybil nachyliła się ku niemu, by mógł jej coś wyszeptać do ucha.

Wyciągnąłem przed siebie miecz ojca.

– Pani, tylko to mogę zaoferować...

Sybil zasyczała jak wąż. Przez chwilę wydawała się wystraszona, a nawet przerażona.

Machnięciem nakazała mi schować broń.

– Sekenre, ty irytujesz samą Sybil! Raz jeszcze zapytam: to odwaga czy tylko głupota?

Stało się – wymówiła moje imię po raz trzeci, a wtedy ogarnęło mnie skrajne przerażenie. Nic się jednak nie wydarzyło. Sybil wybuchła śmiechem, który w niczym nie różnił się od ludzkiego, był niemalże dobrotliwy.

– Jakże niestosowny podarunek, synu czarodzieja.

– Nie rozumiem... Przepraszam, pani.

– Sekenre, czy ty zdajesz sobie sprawę, czym jest ten miecz?

– Należał do mego ojca.

– A wcześniej do Rycerza Inkwizytora. Twój ojciec nawet przed samym sobą usiłował wyprzeć się tego, czym był, więc wstąpił do świętego zakonu z najsurowszą dyscypliną, który powstał tylko po to, by nieść zagładę wszystkim stworzeniom ciemności, wszystkim potworom, czarownicom, czarodziejom, a nawet dzikim bogom. W twoim wieku, chłopcze, był dokładnie taki jak ty. Bardzo pragnął postępować słusznie i właściwie. Nie wiem, ile mu to dało, ale w końcu został mu tylko ten miecz.

– Pani, nie mam nic innego...

– Sekenre... O, znowu to powiedziałam. Jesteś kimś wyjątkowym. Droga twego życia jest wyjątkowa. To, ile razy wymówię imię „Sekenre”, nie ma żadnego wpływu na twą przyszłość. Zatrzymaj miecz, przyda ci się. Nie będę domagać się od ciebie zapłaty, jeszcze nie teraz.

– Zażądasz jej ode mnie w przyszłości?

Pochyliła się, a wtedy dostrzegłem, że ma ostre, spiczasto zakończone zęby. Jej oddech cuchnął rzeczonym mułem.

– Całe twoje życie będzie dla mnie dostateczną zapłatą. Ja otrzymuję wszystko w odpowiednim czasie. Wydaje mi się, że nawet ty trafiłeś do mnie w najwłaściwszej chwili, teraz, gdy znalazłeś się w największych tarapatach.

Zacząłem więc mówić o powodach, dla których do niej przybyłem. Powiedziałem jej o ojcu i o tym, co się stało z Hamakiną.

– Czarowniku, synu czarownika, pouczasz samą Sybil. Odważnyś czy głupi?

– Błagam, Wielka Pani – zaszlochałem. – Nie wiem co robić. Chcę podjąć właściwą decyzję. Proszę, nie złość się na mnie. Powiedz mi, co mam uczynić.

– Czarowniku, synu czarownika, wszystko, co robisz, robisz właściwie. Wszystko jest częścią większej całości, której się przyglądam, którą tkam i którą przepowiadam. Każdy zwrot w twoim życiu sprawia, że moja praca rozpoczyna się od nowa. Każde znaczenie ulega zmianie. Twój ojciec rozumiał to, gdy wrócił z za morza. Nie był już Rycerzem Inkwizytorem, gdyż poznał zbyt wiele magii. Walcząc z czarnoksięstwem, sam nim przesiąknął. Był niczym lekarz, który zaraża się chorobami pacjentów. Jego wiedza zaś stała się drzwiami, które zostały otwarte bez możliwości ich zamknięcia. Stała się drzwiami w jego umyśle.

– Nie – powiedziałem cicho. – Nie będę kimś takim jak on.

– Wysłuchaj zatem przepowiedni Sybil, czarowniku, synu czarownika. Czeka cię podróż do samych trzewi bestii, prosto do paszczy Boga, Który Pożera.

– Pani, całe nasze życie to podróż, a gdy umieramy...

– Czarowniku, synu czarownika, czy uznasz słowa Sybil z własnej woli, jak wręczony ci dar?

Obawiałem się spytać, co będzie, jeśli odmówię. Nie wyglądało na to, bym miał jakiś wybór.

– Tak, pani, uznam je.

– A zatem stanie się tak z twojej woli. Jeśli zboczysz ze swej ścieżki, jeśli zejdziesz w bok, zmienisz w ten sposób tkaninę każdego ludzkiego istnienia.

– Pani, ja chcę tylko odzyskać siostrę.

– Przyjmij więc również i to.

Wcisnęła mi coś do ręki. Jej skóra była zimna i twarda, jakby dotknęło mnie żyjące żelazo. Żmija z ludzką głową na jej nogach zasyczała, a jej syk niemalże ułożył się w słowa.

Uniosłem dłoń w kierunku jednej z latarni i ujrzałem dwie monety pogrzebowe.

– Czarowniku, synu czarownika, od tej chwili jesteś mężczyzną. Twój ojciec zaniedbał odprawienia rytuału i nie wyniósł cię do pozycji dorosłego przed śmiercią, więc obowiązek ten spada na mnie.

Gad z ludzką głową wślizgnął się pod szaty Sybil, a wtedy ona uniosła się jednym ruchem, płynnie jak smuga dymu. Widziałem jedynie jej twarz i dłonie przypominające latarnie wiszące w półmroku. Wzięła srebrną opaskę i związała nią moje włosy, tak jak to czynią mężczyźni w mieście. Podała mi również parę obszernych spodni, identycznych z noszonymi przez dorosłych. Założyłem je natychmiast, były o wiele za długie. Podwinąłem nogawki do kolan.

– Kiedyś należały do pewnego pirata – powiedziała Sybil. – Nie przydadzą mu się już na wiele.

Przez chwilę grzebała wśród śmieci i odpadków naniesionych przez wodę i wyciągnęła stamtąd pojedynczy but. Gdy go wciągnąłem na stopę, okazał się niemalże dwa razy za duży.

Sybil westchnęła.

– I znów tkanina uległa przemianie. Jestem pewna, że nie wróży to nic dobrego. Cóż, mniejsza o to.

Zabrała mi but i odrzuciła go na bok. Potem nachyliła się nade mną i ucałowała mnie w czoło. Dotyk jej ust był tak zimny, że wręcz palił.

– Zostałeś naznaczony przez Sybil, czarowniku, synu czarownika, i dzięki temu piętnu ludzie będą cię rozpoznawać. Dzięki niemu masz również prawo przywołać mnie po trzykroć, a ja cię wysłucham i przyjdę z pomocą. Miej się jednak na baczności. Jeśli poprosisz mnie o przysługę po raz czwarty, staniesz się moją własnością, podobnie jak wszystkie te przedmioty w moim domu. Oto cena, której będę się spodziewać.

Podała mi manierkę oraz skórzaną sakwę z jedzeniem, w której znalazłem chleb, ser i suszoną rybę. Przykazała mi również schować w niej monety pogrzebowe, bym ich nie zgubił. Sakwa zaopatrzona była w długi sznur, który zarzuciłem przez głowę na ramię, a manierkę przytroczyłem do luźnego pasa opinającego szatę.

Czułem, jak miejsce, w którym Sybil złożyła pocałunek, drętwieje. Dotknąłem go i uświadomiłem sobie, że jest zimne niczym lód.

– Idź więc, czarowniku, synu czarownika, prosto między szczęki

Pożeracza. Idź tam z własnej woli, jak przepowiedziała to Sybil, idź teraz.

Tupnęła nogą. Krzyknąłem, gdy podłoga niespodziewanie ustąpiła pod mną jak zapadnia. Leciałem bez końca w dół wraz ze stertami kości, śmieci i obracającymi się w powietrzu latarniami Sybil. Ujrzałem jeszcze jej twarz przecinającą ciemności wysoko nade mną niczym spadająca gwiazda.

Uderzywszy w wodę, pogrążyłem się głęboko, lecz z pękającymi płucami jakoś zdołałem dotrzeć na powierzchnię. Zacząłem płynąć. Miecz kłuł mnie w nogę, a sznur sakwy dusił, i z trudem oparłem się pokusie, by obu nie odrzucić. Powoli, niezdarnie kierowałem się ku miejscu, gdzie, jak mi się zdawało, czekała moja łódź. Z trwogą wypatrywałem *evatim*, którzy bez wątpienia nawiedzali to miejsce. Dom Sybil wysoko nad moją głową był cichy i mroczny.

W końcu wymacałem stopami miękkie błoto i stanąłem pośród ciemności. Między dziesiątkami tysięcy pali podtrzymujących miasto dostrzegąłem już ledwie widoczne światło.

Po chwili brodzenia w grząskim błocie znów straciłem grunt pod nogami. Musiałem płynąć w kierunku światła, aż natrafiłem na piaszczystą łachę. Wyczołgałem się z wody i usiadłem, by zaczerpnąć tchu.

Poddałem się wówczas zmęczeniu i przespałem resztę nocy. Nawiedził mnie straszliwy koszmar o moim ojcu odzianym w szatę czarownika, który chodził wzdłuż brzegu z twarzą wykrzywioną wściekłością do tego stopnia, że w niewielkim stopniu przypominał samego siebie. Pochylał się nade mną, unosił dłoń, by mnie uderzyć, ale nieruchomiał, wystraszony, może nawet przerażony, zupełnie jak gdyby ujrzał w mojej twarzy coś, czego nie widział nigdy wcześniej.

Próbowałem go zawołać.

Nagle przebudziłem się, otulony całunem mroku. Z niedaleka dobiegł chlupoczący odgłos kroków w płytkiej wodzie, zaś w oddali śpiew ptaków zwiastował nadejście świtu.

Usłyszałem głos ojca.

– Sekenre... Nadal mnie kochasz?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Mogłem jedynie siedzieć jak sparaliżowany z kolanami podciągniętymi pod brodę, drżąc z zimna.

Światło dnia nadpełzło niczym szara, zamazana plama, a wtedy

ujrzałem w pobliżu łódź wyciągniętą na łachę. Nie była to moja łódka, lecz łódź pogrzebowa wykonana z powiązanej przemyślnie trzciny.

Przez chwilę wydawało mi się, że w pełni rozumiem przepowiednię Sybil.

Skamieniałem z przerażenia, ale w swoim krótkim życiu zaznałem tyle strachu, że byłem na niego w znacznej mierze uodporniony. Nie potrafiłem się już przejmować. Nie potrafiłem myśleć logicznie.

Niczym człowiek opętany czarami, którego członki działają bez udziału woli, zepchnąłem łódź na wodę, a potem wspiąłem się na nią i zaległem pomiędzy wonnymi bandażami owijającymi trupy.

Czułem jedynie rezygnację. Przecież to wszystko zostało przepowiedziane.

Kierując się niemalże kaprysem, wyciągnąłem z sakwy dwie monety pogrzebowe i nakryłem nimi oczy.

Przez długi czas leżałem nieruchomo i słuchałem plusku wody muskającej burty.

Wkrótce nawet ten odgłos ucichł, a ja odniosłem niewyraźne wrażenie, że łódź zaczyna skręcać. Wiedziałem, że czarny prąd ciągnie ją teraz ze świata żywych do krainy zmarłych.

Plusk wody ustał, zupełnie jakby łódź sunęła po oleju. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było bicie mego serca.

Leżałem i próbowałem wytłumaczyć sobie sens spotkania z Sybil. Analizowałem każdy szczegół rozmowy w nadziei na odkrycie jakiegoś głębszego przesłania, które połączyłoby wszystkie niejasne elementy mojego życia w spójną całość, podobnie jak do wykonania naszyjnika potrzebny jest rzemyk, na który nawleka się koraliki, aby stworzyć piękną całość. Nie doszedłem do żadnego wniosku, ale prawdę mówiąc, nie liczyłem na to.

Tak to już jest z przepowiedniami – nie można ich zrozumieć, póki nie zaczną się sprawdzać, a wtedy w jednej chwili cała ich istota staje się jasna. Cała tkanina.

Nawet cisza rzeki i łomot mojego serca stanowiły część tkaniny. Nawet głos mojej siostry.

Z początku sądziłem, że to dzwoni mi w uszach, ale ciche dźwięki z

wolna zaczęły się formować w słowa, niezmiernie odległe, ledwie słyszalne.

– Sekenre, pomóż mi! Zgubiłam się!

Odkrzyknąłem, choć sam nie wiem, czy głosem, czy tylko myślami: – Już tu jestem, malutka! Czekaj na mnie!

Hamakina mamrotała ochryple i wciągała powietrze ze świstem, jakby płakała od dawna.

– Tu jest ciemno!

– Tu też! – odpowiedziałem łagodnie.

Była zbyt odważna, by przyznać, że gnębi ją strach.

– Hamakino, czy ojciec jest z tobą?

Coś wpadło z pluskiem do wody tuż przy łodzi i wtedy usłyszałem szept ojca, ledwie kilka cali od mojego ucha: – Sekenre, jeśli mnie kochasz, zawróć. Nakazuję ci, zawróć! Nie wolno ci tu być!

Łódź sunęła pośród czarnych, wysokich badyli trzciny. Wzdłuż brzegów rzeki w absolutnej ciszy stały rzędy czapli. Ich pióra mieniły się lekko w ciemności, jak wcześniej skóra Sybil. Na każdej mieliźnie zalegały zaś całe szeregi trupio białych, nagich mężczyzn z łbami krokodyli, którzy nie spuszczały ze mnie oczu. Nigdzie nie widziałem jednak ojca.

Niebo było ciemne, lecz bez śladu chmur, a widoczne na nim gwiazdy wyglądały inaczej niż te znane na Ziemi – przede wszystkim było ich mniej i migotały o wiele słabiej, tak że wydawały się niemal szare. Układały się zaś w konstelacje znane z Księgi Umarłych – Rękę, Harfę, Słój Zapomnienia i Oko Surat–Kemada.

Bardzo ostrożnie włożyłem monety pogrzebowe z powrotem do sakwy. Dręczyło mnie pragnienie i upiłem łyk wody z manierki. W żadnym wypadku nie było mi wolno pić wody z rzeki, gdyż tę pić mogli jedynie umarli, tak jak tylko oni mogli spożywać owoce wydane przez tę glebę. To również stało zapisane w Księdze Umarłych.

Wpatrywałem się odsłoniętymi, śmiertelnymi oczyma w ciemność pozbawioną granic.

Daleko za mną, wzdłuż przebytej przeze mnie drogi lśniło blade, niewyraźne światło, ledwie jaśniejsza smuga na czarnym tle, zupełnie niczym brama, którą przemierzyłem. Z każdą chwilą świat żywych stawał

się coraz odleglejszy.

Gdy białe czaple niespodziewanie wzbiły się do lotu, w powietrzu zaroilo się od trzepoczących, choć zarazem całkowicie bezgłośnych skrzydeł. Potem i one zniknęły. Czaple, podobnie jak *evatim*, były posłańcami Boga Czarnej Rzeki.

Lecz ani one, ani *evatim* nie mieli dla mnie żadnych wieści.

Zaczynałem dostrzegać duchy wśród trzcin. Niektóre siedziały w błocie i błagały, abym zabrał je na łódź, by mogły we właściwy sposób dostać się do krainy przeznaczenia.

Nie były niczym więcej, jak tylko smużkami dymu, ulotnymi wrażeniami kształtów dostrzegalnych jedynie kątem oka. Gdy kierowałem wzrok prosto na nie, nie widziałem już nic.

Niektóre z nich krzyczały w językach, których nigdy dotąd nie słyszałem, i tylko kilka wołało coś o znanych mi miejscach i ludziach. Właśnie te zmary wzbudzały we mnie lęk. Nie chciałem, by mnie rozpoznały. Położyłem się ponownie na dnie łodzi i zakryłem oczodoły monetami. Przez chwilę spałem niespokojnie, a we śnie widziałem ojca, który przechadzał się tam i z powrotem po powierzchni czarnej rzeki. Ciągająca się za nim szata marszczyła wodę.

Wyraz wściekłości zniekształcał jego twarz. Raz przystanął i zdawało się, że potrząsa mną z furią, krzycząc: – Nie, mój synu, nie! Nie tego od ciebie chciałem! Zakazuję ci! Zakazuję ci, ponieważ... ponieważ wciąż cię kocham! Wracaj do Krainy Trzcin! Natychmiast!

A ja we śnie odparłem:

– Ojcze, odejdę stąd, ale tylko wtedy, gdy pozwolisz mi zabrać Hamakinę.

Na te słowa już nie odpowiedział. Nadal przechadzał się wściekły w tę i we w tę, zbyt pochłonięty własną furią, by zapytać choć raz, czy go kocham.

Przebudził mnie cichy odgłos śpiewu. Brzmiał tak, jakby wiatr przyniósł go z wielkiej odległości. Usiadłem raz jeszcze i wsunąłem monety do sakwy, a wtedy ujrzałem ogromną triremę zmierzającą w kierunku mojej łodzi. Żagle miała w pełni napięte, a uderzenia całego rzędu wiosł zamieniły wodę w pianę.

Okręt był jednak równie niematerialny jak duchy wśród trzcin. Głosy wiosłarzy zdawały się osobliwie wyciszone, a dudnienie bębna podającego rytm przypominało echo gromu zrodzonego przez odległą, gasnącą burzę. Przez kadłub i żagle prześwitywały gwiazdy, piana wzbijana przez wiosła również stanowiła wynik złudzenia, bo woda wokół mnie pozostawała czarna, gładka i cicha.

Był to niespotykany widok, ale nie powinienem mu się dziwić, jako że Wielka Rzeka współistnieje z Rzeką Zmarłych, choć biegną w przeciwnych kierunkach. Czasami ludzie żyjący przy rzece dostrzegają przelotnie czarny prąd i niesione przezeń, ledwie widoczne na tle nocy kształty. Za każdym razem uznają to za zły znak i składają ofiary, by ukoić gniew pierwszego lepszego boga, którego mogli urazić.

Teraz ja, wędrowiec na Rzece Martwych, patrzyłem na ludzi jak na zjawy. Trirema górowała już nade mną, lecz moja łódź po prostu przez nią przepłynęła. Przez moment znajdowałem się wśród wiosłarzy i czułem smród ich ciężkiej pracy, a potem przemknęła obok mnie bogatoumeblowana kabina, gdzie ucztował wielki pan otoczony przez swych towarzyszy i zaufanych. Przyszło mi do głowy, że może to być sam Satrapa Krainy Trzcin.

Jedna z dam w jego towarzystwie znieruchomiała nagle z kielichem zastygłym w połowie drogi do ust. Nasze spojrzenia się spotkały. Sprawiała wrażenie raczej przestraszonej niż przerażonej. Uroniła kilka kropel z kielicha, zupełnie jak gdyby składała dla mnie ofiarę.

Potem trirema znikła, a ja znów zapadłem w sen, tym razem przepełniony chaotycznymi kształtami mającymi w mroku i dźwiękami, których nie umiałem rozpoznać. Gdy się obudziłem, dręczyło mnie zarówno pragnienie, jak i głód. Pociągnąłem znów z manierki i zjadłem co nieco z mej sakwy.

W trakcie posiłku uzmysłowiłem sobie, że podwodny prąd ustał. Łódź zamarła w bezruchu pośrodku niekończących się martwych bagien pod szarymi gwiazdami. Znikły nawet *evatim* i duchy.

Wtedy naprawdę się przeraziłem. Sądziłem, że zostanę w tym miejscu na zawsze. Nie, ja to skądś wiedziałem, byłem tego pewien. Bóg, Który Pożera w jakiś sposób mnie oszukał.

Kraina Zmarłych nie przyjmie mnie, póki żyję.

Wmusiłem w siebie ostatni kęs chleba, a potem zamknąłem sakwę i wykrzyknąłem, tłumiąc szloch: – Sybil! Pomóż mi! Zgubiłem się!

A wtedy niebo zaczęło się przejaśniać. Dostrzegłem nie tylko trzcinę, lecz także drzewa wyrastające z bagien, bezlistne i gołe niczym kamienne słupy.

Niektóre gwiazdy zbledły. Przyszło mi do głowy, że to pewnie wstaje Księżyc – jakże niezwykła rzecz ujrzeć Księżyc w Krainie Umarłych! – lecz zamiast niego ujrzałem oblicze Sybil sunące po niebie, blade, okrągłe i wielkie. Obserwowała mnie jakiś czas w milczeniu, a ja obawiałem się odezwać choćby słowem. Potem jej twarz zaczęła falować podobnie jak odbicie w wodzie, gdy wrzuci się do niej kamień, i znikła, lecz przez trzciny nadbiegł głos: – Czarowniku, synu czarownika, głupio uczyniłeś, wzywając mnie w tej sytuacji.

Straciłeś jedną ze swych szans. Jesteś blisko celu i bez trudu znalazłbyś drogę. Mniejsza o to.

Skoro twierdzisz, że potrzebujesz pomocy, tedy włóż rękę do wody i wyciągnij jeden.

– Do wody? – zapytałem i natychmiast przekląłem swą głupotę, obawiając się, że zużyłem kolejną szansę, ale Sybil nie odpowiedziała.

Nachyliłem się ku lodowatej wodzie, wypatrując przyczajonych *evatim*. Zanurzyłem dłoń i z rozpostartymi palcami przesuwalem nią tam i z powrotem, próbując cokolwiek wyłowić. Przez dłuższą chwilę zwisiałem przez burtę i już zacząłem się zastanawiać, czy to aby nie kolejna z zagadek Sybil, ale wtedy woda zaczęła się poruszać, jakby coś wypływało z głębin. Moje palce zacisnęły się na włóknistym, żylastym, a jednocześnie śliskim przedmiocie przypominającym w dotyku wodorost. Pociągnąłem mocno.

Nad powierzchnię wody wystrzeliła dłoń, a potem druga. Puściłem i odskoczyłem, ale obie złapały już za burtę. Łódź zakołysała się, gdy przybysz zaczął się wspinać do środka.

Nagle do moich nozdrzy dotarł obezwładniający smród rozkładu. Długie, brudne od błota włosy zakrywały twarz, na której nie było już ani grama mięsa.

Wrzasnąłem i wrzeszczałem dopóty, dopóki martwy przybysz nie

otworzył oczu i nie zaczął mówić. Naraz zrozumiałem, że to moja matka.

– Sekenre...

Zakryłem twarz i szlochałem, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądała tak dawno, całe lata temu.

– Sekenre!

Złapała mnie za nadgarstki i łagodnie odciągnęła dłonie. Jej dotyk był równie zimny, co pocałunek Sybil.

Odwróciłem się od niej.

– Matko, nie spodziewałem się... – zacząłem, lecz nie potrafiłem wykrztusić choćby słowa więcej i znów wybuchłem płaczem.

– Synu, ja też się nie spodziewałam, że ujrzę cię w tym miejscu. Wierz mi, to straszne.

Pociągnęła mnie ku sobie i tym razem nie protestowałem. Pochyliłem się, przyłożyłem policzek do mokrej, cuchnącej błotem sukni, a ona delikatnie pogładziła mnie po czole kościanym palcem. Opowiedziałem jej o wszystkim, co się zdarzyło, o śmierci ojca i o jego powrocie po Hamakinę.

– Ja zaś jestem grzechem twego ojca, który wreszcie do niego wrócił – odezwała się w odpowiedzi matka.

– Czy on...

– Czy on mnie zamordował? Tak, ale to najdrobniejsza z jego przewin. Więcej grzechów popełnił przeciwko tobie, Sekenre, a także przeciwko bogom.

– Nie sądzę, by chciał komuś wyrządzić krzywdę – powiedziałem. – Twierdzi, że wciąż mnie kocha.

– Prawdopodobnie tak jest. Tym niemniej wyrządził wiele zła.

– Matko, co powinienem zrobić?

Jej zimny, ostro zakończony palec zakreślił okrąg wokół znamienia, które pozostawiła na moim czole Sybil.

– Nadszedł czas, by podjąć podróż. Łódź spełniła swe zadanie, musisz ją opuścić.

Z rosnącym przerażeniem patrzyłem na czarne wody rzeki.

– Nie rozumiem. Chcesz, żebyśmy popłynęli?

– Nie, kochany synu, chcę, byśmy poszli. Wyjdź z łodzi i po prostu idź po falach.

Wyciągnąłem jedną nogę poza burtę i dotknąłem lodowatej wody. Spojrzałem na matkę z niepewnością.

– No dalej, idź! Wątpisz w ten jeden drobny cud po tym wszystkim, przez co przeszedłeś?

– Matko, ja...

– Idź!

Posłuchałem i stanąłem na powierzchni rzeki. Miałem wrażenie, że moje stopy dotykają zimnego szkła. Matka wyszła z łodzi i stanęła obok mnie, a łódź powoli odpłynęła.

Odwróciłem się, by popatrzeć, jak znika, lecz matka ujęła mnie za dłoń i poprowadziła w innym kierunku.

Jej dotyk przypominał dotyk Sybil – żywe, lodowate żelazo.

Koryto rzeki poszerzyło się, a tam czekali na nas *evatim*. Na tym odcinku woda płynęła niemal wartko, niewielkie fale gnały przed siebie w ciszy, a za zwalonymi, martwymi pniami tworzyły się wiry. Na płyciznach brodziło wiele duchów, lecz te do nas nie wołały.

Stały po prostu i odwracały się, gdy przechodziliśmy obok. Jednym z nich był mąż w lśniącej zbroi, trzymający własną odrąbaną głowę w dłoniach.

Wokół pojawiły się inne łodzie, czarne, solidne i ciche, już nie zjawy ze świata żywych, ale prawdziwe łodzie pogrzebowe. Minął nas długi, smukły barkas, którego ostro zakończony dziób wznosił się wysoko nad wodę. Wewnątrz jego kwadratowej nadbudówki migotała lampa. Widziałem, jak *evatim* wdzierają się na pokład, aż łódź zaczęła się kołysać.

Słyszałem, jak szaleją w jej wnętrzu.

W końcu zamajaczyło przed nami coś wielkiego i ciemnego, przypominającego wręcz górę, gdyż przesłoniło sobą gwiazdy. Zewsząd spływały tam łodzie pogrzebowe. Wszystkie zmierzały w tym samym kierunku co my, niektóre skręcały i manewrowały wśród kęp trzciny. Jedna natrafiła na mieliznę lub została wywrócona przez *evatim*. Mumia ześlizgnęła się do wody i popłynęła z prądem, wlokąc za sobą warkocz bandaży. Przepłynęła tak blisko, że moglibyśmy jej dotknąć.

Ciemność otoczyła nas bardzo szybko, gwiazdy zniknęły błyskawicznie. Słyszałem plusk wody, a także skrzypienie i głuchy stukot, gdy łodzie

wpadały na siebie w tym ścisku.

– Matko! – szepnąłem, łapiąc za jej szatę. Rozdarła się, strzęp został mi w rękę. – Czy to... czy to paszcza Surat–Kemada?

– Nie, dziecko. Przebywamy w żołądku bestii już od jakiegoś czasu. Ta świadomość okazała się jeszcze bardziej przerażająca.

Nic już nie było jasne i klarowne, a moja wyprawa coraz bardziej przypominała niekończący się ciąg snów i przebudzeń, wyraźnych wizji i bezkształtnych iluzji, bólu, przerażenia i dokuczliwego dyskomfortu.

Nie mam pojęcia, jak długo znajdowałem się na rzece – może tylko godziny, a może dni lub nawet tygodnie – i czasami wydawało mi się, że jestem znużony ponad ludzkie pojęcie. Czasami z kolei odnosiłem wrażenie, że leżę we własnym łóżku w domu, a wszystko to jest jedynie chorym koszmarem. Wystarczyło jednak, bym się obrócił lub wyciągnął jak ktoś, kto otworzył o poranku oczy, a dotykałem zimnego, mokrego i martwego ciała matki.

Smród rozkładu już ją opuścił, śmierdziała tylko rzeczonym mułem, zupełnie jak zatopiony tobołek szmat.

Bywało, że otaczały nas czaple, promieniujące w całkowitych ciemnościach blaskiem niczym rozżarzone węgle. Ich głowy upodabniały się do twarzy mężczyzn i kobiet, szeptały do nas, zaklinały nas, wymieniały jakieś imiona, a wszystkie te głosy zlewały się w jeden łagodny szum, w którym tonęły wszelkie rozpoznawalne słowa.

Przez większość czasu wędrowaliśmy jednakże samotnie przez mrok. Czulem na skórze zimno rzeki, ale mimo że moje stopy cały czas się poruszały, miałem wrażenie, że stoimy w miejscu.

Matka mówiła. Jej łagodny głos dolatywał z mroku jak coś zapamiętanego ze snu.

Nie sądzę, by kierowała swe słowa do mnie. Po prostu mówiła, a jej wspomnienia, jej całe życie przybierało formę słów na podobieństwo błotnych bąbli. Czasami cytowała strzępy niedokończonych rozmów z dzieciństwa, sporo mówiła o ojcu, o mnie i o mojej siostrze. Nie wiem, czy trwało to długo, czy raczej tylko krótką chwilę, ale śpiewała też kołysankę, jakby układała mnie – lub może Hamakinę – do snu.

Potem zamilkła. Wyciągnąłem rękę, by się upewnić, czy wciąż przy mnie

jest, a jej koścista dłoń odnalazła moją i ścisnęła ją łagodnie. Zapytałem, czego zdążyła się dowiedzieć o Krainie Umarłych, odkąd tu przybyła, a ona odrzekła: – Dowiedziałam się, że jestem na zawsze wygnańcem i nie ma dla mnie tu miejsca, ponieważ przybyłam do królestwa Surat–Kemada nieprzygotowana i niezapowiedziana. Będę się wałęsać wzdłuż rzeki, póki bogowie nie umrą lub świat nie ulegnie zniszczeniu.

Zapłakałem z żalu nad jej losem i spytałem, czy to wina ojca. Odpowiedziała, że tak.

Potem odezwała się znienacka:

– Sekenre, czy ty go nienawidzisz?

Byłem podówczas przekonany, że tak, nienawidzę, ale nie potrafiłem zdobyć się na odpowiedź.

– Nie sądzę, by chciał komukolwiek wyrządzić krzywdę...

– Synu, musisz określić i uporządkować swe uczucia. To właśnie tu pobłądziłeś, w sferze uczuć, a nie na rzece.

Znów kroczyliśmy przez długi czas w nieprzeniknionym mroku. Myślałem o ojcu i wspominałem matkę. Najbardziej na świecie pragnąłem, by wszystko odzyskało dawny porządek, byśmy nadal mogli mieszkać z ojcem, matką i Hamakiną w naszym domu na skraju Miasta Trzcina jak wtedy, gdy byłem mały. Jeśli jednak czegokolwiek się nauczyłem w swoim nastoletnim życiu, to przede wszystkim tego, że nie ma co marzyć o powrocie do przeszłości, a czas płynie równie nieubłaganie i niepowstrzymanie jak fale Wielkiej Rzeki. Tego, co zostało raz utracone, nie odzyska się już nigdy. Nie byłem mądrym człowiekiem i nie rozumiałem wiele, ale to akurat wiedziałem doskonale.

Ojciec, za którym tęskniłem, należał do przeszłości. Niewykluczone, że on również marzył, by powróciły dawne czasy. Ciekawe, czy zdawał sobie sprawę, że nigdy nie powrócą.

Próbowałem go znienawidzić.

Przez ciemność i ciszę miałem wrażenie, jakbyśmy się znajdowali w tunelu głęboko w podziemiach, ale czy tak nie było? Czy nie wędrowaliśmy przez trzewia Surat–Kemada?

Przechodziliśmy z jednej ciemności w drugą, bez przerwy rozpoczynając wędrówkę na nowo, jak gdybyśmy pokonywali niezliczone sienie i nigdy

nie docierali do głównej sali.

I tak oto mijają nasze dni, tak oto kończą się nasze wysiłki, pomyślałem. Bez względu na to, co próbujemy odkryć czy odnaleźć, wciąż pozostaje to wielką tajemnicą.

Z moim ojcem było podobnie...

Niespodziewanie matka złapała mnie za dłonie i powiedziała: – Mogłam cię poprowadzić tylko część drogi, mój synu, część, która właśnie dobiegła końca. Nie wolno mi wchodzić tam, gdzie wygnańcy są niemile widziani, gdzie nie przygotowano dla nich miejsca...

– Co? Nic nie rozumiem!

– Nie wolno mi wejść do domu boga. Muszę cię opuścić na progu.

– Ale powiedziałaś...

– Powiedziałam, że od jakiegoś czasu znajdujemy się w żołądku bestii. Teraz jednak dotarliśmy w pobliże wejścia do jego domu.

Puściła mnie. Desperacko machałem rękoma w mroku, próbując ją odnaleźć, aż w końcu się udało.

– Matko!

Bardzo delikatnie ucałowała moje dłonie, a jej usta, podobnie jak usta Sybil, były tak zimne, że aż parzyły.

– Lecz ty jesteś bohaterem, mój synu, i możesz podjąć następną część swej wyprawy, a potem kolejną. Pozostaje ci tylko zdobyć się na odwagę, a przecież zawsze wiedziałam, że jesteś odważnym człowiekiem.

– Matko, ja... – zacząłem, a wtedy ona niespodziewanie pogrążyła się w wodzie.

Próbowałem ją złapać, przywrzeć do niej całym ciałem, lecz ona tonęła niczym worek kamieni i w końcu musiałem się poddać. Nagle uświadomiłem sobie, że jak człowiek obłąkany pełzam po lodowatej powierzchni wody i przesuwam dookoła dłońmi na wzór niewidomego dziecka, które pogubiło kulki do zabawy na gładkiej podłodze.

Wstałem, drżąc z zimna, i zacząłem rozcierać zmarznięte ramiona.

– Pomyliła się – powiedziałem do siebie. – Nie jestem bohaterem ani nawet nie jestem odważny. Ja po prostu nie miałem wyboru. Przynajmniej Sybil to zauważyła.

Mimo to ani razu nie pomyślałem, by zawrócić. Droga powrotna

wydawała się zresztą nie do przebycia.

Chciałem po raz kolejny zawołać Sybil i powiedzieć jej, że się zgubiłem. Otaczała mnie całkowita ciemność bez najmniejszego punktu odniesienia, jedynie dzięki marznącym stopom wiedziałem, gdzie jest dół. Nie miałem pojęcia, czy stoję w kierunku miejsca, do którego powinienem zmierzać, czy może w odwrotnym.

W końcu doszedłem do wniosku, że to bez znaczenia. Czy pojęcie kierunku ma zastosowanie w brzuchu boga?

Niespodziewanie wszystko zaczęło się błyskawicznie zmieniać. Pojawiły się światła, najpierw przypominające latarnie wiszące nad powierzchnią wody, a potem gwiazdy. Sama woda falowała – zimne, oleiste fale omywały mi stopy.

Rzuciłem się do ucieczki, przeświadczony, że magia, dzięki której utrzymuję się na powierzchni, właśnie zaczyna mnie opuszczać, podobnie jak przed momentem opuściła matkę. Nie istniała rzecz bardziej przerażająca od wizji utonięcia w głębinach tej rzeki, tu, w brzuszysku Surat–Kemada.

Biegłem, a światła przesuwały się wraz ze mną, odwracały się wraz ze mną, wirowały wokół mnie niczym płonące pyłki na wietrze. Rozległ się jakiś dźwięk. Z początku sądziłem, że to naprawdę wiatr, ale potem uświadomiłem sobie, że to oddech, dźwięk powietrza wciąganego przez zęby Owe światła zaś były oczyma, nie takimi, co odbijają blask, jak choćby ślepiec przy ognisku, lecz płonącymi własnym światłem, jak rozżarzone węgle.

Ciemność ustąpiła nieco, pozwalając mi ujrzeć, że wreszcie wyszedłem z tunelu.

Postrzępione, spękane klify wznosiły się po obu stronach rzeki nie wiedzieć jak wysoko. Hen nad nimi zamigotały ponownie szare gwiazdy Krainy Umarłych.

Evatim otaczali mnie tysiącami. Unosili się w wodzie, tłoczyli na klifach i brzegach, wpatrzeni w moją postać. Dzięki blaskowi ich oczu i migotaniu gwiazd zobaczyłem, że dotarłem do miejsca, gdzie Wielka Rzeka kończyła się i tak naprawdę brała swój początek.

Było to ogromne jezioro. Zanurzone po kostki, kroczyły po nim w gęstej,

szarej mgle krokodylogłowe stwory o białych ciałach, kłapiąc długimi szczękami.

Evatim trzymali drągi z hakami przypominającymi bosaki. Raz na jakiś czas któryś z nich przyciągał dryfującego trupa i zarzucał go sobie na ramię, by odejść. Inni stali nieruchomo, tuląc nieboszczyków w uściskach miłości.

Ku swemu przerażeniu zrozumiałem, że wędrówka doprowadziła mnie do morza trupów. Kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem niewyraźne zarysy ludzkich ciał tuż pod powierzchnią wody. Widziałem twarze, ramiona, korpusy i pośladki przesuwające się wolno w czarnej wodzie niczym nieprzeliczone ryby w rybackiej sieci. Ogarnięty obrzydzeniem rzuciłem się do ucieczki, zapominając, że i tak nie mam dokąd uciec.

Znów biegłem. *Evatim* jakimś cudem byli zbyt zajęci, by zwrócić na mnie uwagę.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów moje kroki rozbrzmiewały w otaczającej mnie ciszy jakimś odgłosem – były to głośne pluski i następujące po nich ssanie, zupełnie jakbym biegł po grząskim błocie.

Bez wątpienia znalazłem się w miejscu, o którym czytałem w Księdze Umarłych, kiedy ją kopiowałem wraz z Velachronosem. Było tam napisane, że ciała oraz dusze zmarłych i nienarodzonych są porządkowane przez *evatim* – myśli i sługi okropnego boga. Każda osoba jest osądzana i zanoszona do właściwego miejsca bądź też wyrzucana i pożerana.

Ogarnęła mnie rozpacz, gdyż uświadomiłem sobie, że jeśli jest tu Hamakina, to nigdy nie zdołam jej odnaleźć.

Mimo to musiałem spróbować. Musiałem. Zrobiłem krok, a potem następny i kolejny i już po chwili maszerowałem rażno przed siebie. Jeśli na tym polegała odwaga, to chyba rzeczywiście byłem człowiekiem odważnym. Szedłem niestrudzenie, a wokół moich łydek wirowały kłęby mgły.

Wydawało się, że idę w kierunku płycizn. Trzciny wyrastały wokół mnie niczym nagie, żelazne pręty. Minąłem zatopioną łódź pogrzebową, potem kolejną, następnie długie pasmo wyrzuconych na brzeg desek i innego śmiecia, nie było tam jednak ani trupów, ani *evatim*.

Na horyzoncie niczym jasna opaska, niczym biały wschód słońca,

rociągała się teraz plaża. Kroczyła nią nieskończenie długa procesja *evatim*, którzy dźwigali wywleczone z wody ciężary.

Ukryty wśród trzcin przyglądałem im się przez chwilę. Potem zrobiłem krok i z pluskiem wpadłem po kolana do zimnej wody. Aż sapnąłem mimowolnie, zaskoczony, że nie chodzę już po wodzie, ale w niej. Pod stopami czułem piasek i muł.

Zbliżałem się do plaży, pochylając nisko głowę i usiłując pozostać niewidocznym wśród ostatnich trzcin. W końcu wypatrzyłem trzy pary wielkich wrót w ścianie klifu, gdzie kończył się biały piasek. Krokodyłogłowi tam właśnie taszczyli ciała i tam z nimi znikali.

Nie było wątpliwości, że każde z tych wrót wiedzie do innego miejsca, w którym bóg dokonuje ostatecznego sądu. Tak oto znalazłem się na progu domostwa Surat–Kemada, w sieni jego wielkiej sali, po raz kolejny rozpoczynając swą wyprawę.

Nadal nie miałem jednak pojęcia, przez które wrota powinienem przejść. Z pewnością gdzieś tam czekał mój ojciec – ale za którymi?

Zrobiłem krok, a potem kolejny, bez trudu wnikając między *evatim*, którzy nie zwrócili na mnie uwagi. Razem brnęliśmy w stronę wrót. Zewsząd napierały na mnie zimne, twarde ciała. Pozwoliłem, by poniósł mnie nurt tłumu.

Tuż przed sobą widziałem puste oblicze starej kobiety, przewieszanej przez ramię jednego z *evatim*. Jej rozwarte usta ziały czernią, zastygłe, jak gdyby na wieczność gotowe całować, wrzeszczeć lub pożerać.

Znów otoczyły mnie wysokie klify, znów niektórzy *evatim* pełzli po spękanych skałach, a ich świecące oczy wznosiły się ku niebu niczym gwiazdy. Ujrzałem też, że ci, którzy dotarli na półkę skalną, zrzucali taszczone ciała i rozpoczynali ucztę.

Odwróciłem wzrok i zacząłem wpatrywać się w ziemię i w niemalże fosforyzujące, blade stopy oraz nogi *evatim*.

Skała otaczająca wejścia była gładko zeszlifowana, a żelazne skrzydła wrót stały otworem. Bardziej niż cokolwiek wcześniej przypominały one ogromne, rozwarte paszcze.

Usiłowałem spojrzeć dalej, lecz niczego nie mogłem dostrzec ponad głowami *evatim*.

Podskoczyłem. Odwróciłem się i poczułem na sobie wzrok krokodylogłowych postaci zbitych w tłum, który przypominał teraz nieustannie zmieniającą kształt chmurę błyszczących oczu.

– Stój! Nie należysz do bractwa *evatim*.

Błyskawicznie odwróciłem się do przodu. Tuż przed sobą miałem okoloną ciemną brodą twarz z czerwonymi, niemrugającymi oczyma. Łeb wyrastał z węzowego cielska wyprężonego niczym pień drzewa i pokrytego połyskliwymi, srebrnymi łuskami wielkości mojej dłoni. Niespodziewanie tuż obok wyrosła podobna istota, prosto z lśniącej łądygi. Inna wystrzeliła z piasku, kolejna ze skalnej ściany klifu i tak pojawiały się jedna po drugiej, aż drogę zastąpił mi cały ich rój. *Evatim* rozstąpili się.

– Nie wolno ci przejść – oznajmiła jedna z twarzy.

– Błóżnierco, nie wolno ci wejść do krainy pana!

Sięgnąłem do skórzanej sakwy i przez chwilę rozpaczliwie walczyłem z rzemykiem.

Wreszcie udało mi się wyciągnąć dwie pogrzebowe monety.

– Poczekajcie – powiedziałem. – Proszę. One są dla was.

Najbliższa ze żmij o ludzkiej głowie wychyliła się i pochwyciła jedną z monet w usta, które, podobnie jak usta Sybil i mojej matki, były morderczo zimne.

Niespodziewanie monety strzeliły ogniem. Żmija splunęła pod moje stopy.

– Ty jeszcze nie umarłeś!

– On jeszcze nie umarł! – wrzasnęły pozostałe chórem.

I wtedy pojawili się *evatim*. Wreszcie wolni od ładunku, z szeroko rozwartymi paszczami przeciskali się na czworakach między łuskowatymi ciałami żmij. Dobyłem miecza ojca i ugodziłem jednego, a potem dwa następne, ale wtedy któryś pochwycił mnie za prawą nogę i szarpnięciem posłał na kolana. Ciąłem raz i drugi, jedno z jego oczu eksplodowało, zasyczało i zgasło.

Inny *evatim* stanął na tylnych odnóżach i zamknął szczęki na moim boku, a potem pchnął mnie w tył. To był koniec walki. W jednej sekundzie przytłoczyła mnie cała masa stworzeń, a nad nimi wciąż wrzeszczały i bełkotały żmije. Ich głosy przypominały uderzenia pioruna.

Zęby ostre jak noże kłuły i szarpały moje ciało. Wciąż trzymałem miecz, ale wydawał się on bardzo odległy, nie mogłem nim poruszyć...

Szczęki krokodyla zacisnęły się na mojej głowie i ramionach. Wrzasnąłem stłumionym głosem prosto do gardzieli potwora: – Sybil! Przybądź!

Nie wiem dokładnie, co się wówczas stało. Znów ujrzałem twarz Sybil, mieniającą się niczym odległa latarnia daleko w ciemnościach pode mną. Wznosiła się jednak szybko, coraz szybciej w miarę jak *evatim* powoli darli i zgniatali moje ciało ogromnymi zębami.

W pewnej chwili wyraźnie odczułem, że wpadam z pluskiem do wody. Otulił mnie lepki mrok, a *evatim* zniknęli. Z początku pogrążałem się powoli w zimnie i ciemności.

Potem twarz Sybil unosiła się przede mną coraz jaśniejsza, aż ciemność znikła, a ja musiałem zmrużyć oczy.

– Tym razem nie popełniłeś błędu, przyzywając mnie – powiedziała.

Obudziłem się w łóżku. Uświadomiwszy to sobie, leżałem z zamkniętymi oczyma, celowo oddalając od siebie myśl, że jest to dobrze mi znane łóżko w domu rodzinnym, a moje przygody były jedynie przydługim, okropnym koszmarem. Wiedziałem, że to nieprawda, o czym zaświadczał ból z wielu ran zadanych mi przez *evatim*. Ponadto byłem niemalże nagi, całe moje ubranie poszło w strzępy.

Nadal jednak dzierżyłem miecz ojca. Sztywno poruszyłem prawą ręką i przeciągnąłem ostrzem po twardym drewnie. Nie było to moje łóżko – wykonano je z nieheblowanych desek i wyścielono nie prześcieradłami, lecz piaskiem.

Nadal z zamkniętymi oczyma zacząłem się podnosić, a wtedy czyjeś miękkie, ciepłe dłonie chwyciły mnie delikatnie za ramiona.

Zakreśliło mi się w głowie, miecz wypadł mi z dłoni. Otworzyłem oczy, ale nie potrafiłem na niczym skupić wzroku, dookoła widziałem jedynie rozmazaną plamę.

Rany zapiekły, gdy ktoś polał mi plecy gorącą wodą. Wydałem z siebie zduszony krzyk. Chciałem się rzucić do przodu, lecz okazało się, że obejmuję niezdarnie jakąś osobę, opierając podbródek na jej ramieniu.

Uzmysłowiłem sobie wówczas, że leżę w pokoju o wiele dziwniejszym,

niż z początku sądziłem, pokoju niegdyś wspaniale umeblowanym, lecz teraz popadającym w ruinę. Nieznana siła wywróciła go na bok niczym ogromne pudło i jego zawartość leżała wszędzie rozsypana. Nade mną, kołysząc się lekko, wisały otwarte skrzydła okienne z witrażami przedstawiającymi połyskujące ryby. Pośród przewróconych wsporników, grud gipsu i stert cegieł walały się książki i butelki, a podniszczone drewniane schody spiralne prowadziły donikąd. Do dawnej podłogi, a obecnie ściany przymocowano rzeźbę Surat–Kemada, która nie odłamała się pod własnym ciężarem i sterczała w bok. Na szarozielonym krokodylim pysku wisała latarnia.

Mój gospodarz, siwobrody człowiek z pomarszczoną twarzą, pchnął mnie delikatnie na łóżko. Zmrużył w półmroku oczy i w pierwszej chwili jego oblicze ozdobił wyraz nieskończonej radości, który jednakże szybko zastąpiło zwątpienie, a potem gorzkie rozczarowanie.

– Nie – powiedział. – A zatem nie. Jeszcze nie.

Chciałem go dotknąć, by się upewnić, czy jest materialny i czy to wszystko dzieje się naprawdę, ale on złapał mnie za nadgarstek i przytknął mi dłoń do piersi. Następnie zacisnął moje palce na rękojeści miecza. Leżałem w łóżku, podczas gdy naga stał chłodziła moją pierś.

A potem powiedział coś całkowicie zaskakującego: – Myślałem, że jesteś moim synem.

Poderwałem się i tym razem wytrzymałem w tej pozycji. Byłem brudny od krwi.

Niespodziewanie znów poczułem, że słabnę, ale chwyciłem wolną ręką za poręcz łóżka i powstrzymałem się w ten sposób przed opadnięciem w pościele.

– Nie jesteś moim ojcem! – krzyknąłem.

– A zatem doszliśmy do porozumienia.

– Nie rozumiem...

Na zewnątrz zawył wiatr. Pokój zachwiał się i zaskrzypiał, ściany wyraźnie zmieniły położenie. Posypało się jeszcze więcej drewna i gipsu, a potem niespodziewanie dookoła nas zaklekotał grad ludzkich kości. Powietrze wypełnił kurz. Na moje plecy i ramiona spadło kilka drobin gruzu, nad głową zakołysały się skrzydła okna.

Przypomniał mi się dom Sybil. Patrzyłem na nieznanego towarzysza z rosnącym przestraczem, ale on jedynie wzruszył ramionami.

– Wytrzyma. Nie bój się.

Gdy wiatr przycichł i wszystko się uspokoiło, powiedziałem: – Nazywam się Sekenre, jestem synem czarownika Vashtema.

Mężczyzna cofnął się i zasyczał.

– A zatem mam powody, by się ciebie obawiać!

– Nie – odparłem. – Ja nie jestem czarownikiem.

Zacząłem mu wszystko tłumaczyć, lecz wtedy uciął moją opowieść machnięciem ręki.

– Zaiste, jesteś potężnym czarownikiem. Przecież to widać! Widać!

Doszedłem do wniosku, że ów człowiek postradał zmysły. Czy spotkanie szaleńca po tym, przez co przeszedłem, nie byłoby czymś całkowicie naturalnym? Skoro naprawdę uważał, że jestem czarownikiem, nie widziałem powodu, by wyprowadzać go z błędu.

Położyłem sobie miecz na kolanach, skrzyżowałem ręce na piersi i wbiłem w niego najlepszą imitację surowego spojrzenia, na jaką potrafiłem się zdobyć.

– Dobrze więc, a zatem ja, czarownik, rozkazuję ci, byś mi wszystko wytłumaczył.

Nieznamy bezradnie wzruszył ramionami.

– Czarowniku, nie wiem, od czego zacząć...

– Dlaczego sądziłeś, że jestem twoim synem?

Podszedł do popękanego posągu ptaka i usiadł w miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się głowa. Nie odpowiedział na moje pytanie od razu, najpierw milczał przez kilkanaście minut. Już zaczynałem sądzić, że o mnie zapomniał i popadł w jakiś obłąd, ale wciąż czekałem, najpierw obserwując rozkołysane skrzydła okna, a potem bawiąc się mieczem.

W końcu westchnął i powiedział:

– Co wiesz o miejscu, w którym się znalazłeś, czarowniku, synu czarownika?

Opowiedziałem mu co nieco o sobie, a on znów westchnął. Dodałem więc, że pomimo potężnych zdolności magicznych muszę się jeszcze wiele nauczyć.

– A zatem naucz mnie – zakończyłem.

– Twoja matka opuściła cię, bo nie mogła przebyć Leshe, krainy snów – zaczął nieznajomy. – Nie została przygotowana do pochówku, przez co tak naprawdę nigdy nie była w stanie wkroczyć do krainy zmarłych. Musisz zrozumieć, że istnieją cztery krainy. Ziemia to kraina Eshe, a zatem kraina żywych, lecz nasze sny pochodzą z mgieł rzeki, Leshe, gdzie świat snu graniczy ze światem śmierci. Widzimy w naszych snach niespokojne duchy, ponieważ te wciąż włączają się po Leshe, podobnie jak twoja matka. Za nim znajduje się Tashe, prawdziwa kraina zmarłych, gdzie wszyscy mieszkają w miejscach przydzielonych im przez boga.

– A czwarta kraina?

– To Akimshe, czyli świętość. W samym sercu boga, w jego umyśle, pośród srogich gór, gdzie rodzą się inni bogowie, światy i gwiazdy, znajduje się Akimshe, świętość, której nie wolno opisywać. Ani największym prorokom, ani czarownikom, ani nawet samym bogom nie wolno spoglądać na największą tajemnicę Akimshe.

– Lecz ta kraina wciąż znajduje się we wnętrzu Surat–Kemada. Nie rozumiem, jak...

– Nic dziwnego, że tego nie rozumiesz – przerwał mi mężczyzna. – Nawet Surat–Kemad tego nie pojmuje, i jemu także nie wolno spoglądać na Akimshe.

– Muszę kontynuować podróż – rzuciłem szybko. – Muszę odnaleźć ojca.

Wtedy mój rozmówca powiedział kolejną niezwykle zaskakującą rzecz.

– Oczywiście, tak. Znam go, jest tam wielkim panem.

– Ty, ty... Ty go znasz? – Nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa więcej, w moich myślach zapanował chaos.

– Jego, czarodzieja, otaczają tam szczególnymi względami – powiedział starzec. – Lecz nie wolno mu nigdzie wychodzić. Choć jest wyjątkowym sługą Surat–Kemada, wciąż jest tylko sługą.

Chwiejnie wstałem z łóżka, a wtedy spostrzegłem, że moje spodnie są w fatalnym stanie i ledwie się na mnie trzymają. Przewiązałem je pasem, usiłując doprowadzić się do bardziej przyzwoitego stanu, lecz miałem w tym względzie bardzo skromne możliwości.

Wsunąłem miecz za pas.

Oddychałem ciężko i krzywiłem się z bólu – na skutek wysiłku moje rany znów dały o sobie znać.

– Musisz mnie zaprowadzić do mojego ojca – powiedziałem.

Mężczyzna pokręcił głową ze smutkiem.

– Mogę ci jedynie wskazać drogę.

– Dokąd mam iść?

Wskazał okno nad moją głową.

– Tamtędy?

– Tak – powiedział. – Tamtędy.

– Ale...

Przeszedłem przez pokój do znajdujących się w miejscu ściany drzwi. Otworzyłem je i wyjrzałem na zewnątrz – rósł tam w poziomie gęsty las i wznoszące się pionowo podszycie.

Między pniami unosiła się barwna mgła przypominająca tę, która gromadziła się tuż przed wschodem słońca. Pstrokato upierzone ptaki gruchały i świergotały wśród drzew. Na twarzy i piersi poczułem ciepłe, wilgotne powietrze.

Siwobrody starzec położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie – powiedział, odciągając mnie. – Nigdy nie odnajdziesz ojca, wychodząc przez drzwi.

Znów wskazał okno w suficie.

– Możesz iść tylko tamtędy.

Zacząłem się niezdarnie wspinać, próbując nie zważać na dokuczliwy ból mięśni.

Prawa dłoń, której dotknęła zmija gwardzista, była całkiem odrętwiała. Złapałem wystający ze ściany posąg Surat–Kemada i podciągnąłem się, by usiąść okrakiem na jego plecach.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego sądziłeś, że jestem twoim synem?

– To smutna historia z dawnych lat.

Tym razem powstrzymałem się od wydawania rozkazów.

– Mógłbyś mi ją opowiedzieć?

Staruszek usiadł na skraju łóżka i wbił we mnie spojrzenie.

– Nazywałem się kiedyś Aukin, syn Nevata. Mieszkałem o wiele dalej, niż

mógłbyś sobie wyobrazić, daleko za ujściem Wielkiej Rzeki i za samym morzem, wśród ludzi, których ty nazwałbyś barbarzyńcami. Miałem żonę, którą bardzo kochałem. Czyż to nie zaskakujący fakt, nawet jak na barbarzyńcę? Nie, raczej nie. Gdy umarła, rodząc naszego pierworodnego, który zmarł jeszcze w jej łonie, moja rozpacz nie miała granic. Rodzimi bogowie nie potrafili ukoić mego żalu, ponieważ są surowymi opiekunami wzgórz oraz lasów i nie zajmują się pocieszaniem. Przybyłem więc do twojej krainy, najpierw do Miasta Delty, gdzie długo modliłem się przed posągiem BelHemada i ofiarowałem jego kapłanom sporo złota. Bóg jednak nie odpowiadał, a gdy skończyły mi się pieniądze, kapłani mnie przegnali.

– Włoczyłem się wzdłuż Wielkiej Rzeki po lasach, bagnach i równinach, aż dotarłem w wysokie góry, gdzie napotkałem świętych mężów. Ci nauczyli mnie śnić. Sądziłem, że uczyli mnie sztuki osiągnięcia spokoju wewnętrznego, ale nic podobnego. Miałem bowiem swój własny, śmiały plan. Obmyśliłem sobie, że przewyższę wszystkich w sztuce śnienia, przebędę Leshe, dotrę do jeziora Tashe i jeszcze dalej, odnajdę syna, który próbował przyjść na świat, lecz mu się nie udało, i sprowadzę go ze sobą. Wychodziłem z założenia, że umarli, owszem, przypadają Bogowi, Który Pożera, stąd też nie miałem co liczyć na odzyskanie żony, ale może za nienarodzonymi nikt tęsknić nie będzie. Jak dotąd udało mi się zrealizować tylko pierwszą część planu. Dotarłem w to miejsce, ale nie odnalazłem syna. Potem ujrzałem ciebie – żywego – i na krótką chwilę wstąpiła we mnie nadzieja.

– To sprawka Sybil – powiedziałem.

– Tak, bez wątplenia. Wystarczy spojrzeć na twoje znamię.

– Znamię?

Starzec podniósł się i przez chwilę szukał czegoś pośród odpadków, a potem wręczył mi kawałek pękniętego lustra.

– Nie wiedziałeś? – spytał łagodnie.

Spojrzałem na swe odbicie. Miejsce na czole, gdzie Sybil złożyła pocałunek, lśniło równie intensywnie jak oczy *evatim*.

Oddałem mężczyźnie lusterko i właśnie wtedy zauważyłem, że moje dłonie również lekko świecą tam, gdzie dotknęła ich matka na chwilę przed zniknięciem. Z kolei usta żmii gwardzisty poparzyły mi skórę, lecz rana

zasklepiła się już w gładką, białą bliznę.

Siedziałem nieruchomo, wpatrując się w swoje dłonie.

– Jeśli rzeczywiście jestem czarownikiem – powiedziałem – to spróbuję ci pomóc. Nie musisz się mnie obawiać.

Podał mi kubek.

– Proszę, wypij to.

– Nie wolno mi. Każdy łyk wody z tego miejsca oznacza...

Starzec westchnął.

– Wciąż musisz się wiele nauczyć, czarowniku. To woda z rzeki Leshe, z rzeki wypełnionej snami i marzeniami. Dzięki niej doznasz wielu wizji. Ta woda otworzy ci oczy, ale nie zwiąże cię z krainą zmarłych. Woda z Tashe mogłaby to zrobić, ale ta z Leshe nie.

– Muszę doznać tych wizji?

– Sądzę, że tak, o ile chcesz się dostać tam, dokąd zmierzasz.

– To kolejna sprawka Sybil.

– Tak, to prawda. A teraz wypij to, co ci dałem.

Posłuchałem polecenia. Woda okazała się bardzo zimna i, co ciekawe, słodka. Moje ciało aż zadrżało, dopiero posmak okazał się gorzki.

– A teraz ruszaj – powiedział syn Nevata, Aukin, który stracił pierworodnego.

Wstałem, kołysząc się niebezpiecznie na posągu boga, i złapałem za ramę okienną.

Przez chwilę tak wisiałem, spoglądając z góry na starca, który machnięciami ręką dawał mi znać, bym się nie zatrzymywał. Podciągnąłem się i poczułem powiew gorącego wiatru na piersi i twarzy, a potem tysiące drobnych ukłuć, jakbym trafił w sam środek burzy piaskowej.

Nagle okazało się, że spadam, lecz w dół, a nie do środka pokoju. Niespodziewanie odwróciły się strony świata i leciałem coraz dalej od okna, zataczając salta w gorącym piachu niesionym przez wiatr.

I wtedy nawiedziły mnie wizje.

Spadając, ujrzałem całą krainę Tashe. Przekonałem się, że każdy zmarły mieszka tam w niewielkim miejscu, wytyczonym przez wspomnienia swego życia, przyjemne lub bezgranicznie przerażające, jeśli

prześladowały go wyrzuty sumienia. Kraina Tashe była więc niemożliwym do ogarnięcia, chaotycznym zlepkiem przypominającym dom Sybil.

Spadając, znajdowałem się w wielu miejscach jednocześnie. Szedłem po miękkim mchu w kierunku sadzawki ukrytej w głębi lasu przesyconego złotym blaskiem. Na skraju sadzawki trzy dziewczęta myły sobie włosy. Jakiś młody chłopak niewiele młodszy ode mnie siedział przy nich i brzdąkał na lirze. Las dookoła wydawał się gdzieś zmierzać. W powietrzu między drzewami dryfowały jasne ryby.

Potem zrobiłem krok wstecz i las znikł.

Biegłem pod jasnymi gwiazdami po rozżarzonej drodze z cegieł, które paliły mnie w stopy, drodze ciągnącym się aż po czarny horyzont. Szlochałem z bólu i zaczynałem się ślaniać. Ze wszystkich sił zwalczałem pragnienie, by przystanąć i usiąść. Ze szczelin między cegłami z sykiem dobywały się dym i płomień. Biegłem, ciężko dysząc, brudny od sadzy, zlany potem, aż natknąłem się na okno umieszczone w ziemi, jak gdyby była to dla niego ściana. Okno było otwarte, firana poruszona silnym podmuchem wiatru wyfrunęła i niemalże musnęła moją twarz. Czułem, że muszę przez nie wyjrzeć.

Zachwiałem się niebezpiecznie, a potem opadłem na dłonie i kolana, wrzeszcząc z bólu. Podpełzłem do skraju okna i ujrzałem w dole króla z dworzanami, którzy w milczeniu siedzieli wokół długiego stołu. Nie ucztowali jednak, a ich twarze wykrzywiało nieopisane cierpienie. Zarówno szaty, jak i ciała mieli przejrzyste, dzięki czemu mogłem dostrzec, że ich serca są białe niczym rozpalone żelazo.

Potem ujrzałem dziewczynę w przyjemnie oświetlonym pokoju, podśpiewującą nad warsztatem tkackim. Wiedziałem, że jej praca nigdy nie dobiegnie końca, podobnie jak zadanie mężczyzny siedzącego u jej stóp, który nadawał wymyślny kształt kawałkowi kości słoniowej.

Potem leżałem nagi w lodowatym strumieniu, którego brzegi były przykryte śniegiem.

Burza śnieżna zalała niebo absolutną bielą.

Potem nad targowiskiem unosiła się wrzawa tłumu ludzi. Stałem samotny wśród niekończących się, milczących korytarzy oblepionych grubą warstwą kurzu. Szedłem po wodzie ku zrujnowanej wieży, gdzie

oczekiwali mnie mężczyźni w białych szatach i srebrnych maskach. Stojnie odziany pirat bez końca kroczył po pojedynczym pokładzie zawieszonym w powietrzu. Spojrzał na mnie z trwogą, gdy przelatywałem w pobliżu.

A potem wejrzałem we wspomnienia, w żywoty wszystkich tych, którzy mieszkali w krainie Tashe. Poznałem, co znaczy być królem i niewolnikiem, zakochanym i mordercą.

Poznałem, co znaczy być starcem i pamiętać wszystko jak przez mgłę, niczym w gasnącym śnie.

I znalazłem swą siostrę, Hamakinę.

Leciałem pośród wirujących, kłujących ziarenek piasku, które nagle przerodziły się w miliony ptaków. Usłyszałem łopot ich miękkich skrzydeł, gdy próbowały powstrzymać upadek. Wszystkie ptaki miały twarz mojej siostry i mówiły jej głosem: – Sekenre, jestem tutaj!

– Gdzie?!

– Bracie, przybyłeś tu po mnie.

– Tak, przybyłem.

– Bracie, jest zbyt późno.

Już nie leciałem, leżałem teraz na miękkich, zimnych prochach, krtusząc się i dławiąc. Dotarłem do ogrodu popiołów. Daleko na skraju widoczności ciągnęły się równe rzędy białych drzew, bezlistnych, ale mimo to obsypanych dojrzałymi owocami. Z nieba spadały płatki popiołu i wszystko stawało się szare, niebo i ziemia, aż przestałem widzieć między nimi różnicę.

Powstałem wśród martwych kwiatów o łodygach przypominających trzcinę zimą – były wielkie i wysokie, a każdy bezbarwny szczegół wyglądał na doskonale zachowany. Popiół opadał coraz gęściej, czułem nawet jego grudki na ramionach. Oblepiał mnie do tego stopnia, że zaczynałem stawać się częścią otoczenia. Zakryłem twarz dłońmi, by móc oddychać i ruszyłem ścieżką wytyczoną przez nagie patyki, być może pozostałości żywopłotów, grzęznąc po kolana w miękkim, chłodnym popiele.

W powietrzu unosił się obezwładniający, przejmująco słodki zapach, tak nieprzyjemny, że zaczynałem czuć się słabo. Wiedziałem jednak, że nie

wolno mi się zatrzymać, nie wolno odpoczywać. Zrobiłem kolejny krok i jeszcze jeden, a potem następny...

Dotarłem do placu, który niegdyś mógł być sercem ogrodu. Wznosiła się tam pośród zasp popiołu drewniana altana z dachem osadzonym na grubych słupach. Uformowano go na podobieństwo twarzy z szeroko rozwartymi ustami, które zostały już zasypane, jak gdyby owa istota wymiotowała szarym proszkiem.

Hamakina czekała na mnie na ławce pod dziwnym dachem. Podobnie jak ja, była bosa i odziana w łachmany brudne od popiołu, lecz na jej policzkach widniały ślady łez.

– Sekenre...

– Przybyłem, by cię stąd zabrać – powiedziałem.

– Nie mogę stąd odejść. Ojciec... On mnie oszukał. Kazał mi jeść owoce, a ja...

Wskazałem dłonią jedno z białych drzew.

– Kazał ci zjeść to?

– Wtedy wyglądało inaczej. Liście były zielone, a owoce wyglądały i pachniały wprost cudownie. Ich kolory... ich kolory lśniły i mieniły się niczym olej na wodzie, gdy opromieni go słońce. Ojciec kazał mi je zjeść, był rozgniewany, a ja się bałam, więc... Więc zjadłam...

Smakowały martwo, a potem wszystko zaczęło wyglądać tak jak teraz.

– Ojciec to zrobił?

– Powiedział, że to część planu. Nie zrozumiałam z tego wiele.

– Gdzie on jest?

Wyciągnąłem miecz, kurczowo zaciskając dłoń na rękojeści. Aż kipiałem z gniewu, choć jednocześnie miałem świadomość, jak śmiesznie i bezradnie muszę teraz wyglądać.

Teraz jednak to był mój miecz, nie ojca, a Sybil dała mi go w konkretnym celu.

– Sekenre, co chcesz zrobić?

– To, co będzie konieczne.

Wzięła mnie za rękę, jej dotyk był zimny.

Nie sposób ocenić, jak długo szliśmy przez popielny ogród, bowiem nie istniała tu żadna metoda mierzenia czasu, odległości i kierunku, lecz

Hamakina zdawała się doskonale wiedzieć, dokąd nas prowadzi.

W pewnej chwili ogród znikł i przez moment wszystko wskazywało, że na powrót znalazłem się w zagraconym, ciemnym i rozkołysanym świetle Sybil. Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu jej fosforyzującej twarzy, przekonany, że zaraz się pojawi, lecz moja siostra pewnie chwyciła mnie za rękę i bez wahania przeprowadziła przez linowy mostek rozwieszony nad przepaścią. Pod nami wypływały na powierzchnię wody ogromne stwory z dziwnymi ludzkimi twarzami, mącąc obraz gwiazd odbitych na tafli. Rozbryzgiwały jasną pianę i rozwierały paszcze, by ukazać gnijące zęby i trzymane między nimi lustrzane kule.

Spojrzałem w dół przez splątane, chwiejne liny i zobaczyłem swoje odbicie w wybrzuszonym szkle.

Jakimś cudem Hamakina nagle znalazła się daleko ode mnie, poniżej, we wnętrzu każdej z owych lustrzanych kul. Widziałem w nich, jak biegnie, ledwie widoczna na tle nieba barwy piasku. Potem potwory zaczęły pogrążyć się w głębinach i moja siostra znikła, a potem znów się wynurzyły z rozwartymi szczękami i znów ją ujrzałem.

Hamakina biegła po piasku, szara plama na tle martwego nieba oddalająca się w stronę czarnych punkcików, które były gwiazdami.

Każdy z potworów zanurzał się, ale zaraz po nim na powierzchnię wypływał inny, a trzymana przez niego kula pokazywała mi kolejne przelotne wyobrażenie mojej siostry. Z otchłani zaś dobiegły strzępy piosenki. Hamakina śpiewała własnym głosem, choć wybrzmiewał w nim ból, a także odrobina szaleństwa:

*Gdy ciemność mnie zabierze I poranne wstaną zorze
Na mój grób za dnia przyjdź leżeć
A ja się z tobą co noc położę
Przyjdź, przynoś mi owoce i wino
Przynoś je z łąk swoich
Ja zaś przyniosę kurz, popiół i glinę
I dar cienia do rąk twoich*

Nie wiem, jak ani kiedy się to stało, ale nagle znalazłem się na bezkresnym, piaszczystym pustkowiu pod czarnymi gwiazdami. Biegłem za głosem Hamakiny, który dochodził zza niskich diun ciągnących się w stronę horyzontu, ze sterczącego nad nimi niewielkiego ciemnego kształtu.

Z początku sądziłem, że to któraś z gwiazd spadła z nieba, lecz gdy dotarłem bliżej, tajemnica się wyjaśniła. Wstrząśnięty aż zwolniłem. Przed

sobą miałem spiczaste dachy, okna przypominające oczy i znajomy dok, w tej chwili spoczywający na piasku.

Dom mojego ojca – nie, mój dom! – wspierał się na palach niczym gigantyczny, zamarznięty pająk. Nie było wokół żadnej rzeki ani żadnego śladu Krainy Trzcin. Cały świat wydawał się ogołocony do czysta, za wyjątkiem tej jednej jedynej konstrukcji z drewna.

Gdy dotarłem do doku, Hamakina czekała na mnie u stóp drabiny. Spojrzała ku górze.

– On tam jest – powiedziała.

– Dlaczego zrobił to wszystko tobie i matce? – zapytałem. Jedną ręką złapałem miecz, a drugą drabinę. Drżałem, lecz bardziej ze smutku niż ze strachu czy nawet gniewu.

Jej odpowiedź przeraziła mnie o wiele bardziej od tego, co powiedział mistrz śnienia Aukin. Raz jeszcze jej głos zabrzmiał doroślej, niemalże ochryple: – A dlaczego zrobił to wszystko tobie?

Pokręciłem głową i rozpocząłem wspinaczkę. Drabina dygotała, jak gdyby była żywa i czuła mój dotyk.

Nagle nad moją głową zagrzemiał głos ojca: – Sekenre, czy ty nadal mnie kochasz?

Nie odpowiedziałem i w milczeniu pokonywałem kolejne szczeble. Zorientowałem się, że ktoś zablokował od góry klapę w podłodze.

– Chcę, byś nadal mnie kochał – powiedział. – Chciałem dla ciebie tylko tego, co najlepsze. Teraz zaś chcę, byś wrócił. To nadal możliwe, choć tyle razy sprzeciwiłeś się mojej woli. Zawróć. Zapamiętaj mnie takim, jakim byłem. Przeżyj swoje życie.

Uderzyłem w trap głowicą miecza. Cały dom zadrżał i niespodziewanie rozbłysnął białym światłem, które wdarło mi się pod powieki. Wrzasnąłem i zeskoczyłem w dół, o włos minąłem dok i wylądowałem twarzą w piasku. Usiadłem, plując i parskając, nadal jednak trzymałem miecz. Konstrukcja nie wyglądała na uszkodzoną ogniem, ale drabina spopieliała się i rozsypała na moich oczach.

Wsunąłem miecz za pas i rozpocząłem wspinaczkę po jednym ze wsporników. Znowu zalały mnie białe płomienie. Nie wydzielały gorąca, więc je zignorowałem.

– Ojczy, nadchodzę – powiedziałem. – Wpuść mnie do środka.

Dotarłem na ganek od strony mojego pokoju. Stałem przed tym samym oknem, przez które Hamakina została porwana. Jak wszystkie inne, było zabarykadowane i migotało białymi płomieniami.

Przyszło mi do głowy, by zawołać Sybil. W ten sposób wykorzystałbym trzecią i ostatnią szansę. A potem, gdybym zrobił to raz jeszcze, co by się stało? Uznałaby, że stanowią jej własność. Nie, na to był jeszcze czas.

– Ojczy – rzekłem – jeśli kochasz mnie tak mocno, jak utrzymujesz, to otwórz drzwi.

– Jesteś nieposłusznym młodzieńcem.

– Wygląda na to, że to nie koniec mojego nieposłuszeństwa.

Stojąc tam, raz jeszcze wybuchnąłem płaczem. Zacisnąłem pięści i rozwarłem je.

Swego czasu dostałem od ojca lanie za samą próbę rzucenia tego czaru. Wtedy nie zdołałem osiągnąć żadnego rezultatu, a teraz okazało się to dziecinnie proste.

Po wewnętrznej stronie moich dłoni zatańczyły białe płomienie. Uniosłem ręce i rozciągnąłem ogień niczym zasłonę. Płomienie zamigotały i zgasły, ale dłonie nadal płonęły.

Przycisnąłem je do okiennic, a wtedy spomiędzy palców wytrysnęły błękitne ogniki. Drewno zadymiało, szerniało i wpadło do środka tak gwałtownie, że straciłem równowagę i o mały włos sam nie poleciałem za nim.

Gdy tylko pokonałem parapet, zastygłem w zdumieniu. Co najbardziej niezwykle, naprawdę stałem wewnątrz tego domu, w którym się wychowałem, w pokoju, który dzieliłem z matką i Hamakiną, w tym samym pokoju, w którym w końcu przyszło mi czekać w samotności przez pół nocy na wytęskniony świt. Ujrzałem swe inicjały wyrzeźbione na oparciu krzesła, ubrania przewieszane przez krawędź otwartej skrzyni, książki na półce w przeciwległym kącie i stronę papirusu z niedokończonym rysunkiem na biurku. Wszystkie pióra, pędzle i buteleczki znajdowały się dokładnie tam, gdzie je zostawiłem. U stóp łóżka leżała lalka Hamakiny. Jeden z *hevat* matki, złoty ptak, zwisał w bezruchu z sufitu.

Każdą najmniejszą częścią siebie zapragnąłem podejść do łóżka, położyć się na nim i zasnąć, a potem wstać o świcie, założyć codzienne szaty i wrócić do pracy przy biurku, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

Sądzę, że była to ostatnia propozycja mego ojca. To on kształtował moje myśli.

Wyszedłem z pokoju przy akompaniamencie skrzypienia desek podłogi. Zastukałem do drzwi pracowni, które również były zamknięte.

Ze środka odpowiedział mi znużony głos ojca: – Sekenre, czego chcesz?

To pytanie całkowicie zbiło mnie z tropu.

– Chcę wejść – tylko na taką odpowiedź potrafiłem się zdobyć.

– Nie – odparł po dłuższej chwili. – Czego tak naprawdę chcesz, jako mój syn, dla siebie?

– Nie wiem – odpowiedziałem, po czym raz jeszcze wyciągnąłem miecz zza pasa i załomotałem do drzwi głowicą.

– Myślę, że wiesz. Chcesz wyrosnąć na zwyczajnego mężczyznę, chcesz mieszkać w mieście, mieć małżonkę i rodzinę, chcesz żyć wolny od duchów, cieni i czarnej magii – co do tego na pewno się zgadzamy. Ja też chcę tego dla ciebie. To bardzo ważne.

– Ojcze, ja już nie jestem niczego pewien. Nie wiem, co czuję.

Nadal waliłem do drzwi.

– A zatem dlaczego wciąż tu jesteś?

– Bo muszę.

– Życie czarownika jest okropne – przyznał. – Gorsze niż choroba, niż jakakolwiek udręka. Przypomina otwarte drzwi do koszmaru, których zamknąć się już nie da. Poszukujesz wiedzy, zagładasz w mrok. Z początku kusi cię nieograniczona moc, potem chwała i sława, a w końcu, jeśli nadal oszukujesz sam siebie, ogromna wiedza. Życie czarownika polega na poznawaniu sekretów wszystkich światów oraz wszystkich bogów, jednak magia pali i niszczy. Zniekształca i zmienia, przez co człowiek, który stał się czarownikiem, nie jest już tym samym człowiekiem co uprzednio. Wszyscy go nienawidzą, wszyscy się go boją. Ma niezliczonych wrogów.

– A ty, ojcze? Masz niezliczonych wrogów?

– Synu, w swoim czasie zabiłem wielu ludzi. Tysiące ludzi.

To stwierdzenie zaskoczyło mnie do tego stopnia, że poczułem się

zupełnie bezradny.

Mogłem jedynie wykrztusić:

– Ale dlaczego?

– Czarownik musi zdobywać wiedzę nie tylko po to, by opędzać się od wrogów, ale też po to, by żyć. Wciąż pragnie poznawać nowe tajniki czarnej magii, pragnie nowych mocy, ale nie takich, których można nauczyć się z ksiąg. Potrzeba więcej, znacznie więcej. By naprawdę zostać czarownikiem, trzeba zabić innego czarownika, a potem następnych, za każdym razem kradnąc wszystko, co posiada pokonany, co w swoim czasie sam skradł innemu zamordowanemu. Gdyby nie pokusa, która pociąga coraz to nowych ludzi do podjęcia tego zawodu, na świecie nie byłoby już wielu czarowników. Czarnoksiężstwo oznacza bezustanne pożeranie innych.

– Z pewnością można wykorzystać magię do szerzenia dobra, ojcze.

Przestałem łomotać w drzwi. Spojrzałem na swe dłonie, które nosiły nowe znamiona po tym, jak z taką łatwością strzeliły płomieniami.

– Czarnoksiężstwo i magia to dwie różne rzeczy i nie wolno ich mylić. Magia pochodzi od bogów, a magik jest zaledwie instrumentem. Magia przepływa przez niego niczym oddech przez fujarkę z trzciny. Magia potrafi uzdrawiać i zadowalać, jest niczym świeca pośród ciemności. Czarnoksiężstwo jednakże mieszka w czarowniku. Czarnoksiężstwo jest niczym gorzejące słońce.

– Nie chcę być czarownikiem, ojcze. Naprawdę. Jaja mam inne plany.

Wydaje mi się, że gdy odpowiedział, w jego głosie zabrzmiał szczery żal.

– Ukochany Sekenre, mój jedyny synu, patrzyłeś z góry na *evatim* i zostałeś przez nich naznaczony. Ich dotyk pozostawił blizny, których nie pozbędziesz się przez resztę życia. Rozmawiałeś z Sybil i nosisz również jej ślad. Podróżowałeś wśród duchów, w towarzystwie zmarłego, przez Leshe, krainę snów. Napileś się wody ze źródła wizji i zobaczyłeś wszystko, co znajduje się w Tashe, krainie śmierci. A w końcu wypaliłeś drogę do wnętrza domu płomieniami, które buchnęły z twoich dłoni. Pozwól, że spytam cię w ten sposób – czy to są czyny godne skryby?

– Nie – odpowiedziałem cichym głosem, szlochając.

Moje zdecydowanie gdzieś wyparowało. Upuściłem miecz, a sam

oparłem się plecami o drzwi i ześlizgnąłem na podłogę.

– Nie – wyszeptalem. – Ja tylko chcę stąd zabrać Hamakinę.

– A zatem jesteś dla mnie rozczarowaniem, synu. Głupiec z ciebie! – rzekł ojciec z nagłą szorstkością. – Ona się nie liczy.

– Jest twoim dzieckiem podobnie jak ja. Czyżbyś nie kochał jej kiedyś? Nie, ty jej nigdy nie kochałeś. Ale dlaczego? Jesteś mi winien to wyjaśnienie, ojcze. Musisz mi powiedzieć dlaczego! Musisz mi powiedzieć tak wiele rzeczy...

Poruszył się w pracowni, czemu towarzyszył brzęk metalu. Nie podszedł jednak do drzwi, nie tknął zasuw i cisza, która zapadła, trwała coraz dłużej. Przez otwarte drzwi mojego pokoju widziałem *hevat* matki, owego złocistego ptaka. Wpatrywałem się w niego ze skupieniem człowieka, który musi na czymś skoncentrować uwagę, zupełnie jakbym w eleganckim kształcie ozdoby potrafił się doszukać odpowiedzi na wszystkie pytania. Było mi zimno. Skuliłem się i objąłem pierś. Zadane mi przez *evatim* rany na plecach i bokach na nowo rozgorzały bólem.

Ojciec odezwał się dopiero po chwili.

– Sekenre, jak myślisz, ile lat miałem, gdy poślubiłem twą matkę?

– Ja... Ja...

– Miałem wówczas trzysta czterdzieści dziewięć lat, synu, i byłem już czarownikiem od dawna. Trawiony gorączką czarnoksięstwa, przemierzyłem wiele krain i wielokrotnie umykałem śmierci. Moim wrogom urządzałem krwawe masakry, a w swym szaleństwie obracałem się przeciwko bogom, których uważałem za najwyżej mi równych. Ale nadeszła chwila, kiedy oprzytomniałem. Przypomniałem sobie, kim byłem wcześniej, o wiele wcześniej. Byłem wówczas... człowiekiem. Zacząłem więc udawać, że znów się nim stałem. Poślubiłem twą matkę. W tobie zaś ujrzałem nadzieję na to, czym sam kiedyś byłem. W tobie odżył ten zwyczajny człowiek. Gdybym tylko potrafił żyć wedle tej nadziei, na swój sposób pozostałbym człowiekiem. Byłeś więc dla mnie kimś szczególnym. Kochałem cię.

– Ale Hamakina...

– Twoja siostra to tylko balast. Stanowi naczynie i nic ponad to. Kiedy wreszcie odczułem ciężar własnej śmierci, kiedy nie potrafiłem już dłużej

trzymać wrogów na dystans, wprowadziłem nasienie Hamakiny do łona twojej matki. Wychowywałem ją, by spełniła dla mnie specjalne zadanie – by wchłonęła moją śmierć. Nasienie, z którego została zrodzona, powstało w mojej pracowni. Umieściłem je w łonie twojej matki za pomocą metalowej tuby, uspiwszy ją wcześniej przy pomocy specjalnych mikstur. A zatem, jak sam widzisz, jej życie nie pochodzi z Rzeki i ze snów Surat–Kemada. Ja je stworzyłem, a potem zaoferowałem Bogowi, Który Pożera w zamian za własne. Hamakina to jedynie butelka wypełniona moją śmiercią. Tak więc wciąż jestem czarownikiem i wielkim panem w krainie śmierci, ponieważ tak naprawdę ani w pełni nie umarłem, ani w pełni nie żyję. Nie jestem niewolnikiem Surat–Kemada, ale jego sojusznikiem. Synu, twój ojciec przechytrył wszystkich nieprzyjaciół i uniknął wszelkich zagrożeń. Nie został jeszcze pochłonięty przez czarnoksiężstwo, nadal kontynuuje walkę. Musisz przyznać, że mój plan cechuje swoiste piękno...

Powstałem, oszołomiony i zdruzgotany tym, co usłyszałem. Podniosłem miecz.

– Sekenre – ciągnął ojciec – miałeś rację, byłem ci winien wyjaśnienia, ale teraz, gdy już je znasz, musisz uciekać. Ocal swe życie. Bądź tym, kim ja chciałem zostać. Bądź dobrym człowiekiem. Ja również byłem dobry w twoim wieku. Chciałem czynić tylko to, co słuszne, ale się zmieniłem. Jeśli teraz odejdziesz, nic ci się nie stanie, będziesz taki sam...

– Nie, ojcze. Ja też się zmieniłem.

Krzyknął wtedy, lecz nie ze strachu, a z rozpacz. Stojąc przed drzwiami z mieczem zatkniętym pod pachą, zamknąłem i rozwarłem dłonie.

Znów okazało się to dziecinnie proste.

Tym razem płomienie były czerwone i pomarańczowe. Natychmiast wbiły się w drzwi i rozeszły po ich powierzchni. Usłyszałem, jak metalowa zasuwka po drugiej stronie spada na podłogę. Drzwi stanęły otworem.

W pierwszej chwili niczego nie mogłem dojrzeć, gdyż w pracowni panowała absolutna ciemność. Potem pojawiły się pierwsze blade gwiazdy, a potem niekończąca się czarna równina wirującego piasku. Ujrzałem setki nagich ciał kobiet i mężczyzn na metalowych łańcuchach zwisających z nieba, kołyszących się, obracających powoli na wietrze, okaleczonych, z twarzami wykrzywionymi zwierzęcymi grymasami wściekłości.

Ciemność zaczęła się rozpraszać, gwiazdy znikły. Pracownia ojca wyglądała mniej więcej tak, jak przed oczyszczeniem przez kapłanów. Były tam wszystkie księgi, butelki, mapy, dziwne kształty zamknięte w słojach.

Ubrany w szatę czarownika ojciec leżał na kanapie dokładnie w tej pozycji, w jakiej widziałem go po raz ostatni, z monetami zasłaniającymi puste oczodoły. Naraz usiadł, a monety spadły mu na kolana. W jego oczodołach gorzał biały ogień przypominający rozżarzone żelazo.

– To ostatnie ostrzeżenie, Sekenre – powiedział. – Naprawdę ostatnie.

– Jeśli jesteś taki potężny, ojczy, to gdzie podziała się twoja moc? Jak dotąd nie stawiałeś mi oporu, ostrzegałeś mnie jedynie bez końca.

– A zatem co powinienem uczynić, synu?

– Powinieneś mnie zabić. Na cokolwiek innego jest już za późno.

Jego głos zaczął cichnąć, potem zniekształcać się, aż przeszedł w serię syknięć i chrząknięć. Ledwie rozumiałem poszczególne słowa.

– Przekreśliłeś moje przygotowania, sprzeciwiłeś się wszystkim moim poleceniom. Zlekceważyłeś wszystkie ostrzeżenia, czarowniku, synu czarownika...

Ześlizgnął się z kanapy i ruszył ku mnie na czworakach, zataczając się z boku na bok, nie spuszczając ze mnie potwornego spojrzenia lśniących oczu.

O mały włos nie zawołałem Sybil. Chciałem po prostu spytać: I co teraz? Cóż mam teraz począć?

Nie zrobiłem tego jednak. W ostatniej chwili mej wędrówki sam zdecydowałem, co należy uczynić, sam podjąłem decyzję co do właściwego posunięcia. W końcu czegokolwiek bym nie postanowił, i tak zadowoliliby to wiedźmę, a ona wplotłaby kolejne wydarzenia do swej tkaniny. Surat–Kemad zaś niczym się nie przejmował...

– Mój synu... – Te słowa zdawały się dobiegać z wnętrza ojca, niczym wiatr wiejący z głębi tunelu. – Kochałem cię do samego końca, ale jak widać nie dość mocno.

Rozwarł ogromne, groteskowo rozciągnięte usta. Jego zęby przypominały drobne sztylety.

W ostatnim momencie podróży nie czułem strachu, nienawiści ani nawet smutku.

Przepęniało mnie jedynie przemożne poczucie obowiązku.

– Nie, ojcze, nie dość mocno.

I ciąłem go mieczem, odrąbując mu głowę jednym ciosem. Moja ręka zakończyła manewr, nim sobie w ogóle uświadomiłem, co się dzieje.

Było to równie łatwe jak oddychanie.

Krew przypominająca płynne żelazo trysnęła na podłogę. Cofnąłem się, deski zapłonęły.

– Nie jesteś moim ojcem – powiedziałem cicho. – To niemożliwe, byś nim był.

Wiedziałem jednak, że był nim od początku do końca.

Uklęknałem, otoczyłem go ramionami i zastygłem z twarzą wtuloną w jego zdeformowane plecy. Długo, długo szlochałem z żalu.

Gdy opłakiwałem śmierć ojca, nawiedziły mnie sny, myśli, wizje, urywki wspomnień nienależących do mnie, a potem okropne poczucie pojęcia całości, świadomość kulminacji długiej nauki i jeszcze dłuższych doświadczeń. Mój umysł wypełniał się wiedzą. Poznałem szczegóły tysiąca zabójstw, zrozumiałem, ile mocy oraz wiedzy przyniosło każde z nich.

Wiedziałem, do czego służy każdy instrument w pracowni, znałem treść wszystkich ksiąg i zawartość wszystkich map, potrafiłem nazwać i zmusić do mówienia każdą z umieszczonych w słojach istot.

Albowiem właśnie zabiłem czarownika, a jeśli tego dokonasz, stajesz się tym, czym on był.

Oto, co odziedziczyłem po ojcu.

O świcie wraz z Hamakiną pogrzebaliśmy ojca w piasku pod domem. Czarne gwiazdy znikły. Niebo było ciemne, lecz było to nasze dobrze znane niebo Eshe, krainy żywych. Świat jednak wciąż składał się w większości z pustki, a my kopaliśmy własnymi dłońmi. Gdy wykonaliśmy płytki grób, wtoczyliśmy ciało do środka i ułożyliśmy głowę między jego stopami, tak jak powinno się chować czarowników. Przez chwilę towarzyszyła nam matka.

Wpełzła do grobu wraz z ojcem i pochowaliśmy ich oboje.

Na niebie zajaśniała purpura świtu. Wtedy też nieopodal doku ruszyły wody rzeki i usłyszeliśmy pierwsze ptaki budzące się pośród trzcin. Hamakina zatrzymała się na chwilę na skraju trzcin i przez krótką chwilę

patrzyła na mnie, a potem znikła.

Niespodziewanie ogarnęły mnie niemalże niemożliwe do opanowania drgawki, lecz tym razem wyłącznie z powodu zimna. Choć było wczesne lato, chłód nocy nie chciał ustąpić, ja zaś nie miałem na sobie prawie żadnych ubrań. Wspiąłem się do domu pod drabinie linowej, którą wcześniej spuściłem z klapy w podłodze, i założyłem spodnie, ciepłą koszulę oraz płaszcz.

Później, gdy zszedłem na dół z dzbankiem, by nabrać wody do mycia, ujrzałem mężczyznę w białej szacie, z twarzą zakrytą srebrną maską, który szedł w moim kierunku po tafli wody. Zamarłem w oczekiwaniu. Zatrzymał się w pewnej odległości, ale wyraźnie usłyszałem to, co mi powiedział.

Najpierw odezwał się głosem mego ojca: – Chciałem opowiedzieć ci resztę historii o chłopcu–czapli. Obawiam się, że ta opowieść nie ma końca, ona... ona się ciągnie w nieskończoność. Otóż nie był on ani czaplą, ani nie był chłopcem, ale wyglądał jak chłopiec. Mieszkał więc wśród ludzi, udając, że jest jednym z nich, lecz powierzał swój sekret tym, których pokochał. Mimo to czuł, że nie należy do tego miejsca. I choć żył jako oszust, mógł zawsze liczyć na pomoc, ponieważ ci, którym zaufał, naprawdę go kochali. Pozwól, że ja zaufam tobie, Sekenre. Kiedy chłopiec staje się mężczyzną, ojciec przekazuje mu imię, które pozostaje ich wspólnym sekretem dopóty, dopóki jego syn nie przekaze go własnemu potomkowi. Przyjmij więc imię, które nosił twój ojciec. A brzmi ono: Czapla.

Następnie przemówił głosem Sybil: – Sekenre, zostałeś naznaczony moim piętnem, ponieważ jesteś moim narzędziem. Wszyscy ludzie wiedzą, że tworzę sekrety ich życia z płataniny dziejów tego świata, ale czy wiedzą, że z płataniny ich żywotów tworzę sekrety świata? Że rozrzucam je niczym kości do wróżenia, niczym kulki do gry, i odczytuję z nich przyszłość? Nie sądzę.

I wreszcie odezwał się głosem Surat–Kemada, boga śmierci oraz rzeki, a jego głos grzmiał niczym piorun. Zdjął maskę i odsłonił potworne oblicze, szeroko rozwarte szczęki, w których miast zębów tkwiły nieprzeliczone gwiazdy, a niebo i ziemia były jego gardzielą. Z żołądka płynęły fale rzeki,

zaś wielkie żebra podpirały świat.

Przemówił do mnie w języku bogów, w języku Akimshe, języku płonącej świętości w sercu wszechświata. Wymieniał imiona bogów, którzy się jeszcze nie narodzili, mówił o królach, narodach i światach, o rzeczach minionych i o tych, które dopiero się wydarzą.

A potem zniknął. Ujrzałem przed sobą miasto, statki na kotwicach i jaskrawe sztandary falujące na porannym wietrze.

Zdjąłem ubranie i usiadłem na doku, by się obmyć. Przepływający niedaleko człowiek na łodzi pomachał do mnie, lecz zaraz potem zorientował się, kim jestem, wykonał kilka gestów odczyniających zło i odpłynął pospiesznie.

Jego strach był tak trywialny, że wydał mi się niezwykle zabawny. Przewróciłem się i tarzałem ze śmiechu, a potem po prostu leżałem na plecach. Promienie słońca pod ostrym kątem wnikały pod dom. Powietrze było ciepłe i wspaniale smakowało.

W pewnej chwili usłyszałem cichy szept mego ojca, dobywający się z grobu: – Synu, bądź kimś więcej niż tylko czarownikiem, a przestanę się o ciebie martwić.

– Tak, ojczy. Tak też będzie.

Zamknąłem dłonie i powoli je otworzyłem. Ogień, który na nich buzował, był idealny, jasny i nieruchomy, niczym płomień świecy podczas bezwietrznej, letniej nocy.

Ralph Adams Cram (1863–1942) był architektem, ale architektem z klasą. W dobie odrodzenia gotyku uchodził za mistrza i od roku 1890, kiedy to otworzył pierwsze biuro w Bostonie, pomagał projektować i nadzorować budowy kościołów, katedr i budynków akademickich, a najwybitniejsze dzieła, jakie po sobie pozostawił, to Akademia Wojskowa w West Point oraz budynek Uniwersytetu w Princeton. Cóż więc porabia architekt w antologii opowiadań o czarodziejach? Otóż Cram był architektem z wyobraźnią. Za młodu, gdy nie projektował kościołów, znajdował jakimś cudem czas na pisanie opowiadań. Napisał ich jedynie kilka – zostały one zebrane w zbiorze *Black Spirits and White* (1895), który *niezaprzeczalnie należy do klasyki fantastyki. Każde z tych pięciu opowiadań to perełka. Weźmy na przykład Rue M. le Prince, nr 252 o pewnym domu w Paryżu, gdzie niegdyś mieszkał sędziwy czarodziej.*

Ralph Adams Cram

RUE M. LE PRINCE, NR 252

Dotarłem wreszcie do Paryża, postanowiłem zdać się na łaskę mego kompana, Eugene’a Marie d’Ardeche’a, który opuścił Boston ponad rok temu. Powodem jego wyjazdu była wieść o śmierci ciotki, która zapisała mu cały majątek. Przypuszczam, że ten nagły uśmiech fortuny wprowadził go w wielkie zdumienie, gdyż relacje między staruszką a jej siostrzeńcem nigdy nie należały do serdecznych. Tak przynajmniej wnioskowałem z uwag Eugene. Wynikało z nich również, że, jak zresztą głosiła opinia, jest to zdziwaczała wiedźma zafascynowana czarną magią.

Nikt nie wiedział, dlaczego postanowiła zapisać majątek właśnie d’Ardeche’owi – może przeczuwała, iż dzięki swym raczej szczeniackim zainteresowaniom buddyzmem i okultyzmem któregoś dnia osiągnie on ten sam bezbożny poziom jej wielce wątpliwego oświecenia? Z pewnością

d'Ardeche uważał ją za złą staruchę, a sam trwał w stanie entuzjastycznej egzaltacji, która nierzadko towarzyszy chłopięcej, a więc ulotnej fascynacji okultyzmem.

Tak czy owak, pomimo jego wyraźnej niechęci do *mademoiselle* Blaye de Tartas, ciotka uczyniła go jedynym spadkobiercą ku oburzeniu jej starego towarzysza, okrytego złą sławą Sara Torrellego, zwanego „Królem Czarodziejów”. Szarą twarz owego złośliwca, istnego uosobienia wszystkiego, co nikczemne, widywano na Rue M. le Prince za życia *mademoiselle*. Wyglądało na to, że spodziewał się on odziedziczyć cały jej skromny majątek.

Wbrew jego oczekiwaniom okazało się jednak, że staruszka zapisała mu wyłącznie wyposażenie ponurego domu w Quartier Latin, natomiast sam dom i cała reszta majątku przypadły siostrzeńcowi. Wściekły Sar wyniósł z domu dokładnie wszystko, co tylko wynieść się dało, a następnie przeklął soczyście i kwieciście zarówno samo lokum, jak i wszystkich, którym przyjdzie w nim mieszkać.

A potem znikł.

Eugene opisał mi to zdarzenie w ostatnim liście, ja zaś zapamiętałem numer owego domu – 252 na Rue M. le Prince. A zatem, po upływie dnia czy dwóch spędzonych na pobieżnym zwiedzeniu Paryża, przekroczyłem most na Sekwanie i udałem się na poszukiwania Eugene. Miałem zamiar go nakłonić, by pokazał mi uroki miasta.

Każdy, kto zna Quartier Latin, zna również Rue M. le Prince – ulicę, która wznosi się ku Ogrodom Luksemburskim. Stoi wzdłuż niej mnóstwo osobliwych domów, kryjących dziwaczne zakamarki – tak przynajmniej było w 1886. Odnaleziony przeze mnie numer 252 z pewnością pasował do tego opisu. Znajdowała się tam jedynie brama oraz czarny łuk ze starej cegły wciśnięty między dwa żółte domy. Ten odnowiony świeżym gipsem drobny wytwór sztuki murarskiej z siedemnastego wieku, z brudnymi, starymi wrotami i zardzewiałą, pękniętą latarnią, zwisającą ponuro nad wąskim chodnikiem, wydawał się złowieszczy ponad ludzkie pojęcie.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie pomyliłem numeru, albowiem nie ulegało wątpliwości, że za tymi pajęczynami nikt nie mieszkał. Wszedłem więc do jednego z nowych hoteli i zadałem kilka pytań

konsjerzowi.

Nie, odrzekł tamten, nikt pod nazwiskiem d'Ardeche tam nie mieszkał, choć bez wątpienia to Eugene był właścicielem posesji. Sam rezydował w Meudon, w wiejskim domu należącym ongiś do świętej pamięci *mademoiselle* de Tartas.

– Czy *monsieur* życzy sobie, bym podał ulicę oraz numer?

Och, *monsieur* życzył sobie tego bardzo. Wziąłem kartkę z adresem od konsjerża i znów ruszyłem ku rzece, skąd chciałem złapać parowiec do Meudon. I wtedy wydarzył się jeden z owych jakże częstych i całkowicie niewytłumaczalnych zbiegów okoliczności – nie przeszedłem dwudziestu kroków, gdy wbiegłem prosto w ramiona Eugene'a d'Ardeche'a.

Trzy minuty później siedzieliśmy w cichutkim, niewielkim ogródku hotelu Chien Bleu, popijając wermut z absyntem i rozmawiając o najróżniejszych sprawach.

– A więc nie mieszkasz w domu ciotki? – zapytałem w końcu.

– Nie, ale jeśli to wszystko się nie skończy, będę musiał w nim zamieszkać. W Meudon podoba mi się o wiele bardziej. Dom jest w doskonałym stanie, w pełni umeblowany i nawet najnowsze sprzęty składające się na jego wyposażenie pochodzą z ubiegłego stulecia.

Mam w nim wspaniały pokój, który oddałem Buddzie. Natomiast z tym domem na Rue M. le Prince coś jest nie w porządku. Uciekają z niego lokatorzy. Czterech dni nie są w stanie wytrzymać. W przeciągu ostatnich sześciu miesięcy było ich tylko trzech, ale plotka się niesie i nowo przybyli woleliby wynająć izbę w Trybunale Obrachunkowym, aniżeli zamieszkać pod numerem 252. Ten dom nie cieszy się dobrą renomą. W rzeczy samej, bardziej nawiedzony być nie może.

Zaśmiałem się i zamówiłem więcej wermutu.

– Śmieć się, śmieć! Jest nawiedzony do tego stopnia, że nikt nie chce w nim mieszkać, a co zabawne, nikt nie wie, w jaki sposób objawia się owo nawiedzenie. Nikt nigdy niczego nie widzi ani nie słyszy. Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, ludzie po prostu miewają tam koszmary tak wstrząsające, że trafiają do szpitali. Jeden z byłych lokatorów znajduje się wciąż w Bicêtre. Dom więc stoi pusty, a że zajmuje sporą działkę i trzeba słono za niego płacić, nie mam pojęcia, co z nim począć. Chyba trzeba

będzie oddać go temu grzesznemu głupcowi Torrevellemu albo samemu tam zamieszkać. Mnie duchy przeszkadzać nie będą, tego jestem pewien.

– Spałeś tam kiedyś?

– Nie, lecz od dawna noszę się z tym zamiarem i dziś właśnie przybyłem tu, by się zobaczyć z dwoma rozpustnikami o nazwiskach Fargeau oraz Duchesne. To lekarze w Szpitalu Klinicznym na Parc Mont Soris. Obiecali, że kiedyś spędzą ze mną noc w domu mojej ciotki – który zresztą w okolicy nazywany jest la Bouche d’Enfer [(fr.) brama piekieł]. Pomyślałem, iż być może uda im się znaleźć czas w tym tygodniu, o ile zdołają wyrwać się z natłoku obowiązków. Chodź ze mną, jestem umówiony z nimi na spotkanie. Potem przejdziemy przez rzekę do Vérfour, by zapełnić czymś żołądki, a na koniec weźmiesz swe rzeczy z Chatham i udamy się do Meudon, gdzie oczywiście będziesz nocował.

Propozycja odpowiadała mi idealnie, tak więc poszliśmy do szpitala, gdzie zastaliśmy pana Fargeau. Ten oznajmił, że on i Duchesne są gotowi na wszystko, a im prędzej przekroczą próg la Bouche d’Enfer, tym lepiej. Dodał też, że w czwartek będą obaj mieli wolną noc i tego dnia ochoczo skorzystają z okazji, by przechytryć diabła i rozwikłać zagadkę domu spod numeru 252.

– Czy *monsieur l’Américain* wybierze się z nami? – zapytał.

– Oczywiście – odparłem. – Czemu by nie? Zamierzam udać się tam z wami i nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu, d’Ardeche. Nie życzę sobie, by mi odmawiano. Oto bowiem masz okazję przedstawić mi uroki miasta w sposób niepowtarzalny. Pokaż mi prawdziwego ducha, a ja wybaczę Paryżowi, że straciłem okazję, by zobaczyć Jardin Mabilie.

Sprawa została więc uzgodniona.

Następnie udaliśmy się do Meudon i spożyliśmy obiad na tarasie willi, która w istocie zgadzała się z opisem przedstawionym przez d’Ardeche’a. Panująca w niej atmosfera siedemnastego wieku była doprawdy niezwykła. Podczas obiadu Eugene opowiedział mi o swej ciotce świętej pamięci i dziwacznych rzeczach, które miały miejsce w starym domu.

Mademoiselle Blaye mieszkała rzekomo całkiem sama, jeśli nie liczyć Jeanne, służącej w tym samym wieku co ona sama. Była to surowa, małomówna kobieta o zwalistej posturze Bretonki, a gdy już zdecydowała

się otworzyć usta, mówiła również z bretońskim akcentem. Nie widziano, by ktokolwiek zaglądał pod numer 252 z wyjątkiem niej oraz Sara Torrellego.

Ten ostatni pojawiał się zwykle nie wiadomo skąd. Sąsiedzi, którzy od jedenastu lat niemalże codziennie obserwowali, jak stary czarodziej zakrada się do dzwonka przy drzwiach pod numerem 252, twierdzili, że nigdy nie widzieli, by stamtąd wychodził. Pewnego razu postanowili obserwować dom przez cały dzień. Zadania tego podjął się nie kto inny, jak *Maître* [(fr.) tu: kierownik hotelu] Garceau z Chien Bleu. Nie spuszczał oka z drzwi numeru 252 od dziesiątej rano, kiedy to przyszedł Sar, aż do czwartej po południu. Przez cały ten czas drzwi nie były otwierane ani razu, o czym mógł zaświadczyć znaczek za dziesięć centymów przyklejony w miejscu, gdzie futryna styka się z drzwiami.

Okolo czwartej biedny Garceau niemalże padł trupem z przerażenia, gdy złowieszcza postać Torrellego prześlizgnęła się obok niego z suchym: „*Pardon, monsieur*” i na powrót zniknęła pod numerem 252.

Tym dziwniejsza była to sytuacja, że dom *mademoiselle* de Tartas szczelnie otaczały inne budynki, a jego jedyne okna wychodziły na podwórze niewidoczne ani z Rue M. le Prince, ani z Rue de l’Ecole. Tajemnica tego domu mieniła się jedną z największych sensacji Quartier Latin.

Raz na rok mroczną aurę rozpraszało pojawienie się szeregu powozów, w tym wielu prywatnych i kilku z herbami wymalowanymi na drzwiach. Mieszkańcy całej dzielnicy patrzyli z szeroko otwartymi ustami, jak wysiadają z nich kobiety z twarzami przesłoniętymi woalkami oraz mężczyźni z postawionymi kołnierzami futer. Wszyscy oni wchodzili do domu pod numerem 252, z którego dobiegała już dziwaczna muzyka, a ci, których domy przylegały do 252, nagle zyskiwali popularność, gdyż po przytknięciu ucha do ściany dawało się wyraźnie usłyszeć ową muzykę, a czasem również monotonnie skandujący chór. O świcie ostatni goście znikali i na najbliższy rok dom *mademoiselle* de Tartas znów stawał się miejscem złowieszczo cichym.

Eugene twierdził, że jego zdaniem świętowano tam Walpurgisnacht [(niem.) noc Walpurgii], na co w rzeczy samej wskazywało wiele poszlak.

– Dziwne w tej całej sprawie jest to – opowiadał – że każdy mieszkaniec tej ulicy gotów jest przysiąc, iż jakiś miesiąc temu, gdy gościłem w Concarneau, znów słyszano tę muzykę i głosy, zupełnie jak wtedy, gdy moja szanowna ciotka przebywała jeszcze wśród żywych. Dom był jednak całkiem pusty, a zatem istnieje całkiem spora szansa, że ci dobrzy ludzie doznali zbiorowej halucynacji.

Muszę przyznać, że żadna z tych historii nie podniosła mnie na duchu. W miarę jak zbliżał się czwartek, zaczynałem żałować pomysłu spędzenia nocy w domu świętej pamięci ciotki. Próżność nie pozwoliła mi się jednak wycofać, a całkowity chłód oraz spokój obu doktorów, którzy zajrzeli do Meudon we wtorek, by poczynić kilka ustaleń, sprawiły, że poprzysiągłem w duchu raczej umrzeć ze strachu, niż choćby się wzdrygnąć. Myślę, że wówczas raczej wierzyłem w duchy. Teraz, gdy jestem starszy, wierzę w nie na pewno, choć prawdę mówiąc nie ma już wielu rzeczy, których istnienie poddawałbym w wątpliwość.

Przytrafiło mi się kilka niewytłumaczalnych zdarzeń i nabrałem skłonności, by wierzyć w to, czego nie umiem wyjaśnić, tym bardziej, że wiek pozbawia człowieka wyrozumiałości dla siebie samego.

Cóż, wróćmy jednak do tej pamiętnej nocy dwunastego czerwca. Zakończyliśmy przygotowania i dostarczyliśmy pod numer 252 wielką torbę, a następnie poszliśmy do Chien Bleu, gdzie wkrótce pojawili się Fargeau i Duchesne. Wspólnie zasiedliśmy do najlepszego obiadu, jaki tylko *Père Garceau* potrafił przygotować.

Pamiętam, że rozmowa raczej nie była mi w smak. Rozpoczęła się od najrozmaitszych opowieści o indyjskich fakirach i orientalnych kuglarzach, a zatem od kwestii, w których Eugene był wyjątkowo odczytany, potem zбочyła w stronę wielkiego buntu sipajów, aż wreszcie skupiła się na reminiscencjach z sal operacyjnych. Wypiliśmy już sporo i Duchesne rozpoczął niezwykle drobiazgowy opis jednej jedynej sytuacji, kiedy to ogarnęła go panika.

Pewnej nocy wiele lat wcześniej został przez przypadek zamknięty na noc w sali szpitalu Loucine, gdzie przeprowadzano sekcje zwłok, wraz z kilkunastoma trupami o niezbyt przyjemnym wyglądzie. Ośmieliłem się łagodnie zaprotestować przeciwko takiemu doborowi tematów, co

zaowocowało istnym karnawalem makabrycznych opowieści. Gdy wreszcie wypiliśmy nasze ostatnie *crème de cacao* i postanowiliśmy wyruszyć ku la Bouche d'Enfer, miałem już zszargane nerwy.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Na policzkach czuliśmy ciepłe podmuchy wiatru, który zrywał się co chwila w paryskich uliczkach, a przez purpurowe niebo gnały postrzępione masy chmur. Zapowiadała się nieprzyjemna, nostalgiczna noc, jedna z tych beznadziejnych nużących nocy, kiedy to człowiek, pod warunkiem, że jest w domu, nie ma ochoty na nic poza pićem bourbona z cukrem i miętą oraz paleniem papierosów.

Eugene otworzył skrzypiącą bramę i spróbował zapalić jedną z latarni, ale porywisty wiatr zdmuchiwał każdą zapałkę. Musieliśmy więc za sobą zamknąć, nim zdołaliśmy skrzesać ogień. Gdy już płomienie błyskały we wszystkich latarniach, zacząłem się z zaciekawieniem rozglądać. Staliśmy w długim, sklepionym przejściu częściowo przeznaczonym dla pojazdów, a częściowo dla pieszych. Nie licząc garstki śmieci i zeschniętych liści, które przywiał tu wiatr, wokół panowała całkowita pustka. Dalej znajdowało się podwórze, zagadkowe miejsce, którego tajemniczość podkreślały jeszcze kapryśny blask księżyca oraz światło naszych czterech latarni. Miejsce to swego czasu z pewnością prezentowało się wspaniale.

Naprzeciwno wznosiła się najstarsza część domu, trzykondygnacyjna fasada pamiętająca czasy Franciszka I, w połowie zakryta bluszczem. Ściany po prawej i lewej stronie podwórza były nowsze, pochodziły może z siedemnastego wieku i nie grzeszyły urodą, natomiast ścianę z bramą prowadzącą na ulicę zbudowano z najpospolitszej cegły.

Pod naszymi nogami walały się przywiane przez wiatr skrawki papieru, słoma i resztki skrzynek do pakowania towarów. Podwórze wydawało się nierzeczywiste, jakby nie z tego świata, oblane migotliwym blaskiem, obramowane skaczącymi cieniami, przykryte wiszącymi nisko, postrzępionymi chmurami, które to zakrywały gwiazdy, to znów je odsłaniały. Wrażenie niesamowitości pogłębiała jeszcze całkowita cisza – zdawało się, że do tego przypominającego więzienie miejsca nie dociera z ulicy żaden odgłos.

Muszę przyznać, że powoli zaczął mi się udzielać mroczny nastrój tego miejsca, choć mój strach wydawał się nielogiczny, zupełnie jak u ludzi,

którzy sami się w niego wpędzają.

Nie byłem w stanie wpaść na nic bardziej podnoszącego na duchu od owych wspaniałych wersów autorstwa Lewisa Carrolla:

Tak, to wyspa żmirlacza! Słowa te, drogie dzieci, To zachęta dla was, nie przykrość.

Tak, to wyspa żmirlacza! Oto rzekłem raz trzeci: Prawdą jest powiedziane po trzykroć.

[Lewis Carroll, Wyprawa na żmirlacza: męka w ośmiu konwulsjach].

Powtarzałem je gorączkowo w myślach aż do znudzenia.

Nawet dwaj doktorzy urwali pogawędkę i z powagą przyglądali się otoczeniu.

– Jedna rzecz jest pewna – oznajmił Fargeau. – Tutaj mogłoby się dzieć dosłownie wszystko i nikt nigdy by tego nie odkrył. Widzieliście kiedykolwiek lepsze miejsce na kryjówkę łotrów spod ciemnej gwiazdy?

– Teraz też może się tu dzieć dosłownie wszystko, a całkowita bezkarność gwarantowana – oznajmił Duchesne, zapalając fajkę. Trzask zapalki sprawił, że wszyscy aż podskoczyliśmy. – D’Ardeche, twoja świętej pamięci krewniaczka doskonale się ustawiła.

Miała tutaj świetne warunki na przeprowadzanie swych tradycyjnych eksperymentów z demonologii.

– Niech mnie kule biją, jeśli te tradycje nie są mniej lub bardziej oparte na faktach – odparł Eugene. – Nigdy wcześniej nie widziałem tego podwórza w podobnych okolicznościach, ale teraz jestem gotów uwierzyć we wszystko. Co to było?

– Tylko trzaśnięcie drzwiami – rzekł głośno Duchesne.

– Cóż, wolałbym, żeby w domach pustych od jedenastu miesięcy drzwi raczej nie trzaskały.

– To doprawdy irytujące. – Duchesne wsunął rękę pod moje ramię. – Powinniśmy jednak przyjmować fakty takimi, jakie się nam jawią. Pamiętajcie, że musimy stawić tu czoła nie tylko widmom pozostawionym przez ciotkę drogiego Eugene’a, ale również owej klątwie czarciego syna Torrevellego. Chodźmy. Wejdzmy do środka, nim wybije północ i odziane w prześcieradła duchy zaczną pisać i bełkotać w tych pustych

korytarzach. Zapalcie fajki, wasz tytoń jest pewną ochroną przeciwko tym bękarcim truposzom. No, zapalać i idziemy.

Otworzyliśmy drzwi i weszliśmy do westybulu z kamiennym sklepieniem, pokrytym kurzem i pajęczynami.

– Na tym piętrze nie ma nic prócz pokojów dla służby oraz biur – rzekł Eugene. – Nie wydaje mi się, by było z nimi coś nie tak. Przynajmniej nic takiego nigdy do moich uszu nie dotarło. Chodźmy na górę.

Z tego, co udało nam się dojrzeć, dom prezentował się w środku całkiem zwyczajnie.

Wnętrze pochodziło z osiemnastego wieku i najwyraźniej jedynie fasada wraz z westybulem stanowiły pamiątkę po dziejach Franciszka I.

– Podczas terroru jakobińskiego wybuchł tutaj pożar – wyjaśnił Eugene. – A to dlatego, iż mój dziadek stryjeczny, po którym *mademoiselle* de Tartas odziedziczyła ten dom, był dobrym, wiernym rojalistą. Po rewolucji wyjechał do Hiszpanii i nie powrócił do czasu wstąpienia na tron Karola I. Wtedy to odbudował dom i zmarł w bardzo późnym wieku. To tłumaczy, dlaczego wszystko wydaje się takie nowe.

Stary hiszpański czarodziej, któremu *mademoiselle* de Tartas zapisała cały osobisty dobytek, bardzo sumiennie podszedł do swego zadania – dom był całkowicie pusty, znikły nawet wbudowane w ścianę gabloty i biblioteczki. Zaglądaliśmy do każdego pokoju, lecz za każdym razem witały nas gołe ściany. Na miejscu zostały jedynie drzwi i okna, podłogi kryte parkietem oraz kwieciste, renesansowe obramowania kominka.

– Już czuję się lepiej – rzekł Fargeau. – Może i ten dom jest nawiedzony, ale tak nie wygląda, z całkowitą pewnością. Trudno sobie wyobrazić zaniejsze i porządniejsze miejsce!

– Lepiej poczekaj z tymi uwagami – odparł Eugene. – To pokoje, których moja ciotka praktycznie nie używała, za wyjątkiem, być może, jej corocznych zlotów na Walpurgisnacht.

Chodźcie na górę, pokażę wam bardziej urokliwą *mise en scene* [(fr.) *sceneria, otoczenie*].

Na pierwszym piętrze znajdowały się cztery niewielkie sypialnie z oknami wychodzącymi na podwórze. Stanem i wyglądem niczym nie różniły się od pomieszczeń na parterze.

– Z wielu powodów to okropne pokoje – stwierdził Eugene.

Przejście, którym szliśmy, łączyło się z korytarzem prowadzącym wzdłuż skrzydła.

Tam natrafiliśmy na drzwi różne od wszystkich innych, obite nadgryzionym nieco przez mole zielonym rypsem. Z pęczka u pasa Eugene wyłuskał właściwy klucz i przekręcił go w zamku, a potem nie bez trudności pchnął drzwi, które wydawały się tak ciężkie, jakby je wykonano z myślą o wielkim sejfie.

– Znajdujemy się teraz na progu samego piekła – powiedział. – Pokoje, które zaraz zobaczycie, to największe diabelstwo w posiadaniu mojej ciotki. Nigdy ich nie wynajmuję razem z resztą domu, trzymam je jako ciekawostkę. Szkoda tylko, że Torrevella je także splądrował. Nie zostało tam nic prócz ścian, sufitu i podłogi. Same ściany jednakże mogą podsunąć kilka wyobrażeń, jak te pokoje niegdyś wyglądały. A zatem zadrzyjcie ze strachu jak należy i wchodźcie za mną!

Pierwszy pokój był czymś na kształt sieni, pozbawionym okien sześcianiem o krawędzi jakichś pięciu metrów, lecz zaopatrzonym w dwoje drzwi – te, przez które weszliśmy, oraz drugie po prawej stronie. Ściany, podłogę i sufit pokrywał czarny, doskonale wypolerowany lakier, który odbijał światła naszych latarni na tysiące cudaczych sposobów.

Przypominało to wnętrze ogromnego japońskiego pudła i było równie puste.

Przeszliśmy do kolejnego pokoju, a tam niemal upuściliśmy latarnie. Znaleźliśmy się bowiem w okrągłym pomieszczeniu liczącym być może dziesięć metrów średnicy i przykrytym półkolistą kopułą. Ściany i sufit pomalowano na ciemnoniebiesko i upstrzono złotymi gwiazdkami, lecz uwagę przykuwał inny malunek – wykonana czerwonym lakierem naga, klęcząca kobieta. Jej nogi sięgały daleko w bok, pochylona głowa dotykała nadproża – Z wielu powodów to okropne pokoje – stwierdził Eugene.

Przejście, którym szliśmy, łączyło się z korytarzem prowadzącym wzdłuż skrzydła.

Tam natrafiliśmy na drzwi różne od wszystkich innych, obite nadgryzionym nieco przez mole zielonym rypsem. Z pęczka u pasa Eugene wyłuskał właściwy klucz i przekręcił go w zamku, a potem nie bez

trudności pchnął drzwi, które wydawały się tak ciężkie, jakby je wykonano z myślą o wielkim sejfie.

– Znajdujemy się teraz na progu samego piekła – powiedział. – Pokoje, które zaraz zobaczycie, to największe diabelstwo w posiadaniu mojej ciotki. Nigdy ich nie wynajmuję razem z resztą domu, trzymam je jako ciekawostkę. Szkoda tylko, że Torrevella je także splądrował. Nie zostało tam nic prócz ścian, sufitu i podłogi. Same ściany jednakże mogą podsunąć kilka wyobrażeń, jak te pokoje niegdyś wyglądały. A zatem zadrżycie ze strachu jak należy i wchodźcie za mną!

Pierwszy pokój był czymś na kształt sieni, pozbawionym okien sześcianem o krawędzi jakichś pięciu metrów, lecz zaopatrzonym w dwoje drzwi – te, przez które weszliśmy, oraz drugie po prawej stronie. Ściany, podłogę i sufit pokrywał czarny, doskonale wypolerowany lakier, który odbijał światła naszych latarni na tysiące cudacznych sposobów.

Przypominało to wnętrze ogromnego japońskiego pudła i było równie puste.

Przeszliśmy do kolejnego pokoju, a tam niemal upuściliśmy latarnie. Znaleźliśmy się bowiem w okrągłym pomieszczeniu liczącym być może dziesięć metrów średnicy i przykrytym półkolistą kopułą. Ściany i sufit pomalowano na ciemnoniebiesko i upstrzono złotymi gwiazdkami, lecz uwagę przykuwał inny malunek – wykonana czerwonym lakierem naga, klęcząca kobieta. Jej nogi sięgały daleko w bok, pochylona głowa dotykała nadproża drzwi, przez które właśnie weszliśmy, dłonie tworzyły ich futrynę, a ramiona i łokcie rozciągały się i biegły przez całą ścianę, by zetknąć się z długimi stopami.

Sądzę, że była to najbardziej niezwykła, złowieszcza i przerażająca rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Z wymalowanego na suficie brzucha kobiety zwisał wielki biały przedmiot przypominający jajo roka z Baśni z tysiąca i jednej nocy. W pokrytej czerwonym lakierem podłodze znajdował się wykonany z szerokich pasów mosiądzu pentagram. W jego centrum umieszczono pojedynczy okrągły dysk z czarnego kamienia, kształtem przypominający nieco miskę z niewielkim ujściem pośrodku.

Pokój wywarł na nas oszałamiające wrażenie, a zwłaszcza owa gigantyczna, kucająca nad nami czerwona figura, której spojrzenie

mierzyło przebywającego tu człowieka, gdziekolwiek by stanął. Szok był tak głęboki, że nikt z nas nie odezwał się słowem.

Trzeci pokój przypominał pierwszy, jeśli chodzi o wymiary, lecz zamiast czarnego lakieru podłogę, sufit i ściany pokrywała mosiężna blacha, która zaczynała zielenieć, choć wciąż połyskiwała w świetle naszych latarni. W środku stał podłużny ołtarz z porfiru, a wzdłuż jednej ze ścian, naprzeciwko szeregu drzwi, ciągnął się piedestał z czarnego bazaltu.

To było wszystko. Trudno sobie wyobrazić trzy bardziej osobliwe pokoje, nawet jeśli pominąć ów fakt, że ogołocoło je uprzednio z wyposażenia. W Indiach czy Egipcie nie budziłyby może takiego zdziwienia, ale w zwykłej kamienicy na Rue M. le Prince stanowiły widok iście niewiarygodny.

Wróciliśmy przed żelazne drzwi obite rypsem. Eugene zamknął je na klucz, po czym weszliśmy do jednego z pokoiów we frontowej części budynku i usiedliśmy, spoglądając po sobie.

– Twoja ciotka była doprawdy zacną osobką – rzekł Fargeau. – Przemięła staruszką z czarującymi upodobaniami. Cieszę się, że nie będziemy spędzać nocy w tamtych pokojach!

– Jak sądzisz, co ona tam wyrabiała? – dopytywał Duchesne. – Orientuję się trochę w mrocznej sztuce, ale nie mam pojęcia, do czego mogły te pomieszczenia służyć.

– Mam wrażenie, że ten nieprzyzwoity pokój był czymś na kształt sanktuarium – rzekł d'Ardeche. – Na owym bazaltowym cokole stał jakiś posąg, natomiast kamień pośrodku pełnił funkcję ołtarza, choć nie podejmuję się zgadywać natury składanych tu ofiar. Okrągły pokój zapewne wykorzystywano do inwokacji oraz inkantacji, o czym świadczy pentagram. Tak czy owak, trudno mi sobie wyobrazić coś dziwniejszego lub w sposób bardziej dobitny przywodzącego na myśli de sićcle *[(fr.) koniec wieku]*. Hej, już prawie północ. Lepiej się przygotujmy, jeśli chcemy złapać to coś.

Wedle opowieści dawnych lokatorów nawiedzone były owe cztery sypialnie, zaś na skrzydłach nic się nie działo. Z tego, co wiedzieliśmy, na parterze również panował spokój.

Ustaliliśmy, że każdy z nas zajmie jedną sypialnię, zapali w niej światła i

zostawi drzwi otwarte. Słyszając najcichszy nawet stukot czy okrzyk, mieliśmy wszyscy zbiec się do pokoju, z którego dobiegło ostrzeżenie. Sypialnie nie były w żaden sposób połączone, ale po otwarciu drzwi na oścież wszelkie odgłosy dało się doskonale słyszeć.

Mnie przypadła ostatnia sypialnia w rzędzie. Obejrzałem ją dokładnie.

Nie znalazłem niczego podejrzanego – wydawała się zwykłym kwadratowym pokojem z wysokim, pomalowanym na biało drewnianym sufitem. Zakurzona podłoga była wyłożona panelami z klonowego i wiśniowego drewna, zaś ściany pokryte zwykłymi francuskimi tapetami, najwyraźniej całkiem świeżymi. Znajdował się tam również niewielki marmurowy kominek, a na podwórze wychodziły dwa głęboko gładowane okna.

Nie bez trudności otworzyłem okno, a potem usiadłem przy nim z latarnią skierowaną na jedyne drzwi wychodzące na korytarz.

Na zewnątrz zrobiło się bardzo cicho – cicho i gorąco. Kłęby fosforyzujących chmur gęstniały szybko nad dachami, teraz już niepopędzane przez podmuchy porywistego wiatru.

W gęstym, stojącym powietrzu zwisały martwo liście wistarii o niemiłym zapachu, których zieleń tu i ówdzie urozmaicał kolor kwitnącego po raz drugi kwiatu. Ponad dachami niósł się odgłos spóźnionej *fiacre* [(fr.) *dorożka*]. Nabіłem znów fajkę i czekałem.

Przez jakiś czas towarzyszyły mi głosy moich kompanów, dobiegające z sąsiednich pokoi i sam też z początku do nich pokrzykiwałem, ale mój głos niósł się nieprzyjemnym echem po długich korytarzach. Co więcej, odnosiłem niemiłe wrażenie, że za każdym razem wibrował w lewym skrzydle tuż obok mnie i wpadał z powrotem przez wybite okno, ale wtedy brzmiał jak głos innego człowieka. Dałem więc sobie spokój z próbami podtrzymania rozmowy i skupiłem się na próbach odpędzenia snu.

Nie było to łatwe zadanie. Po cóż ja jadłem sałatę u *Père Garceau*? Przecież sałata zawsze sprawia, że ogarnia mnie senność nie do opanowania, a w tej sytuacji czujność stanowiła najwyższy priorytet. Co prawda ulżyło mi na myśl o tym, że odwaga całkiem mnie nie opuściła i że w tych okolicznościach potrafiłem jeszcze myśleć o śnie, lecz ze względów naukowych musiałem zachować trzeźwość osądu.

Tymczasem sen nigdy dotąd nie był aż taką pokusą. Chyba ze sto razy zdrzemnąłem się na krótką chwilę tylko po to, by się poderwać w przestrachu i odkryć, że zgasła mi fajka.

Wysiłek związany z roznieceniem ognia na nowo również mnie nie cucił. Mechanicznie pocierałem zapałką o draskę i już po pierwszym pyknięciu czułem, jak otula mnie sen.

Irytowało mnie to do granic.

W końcu wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju. Od siedzenia w tej samej pozycji ścierpły mi nogi, czułem też odrętwienie jakby od chłodu. Ani z ulicy, ani z innych pokoiów nie dobiegały już żadne dźwięki. Znowu opadłem na fotel. Ależ ciemno się zrobiło!

Wydłużyłem knot w latarni. W fajce znowu nie było żaru – jakże uporczywie gasła! O, i skończyły się zapałki. W pokoju robiło się ciemniej, czyżby i latarnia przygasła? Uniosłem głowę, by jeszcze raz wydłużyć knot. Latarnia była ciężka niczym ołów, spadła na ziemię tuż obok mnie.

I wtedy naprawdę się przebudziłem. Przypomniałem sobie *The Haunted and the Haunters* autorstwa Edwarda Bulwer-Lyttona. Oto był Horror! Próbowałem się podnieść, próbowałem coś krzyknąć, lecz ciało miałem jak z kamienia, a język skołowaciały. Ledwie mogłem poruszać gałkami ocznymi. Bez wątpienia światło całkiem zgasło, a mimo to robiło się coraz ciemniej. Wzór tapety na ścianach krok po kroku pożerany był przez nadciągającą noc. Każdy mój nerw spowiło kłujące, dokuczliwe odrętwienie, prawa dłoń bez czucia zsunęła się z kolana i zawisła bezsilnie, już nie mogłem jej unieść. W głowie odezwało się ciche, lecz ostre brzęczenie przypominające wrześnieowy śpiew cykad na zboczach wzgórza.

Ciemność nadciągała szybko.

Tak, nie było wątpliwości – coś właśnie opanowywało moje ciało i mój umysł, coś powoli sprawiało, że ulegałem paraliżowi, że fizycznie ulatywały ze mnie resztki życia.

Gdybym tylko zdołał zachować umysł wraz ze świadomością, pozostałbym bezpieczny, czy jednak było to możliwe? Czy mogłem się przeciwstawić szalonej ciszy tego koszmaru? Czy mogłem stawić czoła coraz głębszej ciemności i pożerającemu mnie odrętwieniu?

Wiedziałem, podobnie jak ów człowiek w opowieści o duchach, że moja jedyna szansa polegała na ocaleniu świadomości.

W końcu nadszedł kres. Ciało umarło całkowicie, nie byłem zdolny poruszać nawet oczami. Zastygły wpatrzony w miejsce, gdzie wcześniej znajdowały się drzwi, a obecnie jedynie plama coraz głębszego mroku.

Zapanowały absolutne ciemności, ognek lampy stanowił już tylko wspomnienie.

Siedziałem i czekałem. Mój umysł nadal pracował, lecz jak długo jeszcze? Nawet skrajne przerażenie nie może trwać wiecznie.

Koniec nadszedł chwilę później. W aksamitnym mroku pojawiła się para oczu, mlecznych, niewielkich, opalizujących, wciąż odległych oczu niczym z martwego koszmaru.

Były przerażające, a przy tym piękniejsze, niż mogę to opisać. Tymczasem zewsząd poczęły nadlatywać migotliwe, białe płomyki. Sunęły ku tym oczom niczym krople płynnego opalu spływające do okrągłego tunelu, znikwały w nich i znów się pojawiały. Nawet gdybym był w stanie, nie oderwałbym od nich wzroku. Owe dwa straszliwe cuda rosły powoli, powolutku, wpatrzony we mnie, nadchodzące, coraz piękniejsze. Płomyki wnikały w nie coraz szybciej, a one były coraz bliżej – im bliżej zaś, tym większa stawała się moja szalona fascynacja.

Niczym potworna, nieubłagana machina śmierci oczy nieznanego Horroru pęczniały, aż znalazły się tuż przede mną, ogromne, straszliwe. Na twarzy poczułem chłodny, wilgotny oddech o mechanicznej wprost regularności. Osnuł mnie obłok agonii cuchnący trupiarnią.

Czasem zwykły strach pociąga za sobą różnego rodzaju skutki fizyczne, ale ja w obliczu tej nieopisanej Rzeczy odczuwałem jedynie bezgraniczne, potworne przerażenie w umyśle, obłądny strach płynący z niekończącego się, upiornego koszmaru. Raz za razem próbowałem uwolnić z trzewi wrzask, wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, lecz moje ciało było całkowicie obumarłe. Czuję tylko, jak perspektywa okropnej śmierci pozbawia mnie kontroli nad samym sobą. Oczy były blisko, a poruszały się tak szybko, że przypominały wręcz tętniące płomienie. Trupi oddech otaczał mnie niczym głębiny najgłębszego z mórz.

Nagle poczułem usta – mokre i lodowato zimne, galaretowate i

bezkształtne, przypominające pysk martwej ryby – które wpijają się w moje. Przerazająca istota zaczęła z wolna wysysać ze mnie życie, lecz w miarę jak otaczały mnie ogromne, pulsujące fałdy półstałej masy, poczułem, jak niespodziewanie powraca mi wolna wola, a skrajne przerażenie ostatecznie budzi ciało z odrętwienia. Natarłem na ową bezimienną śmierć, która próbowała mnie pochłonąć.

Z czym ja walczyłem? Moje ręce ugrzęzły w lepkiej, niestawiającej oporu materii, która zamieniała ciało w bryłę lodu. Co chwila otaczały mnie kolejne fałdy zimnej masy, miażdżąc mnie z tytaniczną siłą. Walczyłem, usiłując uwolnić usta z owej okropnej Rzeczy, która je zalepiała, lecz za każdym razem, gdy już zdołałem osiągnąć sukces i zaczerpnąć tchu, wilgotna masa zalewała mi twarz, nim zdążyłem krzyknąć. Miałem wrażenie, że mój opór trwa całą wieczność. Zmagałem się z desperacją, z szaleńczym zacięciem w ciszy, która była bardziej przerażająca od jakiegokolwiek dźwięku. Walczyłem, aż poczułem bliskość śmierci, a przez umysł przemknął strumień wspomnień z całego życia. Nie miałem już siły, by nadal próbować uwolnić twarz od piekielnego sukuba, targnąłem się mechanicznie jeszcze raz, a potem upadłem i zaprzestałem walki.

Usłyszałem głos, który powiedział: – Jeśli on nie żyje, nigdy sobie tego nie wybaczę. To moja wina!

Ktoś inny odparł:

– On żyje. Jestem pewien, że zdołamy go uratować, jeśli tylko dotrzemy do szpitala na czas. Pędź pan jak wszyscy diabli, *cocher [(fr.) woźnica]!* Dostaniesz dwadzieścia franków, jeśli znajdziemy się tam w trzy minuty!

Potem znów była ciemność i nicość, aż wreszcie rozwarłem powieki i rozejrzałem się dookoła. Znajdowałem się na oddziale szpitalnym, niezmiernie białym i słonecznym. U mego wezglowia stał dzban z kilkoma żółtymi *fleurs-de-lis [(fr.) irysy]*, a u mego boku czuwała wysoka Siostra Miłosierdzia.

By nie przeciągnąć tej historii w nieskończoność, powiem, że leżałem w Hotel Dieu, dokąd zabrano mnie po tej straszliwej nocy dwunastego czerwca. Zapytałem, czy mógłbym się widzieć z doktorem Fargeau lub doktorem Duchesne. Po chwili zjawił się ten drugi, usiadł przy łóżku i o wszystkim mi opowiedział.

Wyglądało na to, że pozostała trójka siedziała w swoich pokojach jeszcze długo. Nic się nie działo, byli znudzeni i rozczarowani. Nieco po drugiej w nocy Fargeau, który zajmował sypialnię po sąsiedzku, zapytał, czy aby nie śpię. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, więc ponowił zapytanie, a w końcu ujął latarnię i poszedł sprawdzić, co się ze mną dzieje.

Okazało się, że drzwi mojego pokoju są zamknięte od zewnątrz! Natychmiast zawołał d'Ardeche'a oraz Duchesne'a. Wspólnie uderzyli barkami o drzwi, by jej wyważyć, lecz te wytrzymały ich napór.

Tymczasem ze środka dobiegały dźwięki kroków miotającego się chaotycznie człowieka oraz ciężkie sapanie. Pomimo obezwładniającego strachu moi towarzysze uparli się wyważyć drzwi i w końcu dopięli swego, używając marmurowej płyty, która pełniła rolę półki kominkowej w pokoju Fargeau. Gdy drzwi ustąpiły z trzaskiem, jakaś siła odrzuciła ich gwałtownie na ścianę korytarza. Latarnie zgasły, zapanowały całkowite ciemności.

Otrząsnąwszy się z szoku, wbiegli do pokoju i przypadli do mojego nieprzytomnego ciała. Zapalili jedną z latarni, a wtedy ujrzeli najdziwniejszą rzecz, jaką tylko można sobie wyobrazić – podłoga i ściany sypialni aż do wysokości dwóch metrów ociekały czymś, co przypominało zastałą wodę, gęstą, lepłą i cuchnącą. Moje ciało również było pokryte ową przeklętą cieczą. W powietrzu wisiał mdlący smród piżma.

Wyciągnęli mnie stamtąd, zdarli ze mnie ubranie, otulili własnymi płaszczami i zawieźli do szpitala, bojąc się, czy nie wyzionąłem ducha. Nieco po wschodzie słońca d'Ardeche opuścił szpital, podniesiony na duchu i przekonany, że z czasem dojdę do siebie.

Fargeau udał się wraz z nim. Obaj zamierzali w świetle dnia obejrzeć ślady po naszej przygodzie, która nieomal skończyła się tragicznie. Spóźnili się. Gdy przechodzili nieopodal Académie, minęły ich wozy strażackie. Do d'Ardeche'a podbiegł wówczas sąsiad, krzyząc: – Och, *monsieur*, cóż za pech i szczęście zarazem! La Bouche d'Enfer – przepraszam, miałem na myśli rezydencję nieodżałowanej *mademoiselle* de Tartas – spłonęło, ale nie całkiem! Pożar zabrał tylko tę starą część! Skrzydła ocalały, za co pochwała należy się dzielnym strażakom. Nie wątpię, że *monsieur* będzie ich dobrze wspominał!

Nie pomylił się wiele. Nie wiadomo, czy pożar wzniciła przewrócona przypadkowo podczas zamieszania latarnia, czy też należałoby się doszukiwać innych, bardziej nadprzyrodzonych przyczyn, ale nie ulegało wątpliwości, że Brama Piekieł przestała istnieć.

Gdy d'Ardeche przybył na miejsce, już tylko jeden wóz strażacki pompował powoli wodę.

Pół tuzina sflaczałych i jeden wciąż napęczniały wąż ciągnęły się przez *porte cochère* [(fr.) brama dla wozów]. Od frontu ocalała fasada z czasów Franciszka I, nadal udrapowana czarnymi łodygami zwęglonej wistarii. Dalej ciągnęły się zgliszcza, z których unosił się rzadki dym. Po piętrach budynku nie było śladu – tak oto tajemnicze komnaty *mademoiselle* Blaye de Tartas przeszły do historii.

Rok temu odwiedziłem to miejsce wraz z d'Ardeche'em. Zamiast historycznych murów zastaliśmy dopiero co wykończony i całkiem imponujący budynek.

Niezwykłe opowieści o starym Bouche d'Enfer wciąż jednak krążyły po dzielnicy i niewątpliwie będą krążyć dalej, aż do Dnia Sądu Ostatecznego.

Ursula K. Le Guin (ur. 1919) jest jednym z najbardziej uznanych autorów literatury fantastycznej na świecie. Od ponad czterdziestu lat pisze fantasy i science fiction zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci. Jej najsłynniejsze dokonania to niemal na pewno powieść Czarnoksiężnik z Archipelagu (1968), dzięki której zdobyła pierwszą z prawie dwudziestu nagród. Świat Ziemiomorza zafascynował ją do tego stopnia, że już niebawem powstały dwa kolejne tomy: Grobowce Atuanu (1970), Najdalszy brzeg (1971), uzupełnione dwadzieścia lat później o Tehanu (1990), Inny wiatr (2001) oraz antologię Opowieści z Ziemiomorza (2001).

Jeśli ktoś czytał Czarnoksiężnika z Archipelagu, być może pamięta, że gdy tylko rozniosły się wieści o tym, jak to młody Ged uratował Armouth przed kargijskimi wojownikami, odwiedził go czarodziej Ogion Cichy. Okoliczni mieszkańcy pamiętali go jako tego, który powstrzymał trzęsienie ziemi. Na opowiadanie o Ogionie musieliśmy czekać ponad trzydzieści lat, ale wreszcie się doczekaliśmy.

Ursula K. Le Guin

KOŚCI ZIEMI

Znów zaczęło padać i czarodziej z Re Albi poczuł wielką pokusę, aby rzucić jakiś czar pogodowy, jakiś mały czar, by przegonić deszcz za góry. W kościach go łupało. Jego stare kości tęskniły za powrotem słońca, którego promienie wreszcie by ogrzały i wysuszyły znużone ciało. Oczywiście mógłby powstrzymać ból odpowiednim czarem, ale magia tłumiała ból jedynie na krótką chwilę. Na to, co mu dolegało, lekarstwa nie było. Stare kości potrzebują słońca i basta. Czarodziej stał przez chwilę na progu swego domu, za plecami mając ciemną izbę, a przed sobą powietrze rozcinane strugami deszczu, i z całej siły powstrzymywał się przed użyciem magii, wściekły zarazem na to, że się powstrzymuje, jak i na to, że

musi to robić.

Nigdy nie przeklinał – ludzie o takiej mocy nie przeklinają, albowiem nie jest to bezpieczne – ale odchrząknął chrapliwie niczym niedźwiedź. Chwilę później nad wysokimi, niewidocznymi spod jego domu zboczami Góry Gont przetoczył się grzmot, którego echo rozbrzmiało od północy aż po południe i ucichło gdzieś pośród okrytych mgłą borów. Piorun to dobry znak, pomyślał Dulse. Wkrótce przestanie padać.

Naciągnął kaptur i wyszedł na deszcz, by nakarmić kurczaki.

Przeszukał kurnik i odnalazł trzy jajka. Ruda Bucca wysiadywała swoje, które lada chwila miały się wykluć. Dokuczało jej roztocze, przez co prezentowała się niechlujnie i wyglądała na rozżłoszczoną. Rzucił kilka słów, by przegnać pasożyty, przykazał sobie solennie, że nie zapomni wysprzątać kolejnego pudła, gdy tylko kurczaki się wylęgną i poszedł na podwórze, gdzie zwykle kręcił się drób. Brązowa Bucca, Szarunia, Pończoszka, Niewiniątko oraz Król stłoczyły się ciasno pod okapem, skąd wygłaszały cichutkie, lecz uszczypliwe uwagi na temat deszczu.

– W południe będzie już po wszystkim – stwierdził czarodziej. Nakarmił je i pokuśtykał do domu z trzema świeżymi jajkami.

Jako dziecko uwielbiał chodzić boso po błocie. Pamiętał, że najbardziej lubił, gdy zimne błotko wciskało mu się między palce. Wciąż lubił chodzić boso, ale błoto przestało mu się podobać – lepiło się do stóp, a on nie przepadał za nachylaniem się i czyszczeniem nóg na progu. Dopóki w izbie miał polepę, dopóty nie przeszkadzało mu to nic a nic, ale od jakiegoś czasu niczym szlachcic, zamożny kupiec czy arcyomag mógł się pochwalić drewnianą podłogą. Dostał ją, by jego kościom było ciepło i sucho, i to bynajmniej nie on o nią poprosił.

Zrobił ją Cisza, który przybył tu zeszłej wiosny z Portu Gont. Swego czasu pokłócili się nawet o to i Dulse wielce tego żałował. Kłócili się często i po tylu latach powinien wiedzieć, że kłótnie z Ciszą mijają się z celem.

– Chodzę po gołej ziemi od siedemdziesięciu pięciu lat! – perorował Dulse. – Kilka więcej mnie nie zabije!

Cisza oczywiście nie zareagował wtedy ani słowem, dał mu czas na przemyślenie tego, co właśnie powiedział, i zrozumienie swej głupoty.

– Polepę łatwiej utrzymać w czystości – ciągnął Dulse, choć wiedział, że

już przegrał potyczkę. To prawda, że dobrze ubitą glinianą polepę wystarczało zamieść i od czasu do czasu spryskać wodą, by kurz się nie unosił, lecz zdanie to mimo wszystko zabrzmiało głupio.

– Kto ma niby położyć tę podłogę? – zapytał w końcu, tym razem po prostu zrzędliwie.

Cisza skinął głową, co oznaczało, że zajmie się tym osobiście. Chłopak był w istocie kapitalnym rzemieślnikiem – znał się na stolarstwie, ciesielce, murarce i dekarstwie, co udowodnił niejednokrotnie podczas terminu u Dulse. Życie wśród bogatych ludzi w Wielkim Porcie wyspy Gont bynajmniej nie zmiękczyło jego dłoni.

Przywiózł drewno z tartaku Szóstego w Re Albi, powożąc zaprzęgiem wołów należącym do Gamera. Położył podłogę jednego dnia, a wypolerował następnego, gdy stary czarodziej udał się nad Bagienne Jezioro, by zbierać próbki. Kiedy Dulse wrócił do domu, podłoga błyszczała nie gorzej od ciemnej tafli jeziora.

– Teraz będę musiał myć nogi za każdym razem, gdy wejdę do domu – skwitował z kwaśną miną, a potem wszedł ostrożnie do środka. Drewno było tak gładkie, że bosonogiemu czarodziejowi wydało się niemal miękkie.

– Aż błyszczy – zauważył. – Nie udałoby ci się zrobić tego wszystkiego tak szybko bez pomocy jakiegoś czaru czy dwóch. Wiejska chatka z pałacową podłogą! No, niech tylko nadejdzie zima, pięknie to wszystko będzie wyglądać, gdy rozpalę ogień. A może muszę sobie teraz zafundować dywan, co? Taki wełniany, przeplatany złotą nicią?

Cisza uśmiechnął się. Był zadowolony ze swego dzieła.

Zastukał do drzwi Dulse kilka lat wcześniej, choć właściwie to nie kilka, a raczej dwadzieścia. Lub nawet dwadzieścia pięć. W każdym razie szmat czasu temu. Określenie „chłopak” pasowało wtedy do niego o wiele bardziej – miał długie nogi, kudłatą czuprynę i dziecinną twarz z mocno zaciśniętymi ustami oraz jasnymi, przejrzystymi oczyma.

– Czego chcesz? – zapytał podówczas czarodziej, choć dobrze wiedział, po co chłopak przyszedł – po to, po co przychodzili wszyscy inni. Świadom tego, uciekł spojrzeniem przed jasnymi oczyma. Był dobrym nauczycielem, najlepszym w Gont, i o tym też wiedział, ale uczenie już go znużyło, nie miał ochoty niańczyć kolejnego wychowanka. Co więcej, wyczuwał w

przybyszu niebezpieczeństwo.

– Chcę się uczyć – wyszeptał chłopiec.

– Więc udaj się na Roke – odparł czarodziej. Chłystek nosił buty oraz porządną kamizelę ze skóry, z pewnością mógł sobie pozwolić na podróż statkiem do szkoły.

– Byłem tam.

Słyszając to, Dulse spojrział na niego raz jeszcze. Nie widział ani płaszcza, ani laski czarodziejskiej.

– Oblałeś? Odesłali cię? Uciekłeś?

Chłopak kręcił głową przy każdym pytaniu. Zamknął oczy, ust nie otwierał od dłuższego czasu. Stał przed czarodziejem spięty i skupiony, najwyraźniej cierpiąc z jakiegoś powodu, a potem nabrał tchu i spojrział mu prosto w oczy.

– Miejsce, gdzie będę się uczyć, znajduje się tu, na Gont – powiedział, a jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu. – Mój mistrz zwie się Heleth.

Na te słowa czarodziej, którego prawdziwe imię brzmiało właśnie Heleth, zamarł. Stał jak sparaliżowany, wbijając w chłopca spojrzenie, póki ten nie opuścił swego.

Nastąpiła chwila ciszy. Dulse skupił się, usiłując odkryć imię chłopca i wtedy ujrzał dwie rzeczy: świerkową szyszkę oraz run Zamkniętych Ust. Drażył dalej, aż wreszcie usłyszał w głowie imię, nie wymówił go jednak na głos.

– Jestem zmęczony uczeniem i gadaniem – stwierdził. – Wymagam ciszy. Pasuje ci to?

Chłopak skinął głową.

– A zatem będę zwał cię Ciszą. Możesz spać w kącie pod zachodnim oknem. W drewnutni leży stary siennik, wywietrz go i wytrzep. Nie życzę sobie, byś przywłókł mi myszy do domu.

I odszedł ku urwisku Overfell, zły na chłopaka, że się pojawił i na siebie, że ustąpił i go przyjął. Nie gniew jednak sprawił, że jego serce było jak młotem. Czując podmuchy morskiej bryzy jak zwykle wiejącej z lewej oraz promienie wczesnego słońca strzelające zza olbrzymich cieni gór, kroczył przed siebie – o tak, wtedy mógł jeszcze stawiać wielkie kroki – i rozmyślał o magach z Roke, mistrzach sztuki magicznej, znawcach mocy i tajemnic

świata.

Nie mogli sobie dać z nim rady, czy co? To zaś znaczy, że i ja nie dam! Tak właśnie myśląc, rozciągnął usta w uśmiechu. Był człowiekiem pokojowego usposobienia, ale nie miał nic przeciwko szczypcie niebezpieczeństwa od wielkiego dzwonu.

Zatrzymał się, czując pod stopami twardą ziemię. Jak zwykle szedł na bosaka. Gdy studiował w Roke, nosił buty, ale gdy wrócił do domu na Gont, do Re Albi, dzierżąc laskę czarodzieja, strącił buty z nóg. Stał nieruchomo i czuł pod stopami ziemię i kamyki, a pod nimi klify, korzenie wyspy i wreszcie ciemność na samym dole, głęboko pod wodami mórz, gdzie wszystkie lądy łączyły się i stawały jednością. To usłyszał od Ard oraz wszystkich swych nauczycieli na Roke, lecz ta wyspa, ta ziemia i te kamienie należały do niego, a jego sztuka czarodziejska już dawno wyrosła poza ramy, które nakreślano w szkole.

„Miejsce, gdzie będę się uczyć, znajduje się na Gont”, powiedział chłopak, choć miał na myśli coś więcej niż tylko naukę. Być może tego właśnie Dulse mógł go nauczyć – wszystkiego, co wykraczało ponad zwykłą wiedzę, wszystkiego, co sam poznał na Gont, zanim się udał na Roke.

Chłopak musi mieć swoją laskę. Dlaczego Nemerle pozwolił mu opuścić wyspę z pustymi rękoma, jakby był zwykłym uczniem lub wiedźmą? Nie powinno się pozwolić na to, by po świecie wędrowali młodzi ludzie obdarzeni wielką mocą, która nie została uprzednio skanalizowana i oznaczona.

„Mój nauczyciel nie miał laski”, przypomniał sobie Dulse i w tej samej chwili zrozumiał, że chłopak chciał ją otrzymać od niego. Laska z gontyjskiego dębu z rąk gontyjskiego maga...

Cóż, jak sobie zasłuży, to mu ją zrobię, pomyślał. O ile umie trzymać gębę na kłódkę.

Pozostawię mu też moje księgi z mądrościami. Jeśli jest w stanie wysprzątać kurnik, pojąć znaczenie komentarzy Danemara i trzymać gębę na kłódkę.

Nowy uczeń wysprzątał kurnik, okopał grządkę z fasolą, pojął znaczenie komentarzy Danemara (a także arkanów z Enladów) i trzymał gębę na kłódkę. Słyszał, co Dulse mówi, czasami słyszał też, co myśli. Robił

wszystko to, co stary mag od niego chciał, a także to, co chciał, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy. Czarodziej wiedział, że nie jest w stanie uczyć i prowadzić człowieka z darem takim jak ten należący do Ciszy, ale równie dobrze jak i on wiedział, że chłopiec postąpił słusznie, przybywając na Re Albi.

W tych czasach Dulse wiele rozmyślał o ojcach i synach. Sam wielokrotnie kłócił się z własnym ojcem, czarownikiem–poszukiwaczem, w kwestii wyboru nauczyciela. Ojciec wrzeszczał, że wyrzeknie się syna, który podejmie naukę u Ard, i pielęgnował swą nienawiść przez długie lata. Aż w końcu umarł, nigdy synowi nie wybaczywszy.

Dulse niejedną raz widział mężczyzn szlochających z radości po narodzinach pierworodnych synów. Widział mężczyzn ubogich, którzy wręczali wiedźmom równowartość rocznego zarobku za obietnicę narodzin zdrowego chłopca, widział też bogacza, który dotykał twarzyczki obsypanego bogactwami dzieciątka i szeptał z miłością: „Moja nieśmiertelność”.

Widział z drugiej strony mężczyzn, którzy bili swych synów, zastraszali ich i upokarzali, dokuczali im i plątali szyki, wiedząc, że dzień, w którym przyszli na świat, zwiastował ich własną śmierć. Widział też nienawiść w oczach synów, nienawiść wywołaną przez ojców, widział groźbę oraz bezlitosną pogardę. Ujrawszy to wszystko, Dulse rozumiał powody, dla których nigdy nie dążył do pojednania z ojcem.

Widział też ojca i syna, którzy pracują razem w polu od świtu do zachodu słońca.

Stary prowadził ślepego wołu, a za nim szedł mężczyzna w średnim wieku, orząc pługiem o żelaznych łopatach. Pracowali w zgodzie, nie mówiąc przy tym ani słowa, a gdy ruszyli wreszcie do domu, stary na krótką chwilę położył dłoń na ramieniu syna.

Dulse nigdy tej sceny nie zapomniał. Przypominał ją sobie w zimowe wieczory, gdy patrzył nad paleniskiem na ciemną twarz swego ucznia pochylonego nad mądrą księgą czy koszulą, która wymagała cerowania. Ten nigdy nie podnosił wzroku ani nigdy nie otwierał ust, lecz jego duch zawsze słuchał.

– W ciągu całego życia czarodziej, o ile dopisze mu szczęście, raz tylko

znajduje kogoś, z kim może porozmawiać – powiedział Nemerle na dzień lub dwa przed wyjazdem Dulse z Roke i ponad rok przed tym, jak został wybrany Arcymagiem. Był Mistrzem Wzorów oraz najłagodniejszym nauczycielem, z jakim Dulse miał zajęcia. – Myślę, Heleth, że gdybyś pozostał na Roke, moglibyśmy porozmawiać.

Przez dłuższą chwilę Dulse nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa. Potem, nękany poczuciem winy z powodu swej niewdzięczności i nie dowierzając własnemu uporowi, wyjąkał: – Mistrzu, zostałbym, ale to na Gont czeka mnie praca. Mam zadanie do wykonania.

Żałuję, że to nie tu, u twego boku...

– Cechuje cię rzadki dar, Dulse. Mało kto wie, gdzie jest jego miejsce, póki nie odwiedzi wszystkich tych, które do niego nie należą. Cóż, podeślij mi od czasu do czasu jakiegoś ucznia. Roke potrzebuje czarodziejów z Gont. Mam wrażenie, że pewne rzeczy przeciekają nam tu między palcami, rzeczy ważne i godne poznania.

Dulse wysłał w sumie trzech lub czterech uczniów na Roke, porządnych chłopców z różnymi talentami, ale ten, którego Nemerle oczekiwał, przybył i odszedł z własnej woli.

Staruszek nie miał pojęcia, jakie Cisza wywarł na Roke wrażenie i co tam o nim myślano.

Rzecz jasna, Cisza nie powiedział ani słowa. Nie ulegało wątpliwości, że przez dwa lub trzy lata nauczył się tam wszystkiego, na co inni potrzebowali sześciu lub siedmiu, a czego jeszcze inni nie zdołali opanować nigdy. Dla niego była to wiedza podstawowa.

– Dlaczego nie przyszedłeś do mnie od razu? – dopytywał się Dulse. – Dlaczego nie uczyłeś się najpierw u mnie, by potem popłynąć na Roke usystematyzować wiedzę?

– Nie chciałem marnować twego czasu.

– Czy Nemerle wiedział, że na dalszą naukę wybierasz się do mnie?

Cisza pokręcił głową.

– Gdybyś raczył poinformować go co do swych zamiarów, mógłby wysłać do mnie wiadomość.

Cisza wyglądał na poruszonego.

– Był twoim przyjacielem?

Dulse zawahał się z odpowiedzią.

– Był moim mistrzem. Gdybym pozostał na Roke, zapewne stałby się też moim przyjacielem. Czy czarodzieje mają przyjaciół? Przyjaciel czarodzieja to pewnie coś równie niespotykanego jak żona czarodzieja czy syn czarodzieja. Kiedyś powiedział mi, że w naszym fachu wielkim szczęściem jest znaleźć kogoś, z kim można porozmawiać... Nigdy tego nie zapomnij. Jeśli dopisze ci szczęście, któregoś dnia będziesz mógł otworzyć usta.

Cisza skłonił rozczochną, przepelnioną myślami głowę.

– O ile do tego czasu nie zardzewieją ci szczęki – dodał Dulse.

– Jeśli oczekujesz tego ode mnie, będę mówił więcej – powiedział chłopak tak szczerze i gorliwie, gotowy na jedno skinienie odmienić swą naturę, że stary czarodziej musiał się roześmiać.

– Oczekiwałem od ciebie czegoś całkiem przeciwnego – powiedział. – Nie miałem też na myśli własnych potrzeb. Ja sam mówię wystarczająco dużo za nas dwóch. Mniejsza o to.

Gdy nadejdzie czas, będziesz wiedział, co powiedzieć. Co powiedzieć i kiedy – to ci dopiero sztuka, no nie? A reszta jest milczeniem.

Chłopak przez trzy lata spał w chacie czarodzieja Dulse na sienniku pod niewielkim okienkiem wychodzącym na zachód. Uczył się czarodziejstwa, karmił kury, doił krowy. Raz zasugerował, że Dulse powinien trzymać również kozy. Trwała wówczas zimna, wilgotna jesień i Cisza nie mówił nic przez niemalże tydzień, aż w pewnym momencie oznajmił: – Mógłbyś kupić kilka kóz.

Dulse siedział przy stole z rozłożoną wielką księgą, próbując odtworzyć jeden z czarów akastańskich, który został uszkodzony i pozbawiony mocy wieki temu przez Emanacje Funduaru. Właśnie zaczynał pojmywać sens brakującego słowa, które mogło wypełnić jedną z luk, gdy dotarła do niego sugestia ucznia.

Dulse uważał siebie za gadatliwego, niecierpliwego człowieka o krewkim temperamencie. Konieczność powstrzymywania się od przekleństw wielce mu ciążyła za młodu, a trzydzieści lat styczości z przejawami głupoty uczniów, klientów, krów i kur stanowiły dla niego ciężką próbę. Uczniowie i klienci bali się jego ciętego języka, ale krowy i kury raczej nie zwracały uwagi na wybuchy gospodarza. Na Ciszę nigdy

dotąd się nie wściekał.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Po co?

Cisza najprawdopodobniej nie zauważył ani owej chwili, ani skrajnej łagodności w głosie Dulse.

– Dla mleka, sera, pieczonej koziny i towarzystwa – odpowiedział.

– Hodowałeś kiedyś kozy? – zapytał Dulse tym samym łagodnym, uprzejmym tonem.

Cisza pokręcił głową.

Nie dziwota, albowiem był chłopakiem z miasta urodzonym w Porcie Gont. Nigdy nic o sobie nie mówił, lecz Dulse rozpytywał o niego tu i tam. Jego ojciec, robotnik portowy, zginął podczas wielkiego trzęsienia ziemi, gdy Cisza mógł mieć siedem lub osiem lat, a matka była kucharką w tawernie na nabrzeżu. W wieku lat dwunastu chłopiec popadł w jakieś tarapaty – przypuszczalnie zbroił coś przy pomocy magii – i jego matka zdołała nakłonić Ellassena, szanowanego czarodzieja w Valmouth, by przyjął go na praktykę. U Ellassena Cisza poznał swe prawdziwe imię i nauczył się stolarstwa oraz pracy w obejściu, ale niewiele ponadto. Jego nauczyciel na szczęście okazał gest i po trzech latach opłacił mu rejs na Roke.

Niczego więcej Dulse nie zdołał się dowiedzieć...

– Nie lubię koziego sera – powiedział.

Cisza pokiwał głową, spokojny jak zwykle.

W następnych latach Dulse przypominał sobie czasami, jak Cisza zapytał go o kozy, i zastanawiał się, dlaczego wówczas nie stracił nad sobą panowania. Za każdym razem owo wspomnienie dawało mu cichą satysfakcję przypominającą tę, którą daje ostatni kęs doskonałej, soczystej gruszki.

Spędziwszy kilka następnych dni na próbach odnalezienia brakującego słowa, nakazał Ciszy, by pomógł mu w studiach nad akastańskim czarem. W końcu wspólnie udało im się rozwikłać zagadkę, choć było to długie i wyczerpujące zadanie.

– Trochę jak orka ślepym wołem – podsumował Dulse.

Niedługo potem wręczył Ciszy laskę, którą sporządził z gontyjskiego

dębu.

Jakiś czas później Władca Portu Gont raz jeszcze próbował nakłonić Dulse, by przyszedł do miasta i pomógł we wszystkim, co wymagało jego interwencji, ale czarodziej wysłał w zastępstwie chłopaka. I tak Cisza został w mieście.

Tymczasem Dulse wciąż stał na progu chaty, trzymając w ręku trzy jaja. Zimny deszcz spływał mu po plecach.

Jak długo stał w tym miejscu? Dlaczego tu stał? Myślał przecież o błocie, o podłodze i o Ciszy. Czyż nie szedł właśnie ścieżką nad Overfell? Nie, przecież to miało miejsce dawno temu, całe lata temu i świeciło wówczas słońce, a teraz padał deszcz. Właśnie nakarmił kury i wrócił do domu z trzema jajkami w ręku – jedwabiście gładkie, brązowe jajka były nadal ciepłe, a piorun wciąż rozbrzmiewał echem w jego głowie i wibrował po kościach. Piorun?

Nie. Chwilę temu rozległ się grzmot, lecz to nie był piorun. Kiedyś doznał już tego uczucia, ale go nie rozpoznał. Kiedy to było? Dawno, dawno temu, całe lata przed okresem, o którym właśnie rozmyślał. Kiedy to było? Przed trzęsieniem ziemi. Dokładnie, tuż przed trzęsieniem ziemi. Tuż przed tym, jak pół mili wybrzeża w Essary osunęło się do morza, setki ludzi zostało zmiażdżonych w walących się chatach, a wielka fala zalała nabrzeże w Porcie Gont.

Zszedł z progu i stanął na nagiej ziemi, by wyczuć drgania nerwami stóp, ale jeśli ziemia miała mu coś do przekazania, błoto wyciszało i zniekształcało wiadomość. Odłożył jajka, usiadł, obmył stopy deszczówką z garnka stojącego przy progu, otarł je do sucha szmatą, którą uprzednio przywiązał do naczynia, wyżył ją i przywiązał ponownie, wziął jajka, wstał powoli i wszedł do domu.

Zerknął na laskę opartą o ścianę w kącie za drzwiami. Schował jajka do spiżarni, pośpiesznie zjadł jabłko, ponieważ zaczął odczuwać głód, i pochwycił za laskę. Zrobiono ją z drewna cisu, a jej koniec obito miedzią. Miejsce, w którym zwykle ją trzymał, było wytarte aż do połysku. Otrzymał ją z rąk samego Nemerle.

– Stój – powiedział do niej w jej własnym języku, a potem wypuścił ją z rąk. Zastygła niczym zatknięta w dziurze. – Korzenie! – polecił

niecierpliwie w Języku Stworzenia. – Idź do korzeni!

Wpatrywał się w laskę, która stała nieruchomo na lśniącej podłodze. Po chwili dostrzegł, że zaczyna leciutko drżeć, a potem dygotać coraz mocniej.

– Och, och... – rzekł stary czarodziej. – I cóż mam teraz począć?

Laska zadrżała, znieruchomiała i znów zadygotała.

– Dostyc tego, moja droga – rzekł Dulse i położył na niej dłoń. – Chodźmy. Nic dziwnego, że ciągle myślę o Ciszy. Powinienem posłać po niego, czy może raczej do niego...

Nie. Co usłyszałem od Ard? Znajdź centrum, znajdź środek. O, oto pytanie, na które trzeba znaleźć odpowiedź. Oto zadanie do wykonania.

Gdy tak mamrotał, ściągając ciężki płaszcz i ustawiając czajniczek z wodą na rozpalonym ogniu, zaczął się zastanawiać, czy zawsze gadał do siebie. Czy gadał do siebie przez cały czas, gdy Cisza u niego mieszkał?

Nie. Weszło mu to w krew po tym, jak chłopak odszedł.

Drobna część jego umysłu uciekała jeszcze ku zwykłym, przyziemnym sprawom, podczas gdy reszta skupiła się na przygotowaniach koniecznych, by zapobiec nadchodzącemu kataklizmowi.

Ugotował na twardo trzy świeże jajka oraz jedno, które już znajdowało się w spiżarni, a potem wrzucił je do sakwy wraz z czterema jabłkami i bukłaczkiem żywicznego wina, na wypadek gdyby przyszło mu pozostać na noc poza domem. Wbił się niechętnie w ciężki płaszcz, ujął laskę, przykazał ogniewi, by zgasł, i wyszedł.

Ponieważ krowy już nie miał, zatrzymał się przy drobiu i zamyślił. Ostatnio w sadzie widywał lisy, a jeśli jego nieobecność się przedłuży, kury będą musiały znaleźć coś do jedzenia. Oczekiwało je więc niebezpieczne wyzwanie, podobnie jak wszystkich na wyspie.

Uchylił nieco furtkę. Choć deszcz przerodził się już w mglistą mżawkę, markotne ptaki nadal siedziały skulone pod okapem kurnika. Król nie zapał ani razu tego poranka.

– Macie mi coś do powiedzenia? – zapytał Dulse.

Brązowa Bucca, jego ulubienica, otrzepała się i kilkakrotnie powtórzyła swe imię.

Pozostałe kury milczały.

– Cóż, uważajcie na siebie. Widziałem lisa podczas ostatniej pełni – rzekł

Dulse i odszedł.

Wędrował pogrążony w myślach. Dumął intensywnie, próbując jak najwięcej przypomnieć sobie na temat kwestii, o których nauczyciel opowiedział mu tylko raz, i to bardzo dawno temu. Były to doprawdy kwestie dziwne, tak dziwne, że nigdy nie potrafił ustalić, czy wciąż należało je traktować jako część prawdziwej sztuki czarodziejskiej, czy raczej jako wiedźmie praktyki. Na Roke nigdy o nich nie usłyszał, a sam tematu nie podejmował, być może z obawy, że Mistrzowie wyśmieją go za traktowanie takich rzeczy poważnie. Być może kierowało nim przekonanie, że Mistrzowie z Roke po prostu ich nie rozumieją, gdyż były to kwestie związane tylko i wyłącznie z Gont, prawdy i prawidła gontyjskie. Nie spisano ich nawet w mądrych księgach Ard, które wcześniej należały do Wielkiego Maga Ennasa z wyspy Perregal. Przekazywano je ustnie i stawały się wówczas nieprzyjemnymi sekretami domowymi.

– Jeśli będziesz kiedyś musiał zrozumieć Górę – usłyszał od Ard – udaj się do Mrocznego Stawu u szczytu krowiego pastwiska Semere. Tam odkryjesz, jak to uczynić.

Musisz odnaleźć centrum. Dowiedz się, którędy wejść do środka.

– Wejść do środka? – wyszeptał Dulse, podówczas chłopiec.

– A czego dokonałbyś z zewnątrz?

Dulse milczał przez dłuższą chwilę, a potem spytał: – Jak?

– A tak – padła odpowiedź.

Do dziś pamiętał, jak Ard wyciąga długą rękę i unosi ją ku górze, wymawiając słowa, które – jak się później dowiedział – składały się na wielkie zaklęcie Transformacji. Zostały wymówione wspak, co nauczyciele magii muszą czynić, by czar nie zadziałał. Dulse nauczył się już słuchać ich w taki sposób, by w głowie ustawić słowa we właściwej kolejności i tak je zapamiętać. Gdy usta Ard zamarły, Dulse powtórzył słowa zaklęcia w myślach, wykonując pobieżnie dziwaczne, niezdarne gesty, które mu towarzyszyły. Naraz urwał.

– Ale przecież tego czaru nie można odczynić! – powiedział głośno.

– Jest nieodwracalny.

Dulse wiedział, że nie istnieją nieodwracalne transformacje, nie istnieją czary, których niepodobna odwrócić za wyjątkiem Słowa Rozwiązania,

które można wymówić tylko raz.

– Ale dlaczego? – zapytał.

– Bo tak trzeba.

Zrozumiał, że nie ma co się dopytywać o dalsze wyjaśnienia. Potrzeba używania tak potężnego zaklęcia pojawiała się nader rzadko i szansa, że sam kiedykolwiek z niego skorzysta, była niewielka. Pozwolił, by owe potworne zaklęcie osiadło głęboko w jego pamięci i ukryło się głęboko za tysiącami innych potrzebnych, pięknych lub czyniących dobro czarów, za całą wiedzą i wszelkimi zasadami zgromadzonymi na Roke oraz mądrością ksiąg użyczonych mu przez Ard. Prymitywny, potworny i bezużyteczny, spoczywał w ciemnościach jego umysłu przez ponad sześćdziesiąt lat, niczym kamień węgielny po dawno zapomnianym domu w piwnicy wspaniałej posiadłości pełnej światła, skarbów i dzieci.

Deszcz ustał, choć mgły nadal skrywały wysokie granie, a między pniami drzew w puszczy snuły się strzępy chmur. Dulse wiele brakowało do Ciszy, który był niezmordowanym piechurem. Gdyby to od niego zależało, spędziłby całe życie w lasach Góry Gontu, na szczęście jednak urodził się w Re Albi i znał miejscowe trakty i ścieżki jak własną kieszeń. Po dotarciu do studni Rissiego kontynuował wędrówkę skrótem i na długo przed południem wyszedł na wysoko położone pastwiska Semere, przypominające stopień wycięty w zboczu góry. Jakąś milę pod nim stało opromienione słońcem gospodarstwo, ułożone na zboczu nienarażonym na silne wiatry, na którym wędrowało teraz stado owiec przypominające cień chmury. Port i jego zatoka skryte były za stromymi wzgórzami.

Dulse włączył się przez chwilę, nim wreszcie odnalazł Mroczny Staw. Był niewielki, w połowie wypełniony błotem i zarośnięty trzcina, a do wody prowadziła pojedyncza rozmokła ścieżka, na której widniały ślady kozich racic. Woda była ciemna, mimo że leżała powyżej miejsca, gdzie kończyły się torfy, a ponadto opromieniało ją słońce. Dulse ruszył dróżką, powarkując ze złości za każdym razem, gdy się poślizgnął. W końcu nadwyrężył kostkę, ratując się przed upadkiem. Dotarł wreszcie nad wodę i znieruchomiał. Pochylił się, by potrzeb obolałą stopę. Nasłuchiwał.

Wokół panowała absolutna cisza.

Nie było wiatru, nie było śpiewu ptaków. Z oddali nie dobiegało

beczenie owiec ani pokrzykiwanie pasterzy. Zupełnie jakby cała wyspa zamarła. Nie słyszał nawet bzyczenia owadów.

Spojrzał na ciemną wodę. Jej tafla nie odbijała niczego.

Ciężki płaszcz zwinął i spakował już godzinę temu, gdy słońce wyszło zza chmur.

Teraz z niechęcią wszedł do wody, bosy i z podciągniętymi nogawicami. Trzciny ocierały się o jego łydki. Błoto, choć pełne splątanych korzeni trzciny, było delikatne i zasysało jego stopy. Powoli, nie czyniąc żadnego hałasu, szedł w kierunku środka stawu, wzbudzając drobne koliste fale. Przez długą chwilę staw był płytki, a potem stopa, którą ostrożnie macał grunt, nie napotkała oporu. Zatrzymał się.

Woda nagle zadrżała, co najpierw odczuł na udach – drobna fala omyła go delikatnie, co przypominało wręcz łaskoczące muśnięcie futra – a potem zobaczył. Tafla stawu zadygotała. Nie były to już koła na wodzie, które powstawały za jego sprawą, lecz samoistne marszczenie się, następnie lekkie wzburzenie, aż wreszcie rytmiczny dygot.

– Gdzie? – wyszeptał i powtórzył to słowo w języku zrozumiałym przez wszystkie te rzeczy, które własnego języka nie mają.

Odpowiedziała mu cisza, a potem z czarnej, rozedrganej tafli wyskoczyła białosrebrna ryba długości jego dłoni, która wykrzyknęła cichutkim, lecz wyraźnym głosem w tymże języku: – Yaved!

Stary czarodziej stał nieruchomo. Przypominał sobie wszystkie nazwy z Gont, nazwy zboczy, klifów i wąwozów i po jakiejś minucie ujrzał, gdzie znajduje się Yaved. Było to miejsce niedaleko Portu Gont, gdzie rozchodziły się góry, skryte głęboko wśród szczytów wznoszących się ponad miastem. Stamtąd miał nadejść kataklizm. Trzęsienie ziemi z ogniskiem w tym miejscu mogło zburzyć całe miasto, uwolnić lawiny i zrodzić niszczące fale, a wreszcie na podobieństwo składających się dłoni przewrócić klify chroniące zatokę. Dulse zadrżał jak woda w stawie.

Odwrócił się i ruszył w stronę brzegu. Tym razem spieszył się, ciężko posapując, i już nie dbał o to, czy zakłóca pluskiem ciszę. Przedarł się przez trzciny zarośla, aż wreszcie dotarł na suchy grunt porośnięty mizerną trawą, gdzie usłyszał bzyczenie muszek i ćwierkanie świerszczy. Klapnął na ziemię, nogi drżały mu z wysiłku.

– To na nic – powiedział do siebie po hardycku. – Nie dam rady. Sam temu nie podołam.

Był tak rozkojarzony, że gdy wreszcie postanowił zobaczyć się z Ciszą, nie potrafił przywołać z odmętów pamięci formuły czaru, który znał od sześćdziesięciu lat.

Już miał wrażenie, że ją sobie przypomina, gdy raptem zorientował się, że zaczął wymawiać słowa Przywołania. Nim to jednak nastąpiło, zaklęcie zaczęło działać, więc staruszek musiał przerwać i odczytać je słowo po słowie.

Zerwał pęk traw, by zetrzeć lepkie błoto ze stóp, wciąż były jednak zbyt mokre i tylko rozsmarował brud po nogach.

– Nienawidzę błota – wyszeptał, a potem nagle zamknął usta i znieruchomiał.

– Ziemia, dobra ziemia – powiedział po chwili i delikatnie, pieśczośliwie poklepał ziemię, na której siedział. Potem bardzo powoli i ostrożnie zaczął wymawiać czar Wezwania.

Czarodziej Ogion, zmierzający właśnie zatłoczoną ulicą do kipiącego życiem nabrzeża portu wyspy Gont, nagle się zatrzymał. Kapitan statku, który szedł obok niego, zauważył zmianę w zachowaniu towarzysza dopiero kilka kroków później. Odwrócił się i ujrzał, jak Ogion mówi do siebie: – Ależ przybędę, mój mistrzu! Kiedy? – zapytał po chwili przerwy.

Po jeszcze dłuższej chwili rzucił w przestrzeń coś w języku, którego kapitan statku nie rozumiał, a potem wykonał magiczny gest, dzięki któremu powietrze wokół niego na chwilę zmroczniało.

– Kapitanie – rzekł. – Przykro mi, ale nie mogę teraz zaczarować żagli twego statku.

Zbliża się trzęsienie ziemi. Muszę ostrzec miasto. Proszę przekazać wszystkim w porcie, by jak najszybciej stawiali żagle i wypływali na otwarte morze, jak najdalej od Zbrojnych Urwisk. Powodzenia!

Z tymi słowami odwrócił się i popędził w dół ulicy. Był wysokim, silnym mężczyzną z gęstymi, siwymi włosami, który w tym momencie gnał niczym rączy jeleni.

Wielki Port leży przy końcu długiej, wąskiej zatoki uwięzionej między stromymi klifami. Statki, które chcą do niej wejść, muszą się kierować na

przesmyk między dwoma cyplami, zwanymi Bramą Portu bądź Zbrojnymi Urwiskami, które dzieli niecałe sto stóp morskich fal. Dzięki temu ludzie z Wielkiego Portu są bezpieczni od piratów, ale kształt zatoki pociąga za sobą jednocześnie wielkie zagrożenie, albowiem biegnie pod nią szeroki uskok terenu. Szczęki, które raz się rozwarły, mogły się teraz zatrzasnąć.

Gdy Ogion uczynił już wszystko, co w jego mocy, by ostrzec miasto, gdy poinstruował strażników miejskich i portowych, co robić, by nieliczne drogi prowadzące z portu nie zostały zapchane przez złąknionych ludzi i nie stały się przez to morderczą pułapką, zaryglował się w komnacie na szczycie wieży sygnałowej, gdyż dziesiątki ludzi wciąż chciało z nim rozmawiać, i wysłał przekaz myślowy nad Mroczny Staw, który leżał na krowich pastwiskach na zboczu Góry.

Stary czarodziej siedział na trawie nieopodal brzegu i jadł jabłko. Wokół jego powalanych schnącym błotem stóp bieleły się skorupki jaj. Gdy uniósł głowę i ujrzał przekaz Ogiona, na jego twarzy pojawił się szeroki, szczery uśmiech.

Dulse wyglądał staro. Nigdy dotąd nie wyglądał tak staro. Ogion nie widział go od ponad roku, gdyż w Porcie Gont zawsze miał tysiące rzeczy do zrobienia. Sprawy panów i zwykłych ludzi pochłonęły go do tego stopnia, że ani razu nie znalazł dość czasu, by udać się na włóczęgę po porośniętych lasem górskich zboczach lub wraz z Helethem posiedzieć w jego niewielkim domku w Re Albi, posłuchać i pomilczeć. Heleth był starcem, liczył już ponad osiemdziesiąt lat, a co więcej, był przerażonym starcem. Uśmiechał się z radością na widok ucznia, lecz nie ulegało wątpliwości, że się bał.

– Myślę, że powinniśmy utrzymać uskok – powiedział bez wstępów. – Przynajmniej na tyle, by ziemia nie obsunęła się zbyt głęboko. Ty znajdujesz się przy Bramie, a ja przy długim końcu, na zboczu Góry. Musimy współpracować, a może nam się uda. Czuję, jak przybiera na sile, a ty?

Ogion pokręcił głową. Opuścił swój przekaz niżej, na trawę obok Heletha, choć żdźbła nie uginały się tam, gdzie stąpał lub siadał.

– Nie uczyniłem jak dotąd nic poza wyprawieniem statków w morze i wywołaniem paniki wśród mieszkańców – oznajmił. – Co ty właściwie

czujesz? Jak to robisz?

To były techniczne pytania z gatunku tych, które mag zadaje magowi. Heleth zawahał się, nim udzielił odpowiedzi.

– Nauczyłem się tego od Ard – rzekł w końcu po długiej chwili ciszy.

Nigdy nie opowiadał Ogionowi o swym nauczycielu, którego rozgłos na Gont – o ile jakimś się cieszył – zasługiwał raczej na miano złej sławy. Ogion wiedział jedynie, że noga Ard nigdy nie powstała w Roke. Wiedział też, że tajemniczy nauczyciel pobierał nauki u Ennasa z Perregal i że jego imię przyćmiewała jakaś tajemnica bądź hańba. Jak na czarodzieja, Heleth był dość gadatliwy, lecz w niektórych kwestiach milczał jak grób. Ogion zaś, który szanował ciszę, nigdy sam o Ard nie wypytywał.

– To nie magia z Roke – wymamrotał starzec suchym głosem, jakby się zmuszał, by otworzyć usta. – Nie narusza jednak równowagi. To nic śliskiego.

Tak zawsze nazywał wszelkie złe uczynki, wszelkie czary służące wzbogacaniu się, klątwy czy czarną magię. Mówił o nich: śliskie sprawy.

Po chwili, szukając właściwych słów, dodał: – Ziemia. Skały. To magia ziemi. Stara. Bardzo stara. Stara jak wyspa Gont.

– Chodzi o Stare Moce? – wyszeptał Ogion.

– Nie jestem pewien.

– Uda się dzięki nim przejąć kontrolę nad samą ziemią?

– Tu chodzi raczej o porozumienie. O dotarcie do jej wnętrza – rzekł Heleth, przysypując ogryzek i co większe skorupki. Ubił powstały wzgórek.

– Oczywiście znam słowa, ale gdy tam wejść, będę musiał wyczuwać sytuację na bieżąco. Na tym polega kłopot z wielkimi czarami, czyż nie? Nie ma możliwości poćwiczenia. Człowiek uczy się dopiero wtedy, gdy już się wszystko zacznie.

Uniósł wzrok.

– O, jest! Czujesz?

Ogion zaprzeczył.

– Wyteżę wszystkie siły – rzekł Heleth, pieścotliwie poklepując ziemię, tak jak gospodarz mógłby poklepywać wystraszoną krowę. – Myślę, że niedługo się zacznie. Uda ci się powstrzymać Bramę przed zamknięciem, mój drogi?

– Powiedz mi, czym ty w tym czasie będziesz się zajmować.

Heleth pokręcił tylko głową.

– Nie. Nie ma czasu. Poza tym to nie twoja sprawa.

Ogion nie miał pojęcia, co starzec wyczuwa w ziemi lub w powietrzu, ale sprawiał wrażenie coraz bardziej pochłoniętego. Wpatrując się w niego, sam zaczynał czuć przybierające na sile, trudne do zniesienia napięcie.

Siedzieli, nie mówiąc ani słowa, aż kryzys minął. Heleth rozluźnił się nieco i nawet uśmiechnął.

– Będę się zajmować czymś, co jest bardzo stare – wyjaśnił. – Szkoda, że nigdy nie znalazłem czasu, by lepiej się nad tym zastanowić. Szkoda, że nigdy ci tego nie przekazałem, ale ten czar zawsze wydawał mi się nieco prymitywny, przyciężkawy. Nigdy mi nie mówiła, gdzie się tego nauczyła. Nie ma wątpliwości, że tutaj, oczywiście... Istnieją przecież rozmaite rodzaje wiedzy.

– Mówiła? Nauczyła?

– Ard. Moja nauczycielka. – Heleth uniósł głowę i spojrzał na przekaz ucznia. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony, ale uśmiech nieco przebiegły.

– Nie wiedziałeś? Cóż, chyba rzeczywiście nigdy o tym nie wspominałem. Zastanawiam się, czy to, że była kobietą, miało jakieś znaczenie dla jej sztuki. Lub to, że ja jestem mężczyzną, dla mojej. Ważne jest, jak sądzę, w czyim domu mieszkamy i komu pozwalamy do niego wejść. Ta kwestia... O!

Znowu!

Heleth znieruchomiał. Jego spięta twarz i nieobecne spojrzenie przywodziły na myśl oblicze rodzącej kobiety, która doznaje skurczy. To skojarzenie uczepliło się Ogiona i trzymało, nawet gdy zapytał: – Co miałeś na myśli, mówiąc, że wejdiesz do jej wnętrza?

Spazm minął, a Heleth odpowiedział: – Do środka. Do Yaved.

Wskazał dłonią wzgórze w dole.

– Wejdę tam i spróbuję sprawić, by ziemia się nie obsunęła. Nie wiem jeszcze jak, ale się dowiem, gdy będę w środku, nie ma wątpliwości. Dobrze, chyba pora, byś wrócił do siebie. Mamy coraz mniej czasu.

Urwał nagle. Wyglądał, jakby niespodziewanie chwycił go skrajny ból, zgarbił się, zacisnął pięści, przyklęknął. Z trudem udało mu się powstać. Ogion nieświadomie wyciągnął dłoń, by mu pomóc.

– Daj spokój. – Stary czarodziej wyszczerzył zęby. – Jesteś tylko projekcją złożoną z wiatru i promieni słonecznych, a ja teraz będę ziemią i skałami. Dalej, wracaj do siebie. Żegnaj, Aihal. I wiesz co? Choć raz utrzyмай tę gębę otwartą, dobrze?

Ogion posłusznie wypełnił polecenie i nagle znów znalazł się w dusznym, wyłożonym tkaninami pokoiku w wieży sygnałowej w Porcie Gont. Zrozumiał dowcip staruszka dopiero wtedy, gdy odwrócił się ku oknu i ujrzał w dole zatoki Zbrojne Urwiska, przypominające ogromne szczęki gotowe do kłapania.

– Utrzymam – powiedział i zabrał się do pracy.

– A oto, co mam do zrobienia. – Choć Ciszy już przy nim nie było, stary czarodziej wciąż do niego mówił, gdyż możliwość otwierania do kogoś ust działała nań pocrzepiająco. – Po pierwsze, muszę się dostać do wnętrza góry, ale nie tak, jak to robią czarodzieje poszukiwacze. Nie mam zamiaru prześlizgiwać się między jedną rzeczą a drugą, przyglądać się, próbować, smakować. Mam zamiar dostać się głębiej. Na samo dno. Nie do żył, lecz do kości. A więc...

Stojąc samotnie pośrodku wielkiego pastwiska, skąpany w blasku słońca, Heleth rozłożył ręce w geście, który towarzyszył inkantacji wszystkich wielkich czarów, a potem przemówił.

Nic się nie stało, gdy z jego ust padły słowa wyuczone od Ard, starej wiedźmy nauczycielki z ostrym dowcipem i długimi, chudymi rękami. Przekazała mu je na wspak, a teraz on powtórzył je we właściwej kolejności.

Nic się nie stało, dzięki czemu zyskał chwilę, by pożałować blasku słońca i morskiego wiatru i by obdarzyć zwątpieniem zarówno czar, jak i samego siebie. Wtedy jednakże ziemia uniosła się, sucha, ciepła i ciemna.

Był w środku. Wiedział, że nic nie wskóra, jeśli się nie pośpieszy, gdyż trawione bólem kości ziemi lada chwila miały drgnąć. Musiał stać się jedną z nich, by nimi pokierować, lecz nie potrafił. Transformacja całkiem go oszołomiła. W swoim życiu przeistaczał się w lisa, byka oraz ważkę i dobrze pamiętał, na czym polega zmiana postaci, ale ta transformacja, to stopniowe, powolne wzrastanie, była zdecydowanie inna.

Potęźnieję, pomyślał.

Rozrastał się ku Yaved, ku ośrodkowi bólu, ku cierpieniu. Zbliżając się, poczuł, jak wlewa się w niego ogromna moc przybywająca z zachodu, zupełnie jakby Cisza w końcu zdołał pochwycić go za rękę. Dzięki tej więzi sam był w stanie przesłać swoją siłę – siłę. Góry – by wspomóc ucznia.

Nie powiedziałem mu, że już nie powrócę, uprzytomnił sobie nagle.

Była to ostatnia myśl, jaką ubrał w ludzkie słowa i jego ostatnie zmartwienie, gdyż znalazł się już wśród kości ziemi. Poznał arterie wypełnione ogniem, usłyszał bicie wielkiego serca. Wiedział, co należy uczynić.

– Uciszyć się, ucisz – rzekł w języku nienależącym do świata ludzi. – Spokojnie, naprawdę spokojnie. Już dobrze, już wszystko dobrze. Widzisz? Śpij już.

On sam również ucichł, uspokoił się, poczuł, że wszystko jest dobrze. Był przecież skałą pośród skał, ziemią wokół ziemi, w strasznym, ciemnym wnętrzu góry.

Gdy fale zalały ulice miasta, swym impetem wyrywając kocie łby i rozbijając ściany z glinianych cegieł, a Zbrojne Urwiska pochyliły się ku sobie z jękiem, grożąc zawaleniem, ludzie go ujrzeli – maga Ogiona stojącego na dachu wieży sygnałowej na nabrzeżu. Widzieli, jak wyciąga przed siebie rękę i rozsuwa je z wysiłkiem, a ogromne klify posłusznie oddalają się od siebie, aż zamarły w bezruchu, wyprostowane i nieporuszone. Miasto zadrżało i znieruchomiało. To Ogion zatrzymał trzęsienie ziemi. Wszyscy to widzieli, wszyscy to poświadczyli.

– Mój nauczyciel był ze mną, a jego nauczyciel z nim – powiedział Ogion, gdy go wychwalano. – Powstrzymałem Bramę przed zawaleniem, ponieważ to on uspokoił Górę.

Lecz ludzie puszczali te słowa mimo uszu, wychwalając jego skromność. Umiejętność słuchania drugiego człowieka jest rzadkim darem, a ludzie chcieli mieć własnych bohaterów.

Kiedy miasto doprowadzono do porządku, statki powróciły do portu i przystąpiono do odbudowy murów, Ogion umknął przed pochwałami i wszedł na wzgórze wznoszące się nad Wielkim Portem. Odnalazł osobliwą dolinę zwaną Przyciętą, której prawdziwe imię w Języku Stworzenia brzmiało Yaved, podobnie jak prawdziwe imię Ogiona brzmiało Aihal.

Włóczył się tam przez cały dzień, jakby czegoś szukał, a wieczorem położył się na ziemi i powiedział do niej: – Szkoda, że mnie nie uprzedziłeś. Mógłbym się chociaż pożegnać.

Płakał, a jego łzy wsiąkały między źdźbła trawy i tworzyły niewielkie grudki błotka.

Spał tam na ziemi, choć nie miał siennika czy choćby koca. O świcie wstał i udał się górską drogą do Re Albi. Nie wszedł do samej wsi, lecz obszedł ją i dotarł do domu, który stał w odosobnieniu na północ od innych, na skraju Overfell. Drzwi do chaty stały otworem.

Fasola już dojrzała i napęczniała, kapusta również prezentowała się wspaniale. Trzy kury – czerwona, brązowa i biała – gdakały i dziobały pylistą ziemię przed drzwiami, szara siedziała na jajkach w kurniku. Nie było piskląt, nie było też śladu koguta, Króla, jak go zwał Heleth.

A więc Król nie żyje, pomyślał Ogion. Może właśnie wykluwa się pisklak, który zajmie jego miejsce?

Miał wrażenie, że wyczuł delikatny ślad zapachu lisa dolatujący z niewielkiego sadu za domem.

Zamiótł brud i zeschłe liście, które wpadły do sieni i wały się teraz po wypolerowanej podłodze. Wyniósł materac i koc Heletha na zewnątrz, by je przewietrzyć.

Zatrzymam się tu na chwilę, pomyślał. To porządny dom.

Po chwili wpadł na kolejny pomysł – sprawi sobie kilka kóz.

Wątpię, czy wielu ludzi zdaje sobie z tego sprawę, ale podejrzewam, że wszyscy znacie przynajmniej jedno z dzieł A.C. Bensaona niemalże na pamięć i cytujecie je przy każdej okazji. Tak, na pewno tak jest. Ponieważ to właśnie A.C. Benson (1862–1925), brat lepiej znanego E.F. Bensaona, twórcy serii Mapp and Lucia, napisał słowa do marszu Pomp and Circumstance Edwarda Elgara, które my znamy jako Land of Glory and Hope. Zawsze uderzało mnie, że człowieka, który potrafił napisać tak porywającą piosenkę, przez większość życia dręczyła niemalże nieuleczalna depresja. Większość tego czasu spędził jako nauczyciel, zamknięty w murach najpierw Eton, a potem Magdalene College w Cambridge. Pisał wspaniale, głównie eseje i uwagi na temat życia, ale również wiele opowiadań fantastycznych, które weszły w skład dwóch antologii: The Hill of Trouble (1903) oraz The Isles of Sunset (1904). Większość z nich nie wniosła nic nowego do literatury, ale raz czy dwa Benson trafił w sedno. Jak choćby w poniższym opowiadaniu, stylizowanym na średniowieczny romans rycerski, które opowiada o tajemnicy starożytnej Wieży.

A.C. Benson

ZAMKNIĘTE OKNO

Wieża Nort.

Droga kiedyś biegła grzbietem wzgórza w zieloną, krytą darniną między wapiennymi skałami. Ścieżkę przekształcono ze względu na zwierzęta juczne. Strzegąca drogi wieża: wysoka z grubymi murami. Przylegał do niej zwyczajny, lecz schludny i przytulny dom, gdzie młody sir Mark de Nort toczył spokojne, łatwe i opływające w dostatki życie. Niżej, na południu, ciągnęły się wielkie puszcze, ale wieża wyrastała wysoko na zboczu, osłaniana od północy zielonymi wzgórzami.

Choć swego czasu chłopci mieli własne określenie na wieżę – zwali ją Wieżą Strachu – miano to z wolna popadało w niepamięć. Używali go jedynie starcy, i to nierozważnie, ponieważ sir Mark wpadał w złość za każdym razem, gdy je słyszał. Mimo że sir Mark nie ukończył jeszcze trzydziestego roku życia, już twierdził, że musi znaleźć sobie żonę. Tak naprawdę jednak do ożenku zbytnio się nie kwapił. Kochał spokojne, samotne życie wypełnione konnymi polowaniami z sokołem na wzgórzach.

Mieszkał z nim jego kuzyn i spadkobierca, nieroztropny, acz dobroduszny Roland Ellice, człowiek o kilka lat od Marka starszy. Gdy Mark odziedziczył Wieżę, Roland przybył do niego z wizytą i tak już został. Nie było zresztą powodów, dla których powinien wyjeżdżać, gdyż obaj młodzieńcy doskonale do siebie pasowali. Sir Mark nie mówił wiele, przepadał za książkami i poezją. Roland był inny – uwielbiał lenistwo, wino i długie rozmowy, przez co znalazł w Marku doskonałego słuchacza. Mark kochał kuzyna i był mu wdzięczny za to, że postanowił zamieszkać wraz z nim w tak odosobnionym domu.

Mimo to nie mógł powiedzieć, że jest w pełni zadowolony ze swego życia. Nierzadko zastanawiał się, w jakim celu toczy tak spokojną, cichą egzystencję, dlaczego żyje niczym byk przywiązany w stajni. Tymczasem nic nie wskazywało, by podejmował złe decyzje, albowiem nieliczni chłopci zamieszkujący jego ziemie byli szczęśliwi. Czasami zazdrościł im ich poddaństwa i codziennej rutyny obowiązków. Sam mógł co najwyżej wstąpić do armii lub udać się dwór, lecz żołnierzem nie był, a na dworzanina nie nadawał się zgoła wcale. Nie znosił męczących zabaw dworskich, stąd też życie w odosobnieniu przynosiło ulgę jego duszy. Kochał samotność, kochał domową ciszę, choć czasem myślał o sobie jako o człowieku niespełnionym. I mimo że stan ów szybko mijał, na dnię serca zawsze pozostawiał gotowe znów zakiełkować ziarenko niezaspokojonego pragnienia.

Nieprzychylną nazwę wieża zawdzięczała staremu Jamesowi de Nort, dziadkowi Marka, człowiekowi tajemniczemu, ale i złemu do szpiku kości, za życia którego w Nort gnieździły się cienie. James wygnał z wieży synów i zamknął się w niej z księgami, by snuć zagadkowe rozmyślenia, śledzić gwiazdy na niebie i kreślić na kartach dziwaczne kształty.

Odkąd umarł, komnata na szczycie Wieży, gdzie doczekał straszliwego końca, pozostawała zamknięta. By do niej wejść, należało pokonać schody, a potem otworzyć drzwi. Wtedy oczom człowieka ukazywały się cztery okna, każde skierowane w stronę innego wiatru. To, które wychodziło na wzgórze, zostało zabite na stałe ciężką, dębową okiennicą.

Pewnego deszczowego dnia, znużony bezczynnością i rozdrażniony faktem, że Mark siedział na krześle zatopiony w lekturze, Roland wyraził głośno chęć odwiedzenia owego starego pokoju, w którym nigdy dotąd nie postawił stopy. Mark zamknął książkę i uśmiechnął się z pobłażaniem na widok niepokoju kuzyna, a potem wstał, przeciągnął się i wyjął klucz.

Wspólnie pokonali prowadzące na górę schody. Klucz zazgrzytał w zamku, a gdy wreszcie zdołali odepchnąć drzwi, ujrzeli wielki, zalany cieniami pokój z drewnianym dachem, przepełniony ciężkim, odurzającym zapachem. Pośrodku komnaty stał wielki dębowy stół z jednym krzesłem. Ściany były nagie, a w kątach i wnękach okiennych wisiały pajęczyny.

Roland miał tysiące pytań, więc Mark cierpliwie opowiadał mu o starym sir Jamesie i jego tajemniczym życiu. Dodał też, że nic nie wie na temat niełaski, która skazała go na azyl w wieży ani też o przyczynach, dla których ta ostatnia zyskała tak mroczne miano. Roland odrzekł, że szkoda, iżby marnowało się tak wspaniałe pomieszczenie. Otworzył jedno ze skrzydeł okiennych, lecz w tym samym momencie do środka wtargnął gwałtowny wiatr w towarzystwie tak zacieklej ulewy, że w pośpiechu je zamknął.

Gdy tak rozmawiali, zniechęcenie zaczęło z wolna przyćmiewać ich entuzjazm. Mark opowiedział kuzynowi o ostatnich chwilach sir Jamesa, którego znaleziono po tym, jak przez cały dzień nie wyściubiał nosa z komnaty. Leżał na podłodze, ku zdumieniu wszystkich mokry i obryzany błotem, jak gdyby właśnie powrócił z dalekiej podróży. Nie odzywał się słowem, a na jego twarzy zastygł wyraz udręki. Wkrótce umarł, mamrocząc słowa, których nikt nie rozumiał.

Obaj młodzieńcy podeszli bliżej zaślepionego okna – okiennice były dokładnie zabite, a na deskach nieznaną ręką wypisała na czerwono słowa: *CLAUDIT ET NEMO APERIT*. Mark wyjaśnił, iż znaczy to dosłownie: „On zamknął i nikt nie otworzy”, po czym dodał, że wedle opowieści człowiek, który otworzy to okno, narazi się na jakieś nieszczęście, dlatego winno

pozostać zamknięte. Roland jednakże wyśmiał brak ciekawości kuzyna i już położył dłonie na zasuwie, gdy Mark raptem zawołał: – Nie! Niech tak zostanie! Nie wolno nam sprzeciwiać się woli zmarłego!

Gdy wymawiał te słowa, na zabite okno natarł wściekły podmuch wiatru. Przez moment wydawało się nawet, że burza wtargnie do środka. Kuzyni opuścili więc komnatę w pośpiechu, a schodząc w dół, spostrzegli, że pierwsze promienie słońca już usiłują się przebić przez strugi deszczu.

Przez resztę dnia Markowi i Rolandowi doskwierał jednakże smutek. Obaj pogrążyli się w milczeniu. Nie rozmawiali więcej o zdarzeniu na szczycie wieży, lecz w ich sercach rosło pragnienie, by otworzyć zapieczętowane okno i sprawdzić, co się wydarzy. Dla Rolanda było to tylko coś na kształt dziecięcego marzenia, by zajrzeć tam, gdzie zaglądać nie wolno, Marka zaś dręczył swego rodzaju wstyd, że od działania powstrzymuje go stara opowiadka.

Przez wiele następnych dni prześladowało go przekonanie, że wyprawa na szczyt wieży położyła się cieniem na ich przyjaźni. Roland był bezustannie strapiony i rozdrażniony, a Mark odczuwał utajone pragnienie powrotu do komnaty dziadka, nierzadko tak silne, jakby ciągnęły go tam jakieś niewidzialne gesty lub niesłyszalne głosy.

Pewnego słonecznego poranka Roland wyjechał, nic nie mówiąc kuzynowi, i Mark został w wieży sam. Siedział nieruchomo jeszcze bardziej apatyczny niż zwykle, targając za uszy wielkiego ogara. Psisko trzymało mu łeb na kolanie i wpatrywało się w niego łzawymi ślepiami, bez wątplenia zastanawiając się, dlaczego Mark również nie wyjechał.

Niespodziewanie spojrzenie sir Marka padło na klucz, który leżał na parapecie tam, gdzie był go odłożył. Pragnienie, by go ująć i wyrwać serce tajemnicy, naszło go z taką siłą, że nie mógł się dłużej opierać. Dwukrotnie wstawał, łapał za klucz i bawił się nim przez chwilę niepewnie, po czym go odkładał. W końcu jednak popędził na górę spiralnymi schodami. Aż zakręciło mu się w głowie od jasnego światła wpadającego przez wąskie okna, przez które widział zielen wzgórz i błękit nieba nasycone słońcem. Chłód schodów łagodził nieco przyjemny, wiosenny wiaterek. Naraz Mark usłyszał za sobą szelest łap i zrozumiał, że stare psisko postanowiło mu towarzyszyć. Poczekał przed drzwiami. Był w dziwnym nastroju, ale w

skrytości ducha cieszył się z towarzystwa. Gdy wielki pies dotarł już na górę, Mark bez zwłoki otworzył drzwi i wkroczył do środka.

W komnacie na szczycie wieży nadal rozlewały się cienie, ale mimo to Mark wyczuł jakąś osobliwą atmosferę. Nie wiedział skąd ani dlaczego, lecz niespodziewanie ogarnęło go przeświadczenie, że był tu oczekiwany. Nie wahał się ani chwili dłużej – podszedł do zaślepionego okna i przyjrzał mu się uważnie. Wtedy usłyszał za sobą obcy odgłos. Odwrócił się i ujrzał starego ogara, który z wysoko uniesionym łbem węszył niespokojnie.

Zawołał go i wyciągnął dłoń, lecz ogar ani drgnął. Machnął ogonem, jakby chcąc dać do zrozumienia, że usłyszał wołanie, ale natychmiast powrócił do obwąchiwania kątów. Mark przyglądał mu się przez chwilę i doszedł do wniosku, że coś go bardzo niepokoiło. Zwierzę legło na progu, kuląc pod sobą łapy, i spojrzało na pana oczyma pełnymi strachu, drżąc przy tym zauważalnie. Markowi również nie było lekko na duszy, ale gnał go pośpiech wywołany strachem. Pochwycił wielką zasuwę blokującą okiennicę w poprzek, uwolnił ją i postawił na ziemi, a potem mocnym szarpnięciem rozwarł skrzydła okiennic.

W pierwszej chwili ujrzał jedynie zakurzone pajęczyny, które zdarł delikatnie przy pomocy zasuwy, a potem z zaskoczeniem odkrył, że okno było ciemne lub niemalże ciemne.

Wyglądało na to, że coś jeszcze je zasłania od zewnątrz, choć gdy Mark oglądał je z dołu, widział tylko przejrzyste szyby witrażowe. Cofnął się na chwilę, lecz nie mógł długo poskromić ciekawości i podszedł znów bliżej, by kolejnym szarpnięciem uwolnić zardzewiałą ramę. Rozwarł okno, lecz wciąż było ciemno.

Niespodziewanie do komnaty wtargnął podmuch lodowatego wiatru i Mark miał wrażenie, jakby coś błyskawicznie przez niego przemknęło. Usłyszał, jak stare psisko wydaje z siebie zduszone wycie. Odwróciwszy głowę, ujrzał, jak ogar zrywa się, jeży sierść i obnaża kły, by już w następnej sekundzie wypaść z pokoju.

Pozostawiony samemu sobie, Mark usiłował poskromić przerażenie. Rozejrzał się po pomieszczeniu, które tonęło w świetle słońca wpadającym od południa i znów spojrzał ku czarnemu oknu. Zmusił się, by podejść bliżej i wyjrzeć na zewnątrz, a wtedy dostrzegł rzecz, która oszołomiła go

do tego stopnia, iż niemalże był gotów uznać ją za wymysł człowieka obłąkanego. Patrzył bowiem na ogarnięte półmrokiem opustoszałe wzgórze pokryte kamieniami i skałami. Zbocze podchodziło aż do samego okna, tak że właściwie mógłby na nie wyskoczyć. Ściana pod oknem zdawała się wręcz wrastać w samo wzgórze.

Wokół panowały ciemność i cisza zupełnie jak podczas pochmurnej nocy. Zbocze opadało w dół bardzo stromo i Mark odniósł wrażenie, że widzi w oddali zarys bezkresnej równiny, choć był przecież pewien, że właśnie tam powinny się znajdować wzgórza, które znał niemalże od urodzenia. Na równinie spostrzegł światło przypominające z tej odległości okno, w którym płonie ogień. Tuż pod nim postać przypominająca człowieka to przemykała między skałami, to znów kuciała i czała się, jakby usiłowała znaleźć drogę ucieczki.

Wraz ze śmiertelnym lękiem, który zalał jego serce, sir Mark odczuł niepowstrzymane pragnienie, by zeskoczyć w dół, między skały. Tymczasem tajemnicza postać wyprostowała się i zaczęła go przyzywać gestami. Wtedy to niespodziewanie naszło go przecucie, że właśnie znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Na podobieństwo człowieka, który stanął na skraju przepaści, a woli pozostało mu jedynie na tyle, by próbować ocalić życie, odepchnął się od okna, zatrzasnął okiennice i założył sztabę. Potem na drżących nogach wyszedł z komnaty, macając ściany niczym człowiek dotknięty ślepotą.

Zakłuczył drzwi i, znów gnany strachem, popędził w dół schodami. Nie myśląc nad tym, co robi, wypadł na podwórze, podbiegł do znajdującej się pośrodku wielkiej studni i cisnął do niej klucz. Usłyszał metaliczny zgrzyt, a potem plusk. Nawet po tym wszystkim nadal nie ośmielił się wejść z powrotem do wieży. Patrzył to w górę, to w dół, rozglądał się panicznie na boki, aż spowijająca go chmura skrajnego przerażenia zaczęła powoli rzednąć, ustępując miejsca osłabieniu i melancholii.

W międzyczasie powrócił Roland, w dobrym nastroju i chętny do pogawędki, lecz na widok kuzyna natychmiast spoważniał i spytał, czy nic mu nie dolega. Mark zaprzeczył ostro, niemalże opryskliwie, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko. Roland uniósł wysoko brwi i szybko zmieniawszy temat, głądził o czymś przez chwilę. W końcu zapytał: – Co

porabiałeś przez cały ranek?

Mark odniósł wrażenie, że pytaniu towarzyszyło baczne, dociekliwe spojrzenie.

Ogarnął go niewytłumaczalny, wręcz irracjonalny gniew.

– A jakie to ma znaczenie?! – wybuchnął. – Nie mogę we własnym domu robić tego, na co mam ochotę?

– Ależ owszem, możesz – odparł Roland i już tematu nie drążył. Siedział w milczeniu, wciąż marszcząc czoło, a potem zanucił pod nosem jakąś melodię i wyszedł.

Podczas wieczerzy Mark usiłował zadawać kuzynowi pytania, ale i tak posiłkowi towarzyszyła niezręczna cisza, co było zaprzeczeniem dotychczasowej tradycji. Gdy wreszcie służba wyszła, Mark wyciągnął do Rolanda dłoń i powiedział: – Kuzynie, przebacz mi! Wstyd mi za me słowa i ton, w jakim je wygłosiłem.

Mieszkamy razem tak długo, a nigdy dotąd nie pokłóciliśmy się tak bardzo. To wszystko moja wina.

Roland odpowiedział uśmiechem i uścisnął dłoń kuzyna.

– Och, ani na moment nie wziąłem tego poważnie – odrzekł. – I tak się dziwię, że potrafisz wytrzymać z takim próżniakiem jak ja.

Potem rozprawiali jeszcze przez chwilę z owym przyjemnym ożywieniem charakterystycznym dla dwójki dobrych przyjaciół, którzy właśnie się pogodzili po kłótni.

Jednakże późnym wieczorem Roland zagabnął: – Czy w twojej opowieści o śmierci dziadka jest jakaś wzmianka o skarbie?

Pytanie to na powrót zburzyło dobry nastrój Marka, ale mężczyzna opanował się i odpowiedział: – Nie, nie słyszałem nic o żadnych skarbach. Z początku posiadłość należała do ludzi bogatych, lecz w chwili śmierci dziadka znajdowała się w stanie opłakanym i nikt nie wie, co staruszek zrobił z dochodami. Lepiej popytaj najstarszych mieszkańców wsi, wiedzą o tym domu więcej niż ja. Ponadto, Rolandzie, wybacz mi, ale chciałbym cię poprosić, by imię sir Jamesa już nigdy nie pojawiło się w naszych rozmowach. Żałuję, że zajrzeliśmy do tej komnaty. Nie wiem, jak to wyrazić, lecz mam wrażenie, że on tam wtedy czekał w ciszy, aż zostanie wezwany. Wydaje mi się, że go zaniepokoił i... i że siedzi teraz między

nami.

Sądzę, że był złym człowiekiem, tajemniczym i występny. W głowie wciąż rozbrzmiewa mi zdanie Samuela z Biblii: „Dlaczego nie dajesz mi spokoju i wywołujesz mnie?”.

– Och – dodał, ponieważ dostrzegł, że Roland rozwarł usta i wpatruje się w niego z wielkim zaskoczeniem. – Sam nie wiem, dlaczego mówię to wszystko, lecz sądzę, że na naszą przyjaźń padł jakiś cień, a na świat wydostało się zło.

Od tego dnia Mark nosił w duszy ciężar, którego za nic nie mógł się pozbyć. Przed sobą samym przyznał, że czuje się, jak gdyby lekkomyślnie rzucił wyzwanie czemuś o wiele potężniejszemu i niebezpieczniejszemu, niż mu się wydawało, zupełnie jak małe dziecko, które budzi śpiącego potwora. Nawiedzały go również mroczne sny. Postać, którą widział między skałami, zerkąła na niego z szyderczym uśmiechem, przyzywała go znad niebezpiecznych miejsc, a on niechętnie, wbrew własnej woli wychodził jej na spotkanie. W miarę jednak jak gęstniał mrok w jego duszy, rosło dobre samopoczucie Rolanda. Wyglądało na to, że jego kuzynem powoduje zupełnie inna wizja, jasna i optymistyczna, a on sam powziął jakąś wielką i wspaniałą decyzję.

Pewnego ranka Roland wszedł do izby, promieniejąc taką radością, że Mark aż zapytał z nieumiejętnie skrywaną zazdrością, co też uszczęśliwiło go tak bardzo.

– Szczęście! – zakrzyknął Roland. – Och, czymże jest szczęście? Pewnie niczym poza kilkoma wesołymi snami. Ostatnio śni mi się pewien zacny człowiek, który woła mnie ku sobie z uśmiechem i pokazuje mi różne miejsca, wspaniałe kryjówki na brzegach rzek i w wykrotach w głębi lasu, gdzie zalegają bogactwa. Jestem pewien, że los zgotował mi wielką niespodziankę. Lecz nie zachowam tego wszystkiego dla siebie, o nie – podzielimy się tym.

Mark zacisnął usta, dostrzegłszy w wizji kuzyna podobieństwo do własnych mrocznych snów. Siedział nieruchomo i patrzył przed siebie kamiennym wzrokiem.

W końcu pewnego cichego, wiosennego wieczoru, gdy powietrze było usypiająco parne dla ludzi, lecz pełne słodkich obietnic dla kwitnących

drzew i krzewów, a nad odległymi równinami gromadziły się jaskrawoczerwone chmury zwiastujące burzę, Mark i Roland zasiedli do wieczerzy. Tego dnia Mark wyprawił się na długą pieszą wędrówkę i leżał godzinami na trawie, usiłując pokonać w sobie owo znużenie, które wydawało się zatruwać źródło jego życia.

W przeciwieństwie do niego Roland przez cały dzień ani chwili nie usiadł w miejscu. Co chwila wybiegał z jakimiś ważnymi, tajemniczymi sprawami i wracał ożywiony, nucąc pod nosem. Zachowywał się jak człowiek z wy tęsknieniem szykujący się do podróży do odległego kraju. Wieczorem więc, gdy kolacja dobiegła końca, Roland pozwolił, by jego fascynacja wyszła na jaw w rozmowie.

– Gdybyśmy byli bogaci, zmienilibyśmy to miejsce nie do poznania – powiedział.

– Mnie ono odpowiada takie, jakim jest – odparł Mark ze znużeniem. Roland zbeształ go żartobliwie za ponury nastrój i zaczął roztaczać wizję nowego życia.

Zmęczony i dręczony niewiarygodnym przygnębieniem, Mark poszedł tego dnia wcześniej do łóżka, pozostawiając Rolanda samego. Zasnął, lecz sen miał krótki i urywany.

Przebudził się w końcu, zapalił świecę, wziął książkę i bez zapалу zabrał się do lektury, chcąc jakoś przeczekać ponure godziny. Tej nocy dom zdawał się pełen osobliwych odgłosów. Raz czy dwa Mark usłyszał jakieś drapanie i uderzenia o ścianę, a w wieży rozlegały się ciche kroki, lecz z drugiej strony zawsze dobiegały stamtąd jakieś dźwięki i już dawno oduczył się zwracać na nie uwagę.

W końcu znów zapadł w sen, lecz tylko po to, by zostać z niego wyrwanym przez przejmujący krzyk pełen bóleści dobiegający nie wiadomo skąd. Pies, który spał w komnacie Marka, również go usłyszał – siedział teraz spięty, zastygły w oczekiwaniu. Mark poderwał się i ujął świecę, po czym pobiegł korytarzem do komnaty Rolanda. Paliło się w niej światło, dzięki czemu natychmiast się zorientował, że nikt w niej nie spał.

Przepełniony lękiem, Mark wrócił do głównej izby i ruszył schodami na górę. W jego umyśle przerażenie walczyło o lepsze z niepokojem o życie kuzyna. Gdy dotarł na szczyt, okazało się, że drzwi do komnaty dziadka

zostały wyłamane siłą, a w środku paliło się światło. Rozejrzał się, a potem raz jeszcze usłyszał ów krzyk, tym razem ledwie słyszalny i pełen rozpacz.

Drżąc ze strachu, przeniósł wzrok na szeroko rozwarte okno. Rozpościerała się za nim straszliwa, niemalże płynna czerń. Za słupkiem, gdzie zbiegały się skrzydła okienne, zobaczył coś przypominającego węzeł. Była to lina spuszczone w dół. Przypadł do okna i wychylił się, a wtedy na końcu liny dostrzegł jakiś rozkołysany kształt. Znow pośród ciemności rozległ się krzyk przypominający płacz zagubionej duszy.

Jak w koszmarze sennym, Mark ujrzał zarys owego znienawidzonego zbocza. Był wystraszony i oszołomiony, ale mimo to odniósł wrażenie, że na samym dole trwa jakieś zamieszanie. Widział ruchome blade światła, a także grupę postaci, które rozpięzchły się niczym ławica ryb, gdy tylko się wychylił. Zrozumiał, że obserwuje scenę nieprzeznaczoną dla oczu śmiertelników, jakby patrzył prosto w czeluść piekielną.

Lina zbiegała w dół ku skałom i znikwała między nimi. Mark uchwycił ją mocno i wyteżywszy wszystkie siły – a do ułomków nie należał – pociągnął. Gdy tylko uzbierało się jej więcej, zarzucił pętlę dookoła wielkiego stołu z dębu, obawiał się bowiem, że jego własna siła może nie wystarczyć. Gdy zarzucił kolejną pętlę i znow podbiegł do okna, ujrzał wielką, zakapturzoną postać przypominającą ptaka, która bezgłośnie podleciała do wieży i załopotowała skrzydłami.

Ów kształt, który dostrzegł na końcu liny, znalazł się wreszcie za skałami. Wyglądało na to, że przeniknął przez nie, jakby składały się tylko z dymu. Z tą chwilą zadanie Marka stopniowo stawało się coraz trudniejsze. Walczył z ciężarem z milczącą zaciekłością, mimo bólu wciągał linę cal za cal. Jego mięśnie z wolna sztywniały, na brwiach zawisły krople potu, a krew huczała w żyłach. Już nie oddychał, a szlochał charkotliwie. Wreszcie postać zawieszona na końcu liny znalazła się tak blisko, że mógł ją wreszcie pochwycić i wciągnąć do środka. Był to Roland.

Jego głowa kołysała się z boku na bok, co i raz opadała. Nie miał siły, by poruszyć ręką czy nogą, zaś jego twarz była ciemna od rozmazanej krwi. Mark wyciągnął nóż i przeciął linę, a wtedy Roland osunął się na podłogę. Tknięty dziwnym przecuciem, Mark uniósł głowę i w znajdującym się ledwie kilka stóp od niego oknie ku swemu przerażeniu ujrzał twarz. Nigdy

nie przypuszczał, by ludzka twarz – o ile rzeczywiście należała ona do człowieka – mogła być tak potworna – trupio blada, z zaciśniętymi ustami i bladymi oczyma emanującymi nienawiścią i diabelską wprost złośliwością.

Zza pleców Marka dobiegł jakiś odgłos. Stary ogar, który nieoczekiwanie wślizgnął się do komnaty, skoczył ku parapetowi, dziko ujadając. Mark usłyszał, jak jego pazury zazgrzytały o kamienny parapet, a potem pies zniknął po drugiej stronie. Rozległ się łoskot ciała uderzającego o ziemię, a ciemność za oknem na moment jakby się uniosła niczym chmura. Ujrzał pod nią zarys znanych sobie wzgórz wraz z niebem upstrzonym kojącymi gwiazdami.

Dławiące go przerażenie zaczęło z wolna wyparowywać. W jakiś niepojęty, tajemniczy sposób domyślił się, że jego wróg właśnie zniknął. Zniósł Rolanda po schodach i ułożył go w łóżku, a potem wyrwał ze snu wszystkich służących, którzy przyglądali mu się ze strachem. Chwilę później opuściły go resztki sił. Upadł na podłogę i zalała go ciemność.

Mark wracał do zdrowia powoli. Człowiek, który raz wejrzy w Nieznane, z trudem przekonuje się do wagi życia materialnego. Pierwszym świadomie wypowiedzianym przez niego zdaniem było pytanie o ogara. Słudzy wyjawili mu, że jego ciało znaleziono u stóp wieży, okrutnie okaleczone jakby zębami straszliwej bestii. Został pochowany w ogrodzie, a nad nim ułożono kamienną płytę z wyrytymi słowami: *EUGE SERVE BONE ET FIDELIS*.

Pewien niemądry ksiądz powiedział kiedyś Markowi, że nie wypada umieszczać słów z Biblii na grobach zwierząt. Mark odparł jednak przezornie, że inskrypcja jest przeznaczona dla tych, którzy będą ją czytać, aby wzbudzić w nich pokorę, nie zaś po to, by dodawać chwały tym, co pod nią leżą.

Gdy wreszcie odzyskał dość sił, by opuścić łoże, w pierwszej kolejności wezwał murarzy i nakazał im zburzyć starą wieżę Nortów do fundamentów, a w jej miejscu postawić znowu kapliczkę. Okazało się wówczas, że z komnaty dziadka wychodzi tajne przejście, które kończy się przy krzakach rosnących u stóp wieży. Mark natrafił tam na skrzynię złota, którym zapłacił za budowę kościoła.

Wkrótce znalazł sobie żonę, a dziś jego dzieci dorastają mu już do pasa.

Ci, którzy zachodzą do niego z wizytą, mogą jednak ujrzeć dziwnego, mizernego człowieka, który zasiada przy jego stole, z którego dobrodziejstw korzysta zresztą nader oszczędnie. Czasem ów człowiek jest radosny i opowiada długą historię o tym, jak to został zaprowadzony przez uśmiechniętego, wspaniałego nieznajomego do miejsca na zboczu wzgórza, gdzie znajduje się złoto, choć nigdy nie pamięta końca tej historii. Wiosną jednakże milknie i tylko mamrocze do siebie. To Roland, którego dusza wydaje się zamknięta w czymś na kształt więziennej celi.

Mark modli się o jej uwolnienie, a póki co traktuje go jak drogiego, rodzzonego brata i szanuje jak człowieka, który stanął twarzą w twarz z drugą stroną Śmierci, lecz nie może powiedzieć, co ujrzały jego oczy.

Bez trudu mógłbym napisać wstęp na temat tych dwóch pisarzy, który byłby dłuższy od samego opowiadania, tak więc lepiej będzie, jeśli pohamuję nieco entuzjazm.

Lawrence Schimel (ur. 1971) jest płodnym autorem wesołych i rozpustnych (w pełnym znaczeniu tego słowa) opowiadań, z których wiele zostało zamieszczonych w jego zbiorze *The Drag Queen of Elfland (1997)*. W skład jego antologii wchodzi również tytuły *The Fortune Teller (1997)*, stworzony do spółki z Martinem H. Greenbergiem oraz porywający zbiór magicznego realizmu *Things Invisible to See (1998)*. Obecnie mieszka w Hiszpanii i zajmuje się głównie pisaniem książek dla dzieci.

Mike Resnick (ur. 1947) to autor dziesiątek książek i opowiadań, spośród których największą sławę przyniosła mu wielokrotnie nagradzana seria o rdzennych Afrykanach, którzy kolonizują planetę Kirinyaga i ustanawiają tam kulturę podobną tej, która kiedyś istniała na Ziemi. Opowiadania te zostały zebrane w tom pt.: *Kirinyaga (1998)*. Resnick jest zdobywcą czterech nagród Hugo, jednej Nebuli oraz wielu innych wyróżnień w Stanach Zjednoczonych, a także Francji, Japonii, Polsce, Chorwacji i Hiszpanii. Jego dzieła tłumaczono na dwadzieścia dwa języki.

Połączenie talentów obu pisarzy doprowadziło do powstania tego oto ciekawego, krótkiego opowiadania, które kwestionuje naturę rzeczywistości.

Lawrence Schimel i Mike Resnick

ODARCIE Z ILUZJI

Gromadzili się w Wielkiej Sali, kiedy Edward uniósł się, jakby wiedział, że coś zaraz nastąpi. Chwilę później ropuchy zaczęły spadać ludziom na głowy. Goście podnieśli wrzask.

Edward machnął dłonią i dywan natychmiast zamienił się w tysiące ust, z których każde pożarło przynajmniej jedno zwierzę. Jednakże z chwilą,

gdy znikły ostatnie ropuchy, okazało się, że apetyt ust bynajmniej nie został zaspokojony i ich celem stały się meble.

Edward machnął dłonią po raz wtóry i meble zmieniły się w lite złoto. Gdy pierwsze zęby pękły w starciu z nowym przeciwnikiem, usta zaczęły się cofać, a wtedy meble wypuściły skrzydła i uniosły się kilka cali nad wielousty dywan, rzucając mu tym samym kolejne wyzwanie. Usta jednakże znikły, więc meble delikatnie opadły na ziemię i znieruchomiały. Ich złote nogi na powrót stały się drewniane, a Edward uśmiechnął się szeroko i uklonił głęboko rozentuzjasmowanej publiczności.

Vivian westchnęła, żałując, że musi tu być, ale powstrzymała się od jawnego okazywania nudy. Śmiała się wraz z innymi zgromadzonymi członkami Trzynastu Rodzin.

Próbowała sobie przypomnieć, do którego momentu jej związku z Edwardem istniała między nimi magia i w którym wyparowała. Był bowiem taki okres, kiedy oczarowywał ją każdą sztuczką, i to tylko i wyłącznie dlatego, że to on je wykonywał. Teraz, gdy się kochali, mamrotała pod nosem zaklęcia, udając, że są to jęki ekstazy, zaklęcia, które zamieniały jego twarz w oblicze innego mężczyzny. Nieważne jakiego – wszystko, byle nie patrzeć na Edwarda.

Gdzieś po drodze coś się zwyczajnie popsuło.

Jej serce, swego czasu równie niezachwiane w uczuciach jak galeony Imperatora na falach, zamieniło się w zwykły wrak, płataninę jedwabnych żagli i hebanowych belek, zupełnie jakby magia wynosząca je ponad fale zawiodła. Vivian miała wrażenie, że talent Edwarda wysmyknął mu się z rąk i upadł w błoto. Wszyscy konstantynopolitańczycy wyglądali zresztą dla niej jak ubłoceni – wspaniały splendor chwili zniknął, przyćmiony jej ponurym nastrojem, zupełnie jakby słońce zostało przesłonięte tumanem pyłu lub po prostu przestało świecić.

Pyton o skomplikowanym wzorze na łuskowatej skórze wyłonił się zza fotela mistrza ceremonii, a Edward rozwarł usta na tyle szeroko, by zmieścić w nich grube cielsko gada i pożarł go pospiesznie. Zgromadzona elita po raz kolejny wybuchła śmiechem niczym grupka trzpiotowatych dziewczynek słysząca najnowszą plotkę. Vivian była tym wszystkim skrajnie znudzona, a Edwardem w szczególności. Czegoś w nim brakowało,

czegoś, czego ona rozpaczliwie potrzebowała, choć nie potrafiła wskazać precyzyjnie, cóż by to miało być.

Nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jaki był naprawdę, skryty za tymi wszystkimi czarami i iluzjami. Gdyby choć raz, nawet i przypadkowo, udało jej się spojrzeć na prawdziwego Edwarda – nawet wtedy, gdy przydawała mu twarze innych mężczyzn, by jakoś przetrwać trudne chwile... Vivian sama korzystała z czarów i iluzji, by odpędzić oznaki starości i polepszyć swą urodę, ale prawdziwego Edwarda wyobrażała sobie jako człowieka pustego, pozbawionego wnętrza, zupełnie jakby składał się jedynie z wyrafinowanych, potężnych czarów.

Pomimo młodego wieku – choć wcale młody się nie wydawał – Edward był niewątpliwie najpotężniejszym magiem w mieście, a przez to najbardziej cenionym członkiem Trzynastu Rodzin. Tworzyli je najwybitniejsi czarodzieje Konstantynopola, którzy o swój status dbali metodą żelaznej ręki (choć zawsze wymierzali sprawiedliwość z daleka i przy użyciu magii, nigdy dosłownie nie plamili rąk). Zwrócenie na siebie jego uwagi, a tym bardziej utrzymanie jej tak długo, stanowiło dla Vivian nie lada powód do dumy, choć teraz, gdy poznała Edwarda lepiej, wiedziała, że tak naprawdę nie było to trudne zadanie. Pomimo wielkiego kunsztu magicznego Edward wydawał się zupełnie nieświadomy sztuczek i podstępów stosowanych w prawdziwym życiu, pozwalał sobą manipulować i wodzić się za nos. Vivian poświęciła sporo czasu na próby zamaskowania naiwności kochanka, by bronić tak jego, jak i własnej pozycji przed ludźmi, którzy chcieli go wykorzystać. Do tego bowiem zastrzegła sobie wyłączne prawo.

Niemniej nawet i ten przywilej stracił powab i stał się dla niej zaledwie obowiązkiem.

Musiała po prostu bronić tronu przed napastnikami, obojętnie, czy groźnymi, czy mało istotnymi.

Niespodziewanie w podłodze, z szybkością bąbelka szampana odrywającego się od dna kieliszka, tuż pod krzesłem Vivian powstała dziura i kobieta runęła w dół. Przez głowę przemknęło jej pytanie, czy aby nie rzucić jakiegoś czaru dla ratowania życia, na wypadek gdyby właśnie spadała z zamku, w którym gościli, ale miała nadzieję, że Edward o niej nie

zapomni i w porę ją ocali (chyba że była to kolejna z jego sztuczek).

Znalazła się w powietrzu. Świadomość, że oto uwolniła się od towarzystwa członków Trzynastu Rodzin, których w grupie uważała za nużących i komicznych, zalała ją poczuciem ulgi. Spojrzała na rozpościerające się u jej stóp miasto: Wielki Dworzec w centrum i bramę, przez którą przybywali wszyscy przyjezdni, złocisty glob, znad którego słońce oblewało miasto swym blaskiem, i leżącą nieopodal Katedrę. Ta zaś, choć wzniesiona z kamienia niemagicznym dziełem ludzkich rąk, konkurowała lub zgoła przyćmiewała splendorem magiczne konstrukcje wyrastające wzdłuż ulicy wiodącej od Wielkiego Dworca do Katedry, mizerne i niematerialne wytwory fantazji.

Jej zadumę przerwał nagle Edward, który znalazł się za jej krzesłem i uwięził ją w ramionach.

– Nie byłaś ani odrobinę przejęta czy wystraszona? – zapytał, nurzając twarz w jej długich, czarnych lokach i przesuwał dłoń z brzucha na piersi. – Wyglądasz tak olśniewająco, że nie mogłem się powstrzymać przed porwaniem cię z zamku. Dalej, kochajmy się w powietrzu – szepnął jej do ucha.

– By cały świat to zobaczył? Jak pierwszy lepszy żeglarz z byle dziwką, na oczach wszystkich?

– Jesteśmy niewidzialni – odparł, manipulując przy sznurowaniu jej sukni, a Vivian wiedziała, że z chwilą, gdy to powiedział, rzeczywiście tak się stało.

– Proszę, Edwardzie, wiesz, że nie chodzi o brak zaufania do twoich czarów. Z pewnością bez trudu utrzymałyby nas w powietrzu, ale ja po prostu wolę wygodę, jaką daje mocny grunt pod nogami, łóżko i...

Vivian miała w pogotowiu długą listę preferencji, licząc na to, że któraś wreszcie zniechęci Edwarda, lecz oto nagle znaleźli się nad jego pałacem. Pomimo czarodziejskiego talentu wznosił tę budowlę z ziemskich materiałów, choć była równie wspaniała i luksusowa jak wyśnione, latające zamki innych czarodziejów. Skoro Vivian musiała się godzić na emocjonalny dyskomfort związany z uprawianiem seksu z Edwardem, wolała, by miało to miejsce pośród wygod, do których się przyzwyczała jako jego towarzyszka życia.

Edward uniósł ją i ułożył na grubej, wypchanej pierzem kołdrze na ich wspólnym łóżu, a sam położył się na niej. Słowa zaklęcia, które miało zmienić wygląd Edwarda, przemknęły jej przez umysł i wypowiedziała je przy pierwszej okazji, drapiąc jego plecy palcami uformowanymi w odpowiednie dla czaru kształty. Edward odebrał jej gesty jako ponaglenie, co jeszcze bardziej go podnieciło. Nie przejmował się dłużej klamrami i zapięciami jej ubrania – jednym zaklęciem sprawił, że znikło, odsłaniając nagie ciało. Na szczęście w kilka minut było po wszystkim i Edward szybko zasnął.

W chwili, gdy zaczął chrapać, Vivian wyslizgnęła się z łóżka. Zaryglowała za sobą drzwi w łazience, choć wiedziała, że takie środki ostrożności nie powstrzymają na długo ani Edwarda, ani tak naprawdę żadnego mieszkańca Konstantynopola. W tym mieście czarodziejów dzieci poznawały prosty czar otwierania zamków, jeszcze zanim oduczyły się moczyć w spodnie, ale Vivian mimo to czuła taką konieczność. Był to dla niej emocjonalny sygnał, iż oto właśnie całkowicie odgradza się od Edwarda. Pozwoliła, by spłynęły z niej wszystkie iluzje i przyjrzała się sobie w lustrzanej ścianie, a potem pochyliła się, aby napuścić gorącą wodę do wanny. Gąbką i mydłem zaczęła ścierać z siebie zapach mężczyzny. Minęło sporo czasu, nim znów poczuła się czysta.

Wytarła ciało do sucha, choć równie dobrze mogła w tym celu wykorzystać proste zaklęcie. Nie chodziło bynajmniej o to, że gardziła magią czy jej dobrodziejstwami.

Życie Vivian, podobnie jak życie większości mieszkańców Konstantynopola, było przesycone magią do cna. Sama korzystała z niej codziennie, rzucała czary i iluzje niemal odruchowo, nawet o tym nie myśląc, i dlatego właśnie wolała sama się wycierać i sama wykonywać setki innych manualnych czynności. Wiedziała, że człowiek uzależniony od magii prędzej czy później całkiem się w niej zatraci. Świadomie rezygnując z niej przy drobniejszych sprawach, zachowywała czujność, a dzięki owej czujności umysłu oraz uwadze, jaką przywiązywała do szczegółów, była w stanie uwieść Edwarda i zapewnić sobie jego miłość na długie lata.

Przyglądając się swemu odbiciu, Vivian nie mogła jednakże uniknąć pytania, czy cały ten wysiłek w jakikolwiek sposób się opłacił. Z pewnością

nie żałowała zdobytego w ten sposób doświadczenia, tego nie wyrzekłaby się nawet za wszystkie moce Edwarda. Chodziło raczej o niego samego. Nie ulegało wątpliwości, że dzięki jego pozycji w Konstantynopolu awansowała do dobrego towarzystwa i zapewniła sobie przywileje, o jakich bez niego nawet by nie śniła. Cóż z tego jednak, skoro wspiąwszy się na sam szczyt, dotarłszy nawet do latających pałaców kwitujących wysoko nad wieżami miasta, Vivian odkryła, że się nudzi?

Życie było zbyt proste.

To chyba właśnie nużyło ją w Edwardzie. Przez niego przymus rywalizacji całkiem zniknął z jej życia, nie musiała stawiać czoła żadnym wyzwaniom. Mocą czarów Edward spełniał każdą jej zachciankę, a że manipulowanie nim nie należało do rzeczy trudnych, korzystała z tego przywileju do woli. Nie było już niczego, co by ją nadal motywowało do działania, a frustracja prowadziła ją na dno. Mogła się włóczyć po Konstantynopolu, będąc zarazem więźniem własnego związku.

Zerknąwszy w lustro, spostrzegła, jak bardzo się postarzała, mimo że poświęcała ciału tak wiele uwagi. Jej włosy, ongiś kruczoczarne, zaczynały już siwieć pod warstwą iluzji. Jak długo będzie w stanie żyć w ten sposób? Vivian czuła, że kiedyś udusi się nudą życia pośród niezliczonych iluzji. Zaczynała dochodzić do wniosku, że byłaby o wiele szczęśliwsza, gdyby nigdy do Konstantynopola nie przyjechała. Gdyby została, na przykład, żoną rolnika i wraz z nim rok w rok w niekończącej się walce wydzierać naturze dość plonów, by zapewnić rodzinie przetrwanie. Zdawała sobie sprawę, jak próżne są to rozważania, zwłaszcza gdy się je snuje w otoczeniu takich luksusów. Mimo to sądziła jednak, że tocząc życie proste, czułaby przynajmniej, że żyje. Cóż, pewnie byłoby to trudne życie, pomyślała, ale teraz też nie jest mi łatwo, i to z o wiele błahszych powodów.

Tylko czy potrafiłaby to wszystko porzucić? Czy potrafiłaby zrezygnować ze statusu, z władzy, jaką sprawowała dzięki Edwardowi? A także z poczucia przemożnej nudy i niezadowolenia, które towarzyszyły jej przez całe życie? Nie miała pewności. Od zawsze była nastawiona na pięcie się w górę i zejście w dół znaczyłoby dla niej tyle, co porażka. Poza tym nie miała nowego celu, który mógłby zastąpić obecny.

Westchnęła i wyszła z łazienki, po czym przemknęła szybko przez sypialnię, gdzie pod skotłowaną niebieską kołdrą nadal chrapał Edward. Wślizgnęła się do garderoby i nałożyła na siebie lekką szatę. Już miała opuścić ich pokoje i zaszyć się w bardziej ustronnej części zamku, na przykład nieopodal zmieniającej się bezustannie mozaiki, by dumać nad swym dylematem, gdy zerknęła w jedno z mniejszych lusterek i zauważyła, że nie nałożyła na siebie iluzji. Natychmiast przypomniała sobie słowa stosownego zaklęcia i zaczęła je wymawiać, nim jeszcze położyła dłoń na klamce, lecz nagle zawahała się. W myślach zadała sobie pytanie, jak by to było, gdyby wyszła stąd pod własną, prawdziwą postacią i spróbowała chociaż raz odrzucić życie, którym pogardzała. Z pewnością nie napotkałaby wielu ludzi z zewnątrz – co najwyżej jakiegoś służącego.

Uwolniony się od ciężaru iluzji maskujących wygląd, Vivian ruszyła doskonale znanymi korytarzami, zadowolona z siebie i zachwycona nową wolnością. Mury również były materialne i prawdziwe, a kamienna podłoga chłodziła jej stopy. Mało który pałac w Konstantynopolu mógł się tym poszczycić, wszystkie tworzone na sposób magiczny. Jej białe stopy stąpałyby tam po iluzjach wyobrażających miękkie dywany lub po kamieniach o odpowiedniej, zawsze tej samej temperaturze. Edward jednakże ostentacyjnie zarzucił pomysł stworzenia magicznego pałacu, a zamiast tego wykorzystał magię, by zgromadzić w nim ogromną różnorodność wszelakich dóbr. Członkowie innych rodzin uznali to za wyraz ekscentryzmu, zaś fakt, że zdecydował się wybudować pałac na ziemskich fundamentach, nazwali dziwactwem – ich pałace unosiły się między chmurami.

Tymczasem to właśnie jego prostota i autentyczność przyciągnęły Vivian do Edwarda, nie wspominając już o niewyobrażalnej ilości magii koniecznej do budowy – o wiele trudniej manipulować tym, co już istnieje, niż stworzyć coś z niczego.

Teraz Vivian spoglądała przez okno na leżące poniżej miasto, na wszystkie te wymyślne i nieprawdopodobne budowle opromienione blaskiem złocistego globu zawieszzonego nad Wielkim Dworcem. Kiedyś przepadała za tym widokiem, nie mogła się tego wyprzeć, ale coś się wydarzyło i jej uwielbienie wyparowało niczym jedna z iluzji. Prask – i nie

ma.

Równie dobrze – myślała Vivian – równie dobrze pewnego dnia cały ten złocisty glob mógłby po prostu zniknąć.

A wtedy, jakby w milczącej odpowiedzi na myśli kobiety, świetlista kula rozplynęła się w powietrzu.

Vivian zamrugła, oszołomiona półmrokiem. Usiłowała znaleźć wyjaśnienie dla tego, co się właśnie stało. Czy to za jej sprawką złoty glob zniknął? Ależ ludzie się wściekną! Gdy tak patrzyła na ciemne miasto, poczuła, jak wzbiera w niej beztroska wesołość. Wciąż skądś dochodził jakiś blask... Ach tak, było przecież jeszcze słońce! Jakże łatwo zapomnieć o jego istnieniu, żyjąc w ciepłe jaśniejszego, magicznego globu, który powstał wieki temu, a utrzymywał się w powietrzu dzięki potędze zbiorowej nieświadomości Konstantynopola.

Vivian była przerażona, że samotnie zdołała stawić czoła tak wielkiej sile woli.

I nagle, patrząc na pogrążone w ciemnościach ulice, uświadomiła sobie, że zniknięcie globu wcale nie było jej zasługą. Owe wymyślne, nieprawdopodobne budowle ściśnięte wzdłuż ulic również wyparowały, a w ich miejscu piętrzyły się teraz obskurne rudery ze zwykłego drewna i cegły. Gdy przyglądała się skurczonemu nagle miastu, z nieba spadł żaglowiec i roztrzaskał się na kawałki.

Vivian próbowała rzucić czar iluzji, by przywrócić sobie codzienny wygląd, czar tak głęboko zakorzeniony w jej umyśle, że podtrzymywała go nawet nieświadomie. Ciało jednakże nie stawało się młodsze, a przy tym mizernym świetle włosy nadal wyglądały na siwe.

To nie ona wygasila złoty glob. Po prostu w Konstantynopolu zużyto całą magię.

Ta myśl całkiem ją zachwyciła. Wyobrazila sobie, jak ogromne, powietrzne zamki Trzynastu Rodzin spadają z nieba niczym ów żaglowiec i roztrzaskują się, tworząc potężne gruzowiska.

A Edward? Tak jak wszyscy inni, był teraz zwykłym śmiertelnikiem. Cała jego potężna magia znikła. Vivian znów zaczęła się zastanawiać, jak jej kochanek wygląda bez kamuflażu, o ile wszystkie te iluzje skrywały jakąkolwiek cielesność. Ruszyła korytarzami, podtrzymując się ścian, gdyż

magiczne światła również znikły. Przynajmniej sypialnia była oświetlona blaskiem wpadającym przez okna od strony ogrodu.

Vivian zatrzymała się przed drzwiami. Celowo opóźniała wejście do środka, napawając się tą chwilą. Tak długo rozmyślała nad prawdziwym wyglądem Edwarda, że nie chciała teraz umniejszyć jej wagi, wbiegając bezmyślnie do sypialni. Gdy jej palce obracały gałkę, wyobraziła sobie, jak na podobieństwo owych wymyślnych budowli, które bez magii zamieniły się w rudery, Edward przekształcił się w obślinionego tłuszciocha. O ileż łatwiej byłoby go nienawidzić, gdyby poznała jego prawdziwy, odrażający wygląd!

Uznała, że jest gotowa na wszystko, na każdą obrzydliwą formę ciała, z którym uprawiała miłość tysiące razy. Weszła do środka z takim właśnie przekonaniem, a tymczasem to, co ujrzała, zaskoczyło ją bezgranicznie.

Edward nie zmienił się ani odrobinę!

Pościel tylko częściowo przesłaniała pięknie wyrzeźbione, muskularne ciało. Nawet zęby miał idealnie proste. Vivian nie mogła się oprzeć i odsunęła kołdrę, by sprawdzić, czy przypadkiem jego męskość nie była iluzją.

I nagle zrozumiała, na czym polegał błąd ich związku – Edward składał się wyłącznie z fasady, był powierzchownością. Nie miał w sobie nic głębszego, nie miał śladu duszy.

Nasiąknął zwyczajami społeczeństwa, w którym się urodził, otrzymał urodę i dobre pochodzenie, lecz nic ponadto.

Roześmiała się serdecznie, lecz cicho, nie chcąc go obudzić. Zastanawiało ją teraz, jak się poczuje, kiedy odkryje, że jego moce znikły, choć jeszcze chwilę temu był najpotężniejszym magiem w mieście. Sądziła, że bez nich będzie okaleczony, niedołężny niczym miesięczne niemowlę.

Nie wiedziała, jak długo tam stoi, ubolewając zarówno nad sobą, jak i nad nim. Za jej plecami Konstantynopol legł w gruzach, a ona układała plany na życie, ciesząc się w głębi ducha, że jej kochanek zbudował pałac na ziemi. Gdyby postąpił w myśl trendów panujących wśród Trzynastu Rodzin, zapewne zginęliby podczas upadku. Zastanawiała się, ilu z nich przeżyło, choć nie mogła odnaleźć w sobie współczucia. Materialny, zbudowany na ziemi pałac Edwarda przynajmniej zapewni jej środki

potrzebne do tego, by rozpocząć nowe życie.

Odchodząc, zamierzała bowiem wziąć kilka cennych przedmiotów, jak choćby srebrną zastawę czy złoty wazon. Nie przerażała jej jednak nawet wizja nagłego ubóstwa. Entuzjazm aż w niej kipiał, ale póki co ani myślała się ruszać. Za nic w świecie nie zrezygnowałaby z szansy ujżenia twarzy Edwarda, gdy ten się przebudzi i odkryje, że jest bezsilny.

Niespodziewanie pokój zalało światło. Glob znowu zajaśniał na niebie, nad ulicami miasta na powrót wyrosły fantazyjne kształty magicznych budowli. Na oczach Vivian zdruzgotane pałace powracały do dawnych kształtów i unosiły się z powrotem do nieba, podczas gdy jej plany i nadzieje rozpadały się na kawałki.

Edward obudził się, zamrugął zaspanymi oczyma i sięgnął ku niej dłonią. Zadziałała magia i Vivian nagle znalazła się w łóżku, skulona pośród prześcieradeł.

– Miałem potworny sen – szepnął jej do ucha, wodząc dłonią po jej plecach i pośladkach. – Śniło mi się, że magia znikła.

Zaśmiał się i zaczął całować ją po szyi.

A zatem magia wróciła. Patrząc jednak na Edwarda, który trzymał ją w silnych, muskularnych ramionach, Vivian zrozumiała, że ona wciąż jej nie czuje.

*Podobnie jak w przypadku wspomnianego wcześniej Johna Morressy'ego, publikowałem już rozmaite opowiadania autorstwa **Esther Friesner** (ur. 1951) w moich antologiach, których motywem przewodnim było połączenie fantastyki i humoru. Mimo że jest ona najbardziej znana z szalenie zabawnych opowiadań i powieści – jak choćby *Herebe Demons* (1988), *Gnome Man's Land* (1991) czy *Majyk by Accident* (1993), z których każda okazała się początkiem cyklu – jej dorobek literacki jest o wiele obfitszy. *The Psalm of Herod* (1995) to na przykład niezwykle mroczna, antyutopijna powieść postapokaliptyczna, a niektóre z opowiadań w jej zbiorze *Death and the Librarian*, włączając poniższe, ukazuje najciemniejsze strony życia.*

Esther M. Friesner

W KRÓLESTWIE SMOKÓW

W autobusie z Filadelfii do Nowego Jorku było gorąco jak w piekle. Klimatyzacja zepsuła się trzydzieści mil za miastem. Nie najlepsza sytuacja w taki dzień pod koniec września, który przypominał raczej środek lipca. Ryan Lundberg siedział oklapnięty w fotelu, nie marnując energii nawet na milczące przeklinanie rozpalonego powietrza czy smrodu uryny z maleńkiej autobusowej ubikacji. Miał zadanie do wykonania, musiał oszczędzać siły.

Przymknął oczy, powieki opadły pod ciężarem łusek.

Niewielki gliniany smok, którego trzymał w dłoni, tlił się i aż pulsował gorącem. Przyłożył go sobie do serca i przykazał mu, by leżał spokojnie. Będzie jeszcze czas na ogień, gdy odnajdą morderców wujka Grahama. Tak, wtedy będzie czas na ogień. Zapadł w drzemkę, a w jego śnie huczały płomienie. Nie wystraszył się ani odrobinę, gdy jego głowa opadła, a podbródek dotknął klatki piersiowej i nadział się na ostre wypustki na

grzbiecie smoka.

Nie zabrał go do autokaru – był tego równie pewien, jak własnego imienia – a mimo to jakoś tam trafił. Był tu i teraz, razem z nim. Nie tam, gdzie go zostawił, w bezpiecznym miejscu w górnej szufladzie szkolnej szafki, gdzie miał strzec fotografii, prezerwatyw i zapomnianych skarpetek, których nigdy nie miał czasu wyrzucić. Znalazł go zaraz po tym, jak autokar wyjechał z ostatniego postoju na płatnej autostradzie, w kieszeni, która powinna być całkiem pusta. Nawet nie próbował tego zrozumieć. W ten sposób dopuściłby do siebie myśl o szaleństwie.

– Ja tylko rysuję zamki – mawiał wujek Graham. – Problemy mają ludzie, którzy pytają, kiedy się mogą wprowadzić i czy czynsz obejmuje jednorozca.

Śmiał się zwykle przy tych słowach do rozpuku.

Problemy... Echo dawno niesłyszanego głosu ucichło w pamięci Ryana.

Tak, wujku Grahamie – pomyślał. – Przyszło do tego, że kilku z nas ma jednak teraz problemy.

Napiął mięśnie, aż poczuł, jak jego paznokcie żłobią głębokie szramy w tanich plastikowych podłokietnikach. Obłąd nie jest tym, co widzisz, lecz tym, co przyznajesz, że widzisz. Litania, którą ułożył, by narzucić sobie choć trochę spokoju, rozgrzała jego myśli.

Szaleństwo to presja, by szukać wyjaśnień. Jest tu smok, jest, bo go widzę i czuję, ale wiem, że nigdy go nie zabierałem... Nie, nie tykajmy tej kwestii. A to, co z wolna mnie otacza... Nie, o tym też nie chcę myśleć. Wystarczy, że wszystko zaakceptuję takim, jakie jest, a nikt nie będzie się zastanawiał, czy zaliczyć mnie do zdrowych psychicznie, czy nie.

Sama akceptacja to za mało – wysyczał cieniutki, ostry głos w jego głowie. – Jeśli chcesz otrzymać nagrodę, którą ci obiecałem, wiesz, że to nie wystarczy. Musisz dać z siebie więcej.

Nagrodę? – powtórzył Ryan. Ironia rozplynęła się, gdy słowo kilkakrotnie obilo się echem wewnątrz jego czaszki. – Cały świat!

Klucz do mieszkania wujka Grahama również znajdował się w jego kieszeni, lecz w tym przypadku Ryan miał pewność, że z jego obecnością nie wiąże się żadna magia. Zabrał go bowiem własnoręcznie – a właściwie ukradł zeszłej nocy z toaletki mamy, gdy rodzice jeszcze spali, tuż po tym,

jak sam się obudził. Klucz przybył z ciałem wujka w niewielkiej kopercie, powierzony wcześniej kierownikowi zakładu pogrzebowego przez kobietę, która wynajmowała wujkowi mieszkanie. Oprócz klucza w kopercie znajdował się krótki, utrzymany w przyjaznym tonie liścik, zapraszający matkę Ryana do jak najszybszego przyjazdu do Nowego Jorku i usunięcia rzeczy pozostawionych przez Grahama. Tak właśnie było napisane – do usunięcia. Gdy Ryan to przeczytał, wyobraził sobie głodną dziurę we wszechświecie, która pożera wszystko, co jest niewygodne i zawstydzające dla tak wielu ludzi, łącznie z tymi, którzy powinni go kochać.

Oparł głowę o okno, czując, jak między jego skórą a szybą tworzy się warstewka potu.

Czarny dzieciak siedzący tuż za nim przegrał właśnie kolejne starcie z dźwignią uchylającą okno i przeklął ze swadą, której szarobrodzi czarodzieje wujka Grahama pewnie by mu pozazdrościli, a nawet zechcieli ją ukraść, lecz z pewnością nie ważyliby się niczego od siebie dodawać. Ryan westchnął, gorącym oddechem wzmagając panującą w autokarze duchotę.

Nie zdawał sobie sprawy, że oszustwo okaże się tak męczące. Jego rodzice nie mieli pojęcia, gdzie się znajduje ani co zamierza, przynajmniej do czasu, gdy dotrze na miejsce.

Myśleli, że wrócił do college'u. Dzień po pogrzebie wujka Grahama w ich rodzinnym Clayborn ojciec Ryana bladym świtem wsadził go do autokaru jadącego do Filadelfii. Ryan jednak nie został w mieście długo. Wpadł tylko do akademika, by wziąć parę rzeczy i zadzwonić do starych z wieścią, że dotarł szczęśliwie, a potem pomaszerował prosto na dworzec autobusowy i wsiadł w pierwszy autokar do Nowego Jorku.

Jak by zareagowali, gdyby się o wszystkim dowiedzieli? Mama prawdopodobnie by się nadąsała, a tata... Cóż, tata na pewno spojrzałby na niego w ten swój szczególny sposób i zaczęłby zadawać te swoje szczególne pytania w stylu: „Dlaczego wujek Graham tyle dla ciebie znaczy? Już nie żyje, został pochowany, a ty... Dlaczego, Ryan? O co ci chodzi? Ty chyba nie...”.

Ostatnie pytanie nigdy nie zostało dokończony, nawet w umyśle ojca. Owe najważniejsze, kluczowe słowa zdławił lęk, lęk przed tym, że jego

jedyny syn udzieli odpowiedzi, której by nie zniósł.

Nie, tato – odpowiedział Ryan w myślach widmowej twarzy ojca, usypiany lepkiem, dusznym upałem. – Nie, nie martw się. Nie mam tego, co on. Pamiętasz starego Pitta, jak w zeszłym roku wdarł się na nasz ganek, wściekły jak jasna cholera, drąc się na ciebie, żebyś trzymał mnie z daleka od jego córki? Boże, nie sądzę, bym kiedykolwiek zrobił cokolwiek, co dałoby ci więcej szczęścia. Nawet zdobycie stypendium nie może się z tym równać.

Wystarczyło ci się dowiedzieć, że posuwam jakąś dziewczynę, obojętnie jaką, ale dziewczynę! Wzruszył ramionami, pocierając nimi o szorstkie płótno okryć siedzeniowych. Więc może dasz mi spokój i pozwolisz mi się przejmować wujkiem Grahamem, co? Nie jestem gejem, a on nie żyje, więc może kochanie go teraz nie jest tak niebezpieczne? Między jego złożonymi dłońmi niewielki gliniany smok wyciągnął jedną z łap i wbił mu w ciało pazury, co uwolniło ciąg wspomnień.

To ty jesteś Ryan? Graham opowiadał mi o tobie.

Przyjaciół wujka Grahama, szczupły młodzieniec o ciemnej karnacji i egzotycznym wyglądzie, który dopiero co rozpoczął najprzystojniejsze lata trzeciej dekady życia, zamknął małego glinianego smoka w dłoni. Jego palce były przejrzyste i mlecznobiałe. Ryan patrzył przez nie i widział smoka otoczonego padającymi płatkami świątecznego śniegu.

Wklepał ostatnią garść śniegu w bok smoka i odpowiednio ją wygładził, a następnie osadził przycięte liście jemioli w miejsce kłów, a czerwone jagody w miejsce oczu. Choć założył rękawice, rączki miał przemarznięte i wilgotne. Odziana w ciepły sweter mama wyszła na ganek i zawołała, by wracał do domu. Obok stał wujek Graham, śmiejąc się z dzieła jedenastoletniego siostrzeńca.

Wiesz, większość dzieciaków w twoim wieku robi po prostu bałwany.

Ryan wzruszył ramionami.

Ale ja lubię smoki.

Wujek Graham objął go po przyjacielsku.

Lepiej uważaj na siebie, młody. Jeśli okażesz się w tym dobry, możesz kiedyś wyjechać z tego miasta. Ryan uśmiechnął się szeroko. Miał dopiero jedenaście lat, a już powoli otwierały mu się oczy na możliwość wyjazdu i

rozpoczęcia życia z dala od Clayborn.

Święta Bożego Narodzenia w Clayborn. Święta w miasteczku, gdzie nadal istniały niewielkie domy towarowe z prawdziwymi barami z zakąskami i napojami, gdzie jesienią rozpalano wielkie ogniska na brzegu jeziora, gdzie odbywały się spotkania przedmeczowe, a w kościele organizowano wielką wyprzedaż pierników domowej roboty (każdy dobrze znał wypieki poszczególnych gospodyń domowych i jeszcze przed ugryzieniem wiedział, jak dany piernik będzie smakował). W Clayborn wciąż istniało coś takiego, jak szkolna sympatia oraz tajemnicze, urocze miejsca słodkiej prywatności między cienistymi ścieżkami sadów, pośród falującego, rolniczego krajobrazu Pensylwanii, gdzie można było taką zabrać i przekonać się, na jak wiele ci pozwoli.

I właśnie do takiego miejsca wujek Graham przywiózł kochankę z Nowego Jorku. Bill przyciągałby wiele spojrzeń, nawet gdyby ludzie nic o nim nie wiedzieli. W świąteczny poranek usiadł tuż za Grahamem i oparłszy podbródek o jego ramię, przyglądał się otwieraniu prezentów, stosownie zachwycając się każdym z nich i udając zazdrość, gdy podarunek został wreszcie odpakowany.

Ryan obserwował tę scenę z fascynacją. Bez względu na to, co mama mówiła o stylu życia wujka Grahama, rzeczywistość okazała się nieskończenie dziwniejsza. Chłopiec siedział na podłodze tak jak Graham i Bill, i miał wrażenie, że spogląda przez gąszcz dzikiej winorośli na dziwaczne istoty, których nigdy dotąd nie oglądały oczy człowieka cywilizowanego. Za każdym razem, gdy słyszał cichy śmiech Billa, przez jego ciało przemykał osobliwy dreszcz.

W umyśle wytworzył wielki szklany słoik i zamknął w nim tego mężczyznę, by móc mu się odtąd swobodnie przyglądać.

Na zewnątrz leżał śnieg, biały i zaskorupały z zewnątrz, zalewający każdą nierówność sennego krajobrazu błękitnym cieniem. Odpychał jasne światło słoneczne falami oślepiającej bieli. Ryan siedział u stóp ojca. Zerknąwszy w górę, ujrzał napięte mięśnie szczęki i wzrok wbity w Grahama i Billa. Dłonie ojca znów znalazły się na jego ramionach, jak wielokrotnie wcześniej tego poranka, zbyt często, by uznać to za coś normalnego.

Zdawało się, że cień wielkich skrzydeł, które jego ojciec wytworzył z powietrza, by okryć nimi syna, zatrzymuje blask słońca. Niewypowiedziane słowa: „On jest mój, nie dostaniecie go” przedzielały pokój niczym mur forteczny wzniesiony przez ojca i pilnie przez niego strzeżony do chwili, gdy Bill i Graham wreszcie wrócili do miasta. Ojciec Ryana nie był niewidzialny, a wujek Graham nie był ślepy.

Przez resztę zimy Graham nie pisał ani nie dzwonił. Milczał, jakby Nowy Jork w istocie był królestwem wzniesionym pośród chmur, pełnym zabaw i atrakcji tak wspaniałych, że te szczęśliwe dusze, którym przyszło tam żyć, całkiem traciły ziemskie poczucie czasu.

Nikt nic nie mówił nawet wtedy, gdy urodziny Ryana minęły bez znaku życia ze strony wujka.

Ostry dźwięk dzwonka telefonu rozdarł ciszę dopiero pod koniec listopada. Słuchawkę podniósł Ryan: – Halo?

– Chessie? – zdławiony, zrozpaczony głos wyszłochał pieśczośliwe przezwisko, którym wujek Graham określał ukochaną siostrę.

– Wujek Graham? – Ryan poczuł, że płoną mu policzki. Właśnie przechodził mutację i czuł głębokie upokorzenie za każdym razem, gdy odbierał telefon i ktoś brał go za matkę. – To ja, Ryan.

– Na litość boską, Ryan, daj matkę do telefonu! – wykrztusił Graham przez łyzy, oddychając chrapliwie.

– Co się stało?

– Daj mi ją do telefonu, proszę.

Ryan posłuchał. Mama była zaskoczona niespodziewanym telefonem od tak długo milczącego brata, lecz prawdziwy szok dopiero ją czekał. Zwyczajowe: „Jak się miewasz?” momentalnie przeszło w: – O mój Boże! Graham, tak mi przykro! Kiedy on...

Niewielki smok zadrżał w dłoni Ryana, przerywając czar. Twarz matki zamarzała, a potem pękła na tysiąc kawałeczków. Nastąpiła ciemność, zupełnie jakby strzaskano lód nad czarną wodą. Śmierć Billa głęboko wstrząsnęła Ryanem, brutalnie wyrwała go z bezpiecznego schronienia, jakim był jego dom, i pchnęła go w raz ciemną, raz jasną bramę czasu. Mlecznobiała, widmowa dłoń Billa zgasła, rozplynęła się w powietrzu, zimny oddech owionął gorącą glinę, która drżała niczym jajko spieszące

wydać na świat potwory i tajemnice. Powieki Ryana drgały, lecz gdy ponownie zmienił pozycję na siedzeniu, zamiast szorstkiego szelestu taniego okrycia siedzeniowego usłyszał o wiele delikatniejszy szmer skóry, którą obita była zielona kanapa w mieszkaniu wujka Grahama.

Ryan niewiele pamiętał z pogrzebu Billa. Przypominał sobie głównie pełne gniewu oczy nieznajomych, ubranych na czarno ludzi o zaciętych twarzach. Obrzucali wściekłymi spojrzeniami wujka Grahama, mamę i jego, gdy przytuleni do siebie stali po drugiej stronie niezasypanego jeszcze grobu. Nigdy się nie dowiedział, kim byli. Pastor czytał słowa mszy, a wujek Graham płakał. Ryan zwrócił wówczas uwagę na jedną z tych postaci – starsza kobieta z włosami zafarbowanymi na błękitno wykrzywiła usta, a potem wyrzuciła z siebie ostrą wiązaną przekleństw. Zakryła twarz haftowaną chusteczką i wybuchła płaczem.

Mama zawiozła wujka Grahama do jego mieszkania na Manhattanie. Była to dawna hala fabryczna zaadaptowana na spory loft, złożony z dwóch pomieszczeń – kuchni i łazienki.

Wszystko – od jedzenia, przez spanie, aż po oglądanie telewizji – robiło się w jednym miejscu.

Znajdował się tam również kącik, gdzie wujek Graham pracował. Stał tam stół kreślarski oraz sztaluga, a na podłodze pod nimi widniały ślady po farbie. Niektórzy ludzie wyjeżdżali z Clayborn, by ułożyć sobie życie w innym miejscu dzięki sile mięśni, inni pokładali nadzieje w intelekcie i sprycie. Wujek Graham uciekł, kierując się marzeniami.

Chciał ołówkiem i pędzlem nadawać kształt fantastycznym istotom. Ściany mieszkania obwieszane były obrazami i zamówionymi ilustracjami do książek – a chodziło o owe cudowne, straszne, wciągające książki, które ludzie w Clayborn uznaliby za „fajne” i po prostu kupili, nawet gdyby miały je przeczytać tylko ich dzieci.

Kanapa zaskrzypiała lekko.

Robi herbatę.

Duch wujka Grahama przysiadł na drugim końcu kanapy i wtulił głowę w mięciutką tapicerkę, rozrzucił ręce na prawo i lewo, a wzrok wbił w sufit. Ułożył stopy na ławie, która wyglądała, jakby wykroił ją z lodowca.

– Co? – Głos Ryana był ledwie głośniejszy od szeptu.

– Mówiłem, że twoja mama jest w kuchni i robi herbatę – powiedział wujek Graham, nagle równie materialny jak dwunastolatek, oczyma którego Ryan patrzył teraz na świat.

– Aha.

Chłopiec oparł dłonie o kanapę i poczuł, jak pot z jego dłoni wnika w skórę. Siedzieli tam przez dłuższą chwilę. Z kuchni dobiegł ostry gwizd gotującej się wody, przez okno napływał szum ruchu miejskiego, słychać też było znajome, podnoszące na duchu trzaskanie i brzęczenie wywołane przez mamę buszującą po cudzej kuchni. Ryan wiedział, że prędzej skazałaby się na śmierć, niż zapytała Grahama, gdzie wszystko trzyma. Tata określał to jako kobiecy odpowiednik męskiej niechęci do pytania o drogę.

– Ryan?

Głos wujka Grahama rozległ się tak głośno i nieoczekiwanie, że chłopiec aż podskoczył.

– Ryan, chodź no tutaj.

Graham siedział nieco dalej na kanapie, ale pochylał się teraz, kołysząc wielkimi, splecionymi dłońmi między kolanami. Ryan zawahał się, czując lęk przed smutkiem, który wyczytał z jego oczu. Wujek Graham nie rozumiał tego, widział tylko tyle, że chłopak nie chce się przesunąć.

– Nie martw się, nie będę cię dotykał.

Ryan nadal się nie poruszył.

– Jestem czysty, rozumiesz – mówił wujek. – Wynik negatywny. Bill nabijał się ze mnie, nazywał mnie paranoikiem, ale... – z jego piersi wydarł się jakiś widmowy odgłos, coś na kształt śmiechu, szlochu lub kaszlu, lecz natychmiast został stłumiony. – Tak czy owak, nie rzucam słów na wiatr. Nawet cię nie dotknę. Obiecuję. Ojcu by się to nie spodobało.

Niespodziewanie Ryan dotkliwie odczuł jego nieobecność.

– Nie mógł się wyrwać z pracy, żeby przyjechać z nami na pogrzeb – wymamrotał.

– Jasna sprawa. – Wujek Graham był zbyt zrozpaczony, by zwrócić uwagę na kłamstwo.

Ryan...

Między zamkniętymi dłońmi wujka Grahama błysnęło coś zielonego,

Ryan dostrzegł też połysk idealnej glazury oraz fale drobnych, naciętych łupek przypominających pióra, ułożone na ptasim ogonie. Przysunął się bliżej wujka, kanapa poskarżyła się serią skrzypnięć.

Wyciągnął szyję, by zobaczyć, cóż to za cudo.

– To smok – rzekł Graham i rozłożył ręce. Niewielka gliniana figurka stoczyła się z jego dłoni, a Ryan błyskawicznym ruchem złapał ją w powietrzu. Wujek roześmiał się.

– Nieźle! Musisz być gwiazdą Małej Ligii!

Ryan odpowiedział wzruszeniem ramionami. Był zbyt zajęty turlaniem smoka z dłoni na dłoń, zbyt pochłonięty badaniem jego wagi, podziwianiem gładkiego wykończenia oraz zimnego piękna oczu.

– To krwawień – rzekł wujek, wskazując lśniące drobiazgi przypominające posrebrzane migdały, wprawione w łuki brwiowe smoka. – Ma pomóc ci się skupić, utrzymać wewnętrzną równowagę i ujrzeć świat ze spokojem i przejrzyistością.

Zamknął oczy i przesunął dłonią nad czołem, odgarniając łopoczące czarne skrzydła.

– Jest przepiękny – rzekł Ryan. Siedząc tu samotnie z wujkiem, mógł mówić takie rzeczy. W domu, pod baczным spojrzeniem ojca, ograniczyłyby się zapewne do „odjazdowy”.

– Jest twój. Zrobiłem go dla ciebie. Chcę, byś go zatrzymał.

Przy tych słowach otworzył oczy i zmusił się do słabego uśmiechu.

– To taki spóźniony prezent na urodziny – dodał. – Przepraszam, że je przegapiłem.

– Spoko. – Ryan pogładził smoczy grzbiet. Bestia leżała zwinięta jakby podczas głębokiego snu ze skrzydłami złożonymi ku tyłowi i wąsatym pyskiem na przednich łapach.

Kryte łuską wargi były przymknięte, odsłaniając jedynie dwa potężne kły, lecz otwarte oczy widziały wszystko.

– No i gotowe! – mama z okrzykiem tryumfu wypadła z kuchni, niosąc tacę z parującymi kubkami herbaty. Usiadła po drugiej stronie kanapy, tak że Ryan znalazł się między nią a wujkiem. Pobrząkując łyżeczkami do herbaty i sypiąc kryształki cukru, z cichutkim szumem tkła własne czary siły i wojowniczej codzienności. Na talerzykach znalazły się nawet jakieś

ciasteczka.

– Mamo, spójrz, co dostałem od wujka! – rzucił rozradowany Ryan, wyciągając smoka.

– Sam go zrobił!

– Jest naprawdę cudowny – powiedziała matka szczerze. – Czy to zapowiedź czegoś nowego? – zwróciła się do brata. – Otworzyłeś się na nowe rodzaje sztuki?

– Bezwzględnie planuję kilka zmian.

Wypili herbatę. Był to ostatni raz, kiedy Ryan widział wujka przy życiu.

Tego roku na święta Graham nie przybył z wizytą. Nigdy już ich nie odwiedził. Nie wysyłał listów i nie dzwonił, choć raz, w dniu trzynastych urodzin Ryana, listonosz przyniósł płaską, podłużną paczkę z Nowego Jorku.

Była to książka w twardej oprawie, z tytułem wytłoczonym złotymi i srebrnymi literami na tle ciemnego błękitu i zieleni. W królestwie smoków – przeczytał Ryan na głos, zastanawiając się, dlaczego wujek przysłał mu książkę z obrazkami przeznaczoną raczej dla dzieci. Potem ujrzał nazwisko rysownika i zrozumiał: to wujek był autorem ilustracji.

Otworzył książkę na kolanie.

Przewracał kartkę za kartką. Smoki wzlatywały ku purpurze wieczornego nieba, uderzając złotymi, zielonymi i szkarłatnymi skrzydłami. (Smoki to nocne stworzenia, które uwielbiają godziny mroku). Małe smoczątka wyglądały ciekawie z za skorup dopiero co rozbitych jajek, młodziutkie smoki toczyły komiczne bójki o terytorium i władzę. (Dojrzały smok ostrożnie dobiera sobie towarzystwo). Dziewice przystrojone w kwiaty były wyprowadzane z zabłoconych wsi i składane wspaniałym potworom w ofierze tylko po to, by zostać wzgardzonymi lub po prostu przeoczonymi. (Nieprawdą jest, jakoby smoki były rozsmakowane w mięsie pięknych dziewczyc. Czyż piękno jakiegokolwiek śmiertelnika mogłoby przyćmić ich własne?).

Pod koniec książki pojawiły się również rysunki rycerzy – jakże dumnych, jakże aroganckich w swych zbrojach – z mieczami zbroczonymi smoczą krwią. Na jednym z nich wojownik czał się niczym najpodlejszy łajdak na smoka, który zatrzymał się przy strumieniu o zmroku. Na innym

całe pęki odrąbanych smoczych głów zwisały niczym obsceniczne trofea z krokwi wielkiej sali, a poniżej panowie w towarzystwie dam żłopali wino, z wolna okradani ze swego człowieczeństwa przez nastrój hulanki. Niewidzące już oczy martwych smoków były lustrami, które zwisały w niemym osądzie nad głowami domniemanych zwycięzców. W każdym z owych srebrnych globów odbijał się wizerunek mężczyzny, od którego skóra cierpła, a dusza zaczynała szlochać. (Ludzie zabijają smoki, ponieważ boją się ich, nie rozumieją ich lub inni ludzie powiedzieli im, że tak trzeba. Inni zaś niszczeje z powodu tego, jak widzą w smoczych oczach siebie).

Ostatnia strona była istnym dziełem sztuki – wypełniało ją pojedyncze, srebrzyste smocze oko, w którym Ryan ujrzał odbicie własnej twarzy, na której malował się wyraz oszołomienia. Wyciągnął dłoń i jego palce zawisły o grubość włosa nad połyskliwym srebrem wszechwiedzącego oka, które pochłonęło jego serce.

Tej nocy nawiedził go smoczy sen.

Ocknął się w tym śnie i uniósł nagi znad sadzawki srebrnej od blasku dwóch bliźniaczych księżyców, zawieszonych nisko na zielonym niebie. Z końców jego skrzydeł ściekały krople wody, inne drżały na koniuszkach szponów. Z daleka, znad wzgórz, gdzie złote trawy pochylały się i kłaniały przed pocałunkami wiatru, dobiegała ochrypła muzyka.

Wspiął się na wzgórze, ciągnąc skrzydła po ziemi. Powietrze było słodkie i ciężkie niczym miód. Strząsnął z siebie pozostałości ludzkich myśli i otworzył smoczy umysł na nowy wszechświat, objawiający przed nim najbardziej skryte tajemnice. To właśnie wtedy wreszcie zrozumiał, że potrafi latać.

Powietrze było jego prawdziwym królestwem, ciepłe powietrze unosiło go wysoko z tkliwością ojcowskich dłoni. Zawładnął nim w chwili, gdy jego szmaragdowa pierś po raz pierwszy przecięła niebiosą. Jego wielki łeb obracał się to w jedną, to znów w drugą stronę, a oddech migotał mrozem na wielkich wysokościach, obsypując łono ziemi drobnymi brylancikami.

Ujrzał ich na ziemi – wieśniaków z tymi śmiesznymi instrumentami muzycznymi i zadartymi wysoko głowami, niczym woły oszołomione uderzeniem błyskawicy. Oczywiście prowadzili ze sobą dziewicę. Ubrali ją na białą, choć nawet z tej wysokości widział, że biel jej szaty została

przybrudzona błotem. Ramiona dziewczyny były gładkie i odsłonięte, a złote włosy niemalże tonęły w różach.

Poczuł, jak głód pali jego ogromne brzuszysko. Pomknął ku ziemi, z ręcznie rozpostartymi skrzydła, by szybować jedynie na skraju tych prądów powietrznych, które niosły go spiralą w dół, ku oczekującej ofierze. Kiedy rozwarł paszczę, strzępy płomieni omiotły mu łuskowate policzki niczym pocałunek mgły znad morza.

A potem powietrze niespodziewanie z sojusznika zamieniło się we wroga. Jeszcze przed chwilą krystalicznie czyste, nagle zaczęło się materializować i z niczego powstała dłoń giganta. Uderzył w nieruchome, rozwarte palce, co wywołało eksplozję oszałamiającego bólu i pulsującą falę światła, która cisnęła nim z powrotem w przestworza, z powrotem w wody jeziora, z powrotem do ciała chłopca budzącego się ze snu pośród ciemności, samotności i poczucia straty.

I pozostał mu tylko szept: Jeszcze nie. Daję ci tę moc, ale musisz na nią zapracować.

Ryan nakrył mokrą od potu pierś kołdrą i kocem, a potem poprosił ciemność o wyjaśnienia. W chwilę później zdał sobie sprawę, że coś jeszcze oprócz potu klei mu spodnie pizamy do nóg. W absolutnej ciszy, z policzkami płonącymi ze wstydu, ściągnął spodenki i wepchnął do zsypu na bieliznę. W myślach udawał, że czerniejący w mroku otwór prowadzący do piwnicy pośle nieszczęsne spodenki prosto do krainy zapomnienia.

Po tym wydarzeniu niechętnie myślał o dziwnym śnie, a książkę od wujka Grahama schował na strychu.

Ściągana drabinka prowadząca do tej skarbnicy kurzu i świadomie odepchniętych wspomnień była dociskana sprężyną. Sznurek, który zamykał lub otwierał wyłaz, uciekł nagle Ryanowi z dłoni i kłapa zamknęła się z trzaskiem, który wyrwał go ze snu. Poderwał się gwałtownie, ocierając sobie skórę na goleniach o skrzynkę pełniącą rolę ławy. Znajdował się w akademiku w pokoju kolegi i czekał na kogoś. Nie miał nic do roboty, więc zerknął na stół i chwycił pierwsze czasopismo z brzegu.

Z początku nawet nie zauważył, że było to czasopismo dla gejów – na otwartej stronie widniała reklama piwa. Podniósł je i przekartkował z ciekawości. Nagle zobaczył stronę z serią zdjęć z ostatniej parady gejów na

Manhattanie i niespodziewanie ujrzał wujka Grahama.

To nie był on. Nie z tą farbą na twarzy, nie z tym okropnym, ponurym uśmiechem przypominającym wyszczerzone wilcze kły. Miał na sobie jakieś krzykliwe ciuchy, których zadaniem było straszyć. Ryan natychmiast skojarzył jego wygląd z wizerunkiem prostytutki w starych filmach – zawsze ukazywano je jako pryszczate, wychudłe stworzenia o pomarszczonej skórze, kryjące twarze za tandetnymi kanałowymi maskami potworów. Wujek Graham maszerował przed siebie, obejmując dwóch mężczyzn, jednego niezbyt umiejętnie przebranego za kobietę, drugiego w jaskraworóżowych legginsach i przykrótkiej koszulce odsłaniającej brzuch. Na czole miał wymalowane litery *HIV*.

Gdy Ryan przyjechał do domu na Święta Bożego Narodzenia, opowiedział mamie o zdjęciu.

– Wiem – odparła jednym słowem.

Pokazała mu listy, które napisała do brata i które co do jednego odesłał, nawet ich nie otwierając. Tylko raz dopisał coś na kawałku kartki wyrwanej z notatnika i wsunął ją do koperty: Nigdy nie przepadałaś za cmentarzami, Chessie. Nigdy nie chciałaś zrozumieć, o co chodziło zmarłym. Potrzeba magii, by spojrzeć na świat z mojego punktu widzenia, a ty przez całe życie jesteś przykuta do jego materialnej strony. A magia istnieje, Chessie. Ona żyje, pełza nam po plecach, zarazem piękna i groźna, a gdy najdzie ją głód, domaga się ofiar. Skoro jedno z nas miało ową ofiarę złożyć i zostać zdradzonym, doprawdy cieszę się, że padło na mnie. I zostawmy to tak.

Mama zapytała wówczas Ryana, czy pamięta Billa, a chłopiec pokiwał głową.

– Wujek próbuje umrzeć – wyjaśniła. – Uganiam się za własną śmiercią. Nawet po tym, co Bill mu zrobił... Jak, u licha ciężkiego, można zaprzeczać wszystkiemu, mając takie dowody, że zostało się zdradzonym? A mimo to on nadal go kocha.

Westchnęła ciężko.

– Sądzisz, że zadzwoni do nas, gdy znajdzie to, czego szuka? Nie mogę po prostu znieść myśli, że on gdzieś tam jest i umiera samotnie, bez choćby...

Jej łzy oznaczały wszystko i zarazem nic.

Niewielki gliniany smok westchnął pośród snów Ryana i zadudnił w rytm ognistych oddechów. Dudnienie nabierało mocy, stawało się coraz intensywniejsze, a gdy dotarło do uszu chłopaka, przybrało postać natarczywego dzwonka telefonu.

Gdy odebrał, nie był jeszcze do końca rozbudzony. Stał owinięty ręcznikiem w pokoju akademika, myjąc zęby o jakiejś idiotycznej godzinie bladym świtem, ponieważ musiał się zapisać na równie idiotyczne kursy na drugim roku studiów. W rękę wciąż trzymał ociekającą pastą szczoteczkę do zębów, gdy usłyszał w słuchawce ojca, który oznajmił, że wujek Graham nie żyje.

Znaleziono go z roztrzaskaną głową na chodniku przed fabrycznym budynkiem, w którym mieszkał. Policja w pierwszej kolejności poinformowała mamę, ale ojciec poznał więcej faktów. Policjant, który zadzwonił do domu, wyszedł bowiem z założenia, iż pełen opis tego, co się stało przed śmiercią pana Grahama, mógłby zanadto nią wstrząsnąć. Ojciec bez skrupowania podzielił się wszystkimi informacjami z Ryanem, sądząc, że jego syn jest już wystarczająco dorosły, by je znieść, a poza tym było to zbyt potworne brzemie, by ktokolwiek chciał je dźwigać samotnie.

Niewykluczone też, że podzielił się nimi w ramach ostrzeżenia.

Zamknięta, przykryta różami trumna blokowała niemalże całe przejście w autokarze.

Nagle znaleźli się tu wszyscy ci ludzie z kościoła, którzy bez końca wysławiali talent Grahama, piękno jego prac i opowiadali o żalu z powodu jego odejścia w tak młodym wieku.

Pani Baumann, która pracowała w sklepie wielobranżowym, przysiadła na podłokietniku fotela czarnego dzieciaka i powiedziała mamie, że przynajmniej Graham znalazł spokój wiekuisty. Słowa pocieszenia, które przepełniały powietrze, były o wiele trudniejsze do zniesienia niż mieszające się zapachy przysyłanych zewsząd wieńców. Każdy z zebranych wypowiadał te właściwe, stosowne słowa, nikt nie wspomniał o morderstwie.

Czarny dzieciak wreszcie zdołał uchylić okno. Strumień świeżego powietrza wywiał panią Baumann, róże i zamkniętą czarną trumnę, a Ryana porwał do jego starego łóżka w domu rodzinnym, do dnia po

pogrzebie.

Leżał z otwartymi oczami i malował na suficie niekończące się niestworzone historie ze swej wyobraźni. W końcu ogarnęła go senność, więc przewrócił się na bok, a wtedy coś ukłuło go w biodro. Sięgnął pod materac i ku swemu zdumieniu wymacał tam książkę, którą dostał od wujka Grahama.

– Sądziłem, że zostawiłem cię na górze, na strychu – powiedział głośno.

Srebrne i złote litery na okładce mieniły się swym własnym blaskiem. Ryan oblizał wargi i odkrył na nich smak wody z jeziora. Otworzył książkę i przeczytał ją ponownie, po latach.

Natrafił na stronę, która umknęła mu z pamięci, chociaż wątpił, czy człowiek może po prostu zapomnieć obraz, który aż krzyczy, by zostać zapamiętanym. Dwóch młodych ludzi – tym razem byli to giermkowie, nie rycerze – przygotowało doskonale przemyślaną pułapkę na zewnątrz smoczego leża. Jeden wychylał się z zasadzki, trzymając nabijaną krzemieniami maczugę, a drugi stał u wejścia do jaskini, dzierżąc szafir niezwyklej urody i czystości. Jego blask, w połączeniu z równie pięknym blaskiem oczu przystojnego mężczyzny, miał wywabić sędziwego potwora ze schronienia. Okryta zieloną łuską łapa już wypełzła na zewnątrz, gdzie zalał ją blask słońca. Giermek spełniający rolę wabia uśmiechał się z chłodem i wyższością godną wielkiego pana. Jego towarzysz skryty za skałami już się szykował, by ciosem maczugi zakończyć smocze życie.

Ich twarze były wyraźne i doskonale widoczne, Ryan mógł dostrzec każdą zmarszczkę. Wystarczyło zamknąć oczy, a znów je widział w mroku, niczym nakreślone rozzarzonymi do białości prętami. Rzucił książką przez pokój i wybiegł z sypialni.

Choć jeszcze przed chwilą otaczały go drewniane ściany, teraz owionęło go zimne powietrze. Skrzydła rozwinęły się same, nie potrzebując żadnego polecenia, a spadanie natychmiast przerodziło się w naturalny, wdzięczny ślizg, który prowadził go w dół, coraz niżej, ku ogromnemu morzu drzew, ku niepokornemu, choć budzącemu żal rykowi umierającego smoka, ku twarzy przystrojonej kwiatami dziewicy piękniejszej od wszystkich, jakie widział w życiu.

Daję ci tę moc, ale musisz na nią zapracować.

Przebudził się, wiedząc, co należy zrobić.

Przebudził się, niemalże dławiąc się smrodem spalin. Autokar zajeżdżał właśnie na dworzec Port Authority w Nowym Jorku.

Ryana nie było stać na taksówkę, więc złapał autobus jadący do centrum. Wsiadł na niewłaściwym przystanku, potem zgubił drogę i jego wyprawa przerodziła się w ponurą pielgrzymkę przez ulice, po których wiatr toczył zmięte gazety. W końcu się poddał i spytał o drogę.

Słońce już zachodziło, gdy odnalazł adres wujka. Na zawiasach drzwi wejściowych do budynku zawiązano cienką żółtą taśmę policyjną, łopoczącą teraz słabo na wietrze. Najeżone szponami odnóża Ryana poruszały się z godnością i odważnie przekroczyły ciemne, czerwono-brązowe plamy na progu domu i chodniku dookoła. Cisza zaśpiewała mu powitalny hymn, gdy wszedł do loftu. Ostatni promień zachodzącego słońca zabarwił swym odcieniem rząd obrazów pozostawionych przez wujka.

Z góry zeszła jakaś dziewczyna, zaalarmowana odgłosem zatraskujących się drzwi.

– Przyjechałem, żeby usunąć rzeczy wujka – powiedział Ryan. Pokazał jej też klucz i powiedział wystarczająco dużo o Grahamie, by uwierzyła, że miał prawo przebywać w jego mieszkaniu.

Dziewczyna wzruszyła jednakże chudziutkimi ramionami, które wyłoniły się na moment spomiędzy rzadkich, brązowych włosów.

– Daruj sobie, co? Skąd mam niby wiedzieć, czy zmyślasz, czy nie? W ogóle nie znałam tego gościa. Znaczy się, wiedziałam, że był tym tam... no, gejem, i że malował.

Trochę się bałam po tym, jak go zabili, ale...

– Ja naprawdę jestem jego siostrzeńcem – upierał się Ryan. Ścisnął mocno framugę, aż wyobraźnia podpowiedziała mu, że jego szpony weszły głęboko w drewno.

– Dobra, nie będę się kłócić. Masz przecież klucz.

Znow zobaczył, jak wzdrygnęła ramionami, tym razem jednak zapraszała go do wejścia i zajmowania się wszystkim, na co miał ochotę, o ile rzecz jasna nie będzie naruszać granic jej starannie kultywowanej obojętności.

Nie należała do piękności. W żargonie świata mody zostałaby określona mianem „rzeczy niczyjej”. Zresztą Ryana pociągały dziewczyny, których piersi były większe od pestek pomarańczy, lecz mimo to zaprosił ją do środka. Z początku odmówiła, ale potem oświadczyła, że sama również jest artystką, a nigdy nie miała okazji przyjrzeć się pracom Grahama z bliska. Mogła w każdej chwili zejść i zastukać do jego drzwi, gdy jeszcze żył, ale nigdy tego nie zrobiła. Przyznała się Ryanowi, że nie przyszłoby jej to do głowy.

– Czemu? – zapytał.

I znów wzruszenie ramion, tym razem w celu uniknięcia odpowiedzi na niekomfortowe pytanie.

– Nie chciałam przeszkadzać. A gdyby właśnie miał gościa? Sam rozumiesz.

Znalazł i zaparzył herbatę. Dziewczyna piła drobnymi łyżkami, co chwila mierząc go badawczymi spojrzeniami. Nie była ładna, nie była w jego typie i nie podobała mu się.

Jakiś problem, Lundberg? Co, laski ci się nie podobają?

Potraktował ją z całym swoim wdziękiem, z jakim traktował najpierw Karen Pitt, a potem prowadził koleżanki z college’u do łóżka, z wdziękiem, który udowadniał każdemu, kto nigdy o to nie pytał, że nie jest taki jak jego wujek. Potem pocałował ją na pożegnanie i wreszcie odzyskał równowagę.

Łóżko wujka Grahama wykonane było z jasnego drewna sosnowego i miało pochylone oparcie na głowę – należało do tych, które zamawia się z katalogów L.L. Bean.

Przykrywała je niebieskoczerwona kołdra z motywem niedźwiedziich łapek, dawno temu uszyta przez jedną z jego prababć, Ruth. Ryan wyciągnął się na łóżku w ubraniu i postawił sobie glinianego smoka na piersi. Wpatrywał się w jego srebrzyste oczy, póki nie poczuł, jak wody jeziora omywają mu boki. Dwa księżycy smoczego królestwa znów go powitały.

Zataczał kręgi w przestworzach i węszył w poszukiwaniu ofiary. Niebo było jego terenem łowieckim, jego własnym terenem. Wyobrażał sobie, jak wieśniacy daleko w dole śpiewają, by obniżył lot i przyjął ich ofiarę.

Później – pomyślał, a moc jego umysłu przetoczyła się po niebie z

grzmotem pioruna.

– Gdy już zapracuję.

Grzmot jego własnych myśli powrócił nagle i ogłuszył go, obezwładnił. Ryan zaczął spadać, a gdy zdołał wyrównać lot, zauważył, że zielona kraina znikła, a ochryple głosy śpiewających chłopów zastąpił zgiełk ruchu ulicznego, ponad który wybijał się ryk syren. Ku pojedynczemu już księżycowi wznosił się kamienny las miasta. Ryan zanurkował prosto w kaniony z cementu, rozglądając się.

To było łatwe polowanie, bo znał swoją zdobycz. Odnalazł ich zresztą nie dzięki oczom, ale mocy umysłu. Siedzieli w barze, pili piwo, gadali, śmiali się, a czasem próbowali ściągnąć na siebie uwagę kobiet. Ten, który wyszedł na wabia, głośniejszy od kompana, opowiadał dziewczynom, co chciałyby z nimi wyprawiać i jaką by później czuły wdzięczność, a gdy się odwracały, nazywał je oziębłymi, wrednymi dziwkami. Zabójca z maczugą uśmiechał się tylko, a czasem któraś z kobiet odpowiadała mu w podobny sposób. Wabik krzywił się wówczas i nazywał ją suką.

– Hej, ty! Na co się gapisz?

Zaskoczony Ryan rozdziawił gębę, gdy ręka Wabika wystrzeliła, złapała go za kołnierz koszuli i przyciągnęła do siebie.

– Co, zobaczyłeś to coś, co ci się spodobało, wypierdku? – wrzasnął mężczyzna, opryskując go drobinkami śliny i owiewając smrodem piwa.

– Weź te łapy, kurwa! – Ryan odepchnął rękę mężczyzny. Zazgrzytał kłami wielkimi niczym noże do krojenia mięsa i przypadkiem zadrasnął mu przedramię którymś z pazurów, zostawiając długą, lecz płytką szramę. Z dziecięcym przestraszeniem rozszerzył szafirowe oczy na widok strużki krwi.

– Kurwa, ten smark wyciągnął na mnie nóż! – wrzasnął facet.

– Jaki znowu nóż, gdzie? – odezwał się Zabójca z przeciągłym, południowym akcentem, obrzucając Ryana spojrzeniem. – Odbiło ci, Ted, wiesz?

– Ten cuchnący wypierdek mnie dziabnął! – zarzekał się Wabik. – Niech to szlag, cała ta okolica aż się od nich roi!

– Kogo nazwałeś wypierdkiem? – zapytał cicho Ryan. Będąc tym, kim był, nie musiał podnosić głosu, by wyrazić groźbę.

Zabójca uśmiechnął się powoli, ze spokojem.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział. – Sporo już wypił i nie wie, co wygaduje.

– Skończ pierdolić, dobra? – Ryan poprawił koszulę, by mu nie przeszkadzała. Mówił ze spokojem, który zaskoczył nawet jego. Nie miał pojęcia, w jaki sposób zmaterializował się w tym miejscu ani jak ci dwaj ludzie – jego zdobycz z fragmentu smoczey wizji – stali się realni. Nie wiedział, dlaczego był tak pewien swego smoczego ciała, że chciał pochwycić ich obu, potrząsnąć nimi i zaryczeć: „Nie widzicie, czym jestem?!”.

– Co ty sobie, do cholery, myślisz, co?! – wrzasnął Wabik, szarpiąc Zabójcę za rękaw.

– Po co ty z nim gadasz? Nie widzisz, co mi zrobił?!

Z tymi słowami podsunął mu ociekające krwią przedramię przed nos.

– A niby czym ci to zrobił? – zapytał jego ciemnowłosey kompan. – Własnym pierdolonym palcem? Ten gość nie ma noża! Jezu, daj sobie spokój. Pewnie sam to sobie zrobiłeś.

– Niby czym?! – przedrzeźniał go Wabik, pokazując puste dłonie.

– Ale z ciebie dupek! – mruknął Zabójca i odwrócił się.

Ryan wyszedł z baru. Powietrze było chłodniejsze niż za dnia i pachniało obietnicą deszczu. Podszedł do rogu ulicy, by poznać jej nazwę. Okazało się, że bar znajduje się ledwie dwie przecznice od mieszkania wujka Grahama.

To tu się to wszystko zaczęło – pomyślał.

Zastanawiał się, którędy pójda obaj zabójcy, gdy wreszcie opuszczą bar. Miał nadzieję, że chociaż kawałek przejdą wspólnie. Chciał, by znaleźli się w tym samym miejscu o tej samej porze. Wtedy wystarczy jedno ogniste dmuchnięcie, jedno cięcie pazurów, jedno krótkie kłapnięcie szczęk, które mogłoby przeciąć cielsko dorodnego jelenia w pół...

Powszechnie wiadomo, że smoki nie zapominają tych, których kochają. Ich miłość jest zawsze niewzruszona, nierzadko nawet ślepa. Być może jest to ich wada.

Ryan raz jeszcze wzbił się ku niebu, by dokładnie obejrzeć miejsce, w którym przygotował pułapkę. Miał szczęście, gdyż okolica obfitowała w

ciemne zaułki. Wylądował lekko na dachu budynku znajdującego się naprzeciwko baru. Jego szponiaste łapy zapadły się w warstwie ciepłej smoły, co wywołało swędzenie. Uniósł łeb, srebrne oczy śledziły księżyc, odczytując godzinę z jego powolnej wędrówki.

Ofiary pojawiły się na ulicy dwie godziny po północy. Towarzyszyła im jakaś kobieta uwieszona na ramieniu Zabójcy, podczas gdy Wabik włókł się za nimi ze zwieszonymi ramionami i pochyloną głową. Włosy kobiety miały żywy kolor farby cytrynowej, a jej twarz wykrzywiał grymas prostackiego śmiechu. Wtulała się w masywne ramię Zabójcy, myliła krok, zgrzytała butami o chodnik. Wabik gapił się na nią z wyraźnym niesmakiem.

Wlekli się całą trójką w rytm pijackiej pawany, a siedzący wysoko smok wyraźnie czuł smród piwa, kwaśnego wina, potu i starych perfum. Wystarczyło mu jedno machnięcie skrzydeł, by wzbił się w powietrze. Uważał przy tym, by nie zrobić najmniejszego nawet hałasu. Zastanawiał się, czy mężczyźni mają zamiar podzielić się tą kobietą i czy było jej to w smak. Zdawał sobie sprawę, że jeśli obaj będą tego chcieć, jej opór nie zda się na wiele.

Maszerowali chwiejnym krokiem, a czarny cień smoczego cielska to sunął ich śladem, to prześlizgiwał się po okolicznych dachach. Ryan unosił się, nie czując strachu, że zostanie wykryty. Mieszkańcy tego miasta zbyt rzadko unosili głowy ku niebu. Widział, jak jego ofiary zatrzymują się na skrzyżowaniu i zanoszą śmiechem, widział, jak przystają na środku ulicy i toczą zacieklą kłótnię.

– Do ciężkiej cholery, co ty wyprawiasz, Ted? – Ciemnowłosa, wciąż obejmując kobietę, zerknął przez ramię na kompana. – Jeszcze tu jesteś? Jak chcesz się dostać do chaty, to musisz skręcić w lewo na ostatniej przecznicy.

– Wiem, jak dotrzeć do chaty. – Wabik zadarł podbródek, rzucając kumplowi wyzwanie. – Pomyślałem sobie tylko, że przydałaby ci się z nią jakaś pomoc. No wiesz, gdyby na przykład zarzygała cię od stóp do głów, zanim dotrzecie na miejsce.

Zabójca wybuchnął śmiechem.

– No dobra, chodź.

– Nie będę rzygać – sprzeciwiła się kobieta. Zwęziła oczy i wbiła wzrok w Wabika. – A ty po prostu jesteś wkurwiony, że nie znalazłeś nikogo, kto by poszedł z tobą do domu.

– Jasne, zupełnie jakbym miał ochotę rznąć pierwszą lepszą, co to do baru przylezie – z wyższością odparł Wabik.

– Taaa? – chytrze spytała kobieta. – A w jakich barach czujesz się lepiej? Pytanie zabrzmiało dwuznacznie.

– Zamknij się, suko! – wrzasnął Wabik. Gdyby nie jego kompan, z pewnością by ją uderzył, smok dobrze to wiedział. Kobieta odwróciła do ciemnowłosego i warknęła coś z oburzeniem.

– Spokojnie, mała, już dobrze, nie przejmuj się nim, to tylko zwykły czubas, sama wiesz – uspokajał ją Zabójca. – I sama też nie przeginaj, co? Nie wygaduj takich bzdur o moim kumplu.

Ton jego głosu stwardniał w ledwie wyczuwalny sposób, ale kobieta, pomimo wypitego alkoholu, wychwyciła zmianę. Smok dostrzegł, jak się skuliła.

– Przecież ja nie miałam na myśli nic złego! – powiedziała.

– Jasne, kurwa! – warknął Wabik. – W jakich barach czujesz się lepiej, co? Myślisz sobie, że głuchy jestem? Ty cholerna, głupia...

– Ona nie miała pojęcia, Ted, koniec kropka – rzekł Zabójca. – Gdyby miała, nie przyszłoby jej nawet do głowy powiedzieć coś takiego o tobie.

Odsłonił lekko zęby, a Wabik odpowiedział podobnie. Wyrazu jego twarzy za nic nie dałoby się pomylić z uśmiechem. Smok widział, jak mężczyźni spojrzeniem przekazują sobie tajemnicę zbrodni.

W jednej chwili znalazł się na ziemi. Większość uliczek była zbyt wąska, by stworzenie jego wielkości mogło swobodnie rozłożyć skrzydła, ale wybrane przez niego miejsce pasowało idealnie. Czyhał zaledwie kilka metrów przed ofiarami, zaś otaczająca go pustka stanowiła prawdziwy uśmiech losu. Czekał. Całą trójką zbliżali się teraz ku niemu.

Zdecydował, że plunie ogniem. Ogień zabija szybko i czysto, choć razi także przypadkowe ofiary. Szkoda kobiety.

Na chodniku rozległy się kroki. Powieki smoka, pomimo łuski gładkie niczym skorupka jajka, uniosły się, aż ciemność zalało srebro emanujące z jego oczu. Usłyszał głos kobiety: – Co to jest, do ciężkiej cholery?

– A kogo to... – zaczął Zabójca, ale nie dokończył.

Ryan miał ich w potrzasku. Nigdy dotąd żaden jeleni nie został tak sparaliżowany reflektorami samochodu, jak ich trójka wspaniałym, majestatycznym spojrzeniem smoka, światłem, które odzierało z wszystkich kłamstw i odsłaniało prawdę w najczystszej postaci.

Nabrał tchu, by plunąć ogniem.

W odległym pokoju pewien marzyciel przewrócił ostatnią stronę książki i ujrzał srebrne oko smoka. Zapatrzył się w nie, a wtedy poznał prawdę.

Nie potrafię.

Ogień zgasł. Ryan poczuł, jak smocze ciało, a wraz z nim jego moc zsuwa się z niego, znika. Wyobrażenie dziewicy strojonej w róże rozwiało się niczym kurz. Majestat spojrzenia zaczął blednąć, aż w końcu jedynym źródłem światła w uliczce znów były latarnie. Zaczęła padać dokuczliwa mżawka. Ryan zadrżał z zimna.

– Kto tam jest? Wyłaź! – wrzasnął Zabójca.

Czar prysł. Ryan podszedł kilka kroków, ponieważ nie miał pojęcia, co innego zrobić.

– To ten dzieciak z baru! – wrzasnął brunet, szczerze zaskoczony.

Zdumienie nie przeszkodziło mu jednak złapać chłopaka za ramię i wyciągnąć go na środek ulicy.

– Co ty wyprawiasz? Po co za nami leziesz? – pytał. Jego palce wbijały się w miękkie ciało Ryana. – Zbokiem jakimś jesteś, czy co?

– Już ci mówiłem, kim on jest! – wrzasnął przeraźliwie Wabik. – Ja takich na węch potrafię wyczuć!

– Taa, może i potrafisz – mruknął Zabójca. Chwycił Ryana za przód koszuli. – Ostatnim razem miałeś rację.

– Kochanie, puść go, to tylko jakiś dzieciak – prosiła kobieta.

– Ten dzieciak – odezwał się Zabójca, szarpnąwszy nim tak mocno, że zęby mu zadzwoniły – ten dzieciak napatoczył się na nas w barze. Miał do nas jakieś pretensje. O co ci chodziło, mały?

– Lepiej uważaj, on chowa gdzieś kosę! – zapiszczał Wabik.

– To ci dopiero! – Zabójca sięgnął do kieszeni spodni. – Ja też.

Ostrze błysnęło srebrzyście w cieniu uliczki. Ryan ujrzał na metalu odbicie swoich oczu. Przypomniał sobie wszystkie te rzeczy, które zrobiono

wujkowi Grahamowi, wszystkie te rzeczy, o których policja powiedziała tacie, o których tata, drżąc, napomknął z kolei jemu.

Ci dwaj kolesie rozbili wujkowi głowę dopiero po tym, jak zrobili wszystko inne, na co mieli ochotę. Ryan usłyszał w głowie żałosny głos: Oni zabili mnie bez zastanowienia, Ryan. Wiem, że chciałem umrzeć, ale tak? Umrzeć jak coś gorszego od człowieka, gorszego od zwierzęcia, jako zabawka w rękach sadystycznych dzieciaków? Zabiją cię bez cienia skrupułów. To złamie serce Chessie.

Dlaczego nie zniszczyłeś ich, gdy jeszcze miałeś moc?

A wtedy serce Ryana odpowiedziało: Bo to uczyniłoby mnie jednym z nich.

– Jezus, puść go! – jęknęła kobieta. – Przecież gardła mu nie poderżniesz, no nie?

– To będzie nieprzyjemny widok, więc lepiej zamknij oczy – poinstruował ją Zabójca.

– Kurwa, ty też jesteś nienormalny! – Kobieta targnęła głową i próbowała się wyrwać, ale wtedy złapał ją Wabik i mocno przytrzymał.

– A ty co? Chyba nie pobiegiesz do gliniarzy na skargę, co? – syknął jej do ucha. – Nie, założę się, że nie.

Chwycił ją za potargane włosy i uderzył w twarz, nim zdążyła krzyknąć. Jęknęła z bólu i osunęła się na ziemię.

– Hej, coś ty zrobił tej suce? – odezwał się Zabójca takim samym tonem, z jakim zwróciłby się do ulicznych mętów przyłapanych na rysowaniu karoserii jego samochodu.

– Co za różnica? – Wabik wzruszył ramionami. – Teraz już nie można jej zrobić tego wszystkiego, co tam sobie zaplanowałaś?

Nóż uniósł się. Ryan zdążył jeszcze ujrzeć prostą linię lśniącego błękitu, a potem zamknął oczy. Twarda pięść walnęła go w żołądek.

– To nie tak, zboku – mruknął Zabójca. – Ty będziesz się wszystkiemu przyglądał.

Chcę mieć pewność, że wszystko widzisz. Otwórz oczy.

Kolejne gwałtowne szarpnięcie za koszulę.

– Otwórz oczy!

Ryan otworzył oczy.

Wrzaski.

Nie on wrzeszczał, tylko oni. Ich wrzaski wwiercały mu się w głowę, gdy uliczkę znów zalało czyste białe światło, wyrwało go z unieruchomionego ciała i uniosło ku niebu, prosto w deszcz. Otworzył usta, by poczuć chłód drobniutkich kropelek opadających na jego wciąż ludzką skórę, a potem odwrócił się w swym bezskrzydłym locie, by zobaczyć, jakie skutki wywarła jego ucieczka.

Spodziewał się zobaczyć obu mężczyzn spoglądających za nim w górę, z gębami rozdziawionymi na podobieństwo najmarniejszych chłopów ze smoczego królestwa. Zamiast tego ujrzał, jak klęczą na asfalcie, zakrywając twarze drżącymi rękami. Uświadomił sobie, że usiłują nie patrzeć, próbują ochronić oczy przed intensywnością smoczego spojrzenia. Zniżył się i wylądował tuż za nimi, niedaleko pobitej kobiety.

Wtedy ujrzał smocze oczy.

Była to ogromna bestia, wielka, wspaniała, o wiele potężniejsza od młodziutkiego smoczątka, które kiedyś mieszkało w duszy Ryana. Jej boki wgniatały ściany po obu stronach uliczki, cegły i cement osypywały się na chodnik. Ułożyła łeb na pazurzastych łapach i leżała, a jej lśniące oczy spoglądały na obu mężczyzn jakby od niechcienia, w zadumie. Ryan nie wyczytał w nim morderczych zamiarów, smok patrzył jedynie sennym, spokojnym wzrokiem.

Mężczyźni usiłowali odwrócić głowy, lecz nie potrafili, próbowali zamknąć oczy, lecz powieki nie były im posłuszne, starali się zasłonić twarze rękami i nadaremnie walczyli z paraliżem, który odebrał im nawet i tę szansę. Musieli patrzeć. Nie mieli wyboru, musieli.

Inni zaś niszczą je z powodu tego, jak widzą siebie w smoczych oczach.

Wypukła, połyskliwa powierzchnia jednego oka ukazała Zabójcę kulącego się w ciemnym kącie, skamlącego ze strachu, odpędzającego kijem duchy. Jego nagie ciało było pokryte ranami, członki wychudłe, a twarz przypominała nagą czaszkę poznaczoną purpurowymi żyłami i żalonymi kosmykami włosów.

Drugie oko ukazało Wabika wtulonego w ramię Zabójcy, napierającego na zdrowe, mocne ciało kolegi. Nie panował nad sobą, jego usta obsypywały skórę pocałunkami, a oczy lśniły ekstazą wywołaną przez

wytęsknione od dawna spełnienie. Jego dłonie błędziły po ciele Zabójcy, dotykały go i pieściły, obejmując w posiadanie wszystko, czego pożywał.

Pragnę tego – szeptało odbicie Wabika w oku smoka. – Zawsze tego pragnąłem.

Zawsze pragnąłem ciebie...

Smok uniósł głowę i mrugnął, ucinając wizje. Gdy znów otworzył oczy, zniknął.

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie. Ich twarze były mokre od deszczu. Kobieta poruszyła się i załkała, odzyskując przytomność, ale w ogóle jej nie słyszeli. Ryan pochylił się i wyszeptał jej do ucha: – Wstawaj! Musimy się stąd wynosić!

Przeklęła i odepchnęła go.

Uciekł sam. Potykając się, biegł po zalanej deszczem ulicy, cały czas zadając sobie pytanie, jak daleko zdąży zbiec, nim czar smoka przebrzmi i obaj mordercy rzucą się w pościg. Wydawało mu się, że słyszy za sobą kroki, jego płuca płonęły żywym ogniem. Nie ośmielił się jednak spojrzeć przez ramię. Był pewien, że prześladowcy go doganiają, był tego pewien tak bardzo jak tego, że trwa noc. Niemalże czuł chłód noża na ciele.

Wyteżał wszystkie siły, a im szybciej biegł, tym gęstsze stawało się powietrze, aż w końcu musiał się przez nie przedzierać. Nogi, miast stać się skrzydłami, ciążyły mu niczym ołowiane ciężarki. Mokry chodnik zamienił się w smołę, która zasysała stopy, powstrzymywała go wbrew jego woli, więziła. A więc istniały na tym świecie również i inne rodzaje magii, nie tylko magia smoków. Ciemne moce gromadziły więcej sług niż jasne.

Ryan otworzył usta, by krzyknąć, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Łapał oddech za oddechem, ale jego płuca, gardło i usta zapychały się czarną ciszą jak wełną. Smoła twardniała na kamień, więżąc jego stopy, już nie mógł biec, nie mógł się poruszać. Nabrał tchu, by wrzasnąć po raz ostatni, nim prześladowcy go dopadną... i ocknął się z krzykiem w łóżku wujka.

Siedział na nim sztywny niczym manekin. Ubranie przyłgnęło mu do wilgotnej skóry.

Na niebie szarzał pierwszy zwiastun świtu, do pokoju wlewało się mętne światło. Ryan zsunął się z łóżka i wtedy usłyszał chrupnięcie pod stopą.

Mały gliniany smok leżał rozgnieciony obok łóżka. Ryan zebrał wszystkie kawałeczki, ciesząc się w duchu, że są w miarę duże. Może uda się połączyć je klejem?

Ułożył je na ławie i przejrzał uważnie. Brakowało tylko oczu.

Napił się rozpuszczalnej kawy i wyszedł, zamknąwszy mieszkanie. Ulice były wilgotne i zimne od deszczu, a kałuże oleju w rynsztoku mieniły się tęczowo. Stał przez chwilę przed budynkiem, patrząc pod nogi. Gdy deszcz spłukał plamy krwi z chodnika, te na progu stały się mniej widoczne. Wkrótce mało kto będzie pamiętał o tym, co tu się wydarzyło. Ryan przesunął palcami po brzegu czarnożółtej taśmy, która nadal zwisała z zawiasu i oddarł tyle, ile się dało.

Dotarł na Penn Station, zastanawiając się, czy nie powinien anonimowo zadzwonić na policję, opisać morderców wujka i poinformować, gdzie należy ich szukać. Mógł podać ich dokładne rysopisy i skierować policję na bar, w którym przesiadywali...

Mógłby to zrobić, gdyby tylko policjanci chcieli słuchać człowieka, który wie tak dużo, a nie chce podać źródła informacji. A co by się stało, gdyby wszystko wyjaśnił? Nie uwierzyliby za nic w świecie. Musiał jednak coś zrobić, a nie miał innego pomysłu.

W końcu postanowił, że przed wykonaniem telefonu pójdzie na miejsce zdarzenia i przekona się, czy naprawdę istnieje bar, który pojawił się w jego wizji. Ruszył biegiem.

Gdy skręcił za róg, ujrzał skupisko samochodów policyjnych. Dwa zatrzymały się przy krawężniku z przodu alei, a ich niebieskoczerwone koguty migąły. Między nie wcisnął się ambulans. Wyglądało na to, że kierowca będzie miał spore problemy z wyjechaniem, lecz na szczęście nie było powodów do pośpiechu. Na noszach wewnątrz karetki leżał czarny worek zamykany na zamek błyskawiczny.

Zabójca patrzył wściekle na żółtowłosą kobietę, która udzielała wyjaśnień policji, i obrzucał ją wyzwiskami. Ręce miał skute na plecach, ale nic nie krępowало jego ust.

Przechodnie – zarówno ci zmierzający do pracy, jak i ci, którzy toczyli życie od zmierzchu do świtu i właśnie wracali do domu – przystawali i słuchali. Mężczyzna nie przejmował się prawami, które mu odczytano.

Rozsadzała go chęć wykrzyczenia całemu światu, co się wydarzyło. To nie było wcale przestępstwo, lecz przysługa! Uratował ludzi, oczyścił społeczeństwo z potwora! Był bohaterem, rycerzem, zabójcą koszmarów!

– Jak wy śmiecie nazywać to morderstwem, nawet jeśli ten gnojek kiedyś był moim przyjacielem?! – wykrzykiwał.

– Tak szczerze, to nie mam pojęcia dlaczego – tłumaczyła żółtowłosa kobieta, podczas gdy mężczyznę siłą wciskano do radiowozu. – Szliśmy wszyscy razem, było już późno, gdy nagle...

Odwróciła się i ujrzała Ryana. Na krótką chwilę jej posiniaczoną twarz pokrył rumieniec, a potem cała rozkwitła i jej niczym nieskażone piękno otoczyły róże.

– Proszę pani? – policjant próbował przywołać ją do rzeczywistości.

Wzdrygnęła się i otrząsnęła, a potem powróciła do relacjonowania wydarzeń.

Ryan pochylił się przy czarnożółtej taśmie.

Róża była czerwona i nie przywoływała wspomnień krwi i ognia. Nie miała kolców.

Wdychał jej zapach przez całą drogę do stacji kolejowej, i dalej do domu.

Tim Lebbon (ur. 1969) stał się płodnym autorem na polu literatury fantasy dopiero w ostatnich latach. Zdobył dwie British Fantasy Award oraz jedną Bram Stoker Award, a po obu stronach Atlantyku rozważa się ekranizacje jego dzieł. W ich skład wchodzi zaś *Mesmer* (1997), *Face* (2001), *The Nature of Balance* (2001) oraz *Until She Sleeps* (2002), a także antologie *White and Other Tales of Ruin* (1999), *As the Sun Goes Down* (2000) i *Fears Unnamed* (2004).

Poniższe opowiadanie, napisane specjalnie na potrzeby tej antologii, osadzone jest w tych samych realiach, co powieść dark fantasy pod tytułem Dusk. W tym świecie magia znikła, ponieważ magowie (Anielica oraz jej brat S'Hivez) zrobili z niej zły użytek. Po zniknięciu magii świat zaczął się chylić ku upadkowi, a ludność wielkiej wyspy Noreela pogrążyła się w apatii i niechęci do działania. Daleko na północ od Noreeli leży wielka zamrznięta wyspa, gdzie wygnano oboje magów oraz resztki ich armii. Tam też pozostali, czekając na powrót magii oraz szansę, by się zemścić.

Tim Lebbon

WIECZNOŚĆ

Czuł dotkliwie zimno. Lód przymrozek skuwał marzenia o wolności, modlitwa. Przygotowania do nikt nie miał pojęcia, kiedy do niej dojdzie. Na Dana'Man – wyspie przeklętych, ojczyźnie lodowców, śniegu, demonów i ludzi lodu – życie było ciężkie, ale śmierć jeszcze gorsza. Magowie potrzebowali każdego mężczyzny i każdej kobiety. Nie wybacжали śmierci.

Z daleka wyspa wydawała się ogromna i jałowa. Przypominała pustynię lodu i śniegu, nad którą, na podobieństwo czubków palców pochowanych gigantów, sterczało kilka wygasłych wulkanów. Ciągnęła się na wschód i na zachód dalej niż krzywizna świata, a przekroczenie jej w najszerszym miejscu z południa na północ potrwałoby dwadzieścia dni.

Raz na jakiś czas wybuchał jedyny czynny wulkan, w efekcie czego następowały roztopy, a wygląd wyspy w rejonie erupcji zmieniał się na całe pokolenia.

Ludzkie osady rozrzucone były na nizinach u stóp wulkanów oraz wzdłuż wybrzeża, kilka znajdowało się również dalej w głębi lądu. Niektóre z nich już dawno opuszczono, inne wydawały się tętnić życiem. Znad niezliczonych ognisk wznosiły się ku niebu słupy dymu, a między kawałkami kier wzdłuż brzegu pływały liczne łodzie. Raz na jakiś czas z wiecznej zasłony chmur wypadał sokół, obsrywał pasażera łodzi i wznosił się z powrotem w przestworza. Na wyspie znajdowało się nawet kilka gospodarstw, wokół których śniegi i lód zostały pracowicie usunięte, a ziemię przeznaczono na liche uprawy.

Jedno z owych osiedli przylegało do wąskiego pasma lądu, który wychodził pół mili w głąb morza i skręcał, tworząc coś na kształt naturalnego falochronu i przystani. Miejsce to nazywano Nową Ziemią. To właśnie tam jakieś sto lat wcześniej wylądowali magowie z niedobitkami armii, przegrani i wygnańcy z leżącej na południu Noreeli. Ich krotańscy wojownicy uznali tę osadę za swój nowy dom. Znajdowały się tam statki i łodzie najrozmaitszych kształtów i rozmiarów – w większości niewielkie rybackie kutry, ale także kilka transportowców do przewożenia materiałów i ludzi dookoła Dana’Man oraz dwa większe okręty pełne broni i machin wojennych.

W przystani zawsze tętniło życie. Cuchnęło tam wyrzuconymi na brzeg rybami, w większości już nadgniętymi, a z kuźni znajdujących się na samym końcu cypla dochodziły dźwięki obrabiania stali. Przy falochronie kotwiczył jeden z okrętów wojennych – raz na dzień podtaczano do niego ogromny wóz pełen broni i dokładano jego zawartość do arsenału umieszczonego w głębi kadłuba.

Od strony Dana’Man znajdowało się zbocze, w które Nowa Ziemia zapuściła swe korzenie. Na osadę składały się dokładnie wytyczone rzędy monotonnych, bliźniaczo podobnych struktur z drewna i lodu. Nad niektórymi powiewały proporce, pozostałe nie wyróżniały się wcale. Wiele z nich wyglądało na zaniedbane, co najlepiej świadczyło o tym, że życie na wyspie nie było łatwe i ludzie nie zawsze mieli czas na staranną

konserwację.

Wokół koszar panował spory ruch – setki mężczyzn i kobiet to wchodziły do środka, to wychodziły, czasami w grupach lub parach, lecz głównie samotnie. Dla ochrony przed zimnem ubierali się w futra i wyprawione skóry, nosili też broń przytroczoną do pasa lub przewieszoną przez plecy. Tego dnia jednakże nie zanosiło się na bitwę. Dana’Man było wyspą należącą tylko i wyłącznie do nich. Wojna, dla której istnieli, miała się dopiero rozpocząć.

W jednym z równych rzędów budowli wznosił się namiot wsparty na kościach wieloryba, przykryty końskimi skórą. W jego wnętrzu siedział człowiek o imieniu Nox.

Był ogromnym mężem i jak większość wojowników krotańskich, z którymi stacjonował, lubił gromadzić wokół siebie mnóstwo broni. W jego namiocie znajdowały się noże, maczugi, gwiazdki oraz strzałki do rzucania. Nosił długie włosy, które zaplatał w warkocze raczej po to, by nie wpadały mu do oczu, niż dla ozdoby. Cerę miał ciemną niczym skóra, z której wykonano jego odzież, i ogorzałą na skutek czterech dekad życia na Dana’Man, a oczy zimne i błękitne jak najstarsze z lodowców. Siedział samotnie. Ci, z którymi dzielił kwaterę, wyszli coś zjeść, lecz gdyby ktokolwiek wszedł teraz do środka, od razu by spostrzegł, że dzieje się coś niedobrego, bowiem Nox powoli, z uporem żłobił szramy w swojej ręce, a krew wolno skapywała na ziemię. Po wykonaniu każdego cięcia unosił nóż ku twarzy, ścinał nieco twardego zarostu, a potem przejeżdżał nożem przez każdą ranę po raz drugi. Oddychał szybko, lecz z trudem, chwiał się na krawędzi pryczy i potrzasał wolno głową, jakby chciał w ten sposób stłumić lub choćby przytępić ból.

Igiełki zarostu gwarantowały, że rany prędko się nie zagoją i długo będą krwawić.

Gdy zaś ktoś to zauważy, wyślą go na barkę szpitalną zacumowaną przy końcu falochronu.

Stamtąd ucieczka z Dana’Man – oraz od magów – była o wiele łatwiejsza.

– Jak ty żeś to zrobił, do ciężkiej cholery? – Serville patrzyła na rękę Noksa ze szczerą fascynacją. Przepadła za krwią.

I oto nadchodzi ten moment, pomyślał Nox. Teraz wypowiem kłamstwo,

które zmieni mnie na zawsze.

– Szczeniak lisolwa. Szukałem krabów na plaży, a on się schował za bryłą lodu.

– Szczeniak tak cię dziabnął? – Serville pochyliła się i ściągnęła rękawicę, by dotknąć rany. Nox mimowolnie napiął mięśnie i rana rozwarła się, więc szybko cofnął rękę, krzywiąc twarz. Znowu pociekła krew. Serville oblizwała wargi.

– Nie dostaniesz ani kropli – zaznaczył. Siedział na poplamionych futrach i czekał na słowa, które go uwolnią. Wątpił, by to akurat Serville miała je wypowiedzieć – żyła tu znacznie dłużej od niego, a ponadto pochodziła z plemion zachodnich, które nawet Krotanie uważali za dzikie i zahartowane – ale reszta powinna niebawem wrócić. Musiał być gotów.

– Zabiłeś go?

– Nie, odpłynął. Zanurkował zaraz po tym, jak mnie chlasnął.

Serville wbiła w niego badawcze spojrzenie.

– Dostałeś po łbie od byle szczeniaka?

Nox wzruszył ramionami.

– Nie byłem przygotowany. Nie szukałem tam kłopotów, a krabów. Chciałem zjeść coś innego niż to gówno serwowane przez naszego kucharza.

– Jemy, żeby żyć, a nie dla przyjemności – przypomniała mu Serville, raz jeszcze spoglądając na zranioną rękę.

– Wy z zachodnich plemion jesteście strasznymi dzikusami.

Kobieta odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem. Nox zerknął na jej pas z bronią, tak na wszelki wypadek. Należeli do tego samego oddziału, ale nigdy nie byli przyjaciółmi.

Do namiotu weszli Jaxx i Morton, śmiejąc się i bekając. W ślad za nimi do środka wtargnął podmuch zimnego wiatru i nieco śniegu.

– Nox przegrał starcie ze szczeniakiem lisolwa – poinformowała przybyłych Serville.

Morton usiadł na pryczy, nie wykazując najmniejszych oznak zainteresowania.

Serville podeszła do niego. Zdarzało się, że ze sobą sypiali, i Nox mógł jedynie mieć nadzieję, że nie zachce im się właśnie teraz.

– Boli jak cholera, co? – mruknął Jaxx. Stał nad Noksem i przyglądał się ranom. – Będą niezłe blizny. Lepsze od moich!

Na potwierdzenie tych słów odsłonił nieregularną szramę na swoim ramieniu.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł Nox. – No i nie mylisz się, boli jak diabli.

– Powinieneś pójść na barkę lazaretową. Ugryzienie lisolwa bywa trujące. Wybacz, Nox, ale nie mam zamiaru złapać przez ciebie jakiegoś świństwa.

Oto i one, pomyślał Nox. Słowa, które przynoszą mi wolność.

– Naprawdę? Nie jest chyba tak źle. Słuchaj, krwawienie już nieomal ustało, a...

– Kiedy cię capnął?

– Zaraz po tym, jak poszliście coś zjeść.

– W takim razie nie powinieneś już krwawić – rzekł Jaxx. – Krotanie nie krwawią długo, sam to dobrze wiesz. Coś utrudnia krzepnięcie rany, a ja, niech no wyrażę się jasno raz jeszcze, nie chcę tego czegoś złapać.

Cofnął się, by Nox mógł wstać. Serville i Morton patrzyli teraz na niego, zaintrygowani groźbą wyczuwalną w słowach Jaxxa.

– Cieplutkie łóżeczko i opieka medyków – wtrącił Morton. – Nie udawaj, że nie masz na to ochoty!

Nox nie zaryzykował odpowiedzi.

Jeszcze się zdradzę, pomyślał. Jeszcze się zorientują, że nie mam zamiaru już nigdy ich oglądać. Serville i Mortona porzucam bez żalu, ale Jaxx był mi kimś na kształt przyjaciela.

Zarzucił pas z bronią na ramię, przesłonił krwawiącą rękę kurtą i wyszedł na świeże powietrze. Zrobił głęboki wdech i po chwili wypuścił powietrze z płuc. Wśród dobrze mu znanej mieszanki smrodów wyczuł zapach wolności.

Krotanie wprowadzili Noksa, gdy był jeszcze dzieckiem. Nie pamiętał nic ze swego poprzedniego życia, choć czasami przytrafiały mu się sny, których nie potrafił zrozumieć.

Widział w nich życzliwe, przyjazne twarze, zielone pola, wieś pracującą po to, by żyć, a nie po to, by szykować się do wojny. Nie miał pojęcia, co się

stało z tym miejscem i z tymi ludźmi, i na ogół udawał, że się tym nie przejmuje. Był teraz krotańskim wojownikiem w tym samym stopniu, co ci urodzeni na wyspie, i żył tylko po to, by służyć magom. Ci, którzy go wychowali i wyćwiczyli, odpowiednio się o to zatroszczyli.

Nowa Ziemia – jedyne ludzkie osiedle na Dana'Man, które dorobiło się własnej nazwy – zostało założone w miejscu, gdzie wylądowali magowie wygnani z prawowitej ojczyzny na Noreeli. Tak mówiono, a zatem musiała być to prawda. Dotarłszy tu, zaleczyli rany zadane im przez aroganckich, dumnych wojowników z Noreeli, a potem, wspólnie z ocalałymi Krotanami, uczynili to miejsce swym domem. Przystań wraz z długim, naturalnym falochronem przyjęła ich gościnnie, umożliwiając bezpieczne lądowanie w krainie śniegów i zapewniając doskonałą osłonę przed furią sztormów, które szalały wówczas przez długie tygodnie.

Obecnie magowie rzadko opuszczali swą siedzibę u stóp wulkanu położonego dalej w głębi lądu, lecz przystań nadal była dla nich miejscem szczególnym.

Nox spędził tu całe życie i opuszczał Nową Ziemię wyłącznie podczas manewrów na zboczach gór lub najazdów na wyspy leżące na wschód lub zachód od Dana'Man. Jadł tu, ćwiczył w oczekiwaniu na obiecaną wojnę, spał, chędożył, pił, zawierał przyjaźnie i je tracił.

Powracał, by zaleczyć rany odniesione podczas wypraw zbrojnych. Odpoczywał, gdy mu na to pozwolono, polował na węże morskie z przyjaciółmi, siłował się z nimi na nabrzeżu.

Nazywał Nową Ziemię domem. Ale mimo tego... Mimo tego wciąż nawiedzały go sny. Pola zieleni, a nie bieli. Walka o pokój i przetrwanie, a nie przygotowania do wojny. I tak Nox zaczął coraz częściej myśleć o tym, gdzie leży ów ląd.

Opuścił koszary i ruszył w dół łagodnego zbocza w stronę Nowej Ziemi. Z tego miejsca widać było naturalną przystań w całej okazałości. Cypel wchodził łukiem w morze niczym długa ręka Dana'Man, a wzdłuż całej jego długości cumowały łodzie. Z ich mrowia wyróżniały się oba okręty wojenne. Pięciokrotnie większe od jakiegokolwiek innej jednostki, mierzyły ku niebu długimi masztami. Ich żagle były zwinięte, lecz okręty trwały w gotowości do wypłynięcia. Za sprawą śniegu i lodu w takielunku

powstawały fantazyjne rzeźby. Z tej odległości Nox ledwie mógł dostrzec pojedynczych ludzi, ale nawet tutaj ogarnęło go wrażenie gorączkowej krzątaniny w porcie i przez krótką chwilę zatęsknił za względnym spokojem koszarów.

Jego ręka pulsowała bólem, a ostre włoski zarostu sprawiały, że rany nie przestawały krwawić. Odsłonił je na moment i aż się zdumiał ilością krwi, która nadal z nich wypływała.

Cóż za ironią byłoby teraz umrzeć, gdy wreszcie zebrał się na odwagę i podjął próbę ucieczki.

Przez wiele lat snuł mgliste marzenia w skrytości ducha i nikt by nie odgadł, na co się zdobył w ostatniej chwili życia. Padłby po prostu w śnieg i zaległ, marząc o zielonych polach, a jego życie umknęłoby gdzieś nad prastary lodowiec. Znaleźliby jego ciało na zboczu, rozmrozili i nakarmili nim tresowane sokoły, które czasami wypadały zza chmur. Zabity przez szczeniaka lisolwa – tak by mówili, zapewne pękając ze śmiechu. Po kilku tygodniach lub nawet dniach nikt by go nie pamiętał.

Nox pokręcił głową i zagryzł wargę. Ból przynaglił go do działania. Popędził w kierunku portu. Widział już barcę lazaretową tuż przy końcu cypla, za kuźniami, w których produkowano broń. Za nią zaś rozciągał się otwarty ocean, a wraz z nim wolność.

Gdy Nox ukończył siedemnaście lat, wiedział już dobrze, czym jest wiara. Jego wiara – a była ona silna i głęboka – skupiała się wokół dwóch istot: złowieszczego, nieuchwytnego S’Hiveza oraz pięknej, lecz straszliwej Anielicy. Wierzył święcie, że żyje tylko i wyłącznie po to, by im służyć. Owe ulotne wspomnienia z dzieciństwa były jedynie okruchami snów, zamrożonymi przez śnieg Dana’Man. Nie pamiętał ich znaczenia, mróz wypalił wszelkie związane z nimi emocje. Teraz wykonywał rozkazy magów i wszystko – zarówno to, co już się wydarzyło, jak i to, co dopiero miało się wydarzyć – działo się za ich sprawą. On zaś był żołnierzem i wiedział, że któregoś dnia zostanie wezwany, by zemścić się na ludziach z południa, którzy wygnali ich z ojczyzny. Magowie władali jego umysłem, przez większość czasu władali też jego sercem.

Przez większość czasu. Tak to już jest, że nawet czysta, bezwzględna wiara okazuje się niestała. Pewnej nocy leżał na skórach z krotańską

wojowniczką, spleciony w miłosnym uścisku, spocony i zaspokojony, dzieląc się z nią ciepłem dla ochrony przed mroźnym powietrzem nocy. Niespodziewanie podniósł się i wyrzekł jedno krótkie, lecz zakazane zdanie: – Któregoś dnia może uda nam się wydostać.

Krotanka mruknęła coś i zmieniła pozycję, sięgając ku najgorętszej części jego ciała.

W chwilę później Nox zapomniał o myśli, która zrodziła jego słowa.

Tuląc do ciała ranną rękę, dotarł na obrzeża przystani. Pokrytą lodem drogę posypano popiołem wulkanicznym, by ułatwić chodzenie. Z dachów uprzątnięto śnieg, zrąbano wszystkie sopte, a wejścia do domów przesłonięto zwierzęcymi skórami. Wykorzystane podczas ich budowy drewno sprowadzano spoza wyspy, a wraz z nim niewolników, którzy je stawiali. Na uliczkach aż się od nich roiło, lecz Nox ignorował ich w tym samym stopniu, co śnieżne kozy czy mewy. Zadawanie się z nimi nie należało do rzeczy godnych wojownika.

Oczywiście byli ludźmi, lecz poza tym istniało niewiele podobieństw między nimi a ich krotzańskimi panami. Pojeni przez magów chemikaliami tłumiącymi wszelkie buntownicze zapędy, włóczyli się po ulicach niczym przygłupie, oszołomione kozy, potężnie umięśnieni, lecz nieobecni duchem. Nox od czasu do czasu napotykał ich spojrzenia i stwierdzał, że nie ma w nich za grosz inteligencji. Instynktownie schodzili Krotanom z drogi i nigdy nikt nie słyszał o jakiegokolwiek niesnascie między Krotaninem a którymś z niewolników.

Nox zszedł na bok, by przepuścić cztery zwierzęta juczne. Pierwotnie również byli to niewolnicy, ale drogą naukowych eksperymentów oraz krzyżowania silniejszych osobników przez dwa, trzy pokolenia magowie przekształcili ich w ogromne, silne bestie. Pozbawiono ich seksualności, człowieczeństwa oraz jakichkolwiek śladów godności czy dumy, które wciąż istniały w umysłach niewolników, choć głęboko ukryte. Skóra zwierząt jucznych nierzadko była porozciągana i spękana na skutek przyspieszonego rozrostu – wędrując zakurczonymi traktami, zawsze zostawiała za sobą ślady krwi. Nox przyglądał się, jak parszając i napinając mięśnie, wlekły sanie wyładowane jedzeniem w kierunku koszar na wzgórzu. Saniami powoził Krotanin siedzący wygodnie wśród skrzyń,

który palił i patrzył nieobecny wzrokiem ponad karkami zwierząt. Zerknął w pewnym momencie w dół i dostrzegł zakrwawione ramię Noksa, obojętnie odwrócił wzrok. W ten sposób chciał dać Nokswi do zrozumienia, że to nie jego sprawa, z czym Nox w zupełności się zgadzał.

Wkroczył między domostwa Nowej Ziemi i w miarę jak zbliżał się do portu, ruch zyskiwał na intensywności. Celem egzystencji Krotan była walka, osławiony Wielki Powrót, o którym mówili magowie za każdym razem, gdy opuszczali swe miejsce odosobnienia, powrót do Noreeli i zemsta na ludziach, którzy uczynili ich wyrzutkami przed zniknięciem magii. I choć Wielki Powrót stanowił dla Krotan jedyny cel życia, oczekiwano go od wielu pokoleń. Odkąd magowie wylądowali na Dana'Man, minął już ponad wiek – tak głoszą, a więc była to prawda – lecz wojna wcale nie wydawała się bliższa, a rozkaz rozpoczęcia przygotowań do ostatecznego uderzenia wciąż odkładano. W ciemnych tawernach i pośród mroku nocy niektórzy z Krotan szeptali, że chodziło o brak magii. Magowie mieli swą naukę, mieli swój gniew, lecz bez magii byli bezsilni wobec krainy, z której ich wypędzono. Inni utrzymywali, że się po prostu zestarzel, ale większość z tych, którzy mówili o nich źle, nie powtarzała tego po raz drugi. Kary wymierzano szybko i niechybnie.

Nox poczuł nagle zawroty głowy i musiał przytrzymać się ściany domu, by zebrać siły. Zerknął do wnętrza kurty i ujrzał blady refleks światła na strużce świeżej krwi.

Może właśnie się zabiłem, pomyślał i uśmiechnął się ponuro. Może to też na swój sposób jest ucieczka...

Nox wziął udział w pierwszym najeździe w wieku dwudziestu lat. Wraz z oddziałem trzydziestu Krotan wsiadł na niewielki kabotażowiec i przez trzy dni płynął na wschód, klucząc między górami lodowymi, wirami morskimi i gigantycznymi lewiatanami, aż dotarli na przeciwległy kraniec Dana'Man. Tam zeszli na ląd i przenocowali przed wyruszeniem w dalszą podróż. Ich niewielki okręt nie był przystosowany do walki z falami i sztormami otwartego morza i kilkakrotnie Nox oczyma wyobraźni widział już, jak toną. Zdawał sobie sprawę, że wpadnięcie w odmęty oznacza pewną śmierć zadaną albo przez potworne zimno, albo stworzenia, które żyły pod powierzchnią. O zmroku czasami je dostrzegał – białe,

przypominające upiory kształty przepływające niedaleko burt, a choć Krotanie nie byli tchórzami, wiedzieli, czym jest strach. Pewnego razu magini zwana Anielicą wytłumaczyła bowiem swym żołnierzom, że strach utrzymuje przy życiu, i to właśnie strach tego dnia ocalił życie Noksa i jego krotańskich towarzyszy. Zmagając się z falami zalewającymi pokład, porwali za wiosła i wiosłowali dzień i noc, aż wreszcie dotarli do miejsca przeznaczenia.

Potem, po całych dniach podróży bez snu i jedzenia, zmarznięci, wycieńczeni Krotanie musieli chwycić za broń.

Plemię, które zaatakowali, nie było plemieniem wojowników. Być może kilka dekad wcześniej utrzymywali coś na kształt organizacji i trwali na jakimś poziomie cywilizacyjnym, lecz po całym stuleciu niekończących się najazdów krotańskich ich społeczeństwo cofnęło się w rozwoju do żalostnego poziomu. Niektórzy uciekli, lecz większość została, gdyż wyspa stanowiła jedyny znany im świat. Choć przywykli do regularnych grabieży, stawiali opór, uzbrojeni w kamienie, zaostrzone wielorybie kości, ogniste bomby z tranu wielorybiego i własne pięści. Z początku Krotanie igrali z przeciwnikiem, dając mu do zrozumienia, że ma szansę wygrać to starcie. Po całym popołudniu bieganiny, chowania się i walki zaczepnej zmęczenie wojowników wzięło jednak górę. Natarli na sadybę wyspiarzy, zmasakrowali tych, którzy wciąż chcieli walczyć, i zabrali wszystko, po co przyszli.

Wrócili do Dana'Man na statku wypełnionym jedzeniem, przyprawami i nasionami dla gospodarstw położonych na zboczach wulkanu. Przywieźli też garść niewolników obojga płci i każdy z Krotan, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, kolejno dawali na nich upust swej chuci.

– Musi istnieć coś jeszcze – szepnął do siebie Nox tej nocy. Leżał na pokładzie i wpatrywał się w niebo usiane tyloma gwiazdami, że czasem odnosił wrażenie, jakby to padał śnieg. Przepełniało go osobliwe poczucie nie tyle winy czy wstydu, co pustki. Nigdy wcześniej nie borykał się z czymś podobnym i wytłumaczył to sobie wyczerpaniem po walce.

Czuł się jednak pusty oraz próżny i w tej właśnie chwili, wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej, zrozumiał, że jego życie mogło się ułożyć całkiem inaczej.

– Po prostu musi coś istnieć – powtórzył.

A potem zasnął i śnił o zielonych polach.

Krotanin leżący obok usłyszał i zapamiętał te słowa.

Wyczuł ich buntowniczy charakter i poprzysiągł sobie, że przekaże je zwierzchnikom.

Na Dana’Man o wszystkim, co odbiegało od normy, należało informować magów.

– Nox, ty kutasie śnieżnej owcy! Dokąd tak pędzisz, co? Jakaś bójka przeszła mi koło nosa?

– Nie, pani – rzekł Nox.

To ci pech!, przemknęło mu przez głowę.

Stojąca przed nim kobieta była przynajmniej o dwie dłonie od niego wyższa, a także cięższa, szersza w barach, starsza i poznaczona bliznami wyniesionymi z niezliczonych bójek i bitew. Krotkańscy wojownicy zwykli z dumą traktować swe blizny i obnosili się z nimi przy każdej okazji, przez co pomimo chłodu pani porucznik miała na sobie jedynie pasy skóry zakrywające piersi i biodra. Obnażony brzuch wyglądał jak siatka czerwonosinych zniekształceń, a w szerokich ramionach tu i ówdzie widniały spore wyrwy, zupełnie jakby przypalano te miejsca rozżarzoną żelazem.

Niech to szlag trafi!

Pośród Krotan z Nowej Ziemi porucznik Lenora była swoistą legendą.

– Coś ty sobie zrobił? Zaciąłeś się przy goleniu? – Wskazała dłonią krwawą plamę na kurcie Noksa. Jej łysa czaszka migotała drobinkami szronu.

– Lisolew, pani – oznajmił Nox, zmieniając nieco historię. Musiał teraz zrobić dobre wrażenie. Gdyby Lenora dowiedziała się, że oberwał od szczeniaka, jeszcze by sama ugodziła go nożem.

– I wykąpałeś się jednym draśnięciem? Jestem pod wrażeniem, Nox. Założę się, że uciąłeś łajdakowi łeb jako trofeum, co?

– Oczywiście, pani. Został w koszarach. Serville właśnie go gotuje, a ja idę na barękę, by sprawdzili, czy nie złapałem jakiegoś paskudztwa. Jeśli wszystko będzie w porządku, to nieźle sobie poucztujemy.

– Ha! – Porucznik Lenora klepnęła go w ranne ramię i zaśmiała się,

odchylając głowę.

Mówiono, że sami magowie liczą się z jej zdaniem. Niektórzy twierdzili nawet, że Lenora należy do grupy obdarzonych nieśmiertelnością Krotan, którzy przeżyli ucieczkę z Noreeli. – No to daj mi powąchać swój miecz!

– Mój miecz?

– Krew zwycięstwa pachnie słodko, Nox, a upłynęło kilka miesięcy, odkąd zboczyłam własny. Lisolew to godny przeciwnik, tego możesz być pewien, choć z drugiej strony nie powinieneś był sam łązić po plaży. Wiesz o tym, nie?

Pochyliła się ku niemu i uśmiechnęła.

– Ja... Ja tylko szukałem...

– Czegoś lepszego do żarcia. Tak, wiem, Nox. Trudno cię winić. Wam, Krotanom, podają wyjątkowe ścierwo. Nie ma się co dziwić, że szukacie czegoś na własną rękę.

Jestem poddawany próbie, pomyślał Nox. Sprawdza mnie. Wyczuwa, że coś jest nie tak. Może zdradzają mnie oczy, moje oczy pełne winy?

Zaniepokoił go sposób, w jaki wyraziła się o Krotanach, jakby sama nie była jedną z nich. Unikając jakichkolwiek obraźliwych stwierdzeń pod adresem magów, dała mu do zrozumienia, że uważa się za kogoś lepszego, za prawdziwą wojowniczkę z dziesiątkami blizn potwierdzającymi jej męstwo, wojowniczkę podległą samym magom.

Obiło mu się o uszy, że owe brakujące kawałki mięsa na ramionach zostały wyrwane przez sokoła, który nieoczekiwanie wpadł w szal. Porwał ją w swe szpony i uniósł tak wysoko, że gdy w końcu zdołała przebić mu żołądek, spadała na ziemię całe popołudnie.

Głupiutka legenda. Niemniej jej oczy lśniły chłodnym, ponurym dowcipem, zupełnie jakby rzucała mu wyzwanie.

– Cóż, nie musisz się ze mną zgadzać, Nox, bo wiem, że tak jest. Dawaj miecz. Mam nadzieję, że nie wypolerowałeś go do czysta, mając na pół oberwane ramię?

– Wypolerowałem? Nie. Nie...

Niespodziewanie poczuł słabość. Ręka wciąż ociekająca krwią zapłonęła bólem.

Porucznik Lenora stawała się coraz większa i szersza, a on osunął się na

kolana i upadł na zamarznąłą drogę.

Gdy Nox odzyskał przytomność, wiedział, że wpadł w potrzask. Porucznik Lenora odgadła, że planował ucieczkę, gdy tylko go ujrzała. Widać to było w jego sposobie chodzenia, widać to było w jego spojrzeniu i w odcieniu skóry. Teraz znalazł się w miejscu odosobnienia i czekał na karę.

Nigdy dotąd nie słyszał o żadnym Krotaninie, który próbowałby uciekać z Dana'Man.

Nigdy nie słyszał, by ktokolwiek w ogóle o tym myślał. Marzenia o ucieczce zostały z nich wykorzenione i choć wiedział, że nawet rozważania na ten temat są czymś nienormalnym, nie marnował czasu na zastanawianie się, dlaczego nachodziły go takie myśli. Być może przez owe sny pełne zielonej trawy, ale tak naprawdę to nie chciało mu się o tym myśleć. Działanie miało sens, rozważanie o tajemnicach – nie.

Mimo to zastanawiał się czasami, czy istniało jakieś miejsce na Dana'Man, gdzie trzymano tych, którzy próbowali uciekać. Teraz otwierał oczy, nie wiedząc, czego się spodziewać.

– Straciłeś mnóstwo krwi – rzekła porucznik Lenora. Siedziała na ławce i podtrzymywała go w pozycji siedzącej. Jej mięśnie były twarde i węzlaste. Nawet gdyby chciał upaść, nie pozwoliłaby mu na to.

– Odchodzę – wymamrotał. Przez chwilę krótką jak myśl był pewien, że w ten oto sposób zdradził się z planami ucieczki.

– Te lisolwy to niezłe skurwiele. W ich ślinie jest coś, co powstrzymuje krzepnięcie krwi. Łatwiej im w ten sposób wyssać krew z ofiary. Jesteś pewien, że cię drasnął, a nie ugryzł?

Nox kiwnął głową. Gdyby teraz wdał się w szczegóły, zostałyby z pewnością drobiazgowo przepytany, a na to nie był wystarczająco przytomny.

Lenora zmarszczyła brwi.

– Hmm. W ranie jest coś, przez co krwawisz jak wypatroszony kozioł.

Uniosła jego rękę i powoli przesunęła językiem po rozcięciach, zerkając przy tym na niego i uśmiechając się groteskowo.

– Smaczna.

Nox odwrócił spojrzenie, całkiem zbity z tropu. Często widywał Krotan,

którzy nacinali ciała po bitwie – sam zresztą również tak robił – ale o aktach kanibalizmu słyszał jedynie historie z drugiej ręki.

– Nieśmiertelni tak robią – wyjaśniła Serville jednego pijackiego wieczoru. – Ci, którzy wrócili z Noreeli wraz z magami. Nigdy nie umierają, tak więc nie ma znaczenia, czy jedzą zatrute mięso i piją złą krew. Wyobraź sobie, że jesteś kimś takim...

– Dziwne – powiedziała Lenora. Kilkakrotnie obróciła rękę Noksa i dokładnie przyjrzała się ranom. Wezbrały krwią i był pewien, że zaraz znowu je polize. Nie wiedział natomiast, czy tym razem zdoła to wytrzymać. Język porucznik wydawał się szorstki jak papier ścierny.

– Co znowu? – zapytał, próbując przyciągnąć jej uwagę. – Cóż znowu jest takie dziwne?

– Coś tam jest – powiedziała, oblizując usta. – Coś chropowatego. Wiesz co, lepiej zaprowadzę cię tam, dokąd zmierzasz.

Nox pokiwał głową z autentyczną ulgą i wdzięcznością.

Porucznik Lenora, licząca ponad sto lat, rzekomo nieśmiertelna wojowniczką, zarzuciła sobie jego prawą rękę na ramię i podźwignęła go. Była tak wysoka, że jego stopy ledwie dotykały ziemi, lecz z początku nie przeszkadzało mu to wcale. Szła szybko w kierunku portu, a ludzie rozstępowali się przed nią. Po kilku sekundach Nox zaczął wierzyć w swe kłamstwo. Kilku Krotan spojrzęło na niego z podziwem.

Widzą ранego w walce, pomyślał.

Chciał im opowiedzieć o lisolwie, z którym walczył i którego pokonał, ale rzecz jasna żadnego lisolwa nie było. Był tylko jego nóż. Gdyby zaś Lenora znów zapragnęła powąchać miecz, prawda natychmiast wyszłaby na jaw.

Spojrzał na swoje stopy sunące po brudnym lodzie. Czy ja naprawdę wierzyłem, że uda mi się zbiec? Tak, wierzył. A jego szanse nie zostały jeszcze przekreślone.

Gdy dotarli do przystani, Nox zaproponował, że na barkę dojdzie o własnych siłach.

– Nie godzi się, żeby wojownika wnoszono do lazaretu – rzekł. – Chyba że stracił rękę czy nogę. Wtedy nie musi czuć wstydu, że go ktoś niesie.

Lenora uśmiechnęła się i postawiła go na ziemi, a Nox zrozumiał, że wywarł na niej dobre wrażenie. No, nieźle. Być może dzięki temu nie

poprosi już o obwąchanie rzekomo zakrwawionej klingi.

– Jesteś dzielnym Krotaninem – rzekła...

– Jestem zaskoczony, że mnie w ogóle rozpoznałaś, pani.

Lenora uniosła brwi.

– Czy to aby nie mój obowiązek znać wszystkich, którzy pode mną służą?

– Oczywiście, pani. Chodzi mi o to, że nigdy wcześniej nie zwróciłaś się do mnie po imieniu.

– Nigdy dotąd nie miałam powodu. Nigdy dotąd mi nie zaimponowałeś.

– Wpatrywała się w niego ze szczerością. Jej oczy błyszczały inteligencją oraz chłodną groźbą.

Nox uśmiechnął się blado, w czym pomogły mu ból i osłabienie.

– Mam nadzieję, że to nie po raz ostatni.

Lenora zaśmiała się i klepnęła go w ramię, aż się zatoczył i wpadł na stos koszy z rybami. Przypadła do niego i pomogła mu utrzymać równowagę.

– Jestem pewna, że to nie po raz ostatni – powiedziała. – Gdy nadejdzie odpowiedni czas, pożeglujemy do Noreeli, a wtedy spodziewam się ujrzyć ciebie na czele swego oddziału.

Jest tam mnóstwo krwi do rozlania. Mnóstwo noreelańskich kobiet żyje po to, by paść od twego miecza. Oczekiwanie na zemstę jest chłodne, ale jej spełnienie gorące niczym sama krew.

Nox zmusił się do uśmiechu.

Być może wtedy będę już mieszkał w Noreeli, pomyślał.

To dopiero byłaby ironia losu.

– A kiedy to nastąpi?

Zwykle podobne pytania wywoływały oburzenie u przełożonych, lecz wyglądało na to, że Nox zyskał nieco szacunku u Lenory. Co więcej, świadomość, że jeszcze przed zapadnięciem zmroku mógłby uciec z wyspy i pożeglować w nieznaną, ku wolności, dodała mu odwagi.

Lenora uniosła brwi.

– Aż się palisz, co nie?

– Oczywiście – odparł. Niespodziewanie zdjął go strach, iż powiedział zbyt dużo.

– Dobrze. To bardzo dobrze, Krotaninie. Gdy tylko magowie nas wezwą, musimy być gotowi na wszystko, by zasłużyć na ich szacunek.

Odwróciła się, chcąc odejść, a Nox pomimo osłabienia poczuł, jak zalewa go gorąca ulga. Wtedy Lenora przystanąła i spojrzała na niego.

– Magia – powiedziała. – Tego właśnie oczekują, ponownego pojawienia się magii.

Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, będą jej potrzebować. Czy nie ma w tym sensu? Czy to nie słuszne, że ci, którzy kiedyś korzystali z pełnej mocy magii, powinni ją odzyskać?

– Oczywiście – rzekł Nox. – Z pewnością.

Lenora rozejrzała się po tętniącym życiem porcie, a potem pochyliła się ku Noksovi i zaczęła szeptać. Kiedy poczuł jej oddech – zimny i stęchły, niczym bąbel powietrza uwięziony dotychczas w lodowcu – nie zdołał się opanować i musiał zrobić krok w tył.

– Oni wciąż ją mają – szeptała. – Nie tę prawdziwą magię, ale sposoby. Metody.

Wiedzę. Wiedzą więcej, niż nam się wydaje. Cóż, przypuszczalnie wiedzą nawet to, że stoimy tu razem. Mogą nas zobaczyć. Mogą nas wyczuć. A gdy mówię, że magowie są naszymi bogami, a każdy bóg, którego zdradzisz, odpłaci ci wiecznym cierpieniem, słyszą me słowa. Słyszysz mnie, Pani? Słyszysz mnie, Panie?

Lenora wpatrywała się teraz w oczy Noksa, jakby chciała dotrzeć głęboko pod swoje odbicie.

– Och, tak – szepnęła. – Słyszają.

Odwróciła się i odeszła.

Nox patrzył, jak maszeruje. Osłabiony z upływu krwi i chory z przerażenia czekał, dopóki nie znikła za zabudowaniami portu. Dopiero wtedy podjął wędrówkę na barkę lazaretową. Miał jeszcze prawie pół mili do przejścia i stawiając krok za krokiem, ani na chwilę nie przestawał myśleć o obserwujących go magach.

Nox zakochał się w wieku dwudziestu ośmiu lat.

Była Krotanką, wojowniczką z oddziału stacjonującego w odległej wsi na wybrzeżu.

Gdy odwiedzili Nową Ziemię, by wziąć udział w wojskowych ćwiczeniach prowadzonych przez samych magów, Lucie od razu wpadła mu w oko. Kilka godzin po tym, jak się poznali, wychędożył ją za

magazynem w porcie, a kolejne kilka godzin później uświadomił sobie, że było w tym coś więcej. Lucie najwidoczniej nie zdawała sobie z tego sprawy, ale uwaga, jaką jej poświęcał, nie wynikała z czysto fizycznych względów, a komentarze wygłaszane na jej temat przez najbliższych kilka dni nie były zwykłymi sprośnymi żarcikami. Miały o wiele głębsze znaczenie. Walczyli przez całe dni i rżnęli się przez całe noce, lecz gdy wracali do koszar – zakrwawieni i wycieńczeni, choć jak zwykle przeświadczeni, że są jeszcze w stanie walczyć dla magów – Nox nie mógł się oderwać od Lucie. Uśmiechała się do niego pożądlawie, a on odpowiadał tym samym, nie mówiąc ani słowa, nie mogąc się wprost odezwać. Jej obecność, jej ciepło i zapach sprawiały mu fizyczny ból. Mówiła o dniu spędzonym na masakrowaniu niewolników uzbrojonych w lodowe miecze, on zaś nie przestawał jej wychwalać. Lucie nie słyszała tych słów, a jeśli tak się działo, dusiła ich przesłanie seksualną pożądlawością.

Nox nie mógł jej powiedzieć, co do niej czuje. Miłość pociągała za sobą słabość i sprawiała, że ci, którzy jej ulegli, w konsekwencji tracili zdrowy rozsądek. Zakochanie się nie było karane, ale tych, którzy wyznali miłość innym, wysyłano na co najmniej rok w północne góry. Jeśli wracali, nieodmiennie udawało im się też odnaleźć drogę do normalności. Jeśli nie wracali, ich uczucia zamarzały na wieczność wraz z ich słabymi ciałami.

Pewnej nocy, gdy spali wyczerpani miłością, Nox ułożył głowę obok głowy Lucie i wyszeptał jej do ucha: – Życie może wyglądać inaczej. Możemy uciec. Wyniesiemy się stąd razem, ja i ty.

Musi istnieć jakieś miejsce, w którym będę mógł wyznać ci prawdę.

Poruszyła się i warknęła coś przez sen. Nox opadł na plecy i spróbował zasnąć.

Tymczasem pod nim, głęboko pod skórą chroniącą przed zimnem lodowatej ziemi, brnął na północ robak wielkości ludzkiego kciuka. Nic nie zrozumiał, nie był jednak stworzony do tego, by wiedzieć, ale do tego, by przekazywać magom wszystko, co zasłyszał.

Usłyszał zaś ton głosu, do wyszukiwania którego został stworzony. Wykrył intencje, za którymi miał węszyć. Słyszał je w głosie tego człowieka, w jego słowach, oddechu, pocie i chrapaniu.

Powrót do twierdzy magów zabrała mu około roku. Nie miało to

większego znaczenia, rok to przecież prawie nic. Gdy przekazał wiadomość, otrzymał nagrodę – Anielica rozerwała go zębami na pół i wyssała zeń soki.

Luksusów na barce lazaretowej trzeba by szukać ze świecą. Był to spory kabotażowiec, z którego zdjęto nadbudówki i zastąpiono drewnianym szkieletem pokrytym zwierzęcymi skórąmi. Powstały w ten sposób lazaret miał jedno okno pozbawione szyb, kilkoro drzwi oraz parę kominów, z których leniwie unosił się dym prosto ku spokojnemu, popołudniowemu niebu. Wnętrze również nie obfitowało w wygody. Ci, którzy tu trafiali, opuszczali to miejsce bardzo szybko – jeśli nie wychodzili o własnych siłach, wywlekano ich na drugi koniec falochronu i ciskano do wody ku uciezce morskich padlinożerców. O długim pobycie w lazarecie nie było mowy – chorzy albo szybko dochodzili do siebie, by znów walczyć, albo okazywali się do niczego nieprzydatni. Miecz stosowano tu wobec pacjentów równie często jak lekarstwa.

Nox wszedł na barkę. Zatrzymał się na chwilę, zerknął na krwawiącą rękę i poczuł, jak pokład pod jego stopami unosi się odrobinę. Oto znalazł się o krok bliżej wolności.

Kilku medyków spojrzęło na niego, gdy wszedł do środka, ale żaden nie powstał, by mu pomóc. Szedł przecież o własnych siłach, jego rana nie wyglądała poważnie, a duma wojownika znaczyła dla niego wiele. Znalazł sobie jakąś koję – tylko kilka było zajętych – i usiadł ciężko. Zamknął oczy, niepewny, czy kolejny atak słabości wywołało kołysanie łodzi, czy raczej utrata krwi.

– Zaciąłeś się przy goleniu? – zapytała kobieta w stroju medyka.

Nox zerknął na nią i uśmiechnął się.

– Pożarłem się z lisolwem.

Uniosła brwi, najwyraźniej była pod wrażeniem. Chwyciła jego rękę.

– Kiedy?

– Tego poranka.

– Krwawienie powinno już ustać. Jesteś blady. Będę musiała wypłukać jad z rany. – Spojrzała mu w oczy. – Zaboli.

– Nie spodziewałem się tu wywczasów.

Gdy felczerka poszła po sprzęty, Nox zerknął na pozostałych pacjentów.

Większość siedziała na pryczach lub leżała z głowami wspartymi na poduszkach, przytomni i czujni, gotowi opuścić lazaret, gdy tylko będzie to możliwe. Kilku leżało na brzuchach i pojękiwało cicho w malignie. Jeden w międzyczasie wyzionął ducha. Pod jego pryczą zebrała się kałuża krwi, a Nox dostrzegł połysk wyszczerbionego miecza leżącego w zasięgu jego ręki. Kolejna darmowa uczta dla morskich potworów.

Gdy felczerka wróciła, Nox poczuł nagłe ukłucie lęku i zwątpienia. Zaczął się zastanawiać, czy jego plan miał jakiegokolwiek szanse powodzenia, czy może po prostu mróz przywiódł go do szaleństwa.

– Połóż się – przykazała kobieta.

Nox ani drgnął.

– Jesteś pewna, że to konieczne? Uśmiechnęła się, lecz nie było w tym wesołości.

– Boisz się, Krotaninie?

Nox pokręcił głową, położył się i wyciągnął rękę. Felczerka miała rację. Bolało.

Późno w nocy, gdy wokół panowała już cisza, Nox bronił się przed snem. Felczerka podała mu jakiś wywar, który miał mu pomóc zasnąć i odzyskać siły, ale przetrzymał go pod językiem i wypluł, gdy odeszła. Kilka kropel przeniknęło jednakże do jego organizmu i czuł narastającą senność. Co kilka minut napinał opatrzoną już rękę, by bólem odpędzić sen.

Rany zostały oczyszczone i krwawienie ustało, ale cierpienie zaznał przy tym o wiele więcej, niż gdy się okaleczał.

W lazarecie nigdy nie panowała całkowita cisza. Teraz niektórzy z pacjentów pochrapywali, a jeden jęczał przez sen, dręczony koszmarami. Nox postanowił to wykorzystać. Usiadł, mając nadzieję, że głośnie pochrapywanie zagłuszy skrzypienie pryczy i szelest koców. Gdy ktoś krzyknął przez sen, zerwał się prędko z łóżka. Kobieta dręczona koszmarami wymamrotała serię przekleństw pod adresem tego, co ją męczyło, a w międzyczasie Nox przypadł do okna i odsunął wiszącą w nim płachtę. Choć port był o wiele spokojniejszy niż za dnia, tu i ówdzie wciąż dało się dostrzec ruch. W kilku miejscach na falochronie płonęły pochodnie, wśród których przemykały jakieś cienie. Nox zdawał sobie sprawę, że podczas ucieczki może się natknąć na ludzi, ale jego plan miał

szanse powodzenia właśnie dzięki zuchwałości. Tak przynajmniej zakładał. Jeśli się mylił, o świcie będzie trupem unoszącym się wśród lodowatych fal, karmą dla padlinożerców żyjących w ciemnych odmętach.

– Nigdy nie widziałam magów! – krzyknęła kobieta i Nox zamarł. Księżyc rzucał cień na barkę i każdy, kto otworzyłby teraz oczy, ujrzałby męską postać na tle gwiazd, ale niczego by nie usłyszał.

Nox uniósł się powoli, prześlizgnął nad podokiennikiem i wyszedł na zewnątrz.

Między ścianą a burtą miał dość miejsca, by obejść lazaret dookoła, ale wystarczył źle obliczony krok i wpadłby do wody. To by zaś oznaczało jego koniec – w nocy polowały lisolwy. Cóż to byłby za paradoks, gdyby po tym wszystkim padł ofiarą lisolwa.

Powoli dotarł na koniec barki i przedostał się na falochron. Przy jego końcu zacumowano kilka starych łodzi rybackich. Znajdowały się tam od lat i to właśnie widok ich zapuszczonych kadłubów oraz porwanych na strzepy żagli podsunął Noksovi pomysł ucieczki. Planował wypłynąć na jednej z nich z Nowej Ziemi oraz Dana'Man, nie próbując się nawet chować. Gdyby ktokolwiek spojrział w jego stronę, ujrzałby w blasku księżycy samotną łódź żaglową, pewnie zmierzającą na pełne morze, i założyłby, że nie dzieje się nic złego. Istniała jednak możliwość, że wzbudziłoby to czyjeś podejrzenia, a wtedy odpływałby na skradzionej łodzi pod gradem strzał i bełtów.

Im dłużej analizował swój plan, tym bardziej docierało do niego, na jakie szaleństwo się porywał. Wnioski te jednakże na swój sposób stanowiły pociechę, gdyż tylko i wyłącznie szaleństwo zapewniało szansę na sukces. Nikt nigdy nie słyszał o Krotanach uciekających z wyspy magów. Nikt nigdy nie słyszał, by ktoś w ogóle próbował tej sztuki. Powód był prozaiczny – ucieczka oznaczała samobójstwo. Nawet gdyby ktoś się na to zdecydował, musiałby żeglować dobre tysiąc mil na południe w kierunku Noreeli, nim wyostałby się poza zasięg magów.

Stojąc na końcu falochronu, Nox spoglądał na ciemne morze, które przez najbliższe kilka tygodni miało być jego domem. Zamierzał łowić ryby i łapać deszczówkę, by nie umrzeć z głodu lub pragnienia, ale musiał przebyć tysiąc mil...

Nie, pomyślał. Uda się. Mój plan jest prosty, idiotyczny i niewykonalny, a zatem musi się udać.

Zszedł po zardzewiałej drabinie na pokład jednej z łodzi, odwiązał cumy, chwycił wiosło i odpłynął nieco od brzegu, a potem postawił żagiel, chwycił za rumpel i uśmiechnął się, gdy podmuch wiatru pchnął jego łódź ku wolności.

Ten podmuch to oddech przeznaczenia, pomyślał Nox.

Miał rację. Przeznaczenie chuchało na jego kark.

Gdy Nox miał trzydzieści pięć lat, wziął udział w najeździe na północne osiedle.

Krotanie znali owych lodowych ludzi, koczowników, którzy włóczyli się po śnieżnych pustkowiach, jedli upolowane ptaki i toczyli nędzny żywot polegający na walce z nieprzyjawnymi żywiołami. Byli dzikimi, prymitywnymi ludźmi, którzy nie wykształcili żadnej kultury. Posiadali tylko jeden talent – szybkość. Być może zawdzięczali ją nogom, cienkim i długim, ale też silnym, przystosowanym do brnięcia w śniegu. Być może otrzymali ją w darze, by móc uciekać przed wieloma drapieżnikami. W każdym razie dzięki szybkości stanowili idealny cel ćwiczebny dla krotkańskich kuszników.

Walka była krwawa. Powierzchnię lodowca poznały liczne ślady krwi rannych i umierających, najczerwieńszej krwi, jaką Nox kiedykolwiek widział. Kilku dzikusów uszło z życiem, co zapewniło Krotanom kilka godzin przyjemnego polowania. Nox i jego towarzysze ścigali lodowych ludzi przez śniegi, stosując wyrafinowane sztuczki traperskie, których nauczyli się podczas jakże licznych wcześniejszych polowań. Koczownicy dobrze znali swoje terytorium, byli mistrzami w wynajdywaniu kryjówek, a dzięki bladej cerze idealnie zlewali się z otoczeniem. Mimo to nie mieli się co równać z Krotanami, dla których byli jedynie zwierzyną łowną.

Nox ścigał kobietę i w końcu powalił ją strzałem z kuszy w kolano. Zdyszany stanął nad nią i patrzył, jak krew wsiąkająca w śnieg przybiera barwę głębokiej purpury. Dzikuska odpowiedziała mu spojrzeniem. Obłoczki pary ulatujące raz za razem z jej ust kondensowały się w powietrzu i unosiły niczym zamrożone wrzaski. Odezwała się, lecz nie rozumiał jej języka. Postanowił rozciąć jej brzuch, by wnętrzości

wypłynęły na wierzch. Był to powolny, niezwykle okrutny sposób zabijania ofiary, ale dopadnięcie jej kosztowało Noksa mnóstwo wysiłku i był teraz zmęczony i obolały.

Gdy pochylił się nad nią, niespodziewanie przyszło mu do głowy, że popełnia wielki błąd.

Spojrzał na kobietę i ze zdumieniem dostrzegł zmianę. Nie była już przerażona, a wściekła, nie bała się go, a kipiała furją. Zaskoczony i wystraszony, pochwycił za miecz i wbił ostrze w jej pierś. Dyszała, wyprężała plecy, a on napierał, obracając miecz w dłoni.

Czuł, jak pod naporem pękają jej żebra.

Kobieta zasyczała, z kącika jej ust pociekła krew. Nie znał jej języka, lecz znaczenie słów było jasne. Widział nienawiść w tych oczach.

Wyszarpnął miecz i przyklęknął, by odrąbać kobiecie głowę. Potem wstał i odszedł.

Umarła. Powstała jako duch zimniejszy od świata, w którym przyszło jej żyć, a następnie, korzystając z talentu, którego sekretu Krotanie nigdy nie poznali, wejrzała w umysł zabójcy i zobaczyła jego największy, najpilniej strzeżony sekret.

I wiedziała, że zemsta będzie należeć do niej.

Pozostawiając skrwawione zwłoki daleko za sobą, popłynęła na wschód z wieścią dla magów.

Pozwolili mu myśleć, że zdołał zbiec.

Nox siedział przy rumplu całą noc, świadom każdego cala, który zwiększał jego odległość od brzegów Dana'Man. Zostawiał za sobą całe dotychczasowe życie, ale nie czuł żalu. Nie miał wrażenia straty, nie ogarniał go smutek, nie tęsknił za tym sobą, który do tej pory żył na wyspie. Daleko pośród ciemności, niczym słońce szykujące się do wschodu, majaczyła obietnica czegoś nowego. Nox niósł ze sobą ciężar wszystkich przeszłych zbrodni, lecz opromieniała je teraz nadzieja. Miał wrażenie, że każda pokonana fala wygładza jednocześnie wyrządzone zło.

W chwili, gdy zza horyzontu wyjrzało słońce, usłyszał przenikliwy wrzask z nieba.

Coś szybko opadało ku niemu. Jeszcze nim zdążył odwrócić głowę, z góry dobiegł głos, który zmiażdżył wszystkie jego nadzieje i marzenia.

– Wybierasz się gdzieś?! – zakrzyknęła Lenora.

Przez chwilę myślał nawet, by porwać za miecz, lecz jakże walczyć z latającym przeciwnikiem? Sokół był ogromny – gdy nurkował, jego macki łopotały, a paskudnie zakrzywiony dziób odbijał pierwsze promienie słońca. Nox był pewien, że zostanie zmiażdżony.

Tymczasem stworzenie wyrównało lot i przemknęło tuż nad jego głową. Podmuch obalił go na dno łodzi i wprawił żagle w łopot. Sokół cuchnął tak niewyobrażalnie, że Nox zamarł na czworakach, próbując powstrzymać wymioty. Gdy w końcu uniósł głowę i ujrzał, kto jeszcze dosiada bestii, opuściły go resztki nadziei. Była to Anielica.

– Pani Anielica potrzebuje twojej pomocy! – zawołała Lenora.

Nox nie potrafił wykonać żadnego ruchu. Stał z opuszczonymi rękoma, nie mogąc oderwać wzroku od magini. Choć utraciła magię jakieś sto lat temu, nadal emanowała złowieszczym mrokiem, który zdawał się sączyć wszystkimi porami jej ciała. I mimo że była piękna, patrzenie na nią stanowiło przerażające doświadczenie. Z beznamiętnym wyrazem twarzy obserwowała z góry Noksa, jakby opuściły ją wszelkie emocje. Z całego serca pragnął, by się odezwała, gdyż nigdy dotąd nie zetknął się z niczym bardziej przerażającym od jej milczenia.

– Pomożesz? – zapytała Lenora.

– Igracie ze mną – odparł Nox. – Zabijcie mnie i niech już będzie po wszystkim.

– Zabić ciebie? – zdziwiła się wojowniczką. – Skądże znowu, Nox. To dopiero byłaby strata.

Sięgnął szybko po miecz. Zawsze mógł przeciągnąć sobie ostrzem po krtani i pożegnać magini wybuchem szyderczego śmiechu, aż udławiłby się własną krwią. Jakieś sto lat temu może i byłaby w stanie torturować jego duszę, ale teraz, w świecie pozbawionym magii, umierało się raz a dobrze.

Żegnajcie, przeszło mu przez myśl.

Bełt z kuszy przebił jego dłoń. Upuścił miecz, który niemal bezgłośnie wpadł w fale.

– Nie – rzekła Anielica. Jej głos przypominał grzmot dochodzący z głębin oceanu.

Lenora gwizdnęła i sokół zniżył lot. Pędził teraz ku Noksowi z

wyciągniętymi szponami i nagle wyszarpnął go z łodzi. Pazury przeszyły mu udo i ramię. Nox wrzasnął z bólu, lecz magini odpowiedziała jedynie upiornym śmiechem.

– Pani Anielica domaga się twojej pomocy! – powtórzyła Lenora. Sokół wznosił się szybko i Nox ujrzał, jak krople krwi spadają na pokład porzuconej łodzi. Przynajmniej jakaś jego drobna część odnalazła drogę ku wolności.

Sokół wzniósł się bardzo wysoko i leciał bardzo szybko. Niebawem dotarli do Nowej Ziemi, co tylko umniejszyło desperacki wysiłek, jaki Nox podjął, by zbiec z wyspy.

Zwisał w szponach bestii, usiłując powstrzymać krzyk. Jakoś znosił ból, chociaż wiedział, że najgorsze dopiero go czeka. Wpajano mu, że ból jest czymś, co rodzi się w umyśle, przez co można go kontrolować tak samo jak wyobraźnię. Niemniej przebijające ciało i zgrzytające o kości pazury były czymś realnym. Każdy najmniejszy ruch wywoływał kolejną falę bólu i wrywał jęk z ust Noksa. Za każdym razem, gdy dawał upust cierpieniu, siedząca nad nim, niewidoczna teraz Lenora wybuchała śmiechem.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział, co bynajmniej go nie zdziwiło. Magini nie zniżyłaby się do rozmowy z wojownikiem, jeśli nie miała ku temu ochoty. Ponadto przeczuwał, że gdy w końcu otworzy usta, bez wątpienia uczyni to tylko po to, by opowiedzieć mu o straszliwym losie, jaki go czeka.

Z tej wysokości Nox ujrzał, że Nowa Ziemia jest wyludniona. W zwykłe pełnym życia porcie poruszały się tylko podskakujące na falach łodzi oraz padlinożerne ptaki, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był łopot skrzydeł.

Dokąd wszyscy się udali?, zadał sobie w myślach pytanie. I dlaczego?

Nagle, zupełnie jakby przekroczenie brzegu morza stanowiło umówiony wcześniej sygnał, jedna z ogromnych macek sokoła owinęła się wokół jego pasa. Szpony rozwarły się i wysunęły z ran, wywołując kolejny atak wściekłego bólu. Nox targnął się w desperackiej próbie ucieczki, ale macka trzymała go mocno. Uniosła go w górę i posadziła w siodle, a gdy już puściła, nie mógł się poruszać. Przed nim siedziała bowiem Lenora, która trzymała wodze i kierowała potwora w głąb lądu, zaś na karku czuł gorący oddech Anielicy. Miał wrażenie, że magini jest ogromną dziurą, która może

go wchłonąć.

– Od lat wiedziałam, że uciekniesz – szepnęła Anielica. Jej głos był okrucieństwem lodu wbijającym się w czaszkę. – Wraz z moim bratem obserwowaliśmy cię i czekaliśmy. Już dawno podjęliśmy decyzję, że uczynimy cię przykładem.

– Dlaczego? – zapytał Nox. Musiał krzyczeć, gdyż zagłuszał go pęd powietrza.

Tymczasem Anielica nawet nie podnosiła głosu, a mimo to był on twardy i doskonale słyszalny.

– Ponieważ on sobie tego życzył. – Oparła dłonie na poranionych ramionach Noksa i zacisnęła je delikatnie. – Nie masz przyjaciół, Nox. Zdradzili cię. Nie masz po swojej stronie kompanów czy kochanek. Nie masz nikogo. Jesteś wyjątkowy. Innych, którzy próbują ucieczki, po prostu zabijamy. Sieczemy na kawałki. Zjadamy. Czas jednak biegnie naprzód, wszystko się zmienia. Chcę, by wszyscy widzieli, co się z tobą stanie.

Nox przyłożył dłonie do siodła i pchnął z całej siły. Chciał się odbić i wyskoczyć, by potem przez każdą sekundę upadku smakować ostatnie chwile wolności, lecz dłoń Anielicy przytrzymała go, a w jego uchu znów rozległ się szept: – Nie.

Lenora zagwizdała i sokół ruszył ku ziemi.

– Nie jesteśmy wojownikami! – wrzasnął do niej Nox. Nawet teraz nie ośmieliliby się odezwać do magini. – Jesteśmy niewolnikami! Nie jesteśmy lepsi od tego gówna, którym nas karmią, nic lepsi od niewolników, których łapiemy i zabijamy! Lenora! Czego chcesz w ten sposób dowieść?!

Lenora nie odpowiedziała, uczyniła to Anielica: – Masz rację. Władzę nad koczownikami dają nam eliksiry, a nad wami, Krotanami, obietnice i strach. Wszyscy jesteście dla nas niewolnikami.

Lenora wybuchła śmiechem, aż zadrżały jej ramiona. Nox spojrział w kierunku ziemi. Schodzili ostro w dół i widział teraz długie kolumny ludzi maszerujących w śniegu. Były ich tysiące, wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy Nowej Ziemi wyruszyli w góry. Kilka powiewających na wietrze krotkańskich proporców rzucało roztańczone cienie na śnieg.

Nox zaczął się zastanawiać, gdzie jest jego oddział i czy któremuś z jego towarzyszy będzie go żal.

Niespodziewanie uzmysłowił sobie, że jego strach przekształca się w coś innego. Nie była to nadzieja ani nic równie niesprecyzowanego i trudnego do ogarnięcia, ale jakaś forma spokoju. Zdał sobie sprawę, że Anielica właściwie mu pomaga. Nie miał pojęcia, jaka śmierć go czeka, ale gdy to w końcu nastąpi, będzie raz na zawsze wolny.

– I tak w końcu ucieknę – rzekł. Anielica cofnęła dłoń.

– Jestem pewna, że masz rację – odparła. Nox wiedział, że się uśmiecha.
– Nawet ja nie widzę wieczności.

Wylądowali na lodowcu. Słońce roztaczało wokół poranny blask, śnieg nie zacinał, a powietrze było zimne, lecz krystaliczne czyste. Wokół oczekiwały ich całe tysiące Krotan i niewolników stłoczonych wokół pospiesznie rozpalonych ognisk. Niektórzy piekli ryby, inni pili, wielu już popadało w niemalże świąteczny nastrój.

W zasadzie dlaczego nie?, pomyślał Nox. Przyszli tu, by zobaczyć egzekucję. Czyż jest coś, co kochają bardziej od zabijania?

Lenora zeskoczyła z grzbietu sokoła. Tłum naraz ucichł. Tysiące oczu śledziło panią porucznik, która spojrzała na Noksa i gestem kazała mu zejść.

– Chyba nie chcesz, bym tam po ciebie weszła? – zapytała cicho.

Nox w myślach dokonał przeglądu broni. Stracił miecz, ale nadal miał strzałki, lekką kuszę u pasa i po jednej maczudze przytroczonej do każdej nogi. Na pewno zdołałby wyciągnąć którąś z nich, nim Lenora wspięłaby się po niego, lecz przecież z tyłu nadal siedziała Anielica. Zresztą nawet gdyby magini nic nie uczyniła, by go powstrzymać – a miał wrażenie, że spodobałoby się jej starcie między nim a Lenorą – sama porucznik kilkakrotnie przewyższała go siłą i umiejętnościami.

Lecz przynajmniej zginąłby z honorem.

Zsunął się na bok, prawą ręką wymacując strzałkę, a lewą wyciągając, by przetoczyć się zręcznie po ubitym śniegu. Dostrzegł, jak Lenora napina mięśnie, ale jednocześnie rozciąga szeroko usta, a potem poczuł, jak jakaś dłoń zaciska się wokół jego kostki.

Anielica trzymała go wysoko, stojąc na grzbiecie sokoła. Mimo to uniósł dłoń dzierżącą strzałkę.

Usłyszał znajomy świst i cięciwa kuszy złamała mu trzy palce. Tłum

ekspłodował entuzjazmem, sprawiając, że Lenora uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Nox wrzasnął, a zaraz potem ogarnął go wstyd, że tak otwarcie daje upust bólowi.

– Oto i on! – oznajmiła Anielica. – Uciekinier! Nie umknął daleko! Do Noreeli płynie się tamtędy, Krotaninie!

Nadal trzymając go za kostkę, machnęła nim w stronę południa. Krew z połamanych palców nakreśliła linię na lodzie.

– Wszyscy jesteśmy niewolnikami! – wrzasnął Nox, lecz tłum wciąż wiwatował.

W jaki sposób odnalazłem w sobie nadzieję?, zapytał sam siebie w myślach.

– Mój brat i ja również byliśmy niewolnikami – odezwała się Anielica i tłum niespodziewanie ucichł. Rzuciła Noksa na lód i zeskoczyła w ślad za nim, stopami unieruchamiając mu głowę. Nox doskonale widział jej plamistą skórę, czuł jej wiek i moc, którą wciąż władała. – Byliśmy niewolnikami magii, która nam umknęła. Byliśmy niewolnikami tego miejsca, niewolnikami naszego wygnania! Niewolnikami zemsty!

– Zabić go! – ktoś krzyknął. Poparli go inni, znów wybuchł gwar. Nox spojrział w tłum, usiłując znaleźć znajomą twarz, lecz wszyscy wydali mu się obcy. Porzucił ich zaledwie wczoraj, a już do nich nie należał. Nie był tym samym człowiekiem.

– Bądźcie błogosławieni! – rzekła Anielica, jakby zwracała się do tysiąca dzieci. – Jedynym, co poznaliście, jest śmierć!

Nachyliła się i przygarnęła Noksa do piersi, unosząc go równie łatwo jak małe dziecko.

Nox skupił na niej wzrok. Czyżby rosła? A może to on się kurczył? I dlaczego nie mógł nawet drgnąć? Powinien walczyć, lecz każdy sygnał, jaki przesyłał mięśniom, przeradzał się w kolejny żaloszny jęk.

Niech to się wreszcie skończy, pomyślał. Zabij mnie, po prostu mnie zabij!

Magini zerknęła na niego i uśmiechnęła się, zupełnie jakby znała jego myśli.

– Lenora! – wykrzyknęła Anielica. – Czyń swą powinność!

Nox niczego nie zobaczył, a tylko usłyszał. Sokół, który na lądzie utracił

całą swą gracją, poruszył się. Łupnął wielkimi łapami o lód, raz, drugi, trzeci. Buchnęło gorąco. Tłum wydał jęk przerażenia, gdy wokół powstały kłęby pary, tworząc nienaturalną mgłę.

– Wszystko gotowe, pani.

– Wszystko gotowe – powtórzyła Anielica, spoglądając na Noksa. – Zdrajco – szepnęła, a potem znów uniosła głowę i spojrzała na wciąż gęstniejący tłum.

– Oto ostrzeżenie! – Jej głos poniósł się daleko po zboczu. – Każdego, kto spróbuje uciec ode mnie i od mego brata, spotka taki sam lub jeszcze gorszy los! Może i nie mamy już magii, ale wciąż mamy wiedzę. Mamy sposoby i środki. Mamy alchemię! Oto Nox! Patrzcie na niego, póki żyje! Patrzcie, jak otrzymuje życie wieczne!

Anielica upuściła uciekiniera na lód i stanęła nad nim w rozkroku. Długie włosy osłoniły jej twarz przed tłumem i wtedy po raz pierwszy Nox ujrzał pełnię jej szaleństwa.

Oczy lśniły jej czymś więcej niż tylko odbitym światłem słonecznym. Usta miała rozwarte w groteskowym, szyderczym uśmiechu, język unosił się i opadał.

– Proszę – rzekła, wciskając Noksowi w usta jakąś grudkę. – I jeszcze to.

Dźgnęła go nożem tuż nad sercem. Jęknął, próbując się poderwać, by ostrze weszło głębiej, ale Anielica w porę je wyrwała. Wsunęła palce pod ubranie więźnia i wcisnęła w ranę coś zimnego i twardego.

Potem usiadła i z rozmachem uderzyła go w twarz. Jego szczęka zatrzęsnęła się, rozgniatając grudkę. Po języku rozlała się ciecz o okropnym smaku.

– Umieścić go tam! – rzekła Anielica, wstając i robiąc krok w tył.

Powoli podeszła do niego Lenora. Tłum zaryczał z entuzjazmem, ale głosy zdawały się dobiegać z wielkiej odległości. Z początku ciche i ledwie słyszalne, stopniowo narastały, nieubłaganie zbliżając się do punktu kulminacyjnego. Nox spojrzał w górę i zobaczył płatki śniegu wiszące tuż nad jego głową, nieruchome, zastygłe w powietrzu.

Cóż to takiego?, zaczął się zastanawiać.

– Do zobaczenia – rzekła Anielica słowami, które rozbrzmiały na wieczność.

Pochowali go w zboczu lodowca.

Lenora stworzyła jamę w głębi lodu wielką na tyle, by Nox zdołał wstać. Lód, który na niego zwałono, został stopiony w wielkiej temperaturze wytworzonej przez alchemię.

Wydawało się, że ów proces trwał całe dni. Lenora poruszała się tak bardzo, bardzo powoli, a płatki śniegu nigdy nie spadły na ziemię.

Jego umysł. Tak, to jego umysł zwolnił bieg.

Wnętrze lodowca nie było cichym miejscem. Lodowiec powarkkiwał. Ryczał. Co kilka lat przesuwał się.

Gdy promienie słońca padały na niego w ostatnim dniu zimy każdego roku, prastary lód lśnił niczym niekończące się pola zieleni.

Przez pierwsze stulecie niewoli Nox przeżywał dawne sny.

Nie licząc pisywanych od czasu do czasu opowiadań i wierszy, David Sandner (ur. 1966) jest również mistrzem fantasy dziecięcej. Napisał także The Fantastic Sublime (1996), naukowe opracowanie na temat fantastyki dziewiętnastowiecznej. Sandner jest wykładowcą literatury na California State University w Fullerton i redaktorem Fantastic Literature: A Critical Reader. W poniższym opowiadaniu można się doszukać wpływów wielkiego pisarza fantasy epoki wiktoriańskiej, Georgie MacDonalda. Gdyby żył do dzisiaj i mieszkał w San Francisco, być może napisałby właśnie coś takiego.

David Sandner

CZARODZIEJ POPIOŁÓW I DESZCZU

Patrząc w dół wzgórza, Sara na swojej deskorolce wbiła się w mgłę napływającą z nad Pacyfiku i Zatoki Francisco. Deszcz, który spadł zeszłej nocy, wypłukał ze wszelkiego śmiecia i pozostawił opalizujące kałuże zaparkowanymi samochodami, jasne smugi na liściach i ławkach parkowych oraz wilgotny blask na torach tramwajowych pnących się na szczyt wzgórza. Promienie słońca sprawiły, że mgła połyskiwała bielą jasną jak o poranku i łagodną jak o zmierzchu. Ze słuchawek sączyła się cicha muzyka, która przenosiła Sarę do jej własnego świata. Gdy tak przemykała obok samochodów przez pasma czerwonych świateł, wydawało się, że cały świat stoi w miejscu. Pędziła przed siebie, wychylając się podczas ostrych skrętów z rękami rozrzuconymi na podobieństwo skrzydeł, a na jej twarzy i dłoniach zbierała się zimna mgła. Dziewczyna szukała Czarodzieja Popiołów i Deszczu cały ranek, lecz bez rezultatu. Szukała go od chwili, gdy jej siostra opowiedziała jej o śnie, który powracał do niej co noc od trzech lat.

Dziś wypadały kolejne urodziny Amandy, siostry Sary. Trzynaste.

– Znów miałaś ten sen? – zapytała Sara, stojąc u szczytu schodów w

domu matki.

Amanda przeglądała się w lustrze w korytarzu na piętrze.

Sara nie potrafiła już zwyczajnie rozmawiać z siostrą. Amanda nie odpowiadała na pytania, a jeśli się odzywała, nigdy nie było wiadomo, co właściwie ma na myśli.

– Hej, Amanda! Mówię do ciebie.

Amanda, ubrana w ulubioną kreację matki, błękitną wieczorową suknię z cekinami, chodziła na czubkach palców i obracała się wokół własnej osi, unosząc jej rąbki.

– Mama cię zabije, jak cię w tym zobaczy.

– Przecież mam urodziny – odparła.

Kołysała się z boku na bok, oglądając się w lustrze pod różnymi kątami.

– Wczoraj, moja droga siostró – powiedziała, naśladowując południowy akcent – podszedł do mnie najprzystojniejszy chłopak w szkole i zaprosił mnie na randkę! – Znów się obróciła, by obejrzeć suknię z tyłu. – Kyle postanowił zerwać ze swoją dziewczyną, gwiazdą Margie Stevens, tylko po to, by mnie gdzieś zaprosić! Wyobrażasz sobie?

– Amanda, daj spokój.

Amanda właśnie dostała się do gimnazjum. Sara wiedziała, że w jej życiu zaczął się zły okres, ale bała się tłumaczyć siostrze, że w liceum mogło być jeszcze gorzej.

– Powiedziałam mu: Kyle, póki co wolę być sama. Obawiam się, że jeszcze jakiś czas będziesz musiał chodzić z Margie Stevens.

– Nie znoszę, gdy się tak zachowujesz.

– Margie nie ma o niczym pojęcia, a jest przecież szkolną gwiazdą. Sama wiesz, najpopularniejszą dziewczyną w szkole! Gdyby się o wszystkim dowiedziała, kompletnie by się załamała. Czasami nawet mnie zaskakuje moja wspaniałomyślność.

– Amanda, miałaś znowu ten sen? Pytam poważnie.

Dziewczyna puściła rąbki sukni, które opadły wolno.

– Widziałam dziś siebie we śnie. Inną siebie.

– Co masz na myśli? – zapytała Sara.

– A potem obudziłam się i podeszłam do okna. Zobaczyłam, jak stoję na dole, macham i przywołuję siebie.

– Amanda, to jakieś żarty? Nie rób tego, proszę.

Kiepsko. To nie był sen, lecz halucynacja lub nawet gorzej. Przecież sprawy zawsze układały się coraz gorzej.

Amanda patrzyła na swoje odbicie, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Nie żartuję – odparła.

– Mama przysłała mnie na górę, żebym kazała ci się ubrać. Lada chwila na twoim przyjęciu zjawią się goście. Słuchaj. – Sara nagle podjęła decyzję. – Odnajdę tego Czarodzieja i wypytam go o te twoje sny, dobra? Miałam nadzieję go spotkać, odkąd się zaczęły, ale na razie jakoś mi się nie poszczęściło. A naprawdę powinnam z nim porozmawiać. Niedługo jestem z powrotem. Popytam go o te sny, w których widzisz siebie samą, dobra? A ty baw się na swoim przyjęciu. I nic nie mów mamie. I zdejmij tę kieckę. Niedługo wracam, obiecuję.

Sara zeszła na parter i chwyciła stojącą przy wejściu deskorolkę. Niespostrzeżenie wymknęła się na zewnątrz. Gdyby złapała ją matka, zrobiłoby się kupę wrzasku w temacie: „Przecież to urodziny twojej siostry, dlaczego nigdy niczego nie robisz dla najbliższych, dlaczego nie umiesz myśleć o nikim poza sobą samą”, i tak dalej. Tymczasem Sara właśnie robiła coś dla siostry. Z matką, tak nawiasem mówiąc, też już nie umiała rozmawiać.

Sara ostro zahamowała. Czarodziej Popiołów i Deszczu pchał ulicą wózek sklepowy.

W środku znajdowały się siatki pełne poplamionych olejem ubrań, aluminiowych puszek i plastikowych butelek. Gdzieś między te śmieci zdołał upchnąć oblepiony brudem śpiwór.

Popychał swój majdan, aż znalazł się na wysokości sklepu z pączkami na rogu. Nad jego głową ciemniały chmury, dzięki którym zyskał część przezwiska. Gdziekolwiek by się nie udał, deszcz szedł w ślad za nim. Wystarczyło, by zatrzymał się w jednym miejscu na zbyt długo, a już mżyło. Najłatwiej było go znaleźć w Golden Gate Park: włóczył się po arboretum i zajmował kwiatami, póki nie przegonili go ogrodnicy, przesiadywał na schodach przed muzeum, zaglądał do kubłów na śmieci lub drzemał na ławkach.

– Cześć, Czarodzieju – zawołała Sara, unosząc rękę. Nie odwrócił się.

Gdy ściągnęła słuchawki, dźwięki niekończącej się solówki gitarowej *The Daedel Wings of Madness* w wykonaniu Lorda Percy'ego ucichły i zamieniły się w uporczywe brzęczenie. Zawsze czuła się onieśmielona, gdy docierało do niej, że nikt inny nie słyszy tego, co stanowiło cały jej świat, co pulsowało w jej umyśle i wibrowało w ciele do rytmu kółek deskorolki zgrzytających na chodniku, co wypełniało jej niebo. Poczwała, jakby nagle otrząsnęła się ze snu i pytała siebie samą, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Dopiero potem doszła do wniosku, że nikt nie wie tego, co ona, że oni niczego nie rozumieją, a zatem musi zachowywać się normalnie, jakby przed chwilą nie przeżywała swego snu, jakby nie przebywała w świecie muzyki. Sara kiepsko udawała normalność. Czasami ją to irytowało.

Dwa tygodnie temu znalazła Czarodzieja, gdy siedział po turecku w kartonowym pudle przy starej szklarni w parku. Z niewielkiej miseczki stojącej przy postrzępionym, wysłużonym plecaku unosił się mdląco słodki zapach kadzidła. Czarodziej gestem nakazał jej uklęknąć i ochryłym głosem, zdartym od wielu lat popijania whisky, opowiedział jej o śnie, który od trzech nocy przytrafiał się jej siostrze. Sara nie uwierzyła mu wówczas, ale знаła Czarodzieja wystarczająco dobrze, by zapamiętać jego słowa. Poza tym bezbłędnie odgadł imię jej siostry i szczegółowo opisał ową rzecz, która pojawia się w jej śnie, łącznie z długim nosem przypominającym korkociąg, oczami znajdującymi się po przeciwnych stronach głowy oraz parą ust w miejscach oczu. Opisał też dokładnie sposób, w jaki owa istota drapała szybę, klepki podłogi i ścianę, domagając się wpuszczenia do środka. Czarodziej wszystko to doskonale wiedział.

Teraz stał przez sklepem z pączkami i patrzył w dół ulicy na coś, czego Sara nie mogła dostrzec. Stała na deskorolce i odepchnęła się nogą, chcąc podjechać bliżej, gdy zza rogu wyłoniło się trzech Oboys w czarnych kurtkach, brązowych szelkach i ciężkich czarnych buciorach. Jeden z nich popchnął Czarodzieja, a drugi szturchnął jego wózek, bez powodu wyszarpując wypchaną plastikową siatkę ze sterty śmieci. Czarodziej wyrwał krótką dębową laseczkę i uniósł ją w powietrze. Coś błysnęło.

Sara nie bała się o Czarodzieja. Oboys popełnili wielki błąd, ale sama nie

chciała mieć z nimi nic do czynienia. Odwróciła się i ujrzała dwóch innych chłopaków, którzy niespodziewanie znaleźli się za jej plecami. Cóż oni tam robili? Przecież zazwyczaj przesiadywali na plaży i rzadko zapuszczali się tak głęboko w miasto. A teraz aż pięciu w jednym miejscu?

– Hej, ty! – odezwał się jeden z Oboys. – Chodź no tu!

Sara uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że go rozpoznaje. Miał na imię James, chodziła z nim do siódmej klasy. Czy to możliwe, że minęły już trzy lata? Wtedy, w szkole, był jej przyjacielem, nie ulegało jednak wątpliwości, że zmienił się na gorsze. Włosy przefarbował na rudo i zafundował sobie aparat nazębny, nosił też standardowy mundur Oboys: czarną kurtkę, brązowe spodnie robocze i ciężkie buty. Co więcej, miał też typowe dla Oboys czerwone oczy, które mieniły się i połyskiwały. Sara zawsze się dziwiła, skąd biorą tak mocno świecące soczewki. Dawno temu, na jednym z przyjęć u Laury Willard, siedziała z Jamesem w szafie, gdzie grali w butelkę. Chichotali co niemiara, a James okazał się wyważonym, spokojnym chłopcem, który nie próbował wykorzystać sytuacji. Potem poszedł do innego liceum, a tam bez wątpienia musiało się wydarzyć coś paskudnego. Zresztą Sara miała wrażenie, że obecnie wszystko schodzi na psy.

Oboys biegli w jej kierunku. Podrzuciła i złapała deskorolkę. Nieopodal znajdował się bar sushi, antykwariat, żadne z tych miejsc nie zapewniało bezpieczeństwa. Pozostawały tylko Elfy. Sara nienawidziła Elfów – bandy dzieciaków z ulicy, które naczytały się zbyt wiele trylogii fantasy. Mieszkali w opuszczonym magazynie gdzieś po drugiej stronie ulicy. Trzeba było tylko odnaleźć właściwe drzwi, wskoczyć do środka, biec wąskim korytarzem, wzdłuż którego ciągnęły się drzwi prowadzące do siedzib przeróżnych firm, a potem w jakiś sposób dostać się do opuszczonego magazynu. Sara nigdy nie potrafiła zapamiętać drogi i określić, gdzie konkretnie znajduje się ów magazyn. W każdym razie gdzieś w połowie przecznicy, za pozostałymi budynkami.

Oboys nadbiegali szybciej, niż się tego spodziewała. Nacierali tyralierą, próbując ją osaczyć, nim zdąży się wymknąć. Zbliżali się i już wyciągali w jej kierunku ręce.

James wykrzykiwał jakieś obraźliwe epitety na temat Chińczyków. Nie

miała pojęcia, o co mu chodzi. Jej dziadkowie ze strony matki byli Koreańczykami, a ze strony ojca Irlandczykami. Nie pierwszy raz słyszała podobne inwektywy, ale mimo to doznała szoku, gdy padły z ust znanej jej osoby.

– James, chłopie, to ja, Sara! – krzyknęła, wpatrując się w jego płonące oczy, jak gdyby pytała: czy jest tam ktoś jeszcze? Ktoś w ogóle wart uwagi?

James zatrzymał się zaskoczony. Nosił pokaźny, jasny wąs, policzki miał poznaczone bliznami po trądziku, a przetłuszczone włosy opadały mu aż na ramiona. Choć w jego twarzy wciąż dało się dostrzec coś przyjemnego, wyglądał na skrzywdzonego i zaszczutego. Słyszając jej słowa, opuścił ręce, a wtedy Sara z całej siły rąbnęła jego kumpla deskorolką pod kolano.

Przysługa po starej znajomości – mogła przecież uderzyć w samo kolano. Oboj wrzasnął i złapał się za goleń, wpadł na parkometr, a potem poleciał prosto na chodnik. Wiedziała, że zostanie mu paskudny siniak. Zanurkowała między dwa zaparkowane samochody i wybiegła na ulicę.

Z księgarni wypadł jakiś dorosły, przyciągnięty wrzaskami.

To ich spowolni, pomyślała Sara, ale James rzucił się w pościg szybciej, niż zakładała.

Pozostali – ci, którzy wcześniej zaczepiali Czarodzieja – również pędzili w jej kierunku, wściekli i gotowi wylądować na niej swój gniew, bo sam Czarodziej jakby się zapadł pod ziemię. Sara wybiegła przed tramwaj, który zahamował ostro. Gdzieś za jej plecami zaryczał klakson. Już była na przeciwnym chodniku, przepchnęła się obok kobiety dźwigającej dwie wypchane torby zakupowe. Kobieta cisnęła za nią stekiem przekleństw.

Na zwykłych białych drzwiach widniał złuszczony napis: Elfy. Sara pchnęła drzwi i wskoczyła do ciemnego, długiego korytarza. Nigdy się nie zdarzyło, by któreś z drzwi prowadzących do Elfów zamykano na klucz. Najwyraźniej nikt nie zauważał napisu lub po prostu nie zwracano na te dzieciaki uwagi. Drzwi zatrzasnęły się za plecami Sary, a ona popędziła przed siebie. Nad jej głową ciągnęły się grube rury, pod nogami rozbryzgiwały kałuże. Potknęła się w ciemności, wylądowała na betonie, otarła dłonie do krwi, przemoczyła dzinsy na kolanach. Usłyszała, jak Oboys otwierają drzwi, a potem snop światła wyłuskał jej postać z mroku, rzucając na ścianę długi cień. Szybko poderwała się na nogi.

Wiedziała, że korytarz doprowadzi ją do wielkiego, otwartego podwórza w połowie przecznicy, otoczonego wysokimi murami i opromienionego spływającym z góry blaskiem słońca. Potem przebiegnie jeszcze kawałek, minie okna z roślinami i gołębiami skulonymi na gzymsach i malowidła pozostawione przez Elfy, przedstawiające ich „historię” – przybycie do magazynu, muzykantów i drzewa. Już widziała niewyraźnie sączące się w oddali światło.

Wtedy na końcu korytarza wyłoniła się jakaś postać.

– Kto idzie?

Serce podeszło jej do gardła. Trzymała się z dala od Elfów nie tylko dlatego, że byli czubkami, którzy rozmawiali ze sobą cytatami z poezji heroicznej lub dialogami z Monty Pythona, odgrywali całe sceny z *Gwiezdných Wojen* czy porównywali między sobą ręcznie wykonane kolczugi. Trzymała się od nich z daleka również dlatego, że się ich bała. Przełknęła z trudem ślinę.

– Cholera – wymamrotała. Nie znosiła tej części. – Jestem przyjacielem Elfów. – Nie był to najlepszy moment, żeby się nabijać z tej ich potrzeby udawania zmyślnego ludu.

– Orki? – zapytał głos.

– Oboys – potwierdziła.

Nieznajomy wyciągnął do niej rękę, chcąc jej pomóc. Opierała się z początku, ale potem uświadomiła sobie, że Elfów wokół niej jest więcej – najwidoczniej przez cały czas przebywały w korytarzu. Pozwoliła im się wyprowadzić na podwórze, gdzie posadziły ją na ławce przy drzwiach.

Aladuniel, Elf, który stanął jej na drodze, wydał reszcie serię rozkazów. Większość z jego kumpli biegiem ruszyła w głąb korytarza. Sara nie zrozumiała ani słowa z tego, co między sobą mówili – używali bowiem własnego języka, elfickiego. Nadawali sobie wzniosłe, przydługie imiona, które wymawiali, naśladując brytyjski akcent. Ubierali się niczym muzykanci z renesansowego jarmarku – w luźne koszule z obszernymi rękawami, skórzane bryczesy i wiązane buty do kolan. Ich ubrania były jednak stare, kiepsko pocerowane i poplamione, a oni sami wychudli jak większość dzieci z ulicy.

Za to u pasa nosili noże, a Sara widziała ich już w akcji. Bili się lepiej, niż

sądziła.

Tak naprawdę to o wiele lepiej, lecz nie chciała tego głośno przyznać. Jeśli Oboys została choć odrobina zdrowego rozsądku, powinni brać nogi za pas. Kłopot w tym, że Oboys znani byli z wielu rzeczy, ale nie z rozsądku.

Elfy na chwilę zostawiły Sarę samą, aż w końcu z korytarza wyłonił się Aladuniel i oddał jej czapkę z daszkiem, którą musiała zgubić, gdy się potknęła i upadła. Czapka była mokra. Sara zerknęła w dół – miała na sobie o kilka numerów za dużą wojskową kurtkę z podwiniętymi rękawami. Dżinsy rozdarły się na lewym kolanie, prawdopodobnie również wskutek upadku, czarne buty sportowe przemokły do suchej nitki. Sara chwyciła mocniej czapkę i wtedy dostrzegła, że drżą jej ręce. A więc prawie ją pobili? Chyba tak. Wykręciła czapkę i wsunęła ją do kieszeni.

– Dzięki, Al – mruknęła.

Długie blond włosy sięgały Aladunielowi aż do ramion. Nosił przewieszoną przez pierś czerwoną szarfę, a u pasa, tuż obok noża, róg do picia. Miał długi nos i zaczerwienione policzki pełne czarnych i białych pryszczycy. Był wysokim, chudym chłopakiem, który nawet stojąc w miejscu, wydawał się niezgrabny.

– Pani cię oczekuje – powiedział.

Chwycił ją za rękę i poprowadził obok malowideł do wnętrza magazynu, skąd ruszyli schodami na górę. Następnie przeszli przez przestronny otwarty teren, na którym składowano stare, zakurzone telewizory i komputery. Pod nogami wały im się kable i chrzęściło rozbite szkło. W końcu dotarli do schludnego pomieszczenia z jaskrawoczerwoną podłogą. Na ścianach Sara zobaczyła namalowane drzewa, które gałęziami sięgały psychodelicznego nieba. Oczekiwała ją tam Pani G, matriarchini Elfów.

Pani G była otyłą kobietą starszą od pozostałych Elfów. Jej rzadkie ciemne włosy tu i ówdzie przyprószyła już przedwczesna siwizna. Siedziała przed komputerem ustawionym na stole warsztatowym. Krzesło zaskrzypiało głośno, gdy odepchnęła się od stołu i zwróciła w kierunku gości. Wałeczki tłuszczu układały się na poręczach krzesła, zwisały jej pod ramionami i ogromnymi, szeroko rozstawionymi piersiami. Miała płaską twarz i płaski nos, obwisłe policzki i wielkie ciemne oczy, które wydawały

się patrzeć w dwie różne strony.

Emanowały od niej wielki spokój i wielka władza.

Aladuniel uklęknął obok Sary, nie puszczając jej dłoni.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem Elfów – odezwał się.

– Dzięki – odparła. Cóż innego mogła powiedzieć?

Chłopak przyłożył sobie dłoń do serca i uklonił się uroczyście, na co nie mogła zareagować inaczej niż tylko uśmiechem. Z kogo oni robili sobie jaja? A może naprawdę mieli głęboko gdzieś, co ludzie o nich sądzą? Sara stwierdziła, że przecież sama również starała się nie przejmować tym, co wygadywano na jej temat w szkole. Lecz ci tutaj – Elfy – oni nie chodzili do szkoły. Nie mieli też własnych domów. Różnie układało jej się z matką, ale przecież miała gdzie spać. Miała dom. Tymczasem domem tych dzieciaków był stary magazyn pełen przeciągów, ozdobiony łuszczącymi się malowidłami. Usiłowała sobie uzmysłwić to wszystko, by nie wybuchnąć śmiechem. Aladuniel wstał i ulotnił się po cichu.

– Właśnie odwiedził nas Czarodziej – powiedziała Pani G. – Chciał, bym ci przekazała, że wyjeżdża. Nie był pewien, czy jeszcze się z tobą spotka.

– Kiedy wraca?

– Przez jakiś czas będziemy musieli dawać sobie radę bez niego. Wraca do domu.

– A gdzie jest jego dom?

– Na dnie morza.

Sara gapiała się na rozmówczynię, niczego nie rozumiejąc.

– Co to ma znaczyć?

– Jest zmęczony i chce wrócić do domu.

Na ekranie komputera uruchomił się wygaszacz ekranu – wielkie oko bez powiek. Pani G pokręciła głową, co miało oznaczać: no dobra, zacznę od początku.

– W jaki sposób ma zamiar wrócić?

– Po prostu wejdzie do morza.

– Ma zamiar się utopić? Zginąć?

– No coś ty. W każdym razie nie całkiem.

Sara patrzyła na kobietę szeroko otwartymi oczami. Wyglądało na to, że po prostu nie jest w stanie znaleźć nikogo, z kim mogłaby odbyć zwykłą,

zrozumiała rozmowę. Nie udawało jej się to ani z siostrą, ani z Alem czy z Panią G, a Czarodzieja nawet nie potrafiła odnaleźć.

– Ale ja muszę koniecznie z nim porozmawiać! – Przyjrzała się swoim dłoniom, nie wiedząc, co z nimi zrobić. Zamyślona, trącała kółka deskorolki. Przy Pani G zawsze czuła się zbyt młoda.

– Może ja będę mogła ci pomóc. – Pani G wskazała inne krzesło, prosząc, by usiadła.

Dziewczyna nawet nie drgnęła.

– Moja siostra miewa pewien sen. Czarodziej go przewidział.

– Jaki sen?

– Widzi w nim potwora – odparła Sara, po czym zaczęła opisywać: wysoki, może nawet trzymetrowy, wychudły, cienki niczym patyk, nos w kształcie korkociągu długi na ćwierć metra, oczy po obu stronach głowy, usta w miejscu oczodołów i dźwięk drapania.

Pani G pokiwała głową.

– Widziała Stary Cień. A więc wrócił. – Machnęła dłonią w stronę monitora. – Ma w zwyczaju przyglądać się i czekać na swoją szansę.

– Co to jest ten Stary Cień?

– Zawsze trzeba być na niego przygotowanym, nawet mimo tego, że jesteśmy słabsi niż ostatnim razem, może nawet słabsi niż kiedykolwiek wcześniej. No i nie mamy po swojej stronie czarodzieja. Znamy opowieści z dawnych czasów, które upominają nas, byśmy byli gotowi i wypatrywali znaków. Szykuje się kolejna historia do opowiedzenia i wszyscy muszą odegrać swoje role.

To wszystko działo się zbyt szybko. Sara niczego nie rozumiała.

– Dlaczego to coś nawiedza moją siostrę? – zapytała, czując, jak serce znów podchodzi jej do gardła. Nie do końca wierzyła tej kobiecie, ale nie potrafiła tak po prostu odrzucić jej słów.

– Ona jest śniącą. Tą, która jest na tyle potężna, by otworzyć bramę między dwoma miejscami, między Tym Światem a Tamtym. Jej sny powołają go do życia, chyba że stawi opór. Musisz ją do mnie przyprowadzić. Wszystko jej wyjaśnimy i pomożemy.

– Tak – westchnęła Sara i ośmieliła się spojrzeć Pani G prosto w oczy. W sumie czemu jej nie zaufać?, zaczęła się zastanawiać. W końcu uwierzyłam

w Czarodzieja. – Tak, dobrze – powtórzyła z większym zdecydowaniem. – Przeprowadzę ją do ciebie.

Dopiero gdy wyszła na ulicę, przypomniała sobie, że zapomniała opowiedzieć o tym, jak Amanda patrzy we śnie przez okno i widzi na ulicy drugą siebie, usiłującą namówić ją do zejścia na dół. Co to oznaczało?

Gdy Sara weszła do domu, zobaczyła w korytarzu matkę rozmawiającą przez telefon.

Na widok córki kobieta uniosła dłoń, by ją zatrzymać. Przez kuchenne drzwi dolatywały śmiechy i krzyki – odgłosy urodzinowego przyjęcia Amandy odbywającego się w ogrodzie.

– Co masz właściwie na myśli, mówiąc, że nie chcesz już tam mieszkać? – Z ostro brzmiącego głosu mamy przebijały znużenie i niepokój. Zakryła dłonią słuchawkę. – Gdzie jest Amanda? – zapytała Sara. – Sądziłam, że jest z tobą.

– Nie ma jej tu?

– O co ci chodzi, mamó? – rzuciła znowu do słuchawki. – Co to ma znaczyć, że będziesz mieszkać w parku? O czym ty w ogóle mówisz? Przecież to śmieszne!

– Co się dzieje? – spytała Sara.

– Babcia Rebeka nie chce już mieszkać w domu, w którym od dwudziestu lat mieszkała z dziadkiem George'em. Twierdzi, że po jego śmierci przestała się w nim czuć jak we własnym. Posłuchaj, mamó, właśnie próbujesz doprowadzić do tego, żebym cię poprosiła o zamieszkanie razem z nami. Tak, dokładnie, o nic innego ci nie chodzi. Dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić. To emocjonalny szantaż! Mamó, ja po prostu nie mogę.

– Amandy nie ma? – zapytała Sara.

– Nie ma. Wydawało mi się, że cię prosiłam dziś rano, żebyś ją przygotowała. Halo?

Odłożyła słuchawkę.

– Znajdę je – rzuciła Sara, otwierając frontowe drzwi. – Znajdę je obie.

– Poczekaj! Dokąd ty się wybierasz? Nie daję sobie rady z tymi wszystkimi dziećmiakami! Musisz ich przypilnować! Sara! Sara!

Sara zbiegła ze schodów, przeskakując po dwa stopnie, rzuciła

deskorolkę na chodnik i wskoczyła na nią, zjeżdżając już w dół wzgórza.

Dwa lata temu uciekła z domu. Przez dwie noce spała w parku pod krzakiem, tuż obok ogrodzenia ze stalowej siatki. Trzeciego dnia, głodna i przemarznięta, poszła w kierunku plaży, grzebiąc w koszach na śmieci. Obudziła się z dreszczami, które nie ustawały przez cały dzień. Gdy niebo zaczęło ciemnieć, zwiastując nadchodzący wieczór, a połyskliwe fale zmieniły się w falujące cienie, ujrzała Czarodzieja Popiołów i Deszczu. Siedział po turecku przed niewielkim ogniskiem i spoglądał daleko w morze. Podeszła do niego, miał na sobie trzy poszarpane swetry i ciężką czarną spódnicę, spod której wystawały nogawki spodni dresowych i bosa stopy.

Wiedziała, kim jest, ale wówczas nie znała go jeszcze zbyt dobrze. Był dla niej po prostu kolejnym stukniętym włóczęgą, dość miłym i niegroźnym, który czasami trzymał się z Elfami. Tego wieczoru czuła się jednak tak samotna i tak zziębnięta, że w ogóle jej to nie obchodziło. Co więcej, czuła, że wkrótce nie będzie się już przejmować zupełnie niczym i ta myśl ją przeraziła. Spojrzała na włóczęgę, drżąc i nie wiedząc, co powiedzieć. Rozpaczliwie pragnęła, by to on powiedział coś, co zmieni wszystko na lepsze. Oczywiście zaczęło mżyć.

Stała i czekała, a nad jego głową ciemniały chmury.

– Potrzeba ci wizji – odezwał się.

– Uciekłam z domu – odparła, opatulając się ciaśniej.

Sięgnął w głąb plecaka i wyciągnął plastikową torbę wypełnioną najróżniejszymi znalezionymi produktami. Sara usiadła i zaczęła żarłocznie jeść, a wtedy Czarodziej podał jej ciężką butelkę z wodą.

– Moja matka zawsze ustala zasady, zasady dotyczące wszystkiego. Żeby tylko chodziło jej o naukę. Ustala zasady, w co wolno mi się ubrać. Co mi wolno powiedzieć. – Musiała powtarzać powody ucieczki, gdyż nie brzmiały przekonująco już nawet dla niej samej.

Czarodziej wyjął z plecaka niewielką brązową płytkę, na której znajdowały się jakieś tajemnicze, nieznanne jej znaki, wyryte starannie wzdłuż brzegów ozdobionych zawiłymi ornamentami.

– Co to takiego?

– To tynka. Tarcza, dzięki której doznaję wizji. Widzę przyszłość i

przeszłość.

Czarodziej wsunął laskę w ognisko i wygrzebał nieco popiołu. To właśnie tego dnia Sara zrozumiała, skąd się wziął drugi element jego przezwiska, dlatego nazywano go Czarodziejem Popiołów i Deszczu. Wydobywszy nieco popiołu, zmieszał go z zimnym piaskiem, a potem wszystko to razem, wraz ze strzępami starych opakowań i plastikowymi elementami zepsutej zabawki, nasypał na płytkę. Następnie umieścił ją między sobą a dziewczyną.

Sara słyszała, że Czarodziej potrafi zaglądać w przyszłość, ale nie widziała, jak to robi. Chwycił jej rękę i przytrzymał ją nad tynką. Przestraszona dziewczyna z początku próbowała się opierać, ale szybko uległa. Czarodziej wypowiedział wówczas kilka niezrozumiałych słów, a potem puścił jej dłoń.

– Co ty robisz?

Unióśł płytkę i potrząsnął nią, by piasek i popiół rozłożyły się równomiernie na całej powierzchni. Tu i ówdzie spadały już kropelki deszczu, zlepiając sypką mieszankę.

– Patrzę, jak popiół przykrywa symbole, jak biegną strużki wody, jak tworzą się szczeliny i grudki, i widzę w nich historię. Wszędzie kryją się historie.

Sara pochyliła się, chcąc cokolwiek zobaczyć.

– Tak – powiedział Czarodziej. – Widzę.

– Widzisz tam coś o mojej matce? Co powinnam zrobić?

Unióśł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– Twemu ojcu jest przykro. Przykro mu, że musiał umrzeć.

Ojciec Sary umarł rok wcześniej.

Czarodziej starł popioły z płytki i siedział, nucąc coś pod nosem.

Sara przez długi czas wpatrywała się w fale, które wdzierały się na plażę i zaraz potem umykały. Od delikatnej mżawki przemokły jej włosy.

W końcu wstała i ruszyła do domu, by wynegocjować zasady, które odpowiadałyby zarówno jej, jak i matce.

Sara odnalazła siostrę nad jeziorem Stow. Amanda siedziała na ławce w parku z babcią Rebeką i zajadała kanapkę z ogórkiem i serkiem śmietankowym. Miała na sobie ładną różową suknię z falbankami oraz

czarne błyszczące buty, a babcia niebieski dres. Minęło już południe i słońce przedzierało się powoli między gałęziami drzew, zmierzając ku morzu.

Do zachodu pozostawały jednakże jeszcze długie godziny. Ludzie, którzy przychodzili do parku późnym popołudniem z workami chleba, by karmić kaczki, mieszały się już z miłośnikami biegania po pracy i właścicielami psów. Znad oceanu zerwał się wiatr, ciągnąc za sobą mgłę, która miała się skłębić wraz z nastaniem ciemności. Drzewa rosnące ciasno wzdłuż brzegów jeziora kołysały się, jakby przestępowały z nogi na nogę. Kaczki skarżyły się głośnym kwakaniem, że nie mogą nadażyć za chlebem, a wiatr mierzwił ich pióra.

– Witaj, moja droga – powiedziała babcia Rebeka i przysunęła się bliżej Amandy, by Sara również mogła usiąść. Poklepała wolne miejsce. – Masz ochotę na kawałek kanapki?

– To ja je przyniosłam – powiedziała Amanda z pełnymi ustami.

– Ależ oczywiście, że ty. To moje ulubione.

– Mam jedną dla Sary w torbie. – Amanda wskazała torbę leżącą u jej stóp, ale nawet się nie nachyliła.

– Co ty tu robisz, babciu? – Sara podeszła bliżej.

– Och, chodzi o dom. Jest za duży. Pełno w nim książek George’a, przytłacza mnie to.

Nie mogę tam oddychać. Tak naprawdę to był jego dom. Ja tam po prostu z nim mieszkałam.

Sara nie wierzyła babci, ale sądziła, że ją rozumie.

– Wszystko ci o nim przypomina – powiedziała.

Babcia kiwnęła głową.

– Tak, po części na pewno o to chodzi.

– Naprawdę masz zamiar tu spać?

Podniosła torbę, włożyła do środka rękę i wyciągnęła kolejną kanapkę.

– Tak. Na tej ławce.

– To niebezpieczne.

– Zaczynasz mówić jak twoja matka.

Sara usiadła. Chwyciła kanapkę z ogórkiem i serem śmietankowym.

Ławki jak ta, na której siedziały, stały co kilka kroków wzdłuż

otaczającego jezioro asfaltowego chodnika. Po zapadnięciu zmroku każda z nich stawiała się czyjąś własnością.

Bez wątpienia ktoś silniejszy przegoniłby stąd staruszkę.

– Poza tym – odezwała się babcia – masz tu przyjaciół, prawda? Ten Czarodziej, on gdzieś tu przecież jest. Mógłby mieć na mnie oko.

– On odszedł – odparła Sara. – I długo nie wróci.

– Och, przykro mi, kochanie.

– On wiedział o moim śnie – wtrąciła się Amanda, mówiąc z pełnymi ustami.

– O jakim śnie? Nie mówiłaś mi, że miewasz jakiś sen. – Babcia Rebeka odwróciła się w stronę Sary. – Twoja siostra już niczego mi nie mówi. Po prostu sobie tu siedzi, zajada i odmawia odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Jeśli się odzywa, to tylko wtedy, kiedy sama chce o czymś rozmawiać. O psach chociażby albo tym, co ludzie mają na sobie. – Pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ja też już nie umiem z nią rozmawiać – stwierdziła Sara.

Amanda przeżuwała i patrzyła przed siebie, udając, że niczego nie słyszy – Miałam sen o potworze – powiedziała nagle. – Ten sam sen tysiące razy.

Sara raz jeszcze opisała potwora. Babcia Rebeka wyglądała na wstrząśniętą.

– Kiedyś miewałam dokładnie taki sam sen – rzekła. – Tak, dokładnie taki sam. Ale przecież powiedziałam mu, żeby zostawił was w spokoju. Zgodził się, a więc powinien wszystkich was zostawić! Waszą matkę, wszystkich! Powiedziałam mu przecież!

Sara spojrzała twardo na babcię, podczas gdy ona bawiła się zapięciem dresu. Jedynie Amanda wydawała się nieporuszona niespodziewanym wyznaniem.

– Kiedy to było? – spytała Sara.

– Gdy byłam małą dziewczynką, a zatem siłą rzeczy żadnej z was nie było jeszcze na świecie. Powiedział, że przyjdzie po was, jeśli go nie wpuszczę do tego świata. Ostrzegła mnie moja matka, którą również nawiedził. Powiedział, że jeśli się sprzeciwię, przyjdzie po moje córki, a potem po ich córki. Musiałam to zrobić. Tak mi się wówczas wydawało.

– Nie miałaś nikogo do pomocy? Nie było Elfów?

– Elfów? Są jeszcze Elfy na tym świecie? Wydawało mi się, że wszystkie już nas opuściły, że mieszkają na dnie morza czy gdzieś tam.

– O, idzie mama – odezwała się nagle Amanda.

Wszystkie spojrzały w tym samym kierunku. Matka Sary stawiała drobne kroczki, ale mimo to szła szybko z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Zatrzymała się tuż przed nimi, zbita z tropu i zmieszana. Miała to wypisane na twarzy – czuła się porzucona oraz zawiedziona i nie wiedziała, od czego zacząć.

– Chcesz kanapkę? – zapytała Amanda. – Jest jeszcze jedna w torbie.

– Amando, dziś są twoje urodziny, a twoje przyjęcie to totalna kłapa – odpowiedziała matka drżącym głosem i zacisnęła usta. Na jej twarzy malował się wyraz znękania, a ramiona miała napięte. Była ubrana w długą czarną suknię i niebieski sweterek. – Dobrze wiesz, że ciężko pracuję dla naszej rodziny. Dlaczego żadna z was niczego nie zrobi? Dlaczego żadna z was nawet nie spróbuje?

Oparła dłonie na biodrach.

– Mamo – zwróciła się do babci Rebeki. – Dobrze wiem, że w ten sposób chcesz wymusić wszystko, czego sobie zapragniesz. Powiedziałam ci, że nie możesz u nas mieszkać.

Mam dwie córki, które muszę samodzielnie wychować. Daję z siebie wszystko!

Zadrżała. Sarze przypomniało się spotkanie z Czarodziejem na plaży dwa lata temu.

– Saro. – Matka zawahała się, a dziewczyna umknęła wzrokiem w bok. – Saro, powiedziałam ci, że masz zostać w domu. Teraz zabierz tam siostrę. Muszę na osobności porozmawiać z babcią.

Sara chwyciła Amandę za rękę. Gdy tylko wstały, mama opadła na wolne miejsce i wybuchła płaczem. Drżenie jej ciała przybrało na sile, zamieniło się w konwulsyjny szloch.

Przez ostatnie trzy lata – od chwili śmierci męża – często płakała. Babcia Rebeka objęła ją i przytuliła.

Sara ruszyła przed siebie, trzymając siostrę za rękę. Nie szła jednak w

kierunku domu, a w stronę magazynu Elfów.

Przeszły przez park, mijając po drodze Japońskie Ogrody Herbaciane, Azjatyckie Muzeum Sztuki i Akademię Nauk. Sara jedną ręką trzymała deskorolkę, a drugą ścisnęła dłoń siostry. Tuż przed opuszczeniem parku na asfaltowej ścieżce pojawiło się dwóch Oboys.

Jednym z nich był James, którego soczewki płonęły czerwienią w półmroku nadchodzącego wieczoru. Sara nie miała pojęcia, co robili, by świeciły tak intensywnie. Jego kurtka wydawała się zbyt obszerna jak na tak chude ciało. Drugi z Oboys, jeszcze młodszy chłopak o pałkowatych nogach, nosił podarty biały T-shirt. Nie miał na sobie kurtki. Rozglądał się nerwowo na boki, co rusz poprawiając koszulkę. Nie potrafił ustać spokojnie ani zapanować nad odruchami, a pośród cieni alejki jego oczy też lśniły czerwienią. Nieco dalej ciągnęły się ulice Miasta, po których mknęły samochody ledwie teraz widoczne między drzewami.

– Gdzie się wybieracie? – zapytał młodszy.

– Ona może przejść – powiedział James. Nie chciał patrzeć Sarze w oczy. Jego twarz pokryta dziobami po ospie miała ponury wyraz. Wepchnął dłonie do kieszeni i zszedł z drogi.

– Nikomu nie wolno wejść ani wyjść – zaprotestował młodszy, wskazując na dziewczynę.

– Zamknij pysk! – warknął James. Rysy jego twarzy niespodziewanie stwardniały, gdy zacisnął szczękę, wbijając wzrok w towarzysza. Ten posłusznie usunął się z drogi.

Sara puściła siostrę przodem, lecz zatrzymała się, przechodząc obok Jamesa.

– Dzięki – powiedziała.

– Pieprz się – mruknął chłopak. – No, wynoście się stąd.

Sara parsknęła szyderczym śmiechem i pociągnęła za sobą Amandę.

– Fajne soczewki – zawołała. – Ale się przestraszyłam!

W rzeczy samej, ich blask wytrącił ją z równowagi.

Tylko dlatego o nich wspomniała.

– To nie soczewki – rzucił za nią James.

Sara nie odwróciła się.

– Co on miał na myśli? – zapytała chwilę później Amanda.

- Cicho bądź.
- Czym oni są?
- Cicho.

Dwie przecznice dalej Sara i Amanda natknęły się na grupę Elfów pod wodzą Aladuniela.

– Macie szczęście, że nie wpadłyście na Oboys – powiedział Aladuniel. – Aż się tu od nich roi. Znow zbierają się pod długim cieniem. Zostaliśmy wysłani, aby was sprowadzić.

Pani G mówiła, że przywiedziesz swą siostrę.

Uklęknął przed Amandą.

– Siostra Sary jest naszą siostrą. Nadaję ci godność Przyjaciela Elfów.

Pochylił głowę, a pozostałe Elfy położyły dłonie na sercach.

– Przyjacielu Elfów – powiedziały chórem.

Sara rozejrzała się z zażenowaniem, ale wyglądało na to, że żaden z przechodniów spieszących dokądś we własnych sprawach czy zmierzających na późny lunch nie dostrzeże tej sceny. Zupełnie jakby nikt nigdy nie zauważał Elfów. Może po prostu wszyscy sądzili, że są świrami i woleli ich ignorować? Amanda zachichotała.

– Nie mamy na to wszystko czasu, Al – powiedziała Sara nie do końca przekonana, czy ma rację. – Zaprowadź nas do Pani G.

Kiedy Aladuniel zaprowadził Sarę i Amandę na drugie piętro magazynu, by stanęły przed obliczem Pani G, okazało się, że ta nie oczekuje ich sama. Tuż obok na obrotowym fotelu siedział Czarodziej Popiołów i Deszczu.

– Słyszałem, że mnie poszukujesz – powiedział do Sary. Był ubrany w kilka warstw podniszczonych, niezapiętych swetrów i parę brudnych spodni. Na nogach nie miał butów, a szarawe, siwiejące włosy spływały mu na ramiona. Na jego opalonej, ogorzałej twarzy, typowej dla bezdomnych, którzy zbyt często śpią pod gołym niebem, tuż przy prawym uchu widniała długa blizna. Na kolanach trzymał poskręcany czarny kostur. Za Czarodziejem i Panią G widać było wygaszacz ekranu komputera – wielkie oko bez powiek, wypełniające się piksel po pikselu.

– O, dobrze cię... Bo ja myślałam, że... – bąknęła Sara. Chciała uściskać Czarodzieja, choć nigdy wcześniej nie okazała mu tyle uczucia. Nie licząc chwili, gdy przyciągnął jej dłoń nad płytkę tynka, nigdy dotąd go nie

dotknęła.

– Szukałaś mnie, więc wróciłem, by ci pomóc – rzekł Czarodziej. – Wygląda na to, że nadal mam rolę do odegrania – westchnął. – Opowieści potrafią być takie wymagające...

Sara opowiedziała Pani G oraz Czarodziejowi o wszystkim, co usłyszała od babci.

Żadne z nich nie wyglądało na zaskoczone, a Czarodziej po prostu pokiwał głową. Pani G pochyliła się ku Amandzie.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Nie mogłaś przecież wiedzieć.

Wtedy Sara dostrzegła, że jej młodsza siostra płacze.

– Co się dzieje? Amando?

– Już się zgodziła – oznajmiła Pani G. – Jakoś tak dziś rano.

– A ja to odczytałem z mojej płytki – dodał Czarodziej.

– Przykro mi – wypaliła pospiesznie Amanda. – Mój sobowtór, ten ze snu, zaprowadził mnie do parku. Zaraz po tym, jak wyszłaś, i na chwilę przed spotkaniem babci. Zaprowadził mnie do tego drewnianego mostku przy jeziorze w arboretum. Okazało się, że mój sobowtór jest tym potworem lub został przez niego stworzony, sama dobrze nie wiem. Powiedział, że jeśli się zgodzę, nie będzie już mnie dłużej dręczył, no to się zgodziłam. – Nagle złapała Sarę za rękę. – Nie opuszczaj mnie znowu. Przepraszam. Wiem, że powinnam była na ciebie poczekać!

– Potwór zbiera siły, by ruszyć przeciwko nam wraz z nadejściem nocy – powiedziała Pani G.

– Przepraszam! – powtórzyła Amanda. – Nie odchodź, proszę.

– Prawie w ogóle nie odzywałaś się do mnie przez cały zeszły rok – odparła Sara – a teraz się martwisz, że cię zostawię?

– Amando – odezwał się Czarodziej. – Wiele razy widywałem podobne rzeczy i ze wszystkich śniących, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji, tylko jeden powiedział: „Nie”.

Tylko jeden. Nie stało się nic strasznego. Historia trwa, jak zawsze. Cóż, było nie było, potwór nie pozwolił mi wrócić do domu, prawda? Ty zaś po prostu odegrałaś w tej historii swoją rolę. Wszystko jest w porządku, przecież zawsze tak się dzieje.

Amanda nie spuszczała wzroku ze starszej siostry.

– Proszę – powtórzyła raz jeszcze.

Sara westchnęła i starła łzy z jej policzka.

– Oczywiście, że nigdzie się nie wybieram. Zostanę z tobą.

Czy kiedykolwiek zrozumie swoją siostrę? Wyglądało na to, że nie. Przygarnęła ją do piersi i przytuliła mocno.

Amanda, wciąż trzymając rękę wokół talii Sary, odwróciła głowę ku Pani G i zapytała: – Czy nadal jestem Przyjacielem Elfów?

– Oczywiście.

O, Boże, pomyślała Sara, tylko nie to. Nie zadawaj się z Elfami. Proszę.

– Ruszajmy – zarządziła Pani G. – Do zmroku nie zostało wiele czasu. Musimy się przygotować, zanim wejdziemy do parku. Trzeba dotrzeć do arboretum.

– Do mostu? – zapytała Sara.

– Tak. Tam zbierają się Oboys i tam zakończy się nasza historia.

Elfy wyruszyły do parku zaraz po zmierzchu, podzielone na małe oddziały. Natknęły się na Oboys niemal natychmiast. Zameldowano, że doszło do kilku starć, ale Sara, która wraz z Amandą, Panią G i Czarodziejem szła na tyłach głównej grupy, nie wiedziała gdzie. W większości przypadków Oboys wycofywali się, gdy tylko ujrzeli Elfy, zupełnie jakby chcieli je dokądś zwabić, niemalże pokazując im drogę. Do arboretum dotarli około północy.

Otoczony płotem obszar ogrodu zajmował dwa kilometry kwadratowe. Poza Oboys oraz Elfami w parku nie było żywej duszy. Wyglądało na to, że Oboys przegonili wszystkich bezdomnych. Amanda pomogła siostrze przejść przez płot. Nie miała pojęcia, jak ta sztuka udała się Pani G.

– Mama zabije nas za to, że tak długo nie wracamy do domu – powiedziała Amanda, zeskoczywszy na ziemię po drugiej stronie.

– Chyba że wcześniej zabije nas potwór – odparła Sara.

Amanda zmierzyła ją wzrokiem.

– Tylko żartowałam.

Niedaleko wejścia do arboretum, na sporej polanie stało samotne wielkie drzewo, które Elfy uważały za święte. Każdy z nich dotknął pnia i wypowiedział jakieś słowo po elficku, a potem wszyscy ruszyli w stronę ścieżki, która wiodła w dół ku jeziorze. Na jego drugim brzegu gromadzili

się Oboys. W blasku księżycy ich oczy mieniły się czerwienią.

Wydawało się, że nucą coś niskimi, gardłowymi głosami. Sara poczuła ciarki na plecach.

Nie mogła oderwać wzroku od tych czerwonych spojrzeń, co rusz zwracających się ku Elfom.

Drewniany most łączył brzegi jeziora w najwęższym miejscu. Elfy zebrały się po jednej stronie, Oboys po drugiej, drwiąc z nich i szydząc. Siły Elfów wydawały się rozpaczliwie szczupłe, Sara miała wrażenie, że obutych w czarne glany Oboys jest dwa razy więcej. Kaczki pływające po jeziorze zerwały się do lotu, gdy Oboys zaczęli rzucać kamieniami. Elfy wycofały się poza zasięg pocisków, które z głośnym łoskotem uderzały w ziemię. Skryty za mgłą księżyc w pełni lśnił mocnym blaskiem, przez co wszystko wydawało się mienić i świecić. Drzewa wyglądały, jak gdyby unosiły ręce ku niebu i kołysały się w powolnym tańcu, jednocześnie tłocząc się jak najbliżej siebie, by obejrzeć przebieg starcia.

Sara próbowała wypatrzyć Jamesa wśród Oboys, ale odnalezienie go w mroku graniczyło z cudem. Naraz z zaskoczeniem odkryła, że za nią stoi babcia.

– Co...?

– Za nic w świecie nie chciałabym tego przegapić.

– Jak się pozbyłaś mamy? Po prostu pozwoliła ci zostać w parku?

– Nie, zgodziłam się zostać u was ze względu na nią.

– Aha. – Zawstydzona Sara opuściła spojrzenie.

– Ale wymknęłam się, gdy jej uwagę przyciągnęło coś innego. Nie widziałam Elfów od wieków. Czyż nie są wspaniali?

– Jasne, że są – zawyrokowała Amanda.

Sara spojrzała na Elfy.

Wątpliwe, pomyślała, choć musiała przyznać, że budzili w niej podziw, stojąc bez strachu w swych zbyt dużych koszulach z obszernymi rękawami naprzeciw o wiele liczniejszych Oboys. Mimo wszystko jednak były to wciąż Elfy.

– Gdzie jest ten potwór? – zapytała Czarodzieja, który siedział na pobliskim pniaku.

– Pod mostem – odparł Czarodziej i uśmiechnął się do babci Sary. –

Witaj, Rebeko.

Babcia odpowiedziała uśmiechem. Miała na sobie płaszcz, ale Sara widziała wystający spod niego rąbek koszuli nocnej i pantofle. Jak ona przeszła przez płot?

Czarodziej roześmiał się. Zaczęło mżyć i wystawił język, by złapać kilka kropel.

– Czas chyba zakończyć to wszystko – powiedział z westchnieniem i wstał. – Żegnajcie, Amando i Rebeko. – Uścisnął im dłonie. – Żegnaj, Saro. Gdybyście jeszcze mnie potrzebowały, szukajcie mnie na Zachodzie, w odległym miejscu.

– Co chcesz zrobić?

– Zobaczysz. – Czarodziej na chwilę zamknął dłonie Sary w swoich.

Potem odwrócił się i skierował w stronę mostu.

Zaraz oberwie kamieniem!, pomyślała Sara, lecz niespodziewanie Oboys uciszyli się.

Zamarli w bezruchu, przestali wykrzykiwać obelgi – tylko stali i patrzyli. Deszcz przybrał na sile, co zdawało się ich onieśmielać.

Czarodziej zaś wyglądał na starszego i bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek wcześniej. Opierał się ciężko na kosturze i powoli, ostrożnie schodził ścieżką w kierunku mostu. Gdy wszedł na niego, zatrzymał się z pochyloną głową, wsparty na lasce. Coraz bardziej mokre, nasiąkające wodą swetry zdawały się ciągnąć go ku ziemi.

Nie trzeba było długo czekać na rozwój wypadków. Z wody wynurzyła się długa, koścista ręka, która zacisnęła się na poręcz, a potem z jeziora wychynął sam potwór i łypnął dookoła rybim okiem. Amanda złapała dłoń Sary, gdy potwór chwycił poręcz drugą ręką i tak oto prześlizgnął się ze świata snów do świata realnego.

Przez moment stał na skraju mostu i przyglądał się Czarodziejowi, aż zebrał siły i jednym susem przesadził poręcz. Wylądował naprzeciwko staruszka. Sara mimowolnie cofnęła się o krok. Rzeczywiście miał ze trzy metry wzrostu i długi, groteskowo wyglądający nos, z dała przypominający korkociąg. Usta w obu oczodołach zgrzytały zębami i wykrzywiały się w najrozmaitsze grymasy. Sara stała sztywno jak kamień, nie mogąc złapać oddechu.

W obliczu potwora Czarodziej wydawał się przerażająco drobny i słaby. W podartym ubraniu, na bosaka, wsparty na lasce jakby lada chwila miał runąć na ziemię, spoglądał jednak odważnie na górującego nad nim potwora. Ten sięgnął ku niemu kościstymi palcami, z których niespodziewanie, jak z kociej łapy, wysunęły się pazury. Podobne sceny widziała we śnie Amanda.

Gdyby to przytrafiło się mnie, pomyślała Sara, też bym mu pozwoliła przejść do naszego świata, byleby tylko się go pozbyć.

Bestia podchodziła do Czarodzieja ostrożnie, co przypomniało dziewczynie, że on również dysponował mocą, choć rzadko jej używał. Wtedy Czarodziej uniósł laskę i wiatr niespodziewanie przybrał na sile. Przez moment wiał dziko we wszystkie strony, by nagle skupić się na potworze, odrzucając go w tył. Bestia raz i drugi cięła pazurami powietrze, a potem zebrała się do skoku. Wylądowała niezgrabnie tuż przed Czarodziejem i zbiła go z nóg.

Wtedy Czarodziej smagnął ją laską po nogach. Rozbłysło jaskrawe światło i wszyscy musieli odwrócić wzrok.

Oboys wrzeszczeli, domagając się krwi. Elfy zaś, które do tej pory utrzymywały ponure milczenie, zaczęły śpiewać w języku elfickim. Melodia zaintonowana wysokimi głosami zmroziła Sarze krew w żyłach. Wiedziała, że oni również pragną krwi i nie wycofają się za nic w świecie.

Gdy odzyskała wzrok, ujrzała Czarodzieja i potwora zwartych w uścisku, walczących w centrum unoszącego się wokół nich wiru zeschniętych liści, wody, ziemi i niewielkich kamieni. Potem niespodziewanie stracili równowagę, wpadli na barierkę i stoczyli się do wody. Rozległ się głośny plusk i syk pary. Znow zniknęli Sarze z oczu. Wiatr nagle zamarł, fale rozplynęły się po tafli jeziora, para uleciała. Nawet deszcz przeszedł w mżawkę, aż w końcu całkiem przestał padać.

Oboys pierwsi zamilkli, potem Elfy urwały pieśń. W międzyczasie na jeziorze wylądowało kilka kaczek, co oznajmiły głośnym kwakaniem. Nic więcej się nie wydarzyło.

– Co się stało? – zapytała Amanda.

– Powrócili przez dziurę między światem snów a światem realnym – wytłumaczyła Pani G. – Pod mostem.

Wykrzyknęła kilka słów i Elfy ruszyły w stronę mostu, by zaatakować Oboys. Ci nadal przeważali liczebnie, ale stracili serce do walki. Kilku zbiegło na brzeg jeziora i wpatrywało się w wodę, inni zachowali zwarty szyk i powitali nacierające Elfy kamieniami, lecz większość rzuciła się do ucieczki. Na ziemi leżały porzucone kurtki.

Elfy bez trudu wypędziły Oboys z arboretum, grzmocąc niektórych kijami i łapiąc innych do niewoli. Nie musiały nawet dobywać noży. Sara wraz z babcią i siostrą nie odstępowały ani na krok Pani G, która prowadziła Elfy w ciasnym szyku i wywarkiwała rozkazy, gromadząc jeńców. W którymś momencie dwóch Elfów podbiegło do Sary, prowadząc jednego z Oboys. Był to James.

– Twierdzi, że jest twoim przyjacielem – rzekł Elf.

James miał zakrwawioną wargę, a po tym, jak został kilkakrotnie poturbowany, był przybrudzony ziemią i liśćmi. Blask w jego oczach przygasł, ich czerwień straciła intensywność, jakby się wypaliła. Sara pomyślała, że znów wygląda niemalże ludzko.

– Tak – powiedziała. – Puśćcie go.

– A zatem jesteśmy kwita – burknął ponuro James, ocierając wargę.

– Tak. James, jeśli ty... – urwała.

Chłopak odwrócił się i odszedł wyprostowany, zaciskając pięści. Elf przydzielony, by go bezpiecznie przeprowadzić, ruszył w ślad za nim.

– Co się stanie z Oboys? – Sara zapytała Panią G.

– Są skończeni. Niektórzy zostaną Elfami.

– Naprawdę?

– Tak. Być może twój przyjaciel również.

Spojrzała za Jamesem.

– Sama nie wiem...

– Pewnie zabierze to sporo czasu. – Pani Elfów wzruszyła ramionami. – Ale czasu akurat mam mnóstwo.

Naraz Sara poczuła, jak babcia Rebeka ściska jej dłoń.

– Już po wszystkim. Czas najwyższy wracać, łóżka czekają.

Trzymając się za ręce, maszerowały do domu przez chłodną noc San Francisco, śmiejąc się i wspominając swą przygodę.

– A Czarodziej? – zapytała Sara z nagłą powagą. – Co się z nim stanie?

– Czytałaś tę książkę, którą Elfy tak bardzo sobie ukochały?

– Tak.

– A pamiętasz, co tam się stało z Czarodziejem?

Dziewczyna pokiwała głową.

– O niego to akurat bym się nie martwiła – stwierdziła babcia Rebeka. – Historia zawsze się powtarza.

Gdy wreszcie dotarły do domu, w środku nadal paliły się światła, lecz mama nie usłyszała, jak wchodzi. One natomiast usłyszały, jak z kuchni dobiega brzęk przestawianych naczyń. Zegar w korytarzu wskazywał czwartą nad ranem.

– Pójdę i powiem jej, że z nami wszystko ok – powiedziała Sara.

– A ja już lepiej się położę – oznajmiła babcia Rebeka. – Wątpię, czy się zorientowała, że wyszłam z domu. Położę Amandę.

Młodsza siostra prawie zasypiała na stojąco, ale mimo to była szczęśliwa. Wreszcie czekała ją noc bez snów. Babcia chwyciła ją za rękę i poprowadziła schodami na górę. Sara nabrała głęboko tchu i weszła do kuchni.

– Cześć, mamo.

Matka pochylała się nad opróżnionym kredensem. Słyszając słowa córki, wyprostowała się.

– Przepraszam, że jesteśmy tak późno w domu. Z Amandą wszystko w porządku.

– OK.

Sara zamrugnęła z niedowierzaniem.

– OK?

– Babcia wyjaśniła mi, co się działo. Wiem, że musiałaś iść.

Sara wpatrywała się w matkę z oszołomieniem.

– Wysprzątałam wszystkie kredensy, rozłożyłam nową ceratę i opisałam słoiki.

– Ale przecież jest czwartą nad ranem!

– Trochę się denerwowałam, rozumiesz? Ja... Ja... Ja bardzo się cieszę, że nic się wam nie stało. – Mama nerwowo zatarła dłonie. – Żałuję tylko, że mi nic nie powiedziałaś – dodała.

– Bardzo żałuję.

– Mamo, niełatwo się z tobą rozmawia.

– Robię wszystko, co w mojej mocy, dla dobra rod... – nagle urwała, spłotła dłonie, by się uspokoić, i zasznurowała usta. – ok – powiedziała po chwili – w porządku, wiem, że niczego nie ułatwiam, ale mogłabyś chociaż spróbować?

Sara uświadomiła sobie, że matka naprawdę robi wszystko, co w jej mocy.

– Tak. Będę próbować. Obiecuję.

– Babcia się do nas wprowadza.

– Naprawdę? – Sara zerknęła ponad ramieniem na schody, gdzie chwilę temu znikła babcia.

– Tak, ale nie na długo. Dosłownie na parę dni.

– ok.

– Wiesz, że ja... Że ja daję z siebie wszystko?

– Tak – odparła Sara. – Chciałabym tylko, żebyś zauważyła, że wszyscy dookoła ciebie robią dokładnie to samo.

– ok. – Mama przygryzła wargę. – Jestem z ciebie dumna, zdajesz sobie z tego sprawę?

Wyrasta z ciebie fajna młoda kobietka.

– Dzięki – uśmiechnęła się Sara.

– Jestem też pewna, że masz ciekawą przygodę do opowiedzenia. Jutro, gdy już się wyśpisz, naturalnie.

Sara podeszła bliżej i podniosła jeden ze słoików rozstawionych na blatach.

– No i powinnam to wszystko dokończyć – dodała matka.

– Mamo, jest już późno. Powinnaś się położyć.

– Ciągłe zżerają mnie nerwy.

– Dobrze, pomogę ci.

– ok, dobrze, w takim razie możesz mi jeszcze dzisiaj opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Dobrze, mamo, ale musisz wiedzieć, że mnie zaskoczyłaś. Skąd ty wiesz o tym wszystkim?

Mama uśmiechnęła się.

– Ja jestem tą, która odmówiła. Myślę, że jestem tą jedyną, o której mówił

Czarodziej.

Moja matka jest śniącą, uzmysłowiła sobie Sara. Któżby pomyślał?

Rozmawiały przez całą noc, nawet po tym, jak uporały się z obowiązkami kuchennymi. Rankiem zaś przygotowały dla wszystkich wielkie śniadanie.

James Bibby (ur. w 1953) zasłynął cyklem humorystycznych powieści fantasy o Ronanie Barbarzyńcy, którą rozpoczął tomem zatytułowanym, cóż, Ronan Barbarzyńca (1995). *Prócz tego jednak Bibby eksperymentował z innymi pomysłami, z których między innymi wykluło się poniższe opowiadanie. Uważajcie na jego zakończenie, jest doprawdy piorunujące.*

James Bibby

OSTATNIA WIEDZMA

Zaciągnął się papierosem, a następnie położył ręce o podniszczony murek z piaskowca, ciągnący się po obu stronach starego mostu. Spojrzał w nurt. Odbicie w wodzie, wyraźne na tle błękitnego nieba. I odpowiedziało mu ponurym spojrzeniem.

– I co ty tu właściwie robisz, co? Popierdółko jedna? – zdawał się mówić sam do siebie. – Oto Upton-upon-Dee, miejsce jeszcze bardziej zdechłe od Bournemouth w poniedziałkową noc. Co, do cholery, stało się z twoją karierą?

Sara nigdy nie zapomniała pierwszego poważnego incydentu, który wydarzył się, gdy miała cztery lata i została po raz tysięczny zaproszona do domu przyjaciółki Kylie Smith na herbatę. Rodzice z początku nie chcieli się zgodzić, ale długie nagabywanie, marudzenie, błaganie oraz płacz przyniosły w końcu pożądaną rezultat. Odstawili ją do domu Kylie, wbiwszy jej do głowy mnóstwo pilnych ostrzeżeń, rad i ostrzeżeń. Mama Kylie była jednakże tego dnia zmęczona i gdy w końcu krzyknęła: „Nie, nie pójdziemy na plac zabaw! Mam o wiele za dużo spraw na głowie, a nie mam, niestety, dwóch par rąk, czego bardzo żałuję!”, Sara usłyszała w jej głosie szczerą. Tego dnia w bolesny sposób przekonała się, że dorośli nie zawsze myślą dokładnie to, co mówią. Nawet teraz, leżąc w łóżku ciemną nocą, wciąż zdawała się słyszeć potworne wrzaski pani Smith.

Niemal natychmiast po tym zdarzeniu przenieśli się do innego miasta. Odtąd Sara usiłowała zachować swoje zdolności w sekrecie, ale ciągle coś jej się przytrafiało. W sumie miały miejsce jeszcze dwa inne poważne wypadki, po których jej rodzina musiała się przeprowadzać w trybie przyspieszonym. Wszystko jednak wskazywało na to, że dziewczyna nauczyła się wreszcie nad sobą panować, i od ostatniej przeprowadzki minęły już dwa lata.

Byłaby wielka szkoda, gdyby ten nieprzyjemnie wyglądający człowiek ją przyłapał.

Z uśmiechem na twarzy i pogodą w sercu. Sara skierowała się do domu zupełnie nieświadoma, że los zgotował jej ogromną niespodziankę.

– Nie, nie znalazłem tu żadnej wiedzy staruchy! – Paul Inkman pstryknął kolejnym petem do rzeki, desperacko próbując opanować narastający w nim gniew. – Uwierz mi, Andrew, nic, absolutnie nic nie byłoby w stanie skłonić mnie do pozostania w tej nudnej stolicy chowu wsobnego w środku wielkiego zadupia ani minuty dłużej. Ale mam tu temat, porządny temat. Zobaczysz, wyjdzie z tego spora rzecz.

– Coś więcej niż tylko krótka informacja prasowa? – usłyszał odpowiedź. W głosie redaktora naczelnego pojawiła się nuta zainteresowania.

– O wiele więcej. Co najmniej kilka informacji, reportaż dochodzeniowy, edycja specjalna... Poza tym to na pewno sprawa wykraczająca poza ramy lokalne. Mówimy tu o sprawie międzynarodowej.

– Dobra. – Andrew przerwał na chwilę, a Paul usłyszał w słuchawce dziwny dźwięk, który przypominał stukanie ołówkiem o zęby. – Być może dzwoniisz we właściwym momencie – odezwał się po kilku sekundach naczelnny. – Sue właśnie szuka nowego tematu do swojego programu. Musiała dać sobie spokój z tą osiemdziesięcioletnią prostytutką po tym, jak biedactwo wykitowało na zawał w trakcie zabawiania klienta. Przyślę ją do ciebie bezzwłocznie. Do zobaczyska. – Przerwał połączenie.

Paul z rosnącą wściekłością wpatrywał się w telefon i niewiele brakowało, by cisnął nim o najbliższy kamienny murek.

Sue Perrigo! Ta samolubna dziwka! Klął w myślach, nie zwracając uwagi na to, że się powtarza. Już stracił dwie najlepsze historie na rzecz tej pustogłowej, wypindrzonej dupy i wszystko wskazywało na to, że sytuacja

może się powtórzyć. Nie, nie tym razem. Tym razem na to nie pozwoli.

Paul myślał pospiesznie. Będzie musiał działać szybko i dowiedzieć się możliwie najwięcej. Przeciągnie Tony ego na swoją stronę – z tym nie powinno być większych problemów, bo Sue z upodobaniem jeździła po swoim operatorze, którego talent ograniczał się do eksponowania jej wdzięków. Kiedy ta głupia cipa tu dotrze, bez specjalnych trudności powinien ją przekonać, że została wysłana nadaremno, choć ta część zadania do najprzyjemniejszych należeć nie będzie – wybuchowy temperament Sue przeszedł już do historii. Lecz kiedy opadnie kurz, będą mogli wraz z Tonym po cichu zabrać się do pracy i przygotować szczegółowy materiał, który z pewnością trafi do dzienników krajowych.

Paul uśmiechnął się chciwie. Ta mała dziewczynka nie miała o niczym pojęcia, ale dzięki niej otrzymał szansę wybicia się ku sławie i pieniądzom.

– Noc u koleżanki? Po tym, co stało się ostatnim razem? – wypalił ojciec.

Przez krótką chwilę Sara była przekonana, że zaraz eksploduje.

– Ale, tato, miałam wtedy siedem lat! Co więcej, myślałam, że postępuję słusznie!

Razem z mamą ciągle mi powtarzacie, że zawsze mam robić to, co mi kazano.

Panu Parkerowi słowa uwięzły w gardle. Przez moment charczał niczym staromodny czajnik, w którym zaczynała gotować się woda. Wtedy do rozmowy pospiesznie wmieszała się matka: – Saro, kiedy udęczone dorosły mówi dwójce rozwydrzonych dzieci, żeby znikły, po prostu chce, by poszły do innego pokoju.

– Przecież już to wiem! Ale...

– Od czasu tamtego zdarzenia nieszczęsna pani Harris nigdy całkiem nie doszła do siebie – ojciec zdołał zmusić struny głosowe do posłuszeństwa. – Jeśli zaś chodzi o ten drugi numer, który wykrećiałaś...

– Ale Tracy była moją najlepszą przyjaciółką! I naprawdę pragnęła, by zaczął padać śnieg!

– Tak, kochanie – odpowiedziała matka. – Ale lepiej, żeby padał na zewnątrz.

Wyrzucenie śniegu przez okno zabrało jej ojcu dwie godziny.

– Przecież przeprosiłam! No i, mamó, przecież to wszystko wydarzyło się

całe wieki temu! Nic nie znalazłam, odkąd przeprowadziliśmy się do Upton, no nie?

– Cóż, nie. Raczej nie. Nic, co można by bezpośrednio tobie przypisać.

– No to świetnie. A zatem?

Pani Parker przyjrzała się córce, a potem westchnęła.

– Kochanie, idź może posprzątaj w pokoju, co? Ja i twój tata musimy poważnie porozmawiać.

Pani Parker, matka nowo narodzonej Sary, szybko sobie uświadomiła, że jej dziecko ma pewne zdolności, które w najlepszym razie należało nazwać niecodziennymi. Lecz gdy zdecydowana większość matek byłaby głęboko poruszona widokiem kwitujących butelek z mlekiem czy pieluch, które same się zmieniały, matka Sary po części spodziewała się czegoś niezwykłego. Zachowała bowiem bardzo wyraźne wspomnienia swojej babci, drobnej, pulchnej i tajemniczej kobietki, która potrafiła robić niezwykle rzeczy i wydawała się głęboko rozczarowana faktem, że żadna z jej córek ani wnuczek nie odziedziczyła po niej tych talentów. W rodzinie krążyły zaś jeszcze dziwniejsze opowieści o praprababce Pritchard, która urodziła się w Pendle i...

Ojciec Sary miał o wiele większe trudności, by uwierzyć w to, co widzi, lecz w końcu dowody na niezwykle zdolności córki stały się zbyt oczywiste, by je kwestionować. Od tego momentu państwo Parker poświęcili swoje życie, by chronić... Cóż, tak naprawdę sami nie wiedzieli, czy chronią Sarę przed światem, czy raczej świat przed Sarą. Doskonale rozumieli, że w obecnej dobie dziennikarze prasowi i reporterzy zrujnowaliby jej życie, gdyby tylko zwietrzyli taką historię, ale z drugiej strony pamiętali, że całkowite odseparowanie jej od świata również by ją zniszczyło.

Zdecydowali się na rozwiązanie pośrednie. Na ogół przyjęta polityka działała, choć trzykrotnie Sara zrobiła coś, czego nie można było wytłumaczyć zdrowym rozsądkiem i musieli się pospiesznie wyprowadzić. Po ostatnim razie pani Parker pomyślała, że byłoby im łatwiej, gdyby osiedlili się blisko kogoś o podobnych zdolnościach. Gdy zaproponowała to córce, ta zaprotestowała twardo.

– Przecież nie ma nikogo takiego, mamo. Skąd jestem tego pewna? Gdyby istniał ktoś taki, potrafiłabym... Potrafiłabym go wyczuć. Wiem, że

istniał ktoś taki, gdy byłam mała.

Wyczuwałam go. Było to miłe, pocieszające wrażenie gdzieś na skraju świadomości, coś jakby blask, stary, zszarzały, ale zawsze obecny. Aż obudziłam się pewnego poranka i to coś znikło. Nie wiem, kto to był, ale umarł, i zostałam sama. Jestem ostatnią wiedźmą i tyle.

Od tego momentu państwo Parker robili wszystko, co w ich mocy, by ochronić córkę, ucząc ją jednocześnie surowej samodyscypliny. Z początku Sara popełniała błędy, ale wywołane przez nie incydenty nie należały do poważnych i łatwo dało się je wyjaśnić. Przez ostatnie miesiące pani Parker odnosiła jednak wrażenie, że córka wreszcie nauczyła się trzymać niecodzienny talent w tajemnicy, i zaczęła dochodzić do wniosku, że taki wzrost odpowiedzialności musi zostać nagrodzony większą swobodą.

Spojrzała na męża, który podniósł się z kanapy i chodził niespokojnie po pokoju, rozwodząc się na temat zagrożeń dla świata i dla samej Sary, które mogłoby wywołać wypuszczenie dziewczyny z domu choćby na moment. Wiedziała, że to nie będzie łatwe.

– Kochanie – zaczęła, chcąc wypowiedzieć słowa, które miały zmienić wszystko na zawsze. – Naprawdę twierdzę, że powinniśmy pozwolić Sarze zostać u koleżanki na noc...

Paul Inkman siedział na krześle naprzeciwko doktor Phillips, próbując poskromić narastającą ekscytację. Wyraz uprzejmego zainteresowania nie schodził z jego twarzy. Im dłużej rozmawiał z miejscowymi na temat wydarzeń w Upton, tym bardziej był przekonany, że trafił na jakąś sensację.

Rozmowa z lokalną internistką nie należała może do wyjątkowych, a jej stwierdzenia same w sobie nie powalały na kolana, ale w połączeniu z innymi historiami, które Paul usłyszał tego dnia, dowody na paranormalną aktywność w wiosce były wprost przytłaczające.

– Upewnijmy się, czy wszystko dobrze rozumiem – powiedział do lekarki. – Twierdzi pani, że ludzie w Upton nigdy nie chorują, tak?

– Nie, nie, do takiego stwierdzenia bym się nie posunęła. Ludzie nadal zapadają na choroby, ale wydaje mi się, że z jakiegoś powodu jest ich tu znacznie mniej, niż powinno.

Naprawdę rzadko widuje się kogoś z przeziębieniem czy grypą.

Dzieciaki w naszej podstawówce to chyba najzdrowsze dzieci w całej Wielkiej Brytanii. Od lat nie było tu przypadku ospy wietrznej.

– I to jest takie niezwykle?

Internistką rozparła się w fotelu. Bawiła się ołówkiem, myśląc nad odpowiedzią.

– Tak, chyba tak. Jest to na tyle niezwykle, że zaczęłam się zastanawiać, czy nasze władze nie wykorzystują tego miejsca jako laboratorium i nie rozpuszczają antybiotyków w ujęciach wody czy coś w tym stylu.

Paul pokiwał głową, a potem ostrożnie zadał najważniejsze pytanie: – Od jak dawna to wszystko pani zdaniem trwa?

– Trudno powiedzieć. Wydaje mi się jednak, że zaczęło się jakieś dwa lata temu.

Sara zbiegła po schodach z torbą, do której spakowała wszystkie rzeczy potrzebne na noc. Ojciec czekał na nią w hallu. Miał poważną minę i w pierwszej chwili dziewczynka pomyślała, że zmienił zdanie. Ogarnęła ją rozpacz, ale wtedy ojciec zmusił się do uśmiechu i Sara zrozumiała, że jednak wszystko jest w porządku.

– Bądź ostrożna, młoda damo – powiedział. Po raz pierwszy tego dnia zauważyła, że jego głos jest odrobinę ochryply, a nos wydaje się nieco zapchany. – Uważaj, żebyś nie zrobiła niczego... aaa... aaa... apsik!

Sara odłożyła torbę, chwyciła tatę za rękę i skupiła się. Natychmiast wyczuła tysiące tysięcy mikrobów stłoczonych wokół nosa i gardła. Jej usta poruszyły się lekko, gdy wymawiała słowa konieczne, by je przepędzić.

– W porządku, tato – powiedziała z uśmiechem. – Zaraz poczujesz się lepiej.

Ojciec pokiwał głową niemalże ze znużeniem.

– Dziękuję, kochanie – mruknął smutno. W zadumie potarł podbródek, a potem usiadł na najniższym stopniu schodów. – Saro, jest pewna rzecz, o którą zawsze chciałem cię zapytać.

– O co takiego, tato?

– Cóż... Wiedzmy w książkach czy filmach zawsze warzą jakieś eliksiry w wielkich, bulgoczących kotłach, by rzucać swoje czary. Podświadomie byłem przygotowany na to, że któregoś dnia wrócę z pracy i zastanę cię w kuchni, jak mieszasz skrzydła nietoperza i żabie nozdrza w jednym z

najlepszych rondli mamy. Lecz ty tego nigdy chyba nie potrzebowałaś.

Dlaczego?

– Nie wiem, tato. – Sara usiadła obok niego na schodach. – Wydaje mi się, że w dawnych czasach klienci się tego domagali. Wiesz, chodzi mi o eliksiry miłosne. Skoro przyszedłeś do wiedźmy i płaciłeś jej za to, by mama się w tobie zakochała, pewnie chciałeś otrzymać coś konkretnego. Na przykład ładną buteleczkę z magicznym napojem. W przeciwnym razie, gdybyś po prostu wręczył wiedźmie pieniądze, a potem odkrył, że mama oszalała na twoim punkcie, mógłbyś uznać, że to wszystko twoja zasługa, a wiedźma nie ma z tym nic wspólnego.

Sara przerwała i wybuchła śmiechem.

– A może było inaczej. Może były kiepskimi wiedźmami i potrzebowały pomocy. Ale ja nie potrzebuję. – Uśmiechnęła się z pewnością siebie. – Jestem w tym naprawdę dobra, wiesz przecież, prawda?

– Wiem.

Spojrzał na nią z nieco drżącym uśmiechem i przez krótką, przerażającą chwilę była przekonana, że wybuchnie płaczem, ale jedynie ją objął i przytulił mocno.

– Tylko... Tylko uważaj na siebie, dobrze? – poprosił.

– Nie martw się, tato. Nic złego się nie stanie – powiedziała. Nie wiedziała tego.

Podeksycytowany do granic Paul Inkman przechadzał się to w jedną, to w drugą stronę, a z jego ust wylewał się istny potok słów. Operator kamery Tony siedział na drewnianej ławce piknikowej i słuchał go z powątpiewaniem, tuląc kamerę dla pokrzepienia. Znajdowali się na jedynym publicznym parkingu w Upton – był to wysypany żwirem kawałek pola za kościołem, ograniczony przez zakręt rzeki i wyznaczony ławkami piknikowymi i koszami na odpadki.

– Wszystko to zaczęło się dwa lata temu – mówił Paul. – Pamiętasz dziewczynkę, o której ci mówiłem? Sarę Parker? Wiesz, kiedy się tu przeprowadziła razem z rodziną? Dwa lata temu! Pozostaje tylko jedna rzecz do zrobienia. Musimy ustalić, skąd przybyli, i sprawdzić, czy nie miało tam miejsca jakieś dziwaczne zdarzenie. Jak pójdziemy do jej rodziców z takimi informacjami, nie będą mieli wyboru, będą musieli

zdecydować się na współpracę.

Zatrzymał się i zwrócił bezpośrednio do operatora.

– To temat jak jasna cholera, Tony. I to nasz temat. Musimy tylko pomieszać szyki Sue.

– Taa... jasne – bąknął operator. – Tylko że... Tylko że ona jest gorsza od psa myśliwskiego. Wywęszy dobrą historię na sto mil, Paul. No i wiesz, jak się zachowuje wobec ludzi, którzy ją wkurzą. Pamiętasz, jak Gareth Murray wysłał film, na którym Sue dłubie w nosie, do tego programu, gdzie pokazują fragmenty niewykorzystane podczas montażu?

Gadałem z nim krótko po tym. Mówił, że gdy się spotkali, to jakby go dorwał rottweiler cuchnący Chanel.

– Dowie się, jak już będzie za późno. Do czego czasu zdążymy się wybić.

Rozbrzmiał dzwonek telefonu komórkowego. Paul sięgnął do kieszeni.

– Tak? Och, cześć, Sue. Tak, czekamy na ciebie. Jesteśmy na parkingu za kościołem.

Nie można go nie zauważyć – przerwał i mrugnął do Tony ego. – Obawiam się jednak, że mamy dla ciebie raczej kiepskie wiadomości.

Sara nacisnęła dzwonek i uśmiechnęła się od ucha do ucha, gdy drzwi niemal natychmiast otworzyły się szeroko. W progu stała Emma Williams, istne uosobienie podekscytowania na dwóch nogach.

– Spóźniłaś się! – pisnęła. – Już myślałam, że w ogóle nie przyjdiesz. Właż. Mama powiedziała, żebyś zaniósła torbę na górę, a potem możemy wyjść na dwór. Ale musisz się z nią najpierw przywitać. – Niespodziewanie jej głos przeszedł w dramatyczny szept. – I z Mattem.

– Kto to jest Matt? – spytała równie cicho Sara.

– Jego tata pracuje z moim na uniwersytecie. To Amerykanin. Właśnie się tu przeprowadzili i tata twierdzi, że byłoby fajnie, gdyby miał się z kim bawić. No i mamy go na głowie przez cały weekend. Dalej, wchodź.

Emma poprowadziła Sarę przez korytarz. Razem weszły do pokoju gościnnego, gdzie na kanapie siedziała pani Williams, czytając gazetę i popijając kawę z kubka z wyobrażeniem skorpiona jako znaku zodiaku. Obok niej siedział rozczochrany chłopak w wieku około dziesięciu lat, całkowicie pochłonięty grą komputerową. Trzymał w ręku pad do konsoli, a jego kciuki poruszały się z oszalamiającą prędkością.

– Dzień dobry, Saro – uśmiechnęła się pani Williams. – Cieszę się, że mogłaś nas odwiedzić. To jest Matt.

Chłopak wcisnął klawisz „pause” na padzie i wyszczerzył zęby.

– Cześć – powiedział.

– A może byście... – zaczęła pani Williams, ale w tym momencie odezwał się telefon. – Sekunda – powiedziała, podnosząc słuchawkę. – Halo? Tak, jest. Proszę poczekać. To Tracy. – Podała słuchawkę Emmie.

– A czego ona chce? – spytała Emma lekceważąco, ponieważ Tracy wypadła ostatnio z listy jej najlepszych przyjaciółek. Przyłożyła słuchawkę do ucha i wsłuchiwała się w dobiegający z drugiej strony potok słów. Wyraz jej twarzy zmienił się nie do poznania w okamgnieniu.

– Co? Ale gdzie? Nie, to niemożliwe! Naprawdę to ona? Dobra! Na razie!

– Emma niemalże rzuciła słuchawkę мамie i zaczęła podskakiwać z podniecenia. – To była Tracy!

Mówi, że na parkingu są kamery! I że jest tam Sue Perrigo! Będzie coś kręcić! Musimy się temu przyjrzeć! Może będziemy w telewizji! Chodźmy, Sara!

– Emma! – W głosie pani Williams pojawiła się ostrzegawcza nuta. – Nie zapomniałaś o czymś?

– Aha. Tak. Racja. No... Matt, czy chcesz pójść z nami?

– Pewnie! Super! – Matt poderwał się i znów wyszczerzył zęby do Sary. Emma przewróciła oczami.

– Dobra, to chodźmy wreszcie.

– Nie wierzę ci! – Sue Perrigo syczała na Paula Inkmana. – Jestem w tej wiosce od zaledwie trzydziestu minut, a już wiem, że kryje się tu jakiś dobry temat. Czuję to, po prostu to czuję!

Odwróciła się i ruszyła w kierunku operatora. Jej twarz była pogodna i uśmiechnięta, dzięki czemu czterdziestu – pięćdziesięciu miejscowych gapiów doszło do wniosku, że jest tą samą atrakcyjną, promieniejącą gwiazdą, którą znają z ekranu. Jedynie Tony dostrzegł kamienny wyraz jej spojrzenia i zaczął się cofać. Miał wrażenie, że lada moment czeka go konfrontacja z lalką Barbie wielkości człowieka, nastawioną na tryb mordowania.

– A więc, Andy...

– Tony.

– Mniejsza o szczegóły. No, mów. Mów, co to za temat.

– Eee... Znaczy się... No, ja... Ja nie...

Tony nagle odkrył, że dotyka plecami stołu piknikowego i nie ma dokąd uciekać. Sue położyła mu dłoń na ramieniu i spojrzała prosto w oczy z odległości zaledwie pół metra.

Idealnie przypiłowany, karmazynowy paznokiec gładził jego szyję tuż pod podbródkiem i przez krótką chwilę Tony miał straszliwe przeczucie, że przebije mu skórę i rozerwie tętnicę.

– Nie chcemy chyba rozczarować tych wszystkich ludzi, co? – szepnęła Sue, wskazując gapiów. – Czekają, aż zaczniemy kręcić. Nienawidzę, po prostu nienawidzę rozczarowywać ludzi. Nienawidzę też, gdy sama jestem rozczarowywana...

Tony przymknął oczy i przełknął ślinę.

– Wygląda na to, że jest tu jakaś dziewczynka... – zaczął.

Sara stała za tłumem gapiów, skąd nie dało się niczego dostrzec. Emma, Tracy i Matt przepchnęli się na sam przód, lecz ją wrodzony instynkt samozachowawczy ostrzegł, że nie jest to najlepsze miejsce i o wiele lepiej trzymać się z tyłu. Znudzona odwróciła się i ruszyła wolnym krokiem przez parking w kierunku rzeki. Właśnie wtedy zauważyła małego Tima Griffithsa.

Tim w jakiś sposób zdołał się wymknąć spod opieki mamy, która była wielką fanką Sue Perrigo, i biegł teraz za motylkiem najszybciej jak to możliwe na krótkich nóżkach dwulatka. Problem polegał na tym, że motyl ulatywał w kierunku rzeki.

Sara obrzuciła spojrzeniem tłum – wszyscy wydawali się pochłonięci obserwowaniem ekipy telewizyjnej. Rzuciła się do biegu, lecz było już za późno.

Tim zamachnął się, usiłując złapać motyla, ale nie trafił. Sekundę później stracił równowagę i niemalże bez plusku wpadł do wody. Gdy Sara doskoczyła do brzegu rzeki, chłopiec mknął już z nurtem. Znów z niepokojem obejrzała się na tłum – nikt nie spoglądał w jej kierunku. Wszystko zależało teraz od niej. Nabrała głęboko tchu i skupiła się.

Koncentrowała się tak mocno, że ledwie zwróciła uwagę na wrzask:

„Timothy!”, który niespodziewanie rozbrzmiał gdzieś za jej plecami. Stała na brzegu z uniesionymi lekko rękami, drżąc nieco, gdyż Tim nie należał do lekkich dzieci, i wyciągała go z rzeki jakieś trzydzieści stóp od miejsca, w którym do niej wpadł. Bezpiecznie postawiła go na trawie.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że, nie licząc szlochów Tima, dookoła zapadła absolutna cisza. Odwróciła się i ujrzała pół setki ludzi wpatrujących się w nią z oszołomieniem. Przez dłuższą chwilę nikt nawet nie drgnął, a potem pani Griffiths zerwała się do biegu, podniosła małego Tima i przytuliła go do piersi.

Sue Perrigo ruszyła ku Sarze, obrzuciwszy Paula Inkmana tryumfalnym spojrzeniem.

– Widziałam, czego dokonałaś – powiedziała. – To ty, zgadza się? Jak to zrobiłaś?

Sara zerknęła na tłum i ujrzała na twarzach zaskoczenie i podziw. Nagle zrozumiała, że naprawdę spaprała sprawę. Tym razem nie było już mowy o ucieczce czy przeprowadzce.

Sekret wyszedł na jaw.

Potem spojrzała w oczy Sue Perrigo. To, co w nich ujrzała, przeraziło ją. Zaczęła się cofać, ale Sue nie ustępowała.

– Odejdź! – krzyknęła Sara. – Zostaw mnie w spokoju!

Zacisnęła mocno powieki i osunęła się na ziemię, zakrywając twarz.

– Proszę! – błagała. – Po prostu zostaw mnie w spokoju!

Wokół zrobiło się cicho. Zbyt cicho. Jedyнным słyszalnym odgłosem był jej własny oddech, ciężki i pospieszny. Boże, co tym razem zmalowała? Nie miała odwagi spojrzeć. A wtedy usłyszała jakiś głos.

– Raju, ale to było durne.

Otworzyła oczy. Stał przed nią Matt, przyglądając się jej niemalże ze złością.

– Żeby bawić się magią na oczach wszystkich tych ludzi!

Sara rozejrzała się. Tłum stał nieruchomo niczym zbiorowy posąg. Najbliżej znajdowała się Sue Perrigo, której dłoń zastygła wyciągnięta w stronę dziewczynki, a oczy, choć niewidzące, wciąż patrzyły w miejsce, gdzie przed chwilą była. Przez moment Sara próbowała ustalić, co się właściwie wydarzyło, ale wtedy ujrzała ptaka, który zawisł w powietrzu i

uświadomiła sobie, że fale rzeki również zamarły.

– Ty! – szepnęła do Matta. – Ty za tym stoisz! Ale przecież ty nie możesz mieć... Ty nie możesz być wiedźmą! Ja jestem ostatnią! Jedyłą, która istnieje!

– Oczywiście, że nie jestem wiedźmą! – odrzekł chłopiec niemal z pogardą. – W głowie ci się pomieszało? Wiedźmy są kobietami. Ja jestem czarnoksiężnikiem albo czarodziejem, albo magiem. Mniejsza o nazwę. W każdym razie to co innego.

– Co masz przez to na myśli?

– Wy, wiedźmy, potraficie coś zdziałać jedynie z ludźmi, zwierzętami i roślinami.

Zaraz, jak to dziadek nazwał? Aha. Z rzeczami organicznymi. A moja moc to bardziej... – Matt skupił się, szukając właściwego słowa. – To bardziej żywioty. No wiesz, ziemia, ogień, czas i inne takie.

Sara zaczęła się nad tym zastanawiać. Być może istniał jakiś powód, dla którego nigdy nie wyczuła obecności Matta. Wyteńczyła szósty zmysł i naraz go wykryła, co było dość oczywistym odkryciem teraz, gdy chłopak stał tuż obok. Zimny błękitny ogień huczał w jego głowie, tworząc ostry kontrast z gorącym, czerwonym, niewyraźnym ogniem jej własnej obecności.

– Chodź. – Matt wyciągnął do niej rękę i pomógł jej wstać. – Musimy pogadać.

Podeszli powoli do stołu piknikowego i usiedli plecami do szeregu znieruchomiłych ludzi, których widok powodował ciarki. Sara nigdy wcześniej nie słyszała takiej ciszy.

– Jakies dwa lata temu odkryłem twoją obecność – zaczął Matt. – Istniały jeszcze inne wiedźmy, ale chyba poumieraly. W każdym razie wyczułem, że jesteś ostatnia. A po śmierci mojego dziadka okazało się, że jestem ostatnim czarownikiem. Wydawało mi się, że dobrze byłoby się spotkać, ale manipulowanie rodzicami w taki sposób, by się tu sprowadzili i niczego nie zwęszyli, zabrało mi prawie dwa lata.

– Nie wiedzą nic o twoim talencie?

– Jeszcze czego! Moi rodzice to głęboko wierzący katolicy. Gdyby się kapnęli, że mam takie moce, pewnie pomyśleliby sobie, że jestem jakimś Szatanem czy czymś w tym stylu. Doszliby do wniosku, że trzeba mnie

poświęcić i poddali by mnie egzorcyzmom albo jakimś innym głupotom. Nie, dziadek zajmował się mną, gdy byłem mały i dołożył wszelkich starań, by nigdy mnie nie przyłapali.

– A twój dziadek... On też był czarodziejem?

– Uhm. To u nas rodzinne. Zawsze mieliśmy czarodziejów w rodzinie, począwszy od prapraprapraprapradziadka, który przyjechał z Salem. Ale mój dziadek był pierwszym, który powiązał to wszystko z nauką. Poszedł na uniwersytet i przeprowadził masę badań. I zgadnij, co odkrył?

– Co?

– Że to wszystko jest genetycznie dziedziczone.

– Gene... Co?

– Chodzi o to, że te moce przechodzą z rodziców na dzieci, ale słabną, jeśli tylko jedno z rodziców nimi władało. Dziadek mówił, że po tych wszystkich polowaniach na czarownice wieki temu, więdźmy i czarownicy rozproszyli się, a ich moc zaczęła słabnąć. Powiedział, że gdybym znalazł więdźmę i się z nią ożenił, przekazałibyśmy naszym dzieciom większą moc.

– A zatem co mamy zrobić?

– Jesteśmy ostatni. Wygląda na to, że będziemy musieli narobić trochę dzieci.

– Co? Teraz?

– Rany, nie, nie od razu. Słuchaj, mam jedenaście lat, a ty dziesięć. Mielibyśmy nieźle przerażane u rodziców, co nie? Nie, chodzi mi o to, że gdy dorośniemy. Póki co musimy się po prostu trzymać razem i troszczyć o siebie.

– Jak przyjaciele? – zapytała Sara.

Matt spojrział na nią i uśmiechnął się raz jeszcze.

– No. Jak przyjaciele.

Sara niespodziewanie zdała sobie sprawę, jak puste i samotne było jej życie przez ostatnie dziesięć lat. I nagle to uczucie znikło całkowicie.

– Chodź – powiedziała. – Lepiej zrobmy coś z tymi wszystkimi biedakami na parkingu.

Odwrócili się w stronę nieruchomego tłumu.

– Muszę trochę podreperować każdemu z nich pamięć – powiedział Matt. – Nie będą potem pamiętać niczego z dzisiejszego dnia. Powinno

wystarczyć.

Sara spojrzała na Sue Perrigo, a potem przeniosła wzrok na Paula Inkmana.

Mężczyzna patrzył na Sue z nienawiścią wypisaną na twarzy.

– Szkoda tej dwójki. Tak bardzo się nie lubią. Chciałabym, by się zmienili i polubili.

– No to czemu się za to nie weźmiesz? Masz odpowiedni talent.

I tak Sara sięgnęła w głąb umysłów Paula oraz Sue i dokonała lekkich zmian w ich emocjach. Potem Matt zrobił coś, co przekraczało jej umiejętności, i wszystko wróciło do normy. Rzeka popłynęła, ptak poleciał, a ludzie zaczęli się ruszać. Każdy z nich zawahał się na moment i rozejrzał zdumiony, myśląc dokładnie o tym samym, co cała reszta: „Co ja tu robię? Niczego nie pamiętam...”.

Wtedy Paul Inkman spojrzał na Sue Perrigo, a ona spojrzała na niego. Coś między nimi zaiskrzyło, błysnęło, a w końcu eksplodowało. Ruszyli ku sobie biegiem, zwarli się w uścisku pełnym pasji, a ich usta zwarły się w chciwym, namiętym pocałunku.

Matt otworzył szeroko oczy, gdy Sue zaczęła zrywać z Paula ubranie.

– O ja cię! – mruknął do Sary. – Nieźle ci to wyszło. Teraz to naprawdę się lubią. Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak silne są twoje moce.

Wpatrywał się w nią z niekłamanym podziwem i dziewczynka odwróciła spojrzenie, zażenowana, a mimo to zadowolona.

– Chodźmy – powiedziała. – Wynośmy się stąd. Ścigamy się?

Ruszyła w podskokach przez parking, a Matt pognał za nią, wyszczerzony od ucha do ucha.

I tak się to wszystko zaczęło. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, ale właśnie zaistniały okoliczności niezbędne do rozpoczęcia kolejnego etapu w ludzkiej ewolucji. *Homo neandertalis* zniknął trzydzieści tysięcy lat temu, a *homo sapiens* właśnie szykował się do odejścia na śmietnik historii. Dwójka rozkosznie nieświadomych swego znaczenia dzieci, założyciele puli genetycznej *homo magicus*, biegła ze śmiechem do domu.

Kiedy trzydzieści lat temu natknąłem się przypadkiem na pierwszą powieść Louise Cooper The Book of Paradox (1973), moje zdumienie nie miało granic. Nie mogłem znaleźć nic innego jej autorstwa, nie było też żadnych informacji na jej temat nawet mimo tego, że kilka lat później ukazała się jej kolejna, zaskakująca książka Lord of No Time (1977). Dopiero w roku 1985, gdy wyszła jej powieść The Initiate, otwierająca cykl Time Masters, Louise zaczęła zdobywać sławę w świecie fantasy, choć w międzyczasie napisała kilka horrorów, jak choćby Blood Summer (1976) oraz In Memory of Sarah Bailey (1977). Na szczęście od roku 1985 Louise Cooper (ur. w 1952) pisuje fantasy regularnie. Jest autorką cyklów Indigo, zapoczątkowanego przez Nemesis (1988), Chaos Gate rozpoczętego przez The Deceiver (1991) oraz Star Shadow. Ten ostatni zaczął się od Star Ascendant (1994), a poniższe opowiadanie jest wycinkiem z tej właśnie powieści, który nie dość, że sam stanowi zamkniętą całość, to jeszcze przypomina czytelnikowi o mocy i potencjale, jaki drzemie w serii.

Louise Cooper

OSTATNIE RYTUAŁY

Dziwny głos przedzierał się przez smacznego snu. Benetan odwrócił się w łóżku, instynktownie naciągając ciężką kołdrę na uszy.

– Benetan. Rusz się. Wstawaj.

Tym razem nie był to szept, a rozkaz, i to ponaglący. Owa istota z parą ust, która pełzła przez wyśniony krajobraz, zadrżała i rozplynęła się w powietrzu. Benetan obudził się, otoczony ciemnością, którą rozpraszała jedynie drobna, migotliwa plamka światła. Ponad nim połyskiwała w mroku para oczu. Gdy przywykł do ciemności, dojrzał niewyraźny obrys ciała, przypominający cień ludzkiej postaci.

– Co... – Benetan ugryzł się w język, gdy tylko jego umysł zaczął

funkcjonować.

Z ciemności wysunęła się dłoń i nakryła płomień świecy. Blask opromienił cienkie, długie palce, a potem gość dmuchnął lekko i płomień ożył, skoczył wyżej, oświetlając wąską twarz wyrytą w czarnym i srebrnym cieniu.

– Savrinor!

Resztki snu znikły bez śladu i Benetan poczuł, że jest całkowicie rozbudzony.

– Co się dzieje? Która godzina?

– Drugi wschód księżyca.

Savrinor, który nosił oficjalny tytuł historyka, lecz bardzo często działał poza murami zamku, podszedł do okna i odsunął zasłonę. Do pokoju wpadło pod kątem zimne, szare światło, w którym postrzępione kosmyki długich, jasnych włosów mężczyzny zetlały, pozbawione koloru, a twarz z wąskim, zgrabnym nosem nabrała ptasiego wyglądu. Savrinor podniósł świeczkę i przytknął jej płomień do niewielkiej lampy stojącej na stoliku nocnym.

– Lepiej się ubieraj, przyjacielu. Tej nocy już nie pośpimy. – Jego oczy, kocie i bladoniebieskie, patrzyły prosto na Benetana. W pokoju, mimo światła świecy i blasku księżyca, nadal panował półmrok. – Pierwszy Mag wreszcie umiera.

Benetan usiadł na łóżku.

– Tej nocy? Skąd ta pewność?

Savrinor wzruszył ramionami. Ten prosty gest wystarczył za całą odpowiedź.

– Mam uszy i umiem z nich korzystać. Na dole coś się porusza, kości zamku się przemieszczają. Ludzie już szepczą po kątach, że Brama Chaosu otwiera się od środka.

Przebija się do nas coś nieproszonego, a obaj dobrze wiemy, że to może oznaczać tylko jedno.

– Emisariusz?

– By porwać jego duszę. – Savrinor pozwolił sobie na lekki uśmiech pozbawiony emocji. – Zaryzykowałbym stwierdzenie, że przed świtem będzie po wszystkim. Uradujesz wielce naszych władców, wyprzedzając

ich rozkaz i przygotowując się, nim ci po ciebie poślą.

– Jeśli masz rację... – zaczął Benetan, ale urwał. Savrinor nigdy się nie mylił. Stąpał po wąziutkiej ścieżce między jedną frakcją a drugą, więc nie mógł sobie pozwolić na błąd.

Benetan przerzucił nogi przez krawędź łóżka i wstał.

– Jestem twoim dłużnikiem.

– Nie, skądże. – Savrinor spoglądał na niego z czymś na kształt dobrze skrywanego podziwu przemieszanego z odrobiną zazdrości. – To ja wciąż jestem twym dłużnikiem za tę małą, ciemną dziewczynkę, którą znalazłeś dla mnie podczas ostatniego wypadu.

Benetan gwałtownie odwrócił się ku niemu ze zwężonymi oczyma, doszukując się sarkazmu w jego słowach.

– Znudziłeś się nią w cztery dni.

– Może i tak, ale przez owe cztery dni była to dla mnie przyjemna odmiana. A zatem przysługa za przysługę – rzekł Savrinor i znów się uśmiechnął. – Będziemy wtedy kwita.

Zawsze dokładnie pamiętał wszystkie przysługi, które mu wyświadczano, jak i te, które sam wyświadczal. Wykształcił również pokrętny i często niezrozumiały kodeks etyczny, dzięki któremu można było mieć pewność, że zawsze niezwykle skrupulatnie uiszcza bądź wyegzekwuje zapłatę w naturze. Benetan skinął głową.

– Dobrze więc. Dług wyrównany. Jesteśmy kwita.

Ubierał się szybko, krzywiąc z niechęcią, gdy lepki, wilgotny materiał dotykał jego nagiej skóry. Jego ceremonialne szaty wisiały niedbale przerzucone przez krzesło. Zapiął ciężkie, srebrne epolety z siedmioma kwarcowymi wisiorami, a potem ściągnął tunikę szerokim czarnym pasem ze skóry, na którym niczym osobliwe oczy połyskiwało siedem różnokolorowych klejnotów.

– Wydaje mi się, że nasi władcy mogą się domagać dodatkowej ofiary dziś w nocy – rzekł Savrinor, gdy Benetan mocował się ze skomplikowaną kłamrą.

Benetan przerwał i uniósł głowę, ale twarz gościa niczego nie zdradzała. Widniał na niej jedynie ów delikatny, przebiegły uśmiech, który zaczynał go z wolna irytować.

– Dodatkowej? – spytał krótko. – Czemu?

Savrinor wzruszył ramionami.

– Wiesz, kto został wybrany na następcę?

– Nie, nie wiem. Nie jestem wtajemniczany w sekrety magów.

– Nikt z nas nie jest wtajemniczony, ale niektórzy tu i ówdzie podchwytyją plotki i ploteczki. Gdy zamykamy się w naszych pustych komnatach, czasem zabawiamy się ich analizowaniem. Zdarza się, że przynosi to rezultaty.

Uśmiech Savrinora stał się szyderczy.

– Twą największą wadą, Benetanie, jest to, że interesują cię tylko szczegóły twoich zadań.

– Tak jest o wiele bezpieczniej – ostro odparł Benetan.

– Może i bezpieczniej, lecz o wiele nudniej. – Savrinor ruszył w kierunku drzwi, ostrożnie mijając porozrzucane po pokoju graty. Wyglądało na to, że zamierza wyjść, ale naraz zatrzymał się i odwrócił. – A zatem twa godna podziwu roztropność nie dopuści, byś poznał imię człowieka, który przejmie pozycję naszego Pierwszego Maga. Szkoda.

Sięgnął ku kłamce. Benetan westchnął. Ulubioną rozrywką Savrinora były rozmaite gierki – jeśli ktoś chciał poznać prawdę bardziej niż tylko powierzchownie, musiał stać się graczem i grać wedle ściśle wytyczonych zasad.

– No dobrze – powiedział ze znużeniem. – Mów.

– Sza! – Savrinor uniósł długi palec. Słabe światło lampy ledwie sięgało jego pociągłej twarzy, przez co wyglądała upiornie i niemalże nieludzko. – Ani mi się śni wystawiać cię na niebezpieczeństwo wbrew twojej woli.

Nie po raz pierwszy w trakcie ich długiej znajomości Benetan nabrał ochoty, by po prostu zdzielić historyka. Wiedział, że zdołałby wydobyć z niego wszelkie potrzebne informacje w ciągu minuty. Był przecież dwanaście lat młodszy i kilka cali wyższy, a historyk zawsze okazywał się tchórzem, gdy dochodziło do walki. Jednakże bez względu na to, co Benetan sądził o ich przyjaźni, nie miał wątpliwości, że w ten sposób zyskałby jedynie śmiertelnego wroga.

Zmusił się do rozluźnienia mięśni.

– Proszę, Savrinorze. Brak mi czasu i zdolności, by fechtować się z tobą

na słowa.

Na twarzy gościa pojawił się łaskawy uśmiech, lecz równie szybko z niej znikł.

Savrinor spojrział Benetanowi prosto w oczy.

– Vordegh – powiedział.

Benetan poczuł, jak przez jego jelita prześlizgnął się zimny, oślizgły robak. Otworzył usta, chcąc wymówić sylaby imienia, ale jego ust nie opuścił żaden dźwięk. Przełknął ślinę.

– Jesteś pewien?

– Jestem tego tak pewien, jak tylko można być pewnym czegokolwiek, co nie uzyskało oficjalnego potwierdzenia.

– Ale on jest...

Savrinor uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

– Nie mów tego. Nie mów tego ani w żartach, ani w gniewie. Nie mów tego w żadnych okolicznościach. – Z jego głosu znikły wszelkie ślady wesołości. – Przyjmij moją radę i nawet o tym nie myśl, oczywiście jeśli zależy ci na przyszłości.

Miał rację. Benetan dobrze znał talent i temperament Vordegha, choć ku swej nieskończonej uldze sam nigdy nie stał się obiektem gniewu maga.

A mimo to trzeba się strzec, odezwał się jakiś głos w jego głowie i Benetan bezwiednie dotknął niewielkiego amuletu w kształcie gwiazdy, zawieszzonego na żelaznym łańcuchu na szyi.

– Tak więc... – ciągnął cichym głosem Savrinor. – Tak więc myślę, że docenisz mą troskę o to, by wszystko tej nocy poszło gładko.

– Tak. Jestem ci też ogromnie wdzięczny za ostrzeżenie.

– Ech! – Savrinor ponownie wykonał ostrzegawczy gest, lecz podstępny uśmiezek już powrócił na jego twarz. – Uważaj na siebie. Bo inaczej przypomnę sobie twoje słowa i uznam cię za dłużnika.

Nie zawsze było wiadomo, kiedy Savrinor żartuje, a kiedy mówi prawdę. Nie potrafiąc nic wyczytać z jego twarzy, Benetan wzruszył ramionami, uśmiechnął się słabo i ruszył w ślad za nim na korytarz.

W ciemnościach rozpraszanych jedynie mizernym blaskiem świeczki Savrinora, obaj mężczyźni przemierzali przyprawiający o zawroty głowy labirynt sal i schodów, idąc ku stajniom. Przez niewielkie drzwi wydostali

się na dziedziniec. Benetan zatrzymał się na moment, by wciągnąć w płuca chłodne powietrze nocy i rozejrzeć się dookoła. Wiedział, że nigdy nie zdoła się przyzwyczaić do wrażenia, jakie robił zamek widziany w całości. W nocy atmosfera bijąca z nagich kamieni zdawała się dwakroć bardziej przejmująca, co wręcz napawało niepokojem. Ponure, czarne mury, których kanciastość stanowiła perwersyjny dowcip ze strony architektów i ich nadprzyrodzonych zleceńodawców, wyrastały z każdej strony na planie kwadratu, nie odbijając żadnego światła, pochłaniając spojrzenia niczym czarne wiry. Znad dachów części mieszkalnych wyrastały cztery gigantyczne czarne wieżycy, lśniące w kapryśnym świetle księżyca, zuchwale mierząc ku upstrzonemu chmurami niebu.

Benetan zwalczył atak lęku wysokości i zerknął ku ich szczytom, a wtedy dostrzegł, że wysoko umieszczone okna każdej wieży emanowały przyciemnionym, budzącym niepokój blaskiem. Był to znak, że ktoś tam czuwał i wyczekiwał. Benetan szybko odwrócił spojrzenie.

– Widzisz? – zapytał cicho stojący obok Savrinor. – Szykują się. A jeśli się na chwilę zatrzymasz i skupisz, poczujesz, co właśnie ku nam zmierza.

Benetan niechętnie uspokoił oddech i napiął mięśnie. Początkowo słyszał jedynie złowróżbny pomruk morza i fale bijące w ogromną skałę, na której stał zamek. Dopiero po chwili głęboko pod stopami, o wiele głębiej, niż sięgały fundamenty, wyczuł pulsujące, równomierne wibracje. Nie słyszał ich w dosłownym tego słowa znaczeniu, bowiem towarzyszący im dźwięk był zbyt wysoki, by ludzkie ucho mogło go wychwycić. Benetan nie miał jednakże wątpliwości, że oznacza on jakiś ruch. Krew zakrzepła mu w żyłach, a ciało pokryło się zimnym potem.

Zerknął na towarzysza z gniewną, napiętą twarzą.

– Nie mam czasu do stracenia, Savrinorze. Muszę skrzyknąć ludzi.

– Oczywiście – przytaknął historyk i ruszył w ślad za Benetanem w poprzek opustoszałego dziedzińca.

Chmury rozstały się. Pierwszy i większy z dwóch księżyców wisiał na niebie niczym pozbawiona ciała twarz, przyćmiewając odległe migotanie co jaśniejszych gwiazd i zalewając dziedziniec zimnym blaskiem. Cienie obu mężczyzn sunęły po kamieniach brukowych. Benetan usiłował opanować dreszcze – tu, na północnych obszarach, lato ustępowało szybko

i w ostrym wietrze znad morza wyczuwało się rychłą zmianę pór roku.

Coś mignęło na niebie, jakiś krótkotrwały błysk przypominający odległą błyskawicę.

Benetan uniósł bezwiednie głowę i ujrzał syczące wyładowanie elektryczne, rozpięte nad szczytami wieżyc w odpowiedzi na sygnał nieba. Serce zabiło mu szybciej i nieświadomie wykonał odruchowy gest prawą ręką. Savrinor, któremu nie umykał żaden szczegół, uśmiechnął się bez wesołości.

– Tak, zbliża się burza Spaczenia – powiedział i sam w zamyśleniu zerknął ku niebu. – Potężniejsza niż zwykle, jak sądzę. Czeka nas imponujący spektakl.

Na północy rozlał się słaby blask, mdłe promieniowanie sugerujące, że coś wrogiego czyha za horyzontem. Między szczytami wieżyc znów wykwitła uwieczona błyskawica.

Benetan nieświadomie przyspieszył kroku, aż idący za nim Savrinor zmuszony był biec. W blasku księżycy majaczyła przed nimi bryła stajni. Wkroczyli w cień rzucany przez wysklepione wejście. Benetan odniósł wrażenie, że napięcie zaczyna go opuszczać, gdy tylko usłyszał stłumione szuranie kopyt o ziemię wysłaną słomą i poczuł ciepły zapach rumaków.

Ich oczy lśniły w świetle pojedynczej latarni. Gdy kroki obu mężczyzn poniosły się echem po pomieszczeniu, ze stosu snopków siana poderwała się jakaś postać. W pospiesznych ruchach znać było strach.

– Kapitan Liss! – w jej głosie pojawiła się ulga.

Benetan spojrzał twardo na młodego wartownika, który szybko otrzepał ubranie.

– Spałeś, Colas?

– Na moment zmrużyłem oczy, sir – bąknął żołnierz. Po wyrazie twarzy przełożonego poznał, że ten nie da się nabrać. Przełknął ślinę. – Przepraszam, sir.

Świadom, że Savrinor nie spuszcza zeń leniwego spojrzenia, Benetan oznajmił: – Nigdy więcej nie chcę tego widzieć, Colas. Innym razem może cię obudzić ktoś o wiele mniej tolerancyjny.

– A to może nastąpić już jutro – wtrącił Savrinor, wchodząc w krąg światła latarni.

Na widok historyka z twarzy Colasa odpłynęła krew. Mężczyzna uklonił się pospiesznie.

– Mistrzu Savrinorze, ja...

– Zachowaj wymówki dla dowódcy, chłopcze. Ja nie mam zamiaru trudzić się składaniem meldunków o pomniejszych naruszeniach dyscypliny. – Savrinor z pogardą odwrócił się na pięcie, a Benetan skinął na Colasa.

– W porządku. Nie masz się czego obawiać.

Czuł, że stąpa po pewniejszym gruncie, że wreszcie znalazł się w znajomym żywiole.

Utracona pewność siebie powracała.

– Obudź stajennych i zbrojnych.

– Tak jest, sir.

Colas ma pewien potencjał, pomyślał Benetan. Uczy się nigdy nie kwestionować rozkazów.

Młodzieniec pobiegł ku drzwiom prowadzącym do zatłoczonej sali sypialnej, przeznaczonej dla stajennych. Nagle zawahał się i odwrócił.

– Proszę o wybaczenie, sir. Czy powiedziec stajennym, ile koni będzie potrzeba?

Benetan miał już gotową odpowiedź, lecz nim zdążył otworzyć usta, Savrinor położył drobną dłoń na jego ramieniu.

– Nie sędzę – szepnął.

Benetan również się zawahał, ale potem spojrział na przeciwległy koniec stajni, gdzie w półmroku lśniły żelazne, zaryglowane ciężką zasuwą drzwi, poza tym niewyróżniające się niczym szczególnym. Zrozumiał intencje towarzysza. Upłynęło sporo czasu, odkąd jeźdźcy Chaosu musieli korzystać z dodatkowych wierzchowców, ale zapowiadała się szczególna noc i nic nie było pewne.

Opanował dreszcz i zwrócił się raz jeszcze do Colasa, który spoglądał na niego w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Dziś w nocy konie nam się nie przydadzą, Colas. Mamy inne zadania.

– Tak jest, sir – odparł młodzieniec. Lekko zmarszczył brwi, przez co stało się jasne, że nie rozumie, o co chodzi dowódcy.

W końcu to nowy rekrut elitarnej jednostki, przypomniał sobie Benetan.

– Obiecujący – stwierdził łagodnym głosem Savrinor, gdy za plecami Colasa zamknęły się drzwi. – Ale nie został wychowany na zamku, jak sądzę.

– Przybył tu w zeszłym roku z jakiejś wsi na wschodzie. Dopiero się uczy.

– Podobnie jak i ty w swoim czasie.

– Tak.

Ich spojrzenia spotkały się na moment i Savrinor ujrzał w oczach Benetana dokładnie to, czego się spodziewał: niesmak i narastający lęk. Ponownie położył dłoń na ramieniu kapitana.

– Przyjmij radę od dobrego przyjaciela i nie marnuj czasu i energii na rozmyślania o tym, co dopiero ma się wydarzyć – powiedział.

Mocniej zacisnął długie, smukłe palce. Gest był nieco zbyt poufały jak na gust Benetana, więc kapitan odepchnął dłoń, poklepując lekko towarzysza.

– Świt przecież nadejdzie – rzekł Savrinor.

– Ja nie potrzebuję... – zaczął ze złością Benetan, ale nim zdołał wyartykułować myśl, jego uwagę przykuł jakiś dźwięk dochodzący z wnętrza zamku. Było to pojedyncze uderzenie dzwonu, przeciągłe, dźwięczne i donośne, rozbrzmiewające długim echem.

Savrinor zwięził powieki, nagle spięty, a potem obrzucił pospiesznym spojrzeniem Benetana. Pokiwał głową.

– Tak jak myślałem. Najlepiej będzie, jak wyjdziemy na zewnątrz.

Metaliczne bicie dzwonu rozlegało się raz za razem, gdy maszerowali ku dziedzińcowi i niespodziewanie umilkło, gdy wyszli na zewnątrz. Cisza, która nastąpiła, była przejmująca i niesamowita, przez dobrych kilka minut nie zmącił jej żaden odgłos. Potem gdzieś w pobliżu głównej bramy otworzyły się drzwi. Benetan aż podskoczył na odgłos zdejmowanej zasuw. Na dziedzińcu wpadło trzech mężczyzn, zaraz za nimi kolejni.

Otwierały się następne drzwi, od strony zamku wyroiły się ciemne postacie zmierzające ku stajni. Blask księżyca odbijał się od metalu, pobrząkiwały ostrogi i klamry pasów.

– Chyba powinienem być gdzieś indziej – wymamrotał Savrinor.

Benetan nie bez trudu pozbierał myśli.

– Dziękuję ci, Savrinorze. Oddałeś mi dzisiaj wielką przysługę.

Historyk rozciągnął usta w uśmiechu, przez co w słabym świetle jego twarz zaczęła przypominać czaszkę.

– Pomyślnych łowów – powiedział i odszedł cicho niczym cień.

– Kapitanie Liss!

Pierwsza grupa ludzi już podbiegała do Benetana. Każdy zasalutował, dotykając emblematu na piersi – Siedmioramiennej Gwiazdy.

– Dzwon! – mówili jeden przez drugiego. – Dzwon! Czy to oznacza, że...

– Tak – wtrącił bezceremonialnie Benetan. – Stajenni są właśnie budzeni.

Z ulgą stwierdził, że szkolenie wzięło górę i stłumiło w żołnierzach mdłości niepokoju.

– Będę potrzebował całej załogi – ciągnął. – Jeśli nie ma wystarczającej ilości ludzi, wyciągnijcie chorych z łóżek. Chcę, by wszyscy stawili się w gotowości w ciągu dziesięciu minut. Gdzie wasz sierżant?

– Tu jestem, kapitanie – odezwał się przywołany żołnierz. Jego ciemne oczy lśniły na bladej twarzy, a rangę potwierdzała karmazynowa naszywka na ramieniu.

– Ma pan dziesięć minut. Pod żadnym pozorem nie wolno pokpić sprawy – oznajmił Benetan, a potem podszedł bliżej i szepnął sierżantowi do ucha: – Plotki mówią, że to będzie Vordegh.

W oczach sierżanta ujrział lęk, a jakże, lęk, który sam odczuł, gdy Savrinor przekazał mu wieści. Poczuł, że ledwie wymówił imię maga, a strach znów zaczyna się w nim budzić, przygotowując jego niepokój szczyptą goryczy.

I są ku temu dobre powody, stwierdził w myślach Benetan, gdy sierżant się oddalił.

Bardzo dobre powody.

Gdy nadeszło oczekiwane wezwanie, byli już gotowi. Czterdziestu dziewięciu uzbrojonych po zęby wojowników stało w milczeniu w siedmiu szeregach przed stajnią.

Benetan słyszał, jak w środku konie przebierają nogami i tupią z niepokojem – im także udzielił się wszechobecny niepokój. Wyglądało jednak na to, że jeźdźcy Chaosu nie będą ich tej nocy potrzebować.

Niebo zaczynało się burzyć. Wieżyce nie pluły już drżącymi ładunkami

energii, ale błyskawice na dalekiej północy migotały niemalże nieprzerwanie, a po niebie przemykało niepokojące spektrum kolorów, przesłaniając gwiazdy. Księżyc wciąż było widać, lecz otaczała go blada, budząca przerażenie aureola. Brakowało tylko minut, by jego oblicze zostało całkiem wymazane przez przybierającą na sile nadprzyrodzoną burzę, znaną przez kulący się ze strachu świat jako Spaczeń.

Z wytężonymi zmysłami Benetan oczekiwał pierwszych odległych, niesamowitych głosów zwiastujących natarcie Spaczenia. Znów oblał go pot, a do jego wilgotnej skóry lepił się czarny jedwab koszuli i spodni, co potęgowało dyskomfort. Założył srebrny diadem z wyszukаныmi zdobieniami, który otaczał również oczy, nadając twarzy przerażającego wyglądu. Dzięki niemu rozpuszczone, niezaplecione w warkocz czarne włosy nie przesłaniały mu widoku, ale też nie mógł ocierać potu, który perlił się na czole. Za każdym razem, gdy mrugał, drobinki potu zawisały mu na rzęsach, załamując blask księżyca odbijany przez srebrne mankiety oraz migotliwe diamenty wokół pasa i ramion. Mocno zaciskał zęby – choć próbował ze wszystkich sił, nie był w stanie powstrzymać tego odruchu – i nasłuchiwał pierwszego piekielnego wrzasku z północy. Cały czas czekał też na wezwanie, które zgodnie z jego wiedzą mogło nadejść w każdej chwili. Niespodziewanie zaalarmowały go inne dźwięki – szelest drewna o kamień i zgrzyt zawiasów – i natychmiast odwrócił się w stronę głównych wrót zamku.

Po schodach prowadzących do wejścia spłynął cień, a na progu pojawił się człowiek.

Osobliwy, niepokojący blask otaczający księżyc, jak również inne, mniej zauważalne źródła światła zniekształciły jego postać, przez co nie sposób było go rozpoznać, ale postawa i ciężka szata zdradziły Benetanowi, że to nie byle sługa. Przez krótką chwilę nowo przybyły rozglądał się wokół siebie, a potem uniósł dłoń i wykonał krótki gest. Benetan z bijącym mocno sercem popędził przez dziedziniec i wbiegł na schody.

– Kapitanie Liss – odezwał się przybysz suchym, ostrym głosem. Stare, lecz przenikliwe oczy zlustrowały sylwetkę Benetana spod pomarszczonych powiek. Dziwaczne kształty wyhaftowane kunsztownie na szacie maga wiły się i poruszały niczym obdarzone własnym życiem. –

Należy ci się pochwała za szybką reakcję.

– Dziękuję, panie – rzekł Benetan.

Sam za nic nie potrafił skupić spojrzenia. Dotknął dłonią piersi w geście salutu, czuł też, bardziej niż widział, że gdzieś nad jego głową drży niebo. Mag zszedł ze schodów i zagłębił się w wysoki, otulony ciszą korytarz, gdzie jedynym odgłosem były jego kroki.

Benetan ruszył za nim, utrzymując nakazany szacunkiem dystans.

– Domagamy się dziś w nocy pełnego żniwa – powiedział sucho mag. – Spełnij naszą wolę, a twoja karność zostanie pochwalona przed tymi, którym mamy zaszczyt służyć.

– Jestem wam wdzięczny, mój panie. Wypełnię obowiązki najlepiej, jak potrafię.

Benetan zwalczył drżenie policzka i w duchu pobłogosławił Savrinora.

Mag pokiwał głową.

– Nie prosimy o nic więcej, ale nasze żądania mają być spełnione całkowicie. Czy dysponujesz pełną grupą jeźdźców?

– Tak, panie.

– Dobrze. A zatem jesteś gotów przyjąć sakrament?

– Ja... – Niespodziewanie Benetanowi załamał się głos. Zmusił go do posłuszeństwa. – Jestem gotów, mój panie.

Usłyszał pierwsze, na razie jeszcze ciche zawrozczenie znad morza oznaczające, że Spaczeń ruszył w kierunku półwyspu. Za dziesięć minut, góra piętnaście, owa straszliwa moc natrze z wyciem, rozpoczynając dzikie, śmiertelne gody. On zaś musiał stawić jej czoła i poprowadzić jeźdźców w sam środek wściekłego żywiołu.

Usłyszał też, jak mag odwrócił się i pstryknął palcami. Jego służąca wychynęła z mroku cichutko, jakby z wahaniem. Trzymała tacę, na której stał dzban i niewielki kielich wycięty z jednego diamentu. Unikając spojrzenia maga, opadła przed nim na kolano i uniosła tacę.

Gdy mag napełniał puchar aż po brzegi, Benetan usiłował uspokoić łomoczące serce.

Dostrzegając niewyraźny, migotliwy blask płynu i nagle wbrew sobie zapragnął go z całego serca, pożądał stanu, w jaki miał go wprowadzić. Ten eliksir miał być murem, który obroni go przed strachem, tarczą, która

osłoni rozsądek przed tym, co miało nadejść. Przenikliwe, bezlitosne oczy wpatrywały się w Benetana, zdając się przenikać jego czaszkę i docierać do samego umysłu. Mag uśmiechnął się lekko i wyciągnął przepelniony kielich.

Yandrosie, największy z panów Chaosu, dodaj mi dziś odwagi, pomyślał Benetan z zamkniętymi oczami. Cicha modlitwa przepłynęła przez jego umysł, a potem uniósł kielich do ust i opróżnił go najszybciej, jak mógł.

Czuł, jak smak przełykanej cieczy pali mu język, a ciepło spływa do żołądka. Potem, lekko chwiejąc się na nogach, odstawił kielich na tacę.

– Labirynt stoi przed tobą otworem. Radziłbym nie zwlekać – rzekł mag, wskazując drzwi. – Miej oczy i uszy szeroko otwarte. Dobrych łowów.

Świadom, że te słowa mogą być zarówno błogosławieństwem, jak i ostrzeżeniem, Benetan powtórzył oficjalny salut. Służąca wręczyła mu tacę. Usatysfakcjonowany mag skinął i odszedł, a oszołomiony Benetan zwrócił się ku podwórcowi.

Na czele szeregu ludzi oczekiwało go dwóch sierżantów. Jeden z nich wziął od niego tacę, a Benetan rzucił oschle: – Dopilnuj, by każdy wziął tęgi łyk.

– Tak jest, sir! – krzyknął sierżant, doskonale rozumiejąc rozkaz.

Benetan poczuł mdłości, których nie mógł wyjaśnić działaniem narkotyku. Stał i przyglądał się, jak sierżant niesie dzban wzdłuż szeregu, a każdy z jego ludzi po kolei wypija przysługującą mu porcję. Potem zerknął nad swym ramieniem i ujrzał Colasa, który z szeroko otwartymi oczyma czekał przy wrotach stajni. Ten chłopak był zbyt młody i zbyt niedoświadczony na coś takiego – lepiej go zwolnić z obowiązków jeszcze teraz i nie ryzykować, nim będzie gotowy. Benetan przywołał go gestem, a Colas przybiegł na żądanie.

– Kapitanie?

– Do łóżka, Colas. Nie będę cię już dzisiaj potrzebował.

– Ale sir...

– Do łóżka, powiedziałem. W przeciwnym razie jutro czekają cię baty za niesubordynację.

Nie miał zamiaru traktować chłopaka szorstko, ale nie było czasu na wyjaśnienia.

Gdyby Colas ociągał się i został w pobliżu, nie wypiuwszy wcześniej narkotyku, jego zdrowie psychiczne znalazłoby się w poważnym niebezpieczeństwie.

Oczy Colasa zblakły. Chłopak dotknął lewego ramienia.

– Tak jest, sir.

Odwrócił się sztywno i odszedł, usiłując zachować resztki godności po tym, jak ucierpiała jego duma.

Nad głowami żołnierzy niebo wypluwało karmazynowe błyskawice, a wciąż odległy dźwięk przypominający śpiew przybierał na sile niczym fala przypływu, akcentowany co rusz przez odległy grzmot. Bez żadnego ostrzeżenia scena, której przyglądał się Benetan, uległa zniekształceniu, jak gdyby spoglądał na nią z innego wymiaru. Iluzja trwała zaledwie sekundę, ale uświadomiła mu, że narkotyk zaczął wreszcie działać. Odliczając, odetchnął kilka razy rytmicznie, powietrze aż zgrzytało mu w gardle. Odgłosy niebios zostały wzmocnione śpiewem w jego głowie – słyszał nieczysty chór rozradowanych, szczęśliwych głosów – a w tym samym czasie jego ciało przeszła arytmiczna wibracja. Miał wrażenie, że zamienił się w kamień, zlał w jedno ze skałami, na których wzniesiono zamek, a każdy oddech smakował ogniem, winem i innymi, o wiele subtelniejszymi rzeczami, których nie potrafił nazwać.

Spojrzał na swoich sierżantów, którzy wydzielali napój ostatnim żołnierzom. Szeregi jeźdźców wyglądały teraz obco. Patrzył na sylwetki wycięte w złowrogim tle nocy, podczas gdy cały świat się obracał. Olbrzymie, ciemne spektrum Spaczenia zyskiwało na sile, przetaczając się po niebie wysoko nad ich głowami. Benetan czuł, że budzi się w nim śmiech.

Odwrócił się z płynną, niemalże nierealną gracją i ruszył ku stajni. Przeszedł obok niespokojnych koni i zatrzymał się przed żelaznymi drzwiami zagrodzonymi ciężką zasuwą.

Stajenni, nieistotni ludzie–cienie niegodni jego uwagi, cofali się przed nim, a sama stajnia zdawała się rozciągać, zniekształcać. Ściany cofały się i napierały na niego, podłoga falowała.

Benetan wiedział, że narkotyk wreszcie objął jego świadomość w posiadanie. Doznawał halucynacji, ale wcześniejsze lęki już go opuszczały i

cieszył się iluzjami, wręcz rozkoszował nimi. Futryna drzwi rozwierała się przed nim niczym paszcza. Zatrzymał się i wyszarpnął zza pasa parę długich czarnych rękawic. Czuł mrowienie, gdy je wciągał i wygładzał. Srebrne pazury wieńczące każdy palec połyskiwały w świetle księżyca. W pełni chłonał teraz moc, jaką mu dawały, przekształcając jego dłonie w coś mało ludzkiego.

Bez trudu uniósł metalową zasuwę i odrzucił ją na bok. Potem zacisnął pięść i nie mogąc dłużej powstrzymać śmiechu, załomotał do drzwi. Po siódmym uderzeniu drzwi rozprysły się w drobny mak, ukazując drogę do ciemnego tunelu. Benetan zatoczył się, gdy z ciemności buchnęła fala powietrza. Potem doleciało go echo ciężkich kroków i z tunelu wypadło coś wielkiego, ciemniejszego od mroku, zmierzając w stronę świata fizycznego.

Nawet upojony narkotykiem, Benetan do końca nie pojmował, z czym ma do czynienia. Było to potworne stworzenie złożone z żelaza i ciemności, przypominające konia, ale z pewnością niezrodzone przez żadne zwierzę z krwi i kości. Kopyta z kwarcu lśniły, w ślepiach połyskiwało zimne srebro, z grzbietu wyrastały cienie ogromnych skrzydeł. Przybysz rozwarł purpurową paszczę. Benetan skoczył, ignorując oddech gorący jak ogień, po czym złapał za grzywę wijącą się niczym żmije, przymilił się do stworzenia i obdarzył kilkoma pieszczotami. Potem wyszedł na dziedziniec, prowadząc potwora o śliskiej skórze. Za nim ukazały się kolejne sylwetki bestii zrodzonych z Chaosu, potężnych i demonicznych. Benetan znów się zaśmiał, a jego ludzie szli w jego ślady, owładnięci mocą sakramentu. Ich śmiech zmieszany z głosami, które nadal wyły dzikie symfonie wysoko na niebie i w jego głowie, kipiał szaleństwem. Zmysły Benetana ulegały zmianom i cały świat przesyciły nagle czerń oraz srebro. Widział teraz daleko poza wymiary, które ograniczały go w świecie materialnym, jego wzrok sięgał do miejsc, gdzie świadomość poruszała się w ciemnych, bezcielesnych strumieniach, żywiąc się jego entuzjazmem i przesycając go doznaniem, od których krew zaczynała płonąć i mknąć szybciej w żyłach.

W stajni ktoś wrzeszczał – jakiś młody stajenny całkiem nieprzygotowany na to, czego stał się świadkiem, pozbawiony tarczy narkotyku, który owładnął umysłami jeźdźców i bronił ich przed

szaleństwem w obliczu Chaosu. Inny Benetan odczułby żal i współczucie z powodu koszmaru, jaki stał się udziałem młodzieńca, lecz ten Benetan był teraz kimś całkiem obcym.

Kapitan Chaosu, który właśnie wskoczył na grzbiet czarnego wierzchowca, na podobną słabość mógł zareagować tylko pogardą.

Gdy człowiek jeździec i demoniczny rumak połączyli się w jedną, straszliwą całość, Benetan na chwilę stracił zmysły, a potem uderzył w niego strumień surowej energii.

Dziedziniec zawirował i stanął na głowie, a sam jeździec wydał z siebie wysoki, zawodzący okrzyk, natychmiast podjęty przez pozostałych żołnierzy. Był to dziki, ekstatyczny festiwal potęgi, żądzy i szaleństwa. Benetan uniósł wysoko prawą rękę, a szpony rękawicy odbiły wściekle światło księżyca. Odmienione i wzburzone zmysły przekazały mu widok pięciu strumieni energii, które strzelają ze szponów i mkną wysoko ku nocnemu niebu. Między chmurami zamigotały w odpowiedzi błyskawice, kolejną wypluły trzeszczące wieże. Benetan czuł, że właściwy moment się zbliża. Czuł, jak niesamowita potęga Spaczenia gromadzi się, buduje przerażające *crescendo*, wibruje w jego ciele. Na przeciwległym krańcu dziedzińca otwierały się wrota...

Tytaniczne wprost wycie niemalże rozsadziło mu bębenki, a na niebie pojawiło się rozdarcie. Oślepiające światło zamieniło dziedziniec w scenę z piekła – bestie Chaosu wyrzuciły dzikie wyzwanie w idealnej, choć potwornej harmonii z łoskotem burzy. Ułamek sekundy później tabun jeźdźców gnał już naprzód niczym czarna, niszcząca fala. Prowadził ryczący Benetan. Jego umysł opanowany żądzą mordy, obłąkany, szaleńczy, nie należał już do niego. Wrota Chaosu rozwierały się coraz szerzej, a jakby w odpowiedzi w jego głowie również otwierały się bramy. Całe jego człowieczeństwo zostało zdeptane, pochłonięte przez obłąd wojownika. Był teraz łowcą, zniwiarzem śmierci, demonicznym jeźdźcem, który na czele hordy sobie podobnych płynął przez bramy, by runąć na świat.

Savrinator wrócił do komnaty, niezaczepiany przez nikogo. Wiedział, że wkrótce go wezwą, choć nie miał rangi maga ani nawet czarownika. Stanowisko zamkowego historyka zobowiązywało go jednak do opisywania

wszystkich ważnych wydarzeń i nie miał wątpliwości, że na dzisiejszej ceremonii jego obecność będzie nieodzowna.

Nie patrzył na odjazd kawalerii. Zawsze był to spektakularny widok, ale oglądał go przynajmniej sto razy i teraz nie robił na nim szczególnego wrażenia. Zamiast tego, gdy z północy nadciągnął wyjący Spaczeń, siedział już przy zdobionym biurku w gabinecie, opierając łokcie na blacie i zakrywając dłońmi twarz. W jego bladych oczach widniał niepokój. Savrinor nie próbował ustalać, co stanowi przyczynę takiego samopoczucia, ale dręczyła go jakaś niepewność i napięcie, być może związane z oczekiwaniem. Nie oczekiwał natomiast niczego dobrego i nawet nadejście Spaczenia nie wpłynęło na jego stan. Gdy w końcu usłyszał nieśmiałe stukanie do drzwi, nie był pewien, czy w jego sercu górę wzięła ulga, czy przerażenie.

– M... mistrzu Savrinor?

Za magami ciągnęła się ponura sława wielbicieli wdzięków młodych służek. Ta zapewne nie miała więcej niż dwanaście, trzynaście lat, a słodką zapowiedź przyszłej urody niweczyły zwiotczałe, rozwarte usta oraz puste, zaszczute oczy. Savrinor szczerze powątpiewał, czy uda jej się przetrwać choćby rok.

– O co chodzi?

– M... Mistrz mag Croin, m... mistrzu... On... znaczy się, mam wam przekazać, że... Że za waszą zgodą...

Savrinor gardził głupotą w tym samym stopniu co strachem, stąd też nawet nie próbował ukryć irytacji.

– Mówże wyraźniej! Czy mistrz Croin życzy sobie mnie widzieć?

– On... Wielki pan Croin... stoi przy łożu P... P...

– Yandrosie, uchwaj nas! – wysyczał Savrinor ze znużeniem. Dziewczyna nadal jąkała się i bełkotała, więc odsunął ją i ruszył w dół korytarzem. Z jej bełkotu udało mu się wywnioskować wystarczająco dużo, by resztę sobie dopowiedzieć. Wiedział, że Croin czuwa przy łożu umierającego Pierwszego Maga. Croin był najbiegłym uzdrowicielem i skoro sam wysłał taką wiadomość, musiało to oznaczać, że koniec jest bliski. Być może do śmierci Pierwszego pozostała nawet niecała godzina. Jeśli tak, to w tej chwili magowie przygotowywali się do ostatecznej

procesji. Savrinor nie mógł sobie pozwolić na spóźnienie, o ile cenił swą skórę.

Przyglądając w drodze włosy i poprawiając ubranie, dotarł do prywatnych komnat Pierwszego Maga w przeciągu zaledwie kilku minut. Chudy, ascetycznie wręcz odziany Croin czekał na zewnątrz. Drzwi były zamknięte, lecz wypływało spod nich światło. Do uszu Savrinora dotarł również chłodny odgłos pieśni żałobnej – to najstarsi magowie intonowali elegię dla przywódcy.

– Mój panie! – Savrinor uklonił się starannie. – Zakładam, że Pierwszy Mag...

– Nie, nie – Croin zaprzeczył gestem, aż błysnęły pierścienie na każdym z jego siedmiu palców. – Nie opuścił nas jeszcze. Koniec nastąpi jednakże bardzo szybko. Jesteśmy gotowi do ceremonii, a twoja obecność jest oczywiście wymagana.

– Tak, mój panie. Żałuję tylko, że przypadło mi być tym, który opisz stratę tak nieodżałowaną dla nas wszystkich.

Croin obrzucił Savrinora przenikliwym spojrzeniem. Wychwycił autentyczny żal w jego głosie i być może aż za dobrze zrozumiał jego przyczynę.

– Nasz smutek budzi radość Pierwszego Maga, Savrinorze. Odchodzi, by otrzymać nagrodę, którą wszyscy zapagniemy swego czasu otrzymać.

– Oczywiście, sir – rzekł Savrinor, odwracając spojrzenie.

– A jeśli bogowie zaakceptują jego następcę, będziemy mieli okazję do zabawy. – Oczy Croina zwięzły się. – Radzę ci, byś nie przeoczył tego faktu.

– Mój panie. – Savrinor uklonił się raz jeszcze, tym razem tak, by bez jednego słowa wyrazić zarówno przeprosiny, jak i zrozumienie. Medyk wpatrywał się w niego przez kilka chwil, rozważając coś w myślach. Potem odwrócił się, uniósł ciężką zasuwę i zaprowadził go do komnat Pierwszego Maga.

Ostatnia podróż umierającego człowieka rozpoczęła się dziesięć minut później. W oknach zgasły lampy, zamknięto okiennice, a ci, którzy nie uczestniczyli w procesji, zgodnie z tradycją udali się do swych komnat. Spaczeń już minął, jego przeraźliwe wycie odeszło w niepamięć i procesja wynurzyła się z zamku, śledzona obojętnymi spojrzeniami obu księżyców

wiszących teraz na czystym, cichym niebie.

Konduktowi przewodziła emanująca zielonym blaskiem kula kwitująca w powietrzu.

Wychynęła powoli z mroku wejścia i zawisła nad dziedzińcem. Za nią wyszli magowie, odziani w zwiewne szaty – w upiornym blasku kuli ich sylwetki przypominały zjawy nie z tego świata. Między nimi pojawiło się czterech mężczyzn, niosących platformę obwieszoną białym płótnem, na której leżało nieruchome ciało.

Nie rozległ się nawet najcichszy dźwięk. Nie było śpiewów ani lamentów żałobnych, nie było nawet słycać szelestu stóp. Magowie poruszali się bezgłośnie jak duchy, a wisząca w powietrzu kula światła prowadziła uroczystą procesję w kierunku przejścia wytyczonego rzędem kolumn po drugiej stronie dziedzińca. Drzwi na końcu kolumnady prowadziły do miejsca, gdzie na Pierwszego Maga czekało ostatnie spotkanie w świecie żywych.

Savrinator szedł za swymi panami. Wiedział, jaką formułę przybierze ceremonia, choć szczegóły pozostawały dlań zagadką, a na żadne spekulacje nie miał najmniejszej ochoty. Szli naprzód w ciszy, a on przyglądał się ceniom rzucanym przez kolumny, licząc je mimowolnie w myślach. Niebawem kondukt przeszedł przez drzwi i ruszył w dół po spiralnych schodach, wiodących aż pod fundamenty zamczyska. Na dole przeszli przez ciche, wysoko sklepione pomieszczenie, minęli otwarte na oścież drzwi i dotarli do ostatniego etapu wędrówki – zmierzającego w głąb ziemi korytarza, który miał ich doprowadzić do Marmurowej Sali.

Marmurowa Sala była miejscem pełnym mgieł i iluzji. Jej wymiary – o ile w ogóle jakieś miała – skrywały się za osłoną skłębionych niepokojąco całunów pastelowych światła i cieni. Podłoga, od której miejsce to wzięło swą nazwę, składała się ze skomplikowanej mozaiki niecodziennych kształtów przyjmujących przeróżne chaotyczne wzory, które przyciągały wzrok, niepokojąc zmysły uwięzione w granicach wyznaczanych przez człowieczą naturę. Całe wieki temu siedmiu władców Chaosu przemówiło do uspiionych umysłów największych ludzkich artystów rzemieślników i zainspirowało ich koszmarami pełnymi strachu i chwały. Władcy poprowadzili ich ręce, by wycięły potężne fundamenty, na których miał

powstać zamek. Yandros, największy spośród siedmiu, stworzył Marmurową Salę, a wraz z nią Bramę Chaosu.

Brama stanowiła miejsce, w którym świat ludzi łączył się z królestwem Chaosu.

Żaden człowiek przyobleczony w ułomne, śmiertelne ciało nie ośmielił się nigdy przez nią przejść. Gdy procesja posuwała się naprzód po migotliwej podłodze, Savrinor odczuł, że budzi się w nim głęboko zakorzenione przerażenie przemieszane z nabożnym lękiem, którego żadne doświadczenie ani przyzwyczajenie nie mogło go oduczyć. Brama stała w miejscu, gdzie, jak sądzono, znajdował się sam środek Sali. Gdy była zamknięta, wyznaczał ją jedynie czarny krąg na mozaice. Teraz jednakże przelewały się nad nią i kotłowały mgły, a ich pastelowe kolory przeszywały ciemne, budzące niepokój odcienie. Savrinor zajął wyznaczone mu miejsce, a wtedy ujrzał chwiejący się słup intensywnej czerni, migoczący na skraju widoczności. Pod stopami wyczuł wibracje sił, które z coraz większym trudem utrzymywano pod kontrolą. Chaos się ruszał.

Mary zostały z należytą czcią ułożone na podłodze tuż przed Bramą. Pierwszy Mag miał otwarte oczy. Zachowywał przytomność, lecz nie sposób było stwierdzić, czy rozpoznaje otaczające go twarze bądź jest świadom tego, co go zaraz czeka. Tego ranka dopadła go paraliżująca wprost słabość, która na domiar złego odebrała mu zdolność mówienia. Ostatnie błogosławieństwa, które być może zachowywał na tę chwilę dla swych towarzyszy, nigdy nie zostały wypowiedziane.

Savrinor zerkał na umierającego, choć utrzymywał pozory, iż jakoby nieprzerwanie wpatruje się w podłogę. Na swój sposób był to dobry Mistrz. Oczywiście próżny i zapatrzonej w siebie, ale któż był inny w tych czasach? Takie wady – o ile te cechy zasługiwały na miano wad – miały swoje zastosowania, o czym Savrinor doskonale wiedział. Znów uciekł wzrokiem w kierunku Pierwszego Maga – czy dobrze służył siedmiu bogom, od których czerpał swą moc? Niewykluczone, choć to akurat mogli stwierdzić tylko sami bogowie. Z pewnością był lepszy od tego, który miał go zastąpić.

Ta myśl sprawiła, że ukradkowe spojrzenie Savrinora przesunęło się na członków najbardziej tajemnej koterii magów, którzy zajmowali miejsce u

wezłowie mar. jednemu człowiekowi przyjrzał się ze szczególną uwagą.

Vordeggh. Choć wczesne lata wieku średniego miał dawno za sobą, jego masywne ciało nadal emanowało siłą godną człowieka o wiele młodszego. Czarnowłose, smagły i przystojny, stał ze swymi towarzyszami i ze spokojem przyglądał się Bramie Chaosu ciemnymi oczyma. Dysponował rzadko spotykaną mocą – mówiono o nim, że był władcą demonów, ascetą, sadystą i... Słowo, przed wypowiedzeniem którego Savrinor powstrzymał Benetana Lissa, pojawiło się teraz nieproszone pośród jego myśli.

Był szaleńcem.

Savrinor bezwzględnie zdusił tę myśl. W obliczu faktu, iż Vordeggh miał zostać Pierwszym Magiem, powinien stosować się do rady danej Benetanowi i unikać podobnych skojarzeń. W kilku prostych słowach Croin przekazał mu podobne ostrzeżenie, a Savrinor bynajmniej nie przeoczył błysku niepokoju w spojrzeniu medyka. Zdecydował, że od tego momentu będzie pieczołowicie strzegł nawet swych najskrytszych myśli. Obojętnie, z której strony wieje wiatr, on zawsze będzie miał wystarczająco dużo przestrzeni na manewry, o ile oczywiście nie straci rezonu.

Zaalarmowało go nagle poruszenie wśród grupy stojącej pośrodku. Spojrzał wyżej i dostrzegł, jak Pierwszy Mag porusza głową i próbuje coś powiedzieć. Sztuka mówienia wykraczała jednakże poza jego możliwości i z gardła maga dobył się jedynie ochrypły skrzek, przypominający ostatnie tchnienie starego kruka. Pozostali magowie w pośpiechu przypadli do mar, a Vordeggh pochylił się i ujął dłoń starca, jakby chciał go pokrzepić w chwili ostatniego pożegnania. Pierwszy Mag poruszył niemrawo palcami. Trzymał w poskręcanej artretyzmem dłoni coś błyszczącego, co wcisnął w dłoń Vordeggha. Chwilę później jego ręka opadła bezsilnie.

Vordeggh wyprostował się, a na jego usta wypłynął chłodny uśmiech pełen dumy.

Uniósł rękę i Savrinor ujrzał cienką, metaliczną różdżkę roztaczającą chłodny, błękitnobiały blask, wzdłuż której powoli przesuwają się pierścienie cienia. Savrinor aż się zachłysnął, gdy rozpoznał artefakt. Był to najpotężniejszy symbol przyznany magom przez bogów, którego moc pozostawała całkowicie do dyspozycji jedyne, niekwestionowanego władcy zamku – patrzył na klucz do Bramy Chaosu.

Pierwszy Mag naznaczył swego następcę.

Vordeggh odwrócił się ku Bramie i uniósł klucz nad głowę. Gdy jego ręka wyciągnęła się na całą długość, biały blask różdżki niespodziewanie, ku zaskoczeniu wszystkich, przeszedł w czerń i zaczął pulsować niczym gwiazda zmierzająca ku ziemi. Drżąca kolumna Bramy także poczęła migotać w idealnej synchronizacji z różdżką.

Starzec na marach poruszył się raz jeszcze. Jego wynędzniałą twarz przeciął uśmiech pełen szaleństwa, a w gasnących oczach błysnął ogień, gdy, podtrzymywany przez wiele dłoni, uniósł głowę z poduszki. Pulsujące czarne światło przybrało na sile, migotało teraz wściekle niczym szalejący płomień. Kolumna ciemności z kolei wydawała się odwracać i rozchyłać, aż otworzyła się niczym gigantyczne oko. Brama Chaosu stała otworem.

Savriner ujrzał w środku czarną drogę, która biegła z Bramy ku tak rozległemu horyzontowi, że nieświadomie, porażony tym widokiem, przygryzł sobie język. Wiedział, że nigdy się do tego nie przyzwyczai. Nigdy nie oswoi się z tym ogromem, z tymi zawrotami głowy, z tą niemożliwością, z dzikim szaleństwem świata, który zaatakował jego zmysły.

Jaskrawe kolory rozciągały się w oszalamiające spektra; kształty, które umykały wszelkiemu pojmowaniu, ulegały niekończącym się przekształceniom, raz skąpane w jasności, raz tonące w mroku; figury, które nie były całkiem materialne i utrzymywały formę na czas nie dłuższy od uderzenia serca, przemieszczały się niczym niespokojne duchy na skraju widzialności...

Marmurowa Sala wibrowała zaś w oczekiwaniu na coś niezwykłego i tytanicznego, co nadciągało, niszcząc wszelkie wymiary.

Magowie zamarli. Nawet skurczony, wyschnięty starzec porzucił wszelkie wysiłki – leżał nieruchomo na marach, czekając, i jedynie w jego oczach nadal znać było życie, nadal widać było ekscytację. Potem rozległ się dźwięk bardziej odczuwalny niż słyszalny, przypominający powolne, odmierzone kroki lub bicie serca pogrążonego w letargu. Napięcie stało się wręcz namacalne, skądś – może z owego ogromu, który wyłonił się za Bramą, choć i to mogło być złudzeniem – dobiegało niskie buczenie wibrujące w kościach Savrinora.

Brama zadrżała i przez moment wydawało się, że zapada się do

wewnątrz. Potem szkarłatny rozbłysk przeplatany rozdzierającymi, białymi promieniami na krótką chwilę zamienił Salę w spektakl światła i płomieni, oślepiając obecnych i zmuszając ich do odwrócenia głów. Kiedy Savrinor, zaciskając mocno zęby, by zdusić mimowolne przekleństwo, znów spojrzał w tamtym kierunku, w półmroku portalu stał wysłannik Chaosu.

Istota, która przewyższała wzrostem każdego z obecnych, miała ciało człowieka, ale łuskowatą głowę gada z wielkimi, szerokimi szczękami. Nad jej ramionami wznosiły się ogromne wprost skrzydła. Ich lotki uformowane były z rozpalonego do białości metalu, a ściekające z nich krople zastygały na ziemi. Dookoła demona gorzała niesamowita, fantasmagoryczna korona płomieni, a u jego boków czuwały dwie pozbawione oczu, potwornie zniekształcone chimery napinające łańcuchy. Wiszące jęzory podobne do węzowych stygły, psie pazury ślizgały się po mozaice.

Emisariusz rozwarł szczęki i w nozdrza magów wbił się odrażający smród truchła.

Savrinor całą siłą woli powstrzymał drżenie – okazanie jakiegokolwiek braku szacunku mogło się okazać zgubne. Spokojne, inteligentne i pełne piękna oczy owej istoty, których barwa przypominała coś między brązem a ciepłym bursztynem, wolno lustrowały zgromadzenie, aż w końcu znieruchomiały, wpatrzone w Pierwszego Maga.

Panowała zupełna cisza, Savrinor słyszał jedynie dudnienie własnej krwi. Wstrzymał nawet oddech, nie mając odwagi poruszyć choćby mięśniem. Emisariusz patrzył na mary, a potem uniósł dłoń. Palec zwieńczony zakrzywionym szponem w kolorze starego brązu wskazał serce umierającego.

Na ustach starca zaigrał uśmiech radości i skrywanego triumfu. Pierwszy Mag próbował się unieść, jak gdyby chciał podejść do istoty Chaosu i ją objąć, lecz wtedy w cichej sali odbił się echem syk jego ostatniego oddechu. Pozbawione życia ciało opadło na mary.

Pospiesznie naśladując pozostałych magów, Savrinor opadł na kolano i nakreślił znak Siedmioramiennej Gwiazdy na swej piersi, by oddać honory zmarłemu, jedynie Vordegh nie uklęknął ani nie wykonał znaku. Stał

wyprostowany, nieporuszony, wpatrując się w oczy demona. Czekał. Gadzi łeb emisariusza pochylił się i Vordegh wyciągnął dłoń, ukazując połyskującą mrokiem różdżkę. Przybysz złapał ją w szpony i wtedy różdżka natychmiast przybrała barwę rozżarzonego do białości żelaza. Potworne szczęki rozwarły się szeroko w parodii uśmiechu. Następnie emisariusz dotknął czubkiem różdżki środka czoła Vordegha i przytrzymał ją tam przez chwilę.

Savrinator niemalże zadławił się śliną, gdy owionął go smród palonego mięsa.

Niektórzy magowie odwrócili głowy, lecz Vordegh nawet nie drgnął. Ściągną napięły się na jego szyi, ale on sam wbijał wzrok w przybysza, choć potworne cierpienie, które musiał znosić, bez wątpienia niweczyło jego koncentrację. Widać było jednak, że się nie cofnie, nie będzie błagał o koniec tortur.

Wola tego człowieka jest wprost niewyobrażalna, pomyślał Savrinator, tłumiąc dreszcz.

I nagle wszystko dobiegło końca. Ręka demona opadła, a historyk ujrzał zmarszczony, niemalże czarny stygmat nad brwiami Vordegha, bliznę, która nigdy się nie zaleczy. Vordegh opuścił wzrok, co było jedyną oznaką ulgi, na jaką sobie pozwolił. Tymczasem emisariusz ujął różdżkę, która zdążyła ostygnąć i nie parzyła już dzikim ogniem, a następnie podał ją naznaczonemu właśnie Pierwszemu Magowi. Pozbawione oczu chimery rozwarły bezzębne paszcze i potrzęsnęły łańcuchami, a emisariusz cofnął się o krok. Raz jeszcze, tym razem już krótko, zlustrował zgromadzenie z czymś przypominającym chłodną spekulację w oczach.

Potem rozpostarł skrzydła z roztopionego żelaza, a ogromne, milczące oko Chaosu zamknęło się za nim. Emisariusz znikł.

Trwała najciemniejsza godzina nocy. Savrinator siedział przy stole w swej komnacie i, jak nakazywały jego obowiązki, przelewał na pergamin opis niedawnych wydarzeń. Drżał.

Okno było szczelnie zasłonięte, przez co ciepło nieustannie podsycanego ognia w kominku sprawiało, że w komnacie panował zaduch. Mimo to Savrinator nie potrafił przegnać chłodu, od którego drętwiały mu kości. Prawdziwą jego przyczynę stanowiły bowiem niepokojące myśli, które nie

przestawały go prześladować.

W ceremonii, której był świadkiem, pojawiło się coś niewłaściwego. Nie miał odwagi tego roztrząsać w trakcie jej trwania, lecz teraz wspomnienie rozbrzmiewało echem w jego jaźni niczym ustawicznie powracający koszmar. Z pozoru wszystko przebiegło właściwie – dusza Pierwszego Maga została porwana do królestwa Chaosu, a on sam odbył ostatnią podróż z radością, zaś jego następca pomyślnie przeszedł próbę i okazał się godnym nowej funkcji. Poza tym miały jednak miejsce pewne niepokojące rozbieżności – jak choćby ta, że władcy Chaosu przysłali demona niższej rangi. Chaos był przewrotnym, występny żywiołem i jego wyższe byty zwykle preferowały mniej osobliwe manifestacje.

Savrinor nigdy wcześniej nie dostąpił zaszczytu uczestniczenia w podobnym wydarzeniu, ale słyszał, że sam Yandros przybierał ludzką formę w owych rzadkich chwilach, gdy raczył ukazać się ludzkim wyznawcom. Niby wszystko przebiegło jak należy, emisariusz zawsze był dobrany stosownie do sytuacji, lecz tym razem obyło się bez fanfar, nikt nie doznał chwilowego pomieszania zmysłów, zabrakło też innych elementów ceremonii, które zazwyczaj towarzyszyły wizytom pomniejszych demonów. Emisariusz ponadto nie odezwał się słowem i nie domagał się psalmów ani wyrazów podziwu. Sama próba Vordeggha również uderzała prostotą.

Wszystko to nie pasowało do przyjętych schematów. Pomimo nieobliczalnej, niekonsekwentnej natury, Chaos cechował się pewną przewidywalnością w postępowaniu wobec świata śmiertelników. Zapewniał wyznawcom stałość, bez której nie mogli oni spełniać swych funkcji. Owe anomalie, które Savrinor wypatrzył tej nocy, stanowiły rażącą sprzeczność z zasadami działania Chaosu. W dręczonym niepokojem umyśle pojawiło się podejrzenie, iż Yandros i jego sześciu braci zaczyna się wykazywać niekonsekwencją, być może nawet brakiem zdecydowania. Czego jednak miała owa niekonsekwencja dotyczyć?

Starego Pierwszego Maga? A może nowego? A może czegoś zupełnie innego, o czym jak dotąd nie miał bladego pojęcia?

Savrinor posypał piaskiem ostatni pergamin. Odepchnąwszy na bok fałszywą skromność, stwierdził z dumą, że to, co napisał tej nocy,

przekraczało nawet jego wysokie standardy. Opisał każdy moment ceremonii, a między fakty zręcznie wplótł trzeźwą pochwałą mądrości i szlachetności zmarłego Pierwszego Maga, co rzecz jasna w kilku następnych akapitach subtelnie zrównoważył pełnymi szacunku pochwałami jego następcy. Nawet sam Vordegh nie będzie w stanie dopatrzeć się tu uchybień. Savrinor miał zarazem nadzieję i modlił się w skrytości ducha, że nikt nigdy nie dowie się o innym dokumencie – kilku związanych notatkach spisanych szyfrem, które skrętnie ukrył w wewnętrznej szufladzie biurka. Ten dokument opowiadał bowiem całkiem inną historię.

Uczyniwszy zadość obowiązkom, Savrinor poczuł ulgę, która przyprawiła go o lekkie mdłości. Odłożył oficjalny dokument, a potem ostrożnie zdjął narzutę z łóżka. Na tle ściany przesunął się nagle gigantyczny kształt – kronikarz aż podskoczył ze strachu i dopiero po chwili uświadomił sobie, że był to jedynie jego cień, poderwany ruchem płomienia lampy.

Zaczynał bać się cieni. Szydził z tej przypadłości u innych, gdyż zarówno dosłownie, jak i w przenośni mrok zawsze stanowił jego naturalne środowisko. Niespodziewanie jednak poczuł się w nim niepewnie, a dręczące go myśli bynajmniej nie ustępowały. Wiedział, że już go nie zostawia.

Z wysiłkiem tłumiąc niepokój, wszedł do łóżka. Chciał znaleźć ukojenie w objęciach snu i nie kłopotał się nawet zdejmowaniem ubrania. Wiedział, że niedługo nadejdzie świt, a z nastaniem nowego dnia nastąpi wiele zmian, chyba że jego przeczucia oraz chłód w kościach okażą się kiepskimi prorokami. Lepiej być gotowym na wszystko, na wypadek gdyby... No właśnie, gdyby co? Nie miał pojęcia. Być może nie zanosilo się na nic szczególnego. W każdym razie, podobnie jak wszyscy inni, mógł jedynie czekać.

Sięgnął ku lampie, by ją zgasić, lecz cofnął rękę. Wolał pozostawić niewielki krąg światła w ciemnej komnacie.

Z irytacją stwierdził, że przynosi mu to pokrzepienie, a poza tym nie było przy nim nikogo, kto mógłby być świadkiem tego drobnego dowodu słabości.

Nie zmrużył tej nocy oka.

*Jeśli istnieje dziś jakiś brytyjski autor, któremu udało się uchwycić ducha amerykańskiej fantasy, to jest nim z pewnością **Peter Crowther** (ur. 1949). Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że to współczesny Ray Bradbury. Potrafi on stworzyć wiarygodną, codzienną rzeczywistość i natchnąć ją niepokojącym nastrojem osobliwości. Odnaleźć go można w powieści *Escardy Gap* (1996), napisanej wspólnie z *Jamesem Lovegrove'em*, oraz w wielu opowiadaniach, które zostały zgromadzone w antologiach *The Longest Single Note* (1999) i *Lonesome Roads* (1999). Crowther sam zredagował kilka antologii, a ponadto prowadzi *PS Publishing*, niewielkie wydawnictwo z wielkimi pomysłami. Poniższe opowiadanie po prostu musiało zamykać ten zbiór – narracja osiąga w nim tak zawrotne tempo, iż nic nie jest w stanie się z nim równać. A zatem zapnijcie pasy!*

Pytanie: Tory kolejowe jakoś się trzymają, nieprawdaż? Odpowiedź: Niektóre.

Zwłaszcza te stare. Tak.

Peter Crowther

NIEKOŃCZĄCA SIĘ WAŚŃ

J.P. Morgan na przesłuchaniu w Kongresie pod koniec 1912 doszedł do wniosku, że skręcił w złym miejscu jakieś dwadzieścia minut po tym, jak w jego białym Trans Amie skończyło się paliwo i musiał go porzucić przy znaku drogowym. Być może źle odczytał opis drogi, który jak na złość znajdował się na zgięciu. Może też – i ta opcja wydawała mu się bardziej prawdopodobna – po przejechaniu nużących setek kilometrów wzdłuż błyszczących szarych taśm, odgradzających niekończące się pola kukurydzy, był tak zmęczony, że wszystko mu się popierdoliło.

Bez względu na powód, Nashville nie znalazł.

Psiakrew, może nawet nie dojechał do Tennessee.

Zamiast Nashville i Tennessee zobaczył zardzewiały znak: *MADRIGAL, 4 KILOMETRY*. Co to właściwie znaczyło „Madrigal”, do ciężkiej cholery? Czy przypadkiem nie jakieś staroświeckie przyśpiewki? Ludność miasta liczyła... Ile? Liczbę ktoś zamazał albo wyblakła pod wpływem pogody.

Tak oto, z kanistrem w ręku, Abbott dotarł na obrzeża miasteczka. Rozejrzał się po głównej ulicy, na której świszczał wiatr. Po obu stronach ciągnęły się osobliwe budynki przywodzące na myśl czarnobiałe westerny Randolpha Scotta. W każdym razie raczej w niewielkim stopniu przypominały „nowy, wspaniały świat”, który obiecywano na początku tego milenium.

Nigdzie nie widział żywego ducha.

Ani żadnego samochodu.

Na pierwszy, dość pobieżny, rzut oka – a podejrzewał, że dokładniejsza analiza przyniesie identyczne rezultaty – Madrigal było miastem duchów. Co więcej, należało do tych miejsc, które nigdy nie trafią do National Geographic ani nawet do zamieszczanych drobnym druczkiem dopisków w najdokładniejszych przewodnikach turystycznych.

Rzecz jasna nie miało absolutnie nic wspólnego z miasteczkami, do których trafiał Larry McMurtry, kiedy to gnał ukochanymi drogami międzystanowymi i niczym asfaltowy surfer poszukujący odpowiedniej fali, szukał materiałów do książki *Drogi*. Abbott nie dostrzegał tu również małomiasteczkowych ekscentryzmów opisanych przez Billa Brysona, gdy ten powrócił do rodzinnej Ameryki, by na nowo odkryć swoje korzenie w *The Lost Continent*. Do licha, przy tym miejscu nawet beznadziejne zadupia z *Blue Highways* Williama Least Heat-Moona wydawały się metropoliami!

Nieco dalej zgrzytał na wietrze znak Esso. Przez drogę przetoczył się suchy krzak i zakleszczył w drzwiach zakładu fryzjerskiego. Markiza w paski wyblakła po wielu latach prażenia się w słońcu – lub z powodu braku zainteresowania.

Abbott przełożył kanister do drugiej ręki i ruszył w kierunku stacji benzynowej.

Każdy mijany po drodze budynek wyglądał na pusty.

Nie, mało powiedziane, że pusty – każdy z nich wyglądał na martwy. Czy to możliwe?

Czy budynek może być martwy?

Dotarł do stacji benzynowej, tracąc po drodze resztki optymizmu. Drzwi do niewielkiego sklepiku naprzeciwko dystrybutorów były uchylone, więc podszedł do nich i załomotał kanistrem o drewnianą boazerię.

– Jest tam kto?

Żadnej odpowiedzi.

Podszedł do dystrybutora i szarpnął za dźwignię, modląc się, by usłyszał szum płynącej benzyny.

Szumu też nie usłyszał, rozległ się natomiast świst wiatru.

– Kurwa!

Wrócił na ulicę i podjął poszukiwania.

Kilka kroków dalej na drewnianym chodniku znajdował się spory znak ze strzałką kierującą w prawo. Abbot zmrużył oczy przed słońcem – wielkie litery głosiły: dworzec kolejowy. Nie miał pojęcia, jak to rozumieć.

– Dworzec kolejowy? Co, u licha, dworzec kolejowy robi w takim miejscu? – zapytał wiatru, ale ten, jeśli znał ów sekret, nie miał zamiaru go wyjawiać.

Abbott raz jeszcze się rozejrzył.

Gdzie niby znajdowały się tory? Nie przypominał sobie, by widział coś podobnego na drodze, lecz z drugiej strony skupiał się głównie na śledzeniu drgającej strzałki paliwomierza, a nie na podziwianiu lokalnej infrastruktury.

Rzucił kanistrem i ruszył w kierunku znaku. Niech to diabli, może złapie pociąg do Nashville, a samochód odbierze kiedy indziej. Zadzwoń do firmy ubezpieczeniowej, by przyjechali i odholowali go na miejsce.

Wcale się nie zdziwił, gdy odkrył, że dworzec kolejowy też jest opuszczony.

Chodził od drzwi do drzwi, grzmocił w nie pięścią i pokrzykiwał, a wiatr niósł jego krzyki dokładnie tam, gdzie wiatry zwykle noszą wszystkie odgłosy, nie chcąc, by odbijały się echem w nieskończoność... lub by je usłyszano.

Cisza wydawała się przejmująca i doprawdy niegościnna.

W szybie kasy biletowej Abbott zobaczył swoje odbicie z oczami pełnymi niedowierzania. Przypuszczalnie było tak samo zafascynowane widokiem

człowieka, jak on znalezieniem miasteczka całkowicie pozbawionego życia.

Obszedł budynek i ruszył jedną z wydeptanych ścieżek w poszukiwaniu torów.

Odnalazł je – lub raczej to, co po nich zostało – w długim rowie ciągnącym się daleko w obie strony. Skręcały ku miastu z zachodu, przecinały je i uciekały znów na zachód. To by tłumaczyło, dlaczego nie widział ich po drodze.

Gdy tak stał na skraju rowu i rozglądał się dookoła – za linią odległego horyzontu ujrzał słońce otoczone złotoczerwoną aureolą – dobiegł go dźwięk przypominający gardłowy chichot.

Obrócił się na pięcie i spojrzał na budynek stacji. Nadal nie widział żywego ducha. To musiał być wiatr.

Gdy znów skierował wzrok wzdłuż rowu, niespodziewanie dostrzegł siedzącego na jego brzegu staruszka. Mężczyzna bez przerwy poruszał ustami, a na jego twarzy widniał to uśmieszek samozadowolenia, to znów grymas zamyślenia. Co rusz pocierał twarz kikutem lewej ręki, z którego zwisał brudny, powiewający strzęp bandaża. Staruszek nie przestawał przy tym mamrotać modlitw i klątw.

– Hej! – krzyknął Abbott. – Gdzie są wszyscy?!

Nieznajomy zachichotał i pokiwał głową, a potem splunął. Mimo odległości Abbott zauważył, że ślina jest czarna.

Mężczyzna trzymał w prawej ręce coś, co przypominało słone paluchy. Abbott osłonił oczy przed ostrym światłem popołudniowego słońca i nagle uświadomił sobie, że te paluchy to w rzeczywistości odrąbane palce kalekiej dłoni. Starzec, najwyraźniej potrafiąc czytać w myślach, pokiwał głową i uniósł makabryczne pamiątki, zupełnie jakby chciał grać nimi w słomki – kto wyciągnie najkrótszą, przegrywa. Wykonał jeszcze kilka grymasów, zachichotał, splunął, a potem zdrową dłonią przycisnął do brzucha tę kaleką, dwupalczystą.

– Kurwa mać... – wyszeptał Abbott. Wiatr poniosł jego słowa ponad torami i ciągnącym się wzdłuż nich korytem strumienia, którym z pewnością płynęła niegdyś woda, lecz teraz znajdowały się tam jedynie kurz i piasek.

Starzec podciągnął kolana do piersi i objął je rękoma, a potem zapatrzył

się daleko w przestrzeń. Abbott z ciekawości spojrział w tym samym kierunku.

Gnający nad płytkim korytem wiatr ochłodził lekko, zupełnie jakby wspominał wyschnięty strumień. Różnica wynosiła zaledwie kilka stopni, ale była zauważalna. Abbott znów spojrział na staruszkę i zauważył, że ten wychyla się teraz do przodu. Oparł dłonie na wychudłych biodrach i przyjął postawę modela portretowanego przez artystę.

Naraz chrząknął i pokręcił głową, unosząc dłoń, by przeczesać kosmyki posklejanych włosów. To jednosylabowe chrząknięcie zabrzmiało chyba jak „burza”, choć Abbott nie wierzył, by spadek temperatury był czymś więcej aniżeli drobną usterką w meteorologicznej aerodynamice i ewentualną zapowiedzią zmian w nadchodzących dniach. Spojrział ku marmurowemu niebu i wyobraził sobie wrażenie, jakie wywołują krople deszczu spadające na twarz. O czymś mu to przypomniało... O czymś, czego doświadczył w innym życiu.

Staruszek burknął, tym razem z nieco większym niepokojem.

Niewykluczone, że wypowiedział słowo „boleć”, gdyż jego twarz wykrzywiło cierpienie. Może stracił coś jeszcze – palec u nogi albo całą stopę, która nawet teraz leżała przy zmasakrowanej nodze.

Nie, nic na to nie wskazywało. Staruszek zgarbił się jeszcze bardziej w stronę, gdzie patrzył, spięty i niespokojny. Wiatr stawał się wyraźnie chłodniejszy. Abbott podszedł na skraj peronu i zerknął na rozrzucone tam ciała szcurków. Potem przeniósł uwagę na jałowe równiny rozciągające się wokół Madrigal niczym chodniki Piekieł.

Staruszek chrząknął po raz trzeci i Abbott poczuł chłodny powiew na twarzy.

– Kolej! – zrozumiał nagle. A więc to mówił ów staruszek! Nie „boleć”, a „kolej”!

Zbliżał się pociąg! Nie miał pojęcia, skąd nadjeżdżał ani gdzie się kierował (nie wspominając już o tym, kto nim podróżował), choć z drugiej strony żaden z tych faktów nie miał właściwie znaczenia. Liczyło się tylko to, że do Madrigal jechał pociąg.

Abbott ujrzał jakiś kształt wyłaniający się z pasma rozedrganego od gorąca powietrza daleko na horyzoncie, tam, gdzie ziemia i niebo wspólnie

knuły nieznane dotąd psoty, by bawić i frustrować ludzi, ów kształt wydawał się wyśnionym okrętem z forkasztelem i galionem, masztami i takielunkiem, kolosem rozcinającym morskie fale. Nie był to jednak szkuner poskrzypujący deskami poszycia, a lokomotywa, owiany parą potwór z błyszczącej stali i szkła, ciągnący za sobą sznur wagonów. Ostatni z nich, wypukły i nadęty, wystawał poza tory niczym owad z częściowo złożonymi skrzydłami.

Abbott uświadomił sobie, że stoi z rozdziawionymi ustami. Zerknął na staruszka, który pokiwał z entuzjazmem głową, a potem wskazał głęboki rów. Zachichotał sam do siebie, niemalże skręcając się z radości. Nie przestając wskazywać czegoś na dole, pomachał ręką w kierunku nadjeżdżającego pociągu.

Abbott zmarszczył brwi i spojrzał do rowu w poszukiwaniu powodu rozbawienia staruszka. Nic jednak nie dostrzegł, a w każdym razie nic oczywistego.

– Co takiego?! – zawołał, próbując przekrzyczeć świst pary i huk pracujących tłoków.

Wiatr wiejący nad korytem niósł mechaniczne zawodzenie. – Co cię tak bawi, do jasnej cholery?!

Staruszek odchylił się, pękając ze śmiechu, którego Abbott już nie słyszał. A potem wskazał raz jeszcze, gwałtownie i dobitnie, tym razem zabandażowanym kikutom, i ruszył w kierunku nadciągającego pociągu.

Rozległ się gwizd, głośny i przenikliwy, jakby wyraz cierpienia i frustracji. A może był to gniew? Zaraz po nim nastąpił ogłuszający łoskot zderzenia, a następnie przenikliwy zgrzyt, jak gdyby gigantyczne paznokcie drapały tablicę szkolną. Potem wszystko przytłumiła eksplozja, a Abbott rzucił się na ziemię.

Gdy w końcu rozejrzał się wzdłuż rowu, zobaczył, jak staruszek próbuje wstać, kręcąc z niedowierzaniem głową.

W oddali szalały płomienie, a w niebo strzelały słupy dymu. Ostatni z wagonów koziółkował po betonowej rampie, gdzie pewnie kiedyś zatrzymywały się ciężarówki, na które ładowano towary. Nie zatrzymał się jednak i gnał dalej, miażdżąc niewielką stację benzynową oraz budynek, który musiał pełnić funkcję poczty. Skręcał ostro, coraz bardziej oddalał się

od torów, wlokąc za sobą pozostałe wagony. Abbott naliczył w sumie siedem.

Jeden z nich pchał stary samochód, który stanął w ogniu. Auto uderzyło w ścianę jakiegoś budynku. Opierało się przez sekundę czy dwie, lecz pchane przez nieubłaganą masę wystrzeliło do tyłu. Rozpędzony wagon wyrznął w ścianę i odskoczył w kierunku torów, a samochód kilkakrotnie odbił się od ziemi, to przednim, to tylnym zderzakiem i ostatecznie przeleciał nad kładką rozciągniętą nad szosą.

Abbott raz jeszcze spojrział do rowu i niespodziewanie zrozumiał przyczynę wesołości staruszka. Bliźniacze stalowe szyny biegły równolegle, lecz w oddali tu i ówdzie któraś odchodziła w bok, a w kilku miejscach ziały spore wyrwy.

Podążył wzrokiem wzdłuż torów i dostrzegł miejsce, gdzie szyny krzyżowały się niczym ogromne, metalowe ramy do gry w kółko i krzyżyk. Gdzieś dalej wnikały w nierówny teren na dnie rowu, przypominając odarte ze sztandarów drągi, porzucone przez zapomnianą armię na polu bitwy.

Abbott ruszył powoli w dół skarpy.

Po przeciwnej stronie staruszek wreszcie podniósł się na nogi – lub raczej na nogę, z tego, co Abbott zdołał dostrzec. Lewa noga nieznanego kończyła się bowiem pod kolanem owiniętym bandażem, który swego czasu pewnie był biały, teraz zaś ciągnął się po ziemi.

Kuśtykając, mężczyzna zmierzał w kierunku betonowego placu, który kiedyś służył jako peron.

– Wracaj tu! – wrzasnął Abbott.

Staruszek odwrócił głowę.

Tym razem to Abbott przywołał go gestem.

– Wracaj tu! Nie włącz na ten peron i chodź tutaj!

Nieznanomy roześmiał się i pokiwał głową. Wykonał kolejny niezgrabny krok – siedł na kikucie, co Abbott właśnie zauważył – i już znalazł się przy skraju betonowego peronu, gdzie zatrzymał się na kilka sekund i zachwiał jak pijany.

Abbott zerknął w bok – lokomotywa zbliżała się pod kątem do niewielkiej stacji, miażdżąc wyszczerbione płyty i przewracając napotkane

słupy telegraficzne. Niektóre z nich padały na lewo od torów, inne na prawo. Przez chwilę leżały w poprzek rowu, po czym pękały niczym cienkie gałązki pod naporem lokomotywy.

Nagle powietrze wypełnił jęk wyginanego metalu i eksplozje dochodzące nie wiadomo skąd. Lokomotywa raz jeszcze zagwizdała przenikliwie, a potem wydała z siebie bawoli ryk, który wstrząsnął Abbottem dosłownie i w przenośni.

Gdy znów spojrzął nad rowem, który oddzielał go od staruszka, dostrzegł, że ten zniknął bez śladu. Zauważył jego drobną, kruchą sylwetkę dopiero po chwili, i to na dnie rowu. W jakiś sposób staruszek zdołał tam spełznąć i siedł teraz wyprostowany – a wzrostu miał około metra pięćdziesiąt, może nawet mniej – na spotkanie nadciągającej lokomotywy.

Sznur wykolejonych wagonów zwinął się niczym bicz i runął w kierunku torów.

Ostatni z wagonów, ten szerszy, zniknął z pola widzenia, choć Abbott od razu się domyślił, którędy teraz mknie, bowiem огоłocone z drutów słupy telegraficzne łamały się z ostrym trzaskiem i waliły na ziemię niczym drzewa wokół obozowiska drwali.

Pociąg raz jeszcze zagwizdał.

Staruszek krzyknął i uniósł ręce, jakby o coś błagał. Upuścił zaschnięte palce na ziemię obok torów. Abbott popędził wzdłuż peronu, wydzierając się ile sił w płucach, ale mężczyzna nie zwracał na niego uwagi.

Rozpędzona lokomotywa uderzyła w niego bokiem i błyszczącymi kołami. Wpadł na nią z rozrzuconymi rękami, niczym komar rozgniatany na szybie. W tej samej chwili obróciła się dookoła, omiatając Abbotta niewidzącym spojrzeniem przednich lamp i pomknęła dalej, powoli, metodycznie miażdżąc grube drewniane wsporniki podtrzymujące dach starej stacji.

Abbott zerknął ku górze w samą porę, by ujrzeć coraz luźniejsze, pozbawione wsparcia deski uwalniające coraz gęstszy grad drzazg i kawałków drewna. Jeden z nich przeleciał tuż obok jego głowy. Zaraz potem usłyszał ochrypły, nagle ucięty wrzask. Obejrzał się i zobaczył tors staruszka wkomponowany między chromowane i srebrne sztaby, które krzyżowały się wzdłuż czarnego, metalicznego boku lokomotywy. Nogi

jednak znikły, odcięte w wyniku zderzenia z krawędzią peronu.

Abbot rzucił się do ucieczki, ścigany odgłosami pękającego drewna. Znalazłszy się przy końcu peronu, wskoczył między gęste kolczaste krzaki, które rozpanoszyły się na żwirowym parkingu. O przeznaczeniu tego miejsca przypominał już tylko stosik opon zalegający na boku.

Z tryumfalnym zgrzytem lokomotywa wyłoniła się z pozostałości stacji kolejowej niczym mityczny biały wieloryb, obnosząc się z pozbawionym życia ciałem nieznanego staruszka – jej własnego Ahaba – wiszącego na połyskującej konstrukcji. Abbott był pewien, że to złudzenie wywołane ruchem pociągu, ale w pewnym momencie odniósł wrażenie, że staruszek wciąż do niego macha. I zaraz, czy on się przypadkiem nie uśmiecha?

Gdy zaś spojrział w dół, uświadomił sobie, że koła lokomotywy nie przypominały kół żadnego innego pociągu, jaki kiedykolwiek widział. Wyglądały bowiem jak koła samochodu, choć były od nich znacznie większe – składały się z twardej gumowej obręczy wspartej na dziesiątkach cienkich szprych. Co więcej, każde z nich zmieniało kierunek niezależnie od pozostałych. Z sześciu znajdujących się po jednej stronie pierwsze skręcało na zewnątrz, drugie ani drgnęło, trzecie zaś do wewnątrz.

Abbott spojrział w zamglone okienko, za którym dostrzegł jakąś zgarbioną postać, zapewne walczącą z urządzeniami sterującymi. Jak, u licha, ktokolwiek mógł utrzymać tę maszynę w linii prostej?

Jak gdyby na dowód, że podobne zadanie graniczyło z niemożliwością, lokomotywa skręciła gwałtownie w kierunku rowu z torami, a wlekący się za nią sznur wagonów znów zafalował. Abbot wiedział, co to znaczy – lokomotywa ciągnąca ustawione bokiem wagony przemknie niczym niezniszczalny bicz z metalu i drewna, miażdżąc wszystko na swojej drodze. Ujrzał, jak ostatni wagon wyłania się spośród zdemolowanych zabudowań po przeciwnej stronie stacji w chmurze kurzu, zgłiszczy i pogryzionych przez mole mebli, a wraz z nim reszta składu, domagająca się swojego udziału w dziele destrukcji.

Parking był odgradzony od drogi murem. Abbott nie miał już czasu, by pobiec wzdłuż niego do przejścia, ani też na to, by się odwrócić i wyminąć szalejącą lokomotywę.

Pozostawało mu tylko jedno wyjście.

Ostatni wagon tarł o mur, a lokomotywa przyspieszała, najprawdopodobniej po to, by szarpnąć raz jeszcze wybrzuszonym teraz sznurem wagonów w chwili, gdy ten uformuje linię prostą i znów strzelić z monstrualnego bicza. Abbott wykorzystał moment i rzucił się ku lokomotywie, chcąc wskoczyć do kabiny maszynisty. Zdołał złapać pomalowaną na złoto klamkę i oprzeć stopę na wąskim schodku. Sekundę później rozpląszczył się na malowanej ścianie.

Pociąg wydał kolejny potężny ryk i pognał rowem, wierzgając niczym dziki koń.

Przemknął przez drogę, na której kilka kilometrów dalej samochód Abbotta na próżno czekał na interwencję, a następnie popędził w kierunku grupki drewnianych przybudówek opromienionych leniwym blaskiem słońca.

Z trudem łapiąc oddech, Abbott obrócił się i złapał za fragment srebrnej bariery, a potem nagłym wyrzutem ciała wślizgnął w szczelinę między kabiną maszynisty a samą maszyną. Wyczucie w czasie było idealne – dosłownie sekundę później lokomotywa uderzyła w pierwszą przybudówkę. Rój odłamków drewna i Bóg jeden wie czego jeszcze obsypał kabinę maszynisty niczym apokaliptyczny grad. Pociąg wychylił się na bok, skręcił ostro i znów się wychylił – Abbottem rzuciło najpierw do góry, a potem znów na poplamioną metalową półkę. Skład wdarł się w sam środek jałowego pola, wyrywając w nim głęboką bruzdę i z obu stron oddzielając się od świata wałami ziemi.

Półeczka przed budką maszynisty, na której stał Abbott, nie miała nawet pół metra szerokości. Co więcej, nie mógł tam znaleźć dobrego oparcia dla rąk, więc musiał się pochylić nad zardzewiałymi rurami łączącymi budkę z maszyną, by utrzymać równowagę.

Każdy gwałtowniejszy podskok pociągu mógł się zakończyć utratą równowagi, a Abbot bał się nie tyle tego, że spadnie z lokomotywy, co tego, że stoczy się w dół i zostanie rozerwany na strzępy przez koła.

I nagle dostrzegł lewar zwalniający.

Złapał za dźwignię i szarpnął. W tym samym momencie pociąg targnął się dziko i Abbott poczuł, że siła odśrodkowa podrywa go z półki. Kurczowo zacisnął palce wokół dźwigni, lecz wtedy coś trzasnęło mu w ramieniu.

Przez kończynę przemknęło lodowate mrowienie, które natychmiast wniknęło w palce. Wiedział, że lada minuta – ba, lada sekunda!

– straci czucie, a co ważniejsze, władzę w ręce, a wtedy wpadnie pod same koła, bo kolumna wagonów właśnie się wyprostowała. Nie miał się zresztą co łudzić – maszynista w ogóle nie panował nad składem. Z której strony by nie spadł, czekało go zderzenie z jakimś kołem.

Szarpnął dźwignię raz jeszcze i drzwi się otworzyły. Zebrał resztki sił, złapał drugą ręką za ościeżnicę i wciągnął się do środka. Pociąg niemalże natychmiast zareagował piruetem i Abbott poszybował bezwładnie do budki maszynisty, przetoczył się po podłodze i uderzył w ścianę. Przez chwilę nie mógł złapać tchu.

Ześlizgnął się po ścianie, wdzięczny za choć chwilę spokoju. Próbował uspokoić oddech i jednocześnie znaleźć coś, za co mógłby złapać.

– Żyjesz? – przez ryk silnika i łomot kół przebił się jakiś niski głos.

Abbott rozejrzył się.

W budce panowała ciemność rozjaśniona jedynie kilkoma lampkami – nie były z niczym połączone, więc Abbott wywnioskował, że są to wskaźniki oleju bądź paliwa – które kołysały się dziko, zwisając z rur pod sufitem. Ze ścian wystawały zresztą najróżniejsze wskaźniki i pokrętła, wielkie dźwignie i gałki, przyciski i rozbłyskujące lampki. Wszędzie ściekał olej, tworząc kałuże na metalowej podłodze. Po obu stronach grubej kolumny przypominającej kominek znajdowały się małe okienka, zakurzone i przybrudzone, ukazujące podskakujący krajobraz drzew i pól. Perspektywa zmieniała się dosłownie co sekundę, gdyż rozpędzony pociąg to wychylał się w jedną stronę, to w drugą, by chwilę później bez ostrzeżenia wybić się w górę lub runąć w dół.

– Pytałem, czy żyjesz. Nieźle oberwałeś tam na zewnątrz.

Abbott zmrużył oczy. W półmroku przed rzekomym kominkiem poruszył się jakiś kształt i niespodziewanie okienko z prawej strony przesłoniła głowa w czapce.

– Ja... Tak, żyję – odparł Abbott. Mówienie przychodziło mu z trudem, próbował machnąć ręką, ale wtedy przeszył go ból.

Nieznajomy znów się odwrócił i zniknął w półmroku między okienkami.

– Nie przejmuj się dziadkiem – powiedział. – Nic mu nie będzie.

– Nic mu nie będzie?! – z niedowierzaniem wypalił Abbott. – Na litość boską, wyjechałeś w niego lokomotywą!

– Taaa, racja. Ale nic mu nie będzie. Zawsze tak jest.

– Zawsze? Chcesz mi powiedzieć, że to już się kiedyś zdarzyło?

– Pewnie – odpowiedział mężczyzna rzeczowo. – To Madrigal.

Nagle Abbott przypomniał sobie ostatnie sceny Chinatown Romana Polańskiego i staruszek, który wymawiał nazwę miasta takim tonem, jakby wyjaśniało to cały syf tego świata.

– A co to ma za związek?

– Żaden. A może ogromny? Kto się tam w tym połapie? – Mężczyzna wydawał się pochłonięty obsługą jakiegoś urzędnika. – Pokazał ci palce? – zapytał nagle, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

– Zawsze to robi. Najpierw ich nie ma, a potem znów je ma – zachichotał. – Nic mu nie będzie. On jest takim aniołem... Wszystko ponaprawia.

– Co on tak naprawdę ponaprawia?

– Miasto. Madrigal. Zanim znów w nie przywalę. To jest jego zadanie. Jak już mówiłem, to anioł – znów zachichotał. – A tak nawiasem mówiąc, na pewno nic ci nie jest?

Z brzmienia głosu nieznanego wynikało, że właśnie się odwrócił, ale Abbott za nic nie mógł doświadczyć, co ten facet właściwie robi. Czuł za to, jak ból w jego ciele pełźnie coraz dalej, sięga już prawej nogi, a stopa zaczyna drętwieć.

– Bo jeśli tak, to lepiej tyle nie gadaj – dodał maszynista. – Choć niektórzy twierdzą, że przydałoby się od czasu do czasu z kimś pogadać. Rozumiesz, o co mi chodzi, nie?

Ból ustąpił nieco i Abbott podczołgał się w kąt budki. Przytknął dłoń do ściany i oparł o nią głowę, by uchronić się od kolejnych uderzeń. Potem otworzył oczy.

W kabinie stało się nieco jaśniej bądź też po prostu przyzwyczaił się do ciemności. W każdym razie mógł już dostrzec sylwetkę maszynisty – był to człowiek niewysoki, ale krępy, ubrany w pasiasty, pomięty drelich poplamiony olejem i smarem. Z tylnej kieszeni wystawała mu jakaś szmata, której koniec powiewał to w jedną, to w drugą stronę, gdy

maszynista zmagał się z potężnym kołem sterowym. Czapka okazała się ciemną baseballówką, może niebieską, a może ciemnozieloną – Abbott nie miał co do tego pewności – zakrywającą gęstą grzywę sztywnych, siwiejących włosów. Zbyt długie jak na wymogi współczesnej mody, zwijały się i kręciły, przyklejając do spoconej, brudnej i masywnej szyi.

Koło sterowe sprawiało wrażenie skomplikowanego urządzenia. Składało się z czterech obręczy, z których zewnętrzną i najszerszą maszynista trzymał właśnie jedną ręką.

Następna była węższa od poprzedniej i wysunięta nieco bardziej do przodu, a wszystkie łączyły się z centralną kolumną przy pomocy zdobionych, metalowych prętów. Tuż obok sterczał zespół długich dźwigni przypominający kępę sitowia.

Abbott oglądał to wszystko, rozkoszując się faktem, że ból powoli ustępuje. Jego uwagę przyciągały na zmianę poczynania maszynisty i krajobraz za okienkami. Z początku zależało mu głównie na tym, by się czymś zająć, i wtedy zauważył, że z miejsca, w którym siedzi, widok ograniczył się nagle do nieba i chmur.

Maszynista zakręcił kołem w jedną stronę, potem w drugą, pchnął jedną dźwignię, a drugą szarpnął tak mocno, że znalazła się niemalże na poziomie podłogi.

– Niezła jazda! – zawołał Abbott, usiłując przekrzyczeć hałas.

– No – dobiegła go odpowiedź.

– Czy on... czy on wymknął się spod kontroli?

– Kto?

Abbott uśmiechnął się.

– Pociąg.

– A, pociąg.

Niespodziewanie maszynista z gracją baletnicy zakręcił jedną z obręczy, pociągnął którąś dźwignię do góry i uderzył w wirującą obręcz, by zwiększyć prędkość jej obrotu.

Potem złapał ją, unieruchomił i zakręcił inną w przeciwnym kierunku. Pociąg zatoczył się po pijacku tak gwałtownie, że Abbott wypadł ze swojego kąta.

– Nie, powiedziałbym, że teraz to mam go raczej pod kontrolą.

Abbott zauważył, że maszynista w ogóle nie patrzy przez okienka, jakby wpatrywał się wyłącznie w kominek przed sobą.

– Dokąd my jedziemy? – zapytał, rozglądając się po kabinie.

– Wszędzie – odparł maszynista. – I nigdzie – dodał po chwili. – Po prostu sobie jedziemy.

– Chodzi mi o to, gdzie będę mógł wysiąść.

– Wysiąść? – zachichotał. – No, wysiąść to sobie możesz w każdej chwili, jeśli łaska. – Pociągnął za sznurek z węzłkami i rozległ się przeraźliwy gwizd. – Mnie to nie robi różnicy.

– Ale gdzie się zatrzymujesz?

Mężczyzna złapał za jedno z kół i z całej siły zakręcił nim w prawo, a potem ze zgrzytem przesunął w tym samym kierunku dźwignię.

– Się nie zatrzymuję – burknął.

– Nie zatrzymujesz się?

– A co właśnie powiedziałem?

– Tobie nie chodzi o to, by coś ominąć, nie? – zapytał Abbott, wpatrując się w jego plecy. – Ty kierujesz tak, by coś rozwalić!

Mężczyzna otworzył metalowe drzwiczki. Sięgnął do wielkiego wiadra stojącego tuż przy nim i wyciągnął coś, co przypominało garść pustych toreb polietylenowych, a następnie cisnął je w płomienie. Ogień zaczął buzować ze zdwojoną siłą, a maszynista zatrzasnął drzwiczki i chwycił za koło.

Po chwili Abbott pogodził się, że raczej nie uzyska odpowiedzi na swoje pytanie – choć z drugiej strony mogło być i tak, że z powodu hałasu maszynista nawet go nie usłyszał.

Postanowił więc spróbować z innej beczki: – Co to za paliwo?

Maszynista niespodziewanie odwrócił się i uśmiechnął.

– Marzenia.

Na jego twarzy malowały się jednocześnie smutek i łagodność, pewność siebie i pokora, lecz Abbott odniósł wrażenie, że za tą fasadą kryje się jakaś mroczniejsza nuta.

Mężczyzna wyglądał na sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt lat. Okrągłą twarz okalały siwe bokobrody, które ciągnęły się aż do szczęki. Przez grzbiet nosa biegło kilka głębokich bruzd, a wiecznie półprzymknięte oczy

przywodziły na myśl fotografię zrobioną w chwili mrugnięcia.

– Marzenia – powtórzył Abbot bezwiednie, bez zastanowienia. Skoro ten człowiek twierdził, że paliwem są marzenia, to tak właśnie musiało być. Nie miał pojęcia, w jaki sposób można napędzać cokolwiek marzeniami, ale skoro tak mówił, to tak było. Poczuł nagle, że jest jeszcze wiele innych rzeczy, o których ten człowiek może mu opowiedzieć, a które on zaakceptuje bez cienia sprzeciwu.

Maszynista znów się odwrócił i zakręcił wielkim kołem niczym demoniczny dyrygent.

Jego pulchne ramię puściło koło, gdy to skierowało się ku dachowi, by pochwycić jedno z mniejszych i zakręcić nim w przeciwnym kierunku. Pochylił się i przyjrzał uważnie czemuś przed sobą. Abbott nagle odzyskał rezon.

– A zatem – zaczął, dźwigając się na nogi – a zatem jesteśmy w pociągu, który nigdzie się nie zatrzymuje i jest napędzany marzeniami.

Słyszając te słowa wypowiedane własnym głosem, zadał sobie w myślach pytanie, jak mógł uznać taką odpowiedź za coś innego niż bredzenie szaleńca.

– No. Dobrze żeś to ujął.

Abbott przeszedł do przodu, czepiając się mniejszych dźwigni wystających z dachu kabiny i stanął przy maszyniście. Cudownie. Chcąc uciec z Zadupia Wielkiego, załapał się na pociąg na samochodowych kołach prowadzony przez starego pierdziela, który mówi zagadkami, zabił człowieka w biały dzień i spowodował więcej zniszczeń (nawet jeśli te ograniczały się do przedmieść Madrigal, gdzie przydałoby się nieco wiosennych porządków) niż Mel Gibson we wszystkich częściach *Zabójczej broni* razem wziętych. W dodatku człowiek, którego rozwalił ów stary pierdziel, wyglądał na trędowatego. Na litość boską, gdzie na tym świecie żyli jeszcze trędowaci?! Abbott wyjrzał przez okienko, ale krajobraz był rozmazany.

– Jezu, jak szybko jedziemy? – zapytał, prześlizgując się wzrokiem po ścianie przed maszynistą w poszukiwaniu jakiejś tablicy rozdzielczej. Nie dostrzegł jednak niczego ciekawego poza urządzeniem przypominającym migoczący telewizor, osłonięty ze wszystkich stron wystającymi płytkami.

Nie widział nic na ekranie i wyglądało na to, że obok nie ma żadnych głośników, choć przy hałasie pracujących maszyn nie mógł być niczego pewnym.

Maszynista wzruszył ramionami.

– Cholera wie. Pewnie szybko.

– A spieszymy się gdzieś?

– Raczej nie.

– To po co tak pędzimy?

Mężczyzna szarpnął dźwignię, która próbowała stawiać opór, i znów zakręcił kołami, a potem kilkakrotnie wdepnął szeroki pedał u dołu ściany. Pociąg zadrżał kilka razy i targnął się dziko na bok. Abbott stracił równowagę i przewrócił się na plecy, ledwie unikając zderzenia ze ścianą.

– Pytałem, po co...

– Żeby utrzymać prędkość.

Abbott już chciał coś powiedzieć, gdy uśmiechnięty lekko maszynista obdarzył go przelotnym spojrzeniem, a potem skupił całą uwagę na niewielkim ekraniku. Abbott poczuł nagle, jak prostuje się zmarszczka niezadowolenia pomiędzy jego brwiami.

No, racja. Żeby utrzymać prędkość. To chyba jasne.

Spojrzał w okno i patrzył na przemykające w szalonym tempie zagajniki, domy, rzędy pojazdów... Czy to nie dziwne, że nigdzie nie widział żywego ducha? Przecież ktoś powinien usłyszeć łomot pędzącego pociągu – każdy normalny człowiek wyszedłby sprawdzić, co się dzieje.

Hej, Mabel, chodź no popatrzeć! Jakiś cholerny pociąg przebija się przez nasze sąsiedztwo, chociaż na całych przedmieściach nie mamy ani metra torów! Zobacz, rozwala wszystko jak leci! A tam, czy to nie jakiś dziadek rozplaszczony na lokomotywie? Słuchaj, czy on aby nie macha?

Co ciekawe, krajobraz za oknem nie mijał w równym tempie. Co rusz znikał w jednym oknie i pojawiał się w drugim, a czasami zwalniał tak bardzo, jakby miał się zatrzymać, by znów wystrzelić z ogromną prędkością. Do ciężkiej cholery, co to był za pociąg?

A to nie wszystko.

Gęste roje odłamków śmigają za oknem, łomotały o budkę lokomotywy, z łoskotem odbijały się od jej ścian i waliły na ziemię. Abbott dostrzegał

porozbijane cegły, meble, samochody, słupy telegraficzne, lampy uliczne... Wszystko to padało ofiarą rozpędzonego składu i szalonego maszynisty. Mimo to, gdy Abbott wyjrzał przez okno, uświadomił sobie, że wszystko, co właśnie rozwalili, nadal stoi na swoim miejscu.

– Jak ty to robisz?

– Co?

Skinął na wóz dostawczy, który wywrócił się do góry podwoziem po zderzeniu z lokomotywą, ale gdy tylko przejechali dalej, stał na kołach jakby nigdy nic.

– Ano to.

Stary maszynista wzruszył ramionami i znów zakręcił kołem.

– To tylko duchowe gruzy.

– Duchowe gruzy?

Zajebicie, pomyślał Abbott. Toczę dyskusję metafizyczną ze starym pierdzielem, który prowadzi szalony pociąg na przełaj przez kraj.

– To ciężarówki, samochody i budynki mają dusze?

– Wszystko ma duszę, młody. Wszystko wraca mniej więcej do tego samego stanu, gdy już przejadę.

– A co z ludźmi?

– Nie widzą mnie – odparł staruszek, skręcając w prawo.

– Ja cię zobaczyłem.

– Tak, ty tak.

– A co to oznacza w ogólnym wymiarze?

– To, że może masz lepszy wzrok. A może to, że masz jakąś robotę do wykonania.

– W rzeczy samej, mam robotę! – parsknął Abbott. – Mam napisać serię artykułów o tym, jak bardzo centralne Stany odbiegają od korporacyjnej struktury kraju nowego tysiąclecia.

– Fajna sprawa – powiedział z uśmiechem maszynista, popychając jedną z dźwigni i ostro skręcając kołem.

Abbott przyglądał się pędzącemu krajobrazowi. Lokomotywa przemknęła właśnie przez blok mieszkalny.

– Nie tak to wszystko wyglądało tam, skąd mnie zabrałeś. Jak się nazywało to miejsce? Madrigal? Tam budynkom nieźle się oberwało.

– No, racja. Tak to już jest w Madrigal. Ale, jak już mówiłem, naprawią to wszystko.

Ten dziadek, wiesz... No, on jest aniołem.

– Tak, wiem. Jest aniołem.

Staruszek pokiwał głową, nie odwracając się.

– No. Wreszcie łapiesz.

Pociąg wychylił się w lewo i Abbott wpadł na ścianę. I co teraz? Wskoczyć? Nie ma mowy! Może kiedy maszynista się zmęczy... Może wtedy będzie musiał się zatrzymać.

– Kiedy robisz sobie przerwę?

– Nie robię przerw.

– Co, przerw nie robisz? A nie masz może jakiegoś asystenta?

– Nie.

– To kiedy sypiasz?

– Nie sypiam. – Mężczyzna złapał za dźwignię, przytrzymał ją i przekręcił w bok. – Nie śpię, nie jem. Do kibla też nie muszę.

Abbott zamrugał, trawiąc informacje. Do kibla nie musi? Jeśli to prawda, to ten facet ma jelita rozdęte jak sterowiec i pęcherz wielki jak szopa. Nie ma co, niezły wariat się trafił.

Ale Abbott potrafił sobie radzić z czubkami.

Tymczasem pozostawała jeszcze jedna istotna kwestia – ta mianowicie, że pociąg właśnie przebijał się przez świat, nie powodując żadnych zniszczeń. Może okna były ekranami, na których wyświetlano zapętłony film, sprzęgniętymi z hydraulicznym systemem odpowiedzialnym za ruchy podłogi? Może w ogóle się nie poruszali, może cały czas stali w miejscu, a to wszystko było iluzją? Ale przecież Abbott widział ów pociąg, gdy ten wjechał do miasta.

No, racja. Tak to już jest w Madrigal.

Bawiło go to stwierdzenie.

– Jak długo... – zaczął, starając się, by nie zdradzić głosem niedowierzania. – Jak długo jeździsz tym...

Nie dokończył. Szerokim ruchem ręki wskazał jedynie urządzenie sterowe i wnętrze budki.

Maszynista znów się odwrócił i obdarzył go uśmiechem.

– Długo. Prowadzę ten pociąg tak długo, jak ty jeździsz i piszesz swoje artykuły.

Wiem o tobie wszystko. Znam twoje nazwisko, wiem o każdym twoim oddechu. Wyczuwam je podczas objazdów. – Zaśmiał się, poklepując pierś.
– Usłyszałem o tym od lokomotywy.

Abbott wsłuchał się w odgłos pracy maszyn.

Była to mieszanina setek szeptów, ogromna mnogość słów i akcentów, szemrzący nawał stłoczonych spółgłosek i samogłosek, to rosnący, to opadający, nacierający i cofający się niczym fala na plaży. Po części miał mechaniczny charakter, a po części zupełnie inny, który go wzbogacał i przeszkadzał zarazem.

– Znasz moje nazwisko?

– Czy nie to właśnie powiedziałem?

– No to jak ono brzmi?

– Abbott – rzekł staruszek i wykrzywił usta w uśmiechu, który towarzyszy z reguły słowom: „Wal się”, a potem skupił uwagę na kole.

– Skąd je znasz?

– Wiem mnóstwo rzeczy. Stąd je słyszeć. – Poklepał kominek. – Posłuchaj.

Abbott zmarszczył brwi, próbując wydobyć sens z chaosu dźwięków. Miał wrażenie, że to tu, to tam wychwytuje jakieś frazy, pytania, zdania, prośby, niektóre po angielsku, niektóre w innych językach.

– Co to takiego?

– To Dźwięk.

– Jaki dźwięk?

Maszynista zakręcił jednym z kół i wdepnął jakiś pedał. Następnie chwycił inną obręcz, pchnął ją w przeciwnym kierunku, pociągnął za dźwignię i rzekł: – To Dźwięk. Mieści w sobie każdy dźwięk, jaki kiedykolwiek istniał, każdy płacz dziecka czy pierdnięcie kota, każdą obietnicę kochanka i każdy pierwszy, a także ostatni oddech, który uchodzi z ciała w owym cudownym momencie, gdy przestaje ono funkcjonować. Jest w nim każde westchnienie ofiar morderców i trzepot skrzydeł każdego stworzenia, które kiedykolwiek walczyło z prądami powietrza. Jest w nim każde uderzenie kopyta i każdy plusk rybiego ogona. Jest w nim wreszcie

każde słowo, które kiedykolwiek zostało wypowiedziane, wiele z nich do innych ludzi, a inne – zdziwiłbyś się, ile ich jest – w ciszy pokoju otoczonego lustrami, do samotnej poduszki, która udaje przytulność i łagodność, czy do niekończących się kieliszków, które z każdym kolejnym łykiem obiecują zapomnienie.

Abbott złapał się na tym, że potakuje, pochwycony przez hipnotyczny rytm słów starego maszynisty.

– To marzenia. Gdy wrzucam je do ognia, płoną. Bo marzenia nigdy się nie kończą.

Wszyscy o tym dobrze wiemy, nie?

– Jasne.

Halo? 911? Czy moglibyście kogoś wysłać do pewnego miejsca w Tennessee? Jest tu taki pociąg, który demoluje wszystko na swojej drodze, a prowadzi go człowiek pogrążony we własnym Nibyświecie. Zabierzcie sieci!

Abbott zgodziłby się ze wszystkim, co mówił staruszek.

– Ale skoro tak płoną i płoną, to po co dorzucasz nowe?

– Bo się zmniejszają. Płoną i płoną, aż stają się naprawdę małe. – Uniósł dłoń i połączył kciuk z palcem wskazującym, by uzmysłowić pasażerowi, o jaką wielkość mu chodzi. Naprawdę malutką. – Nigdy jednak nie spalają się do końca. Bo marzenie to coś, co trwa wiecznie, no nie?

No nie? Jasne, czy to nie racja? Przecież każdy o tym wie. Oto Abbott siedział sobie uwięziony w zmierzającym donikąd szalonym pociągu prowadzonym przez Carlosa Castanedę wrzucającego marzenia do ognia... Jasne. Wszystko to było zajebiście sensowne.

– A te marzenia mówią coś o mnie? Przezywają mnie?

Maszynista zaśmiał się i nacisnął pedał.

– No nie, nie przezywają cię. Mówią o tobie. I to nie wszystkie.

Powoli wychylił pociąg w lewo, a potem zakręcił najmniejszym kołem w prawo.

Lokomotywa zatoczyła się i podskoczyła niczym zagubiony okręt na nocnym morzu, cierpiący bezgłośnie pod gwiazdami i obojętnym niebem.

– W każdym razie wiele z nich mówi o tobie, choć nie wszystkie cię znają.

– To nie ma sensu.

– Niewiele rzeczy ma sens. – Staruszek milczał przez chwilę, wpatrując się z napięciem w kominek, a potem dodał: – Słucham ich przez całe dni, codziennie.

– Co one mówią o mnie?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie mogę. Nie chcę. Cóż za różnica?

– Dla mnie wielka.

– Wyluzuj, sierżant. Wierz mi, pies to trącał. – Maszynista oparł łokcie na kołach i wyciągnął z kieszeni chusteczkę. Otarł twarz i spojrzał baczniej na kominek. – Nie, nie będziesz mi tu... – rzucił nagle, złapał za drugie co do wielkości koło, zakręcił obiema rękami jak wschodni wojownik i szarpnął za jakąś dźwignię. Pociąg znów się zakołysał, a staruszek spojrzał z powrotem na kominek.

– No, tak lepiej – oznajmił i zakręcił kołem raz jeszcze, tym razem spokojniej. Zdołał nawet w międzyczasie wsunąć chusteczkę do tylnej kieszeni spodni.

Abbott podniósł się z podłogi i przeszedł bokiem obok maszynisty.

– Na co ty się gapisz?

– Na to – odparł mężczyzna, nie oglądając się. Postukał palcem w niewielki ekranik zamontowany w ścianie tuż ponad urządzeniami sterowymi. – To właśnie dlatego muszę ciągle pędzić. To dlatego muszę utrzymywać pociąg w miarę prosto.

Machnął na Abbotta.

– Chodź, pokażę ci.

Był to ekran telewizora.

– Oglądasz telewizję? – Abbott nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. – Oglądasz telewizję, a w międzyczasie zapieprzasz kilkusettonowym metalowym potworem, orząc...

– Powoli, powoli – przerwał mu maszynista. – To nie telewizja. Chodź tu i popatrz przez chwilę.

Abbott skupił uwagę na ekranie.

Trwała na nim jakaś walka, starcie między dwoma ogromnymi,

całkowicie nagimi postaciami. Nie potrafił określić, czy byli to mężczyźni, czy kobiety, gdyż nie dostrzegał piersi, genitaliów czy włosów łonowych. Obie postacie nie miały w ogóle owłosienia, ani na głowie, ani na twarzach czy pod pachami, zaś ich ciała lśniły potem. Na pierwszy rzut oka wydawały się niezwykle otyłe, lecz gdy przyjrzał się uważniej, odkrył, że nie dostrzega falujących fałd tłuszczu, a jedynie twarde mięśnie.

Jedna z owych istot – nie umiał ich od siebie odróżnić – oderwała się od narożnika i podreptała wzdłuż ściany wielkiego pokoju, podczas gdy druga nadal tkwiła w jego centrum.

Obie rozkładały szeroko ręce i stały na ugiętych kolanach, jakby walczyły o utrzymanie równowagi.

– Trzymaj się! – wykrzyknął maszynista i zakręcił kołem w lewo.

Abbott skoczył w kierunku żłobkowanej poręczy, która biegła na wysokości jego głowy w poprzek kominka. Gdy za nią złapał, zerknął z powrotem na ekran – postać stojąca na środku pokoju przewróciła się i ześlizgnęła aż do ściany. Druga poleciała w przeciwnym kierunku.

Staruszek raz jeszcze zakręcił kołem, tym razem w prawo, a wolną ręką zmienił położenie jednej z wielu dźwigni. Potem obrócił innym kołem.

Jedna z walczących istot pozostała w kącie, a druga poszybowała bezwładnie przez pokój i zatrzymała się na ścianie po przeciwległej stronie.

Abbott spojrział za siebie, podświadomie spodziewając się, że ujrzy owe walczące istoty tuż za plecami.

– One są tutaj, nie? Tu, w pociągu.

– Prawda.

– Kim one są? Co one robią?

– Wadzą się.

– Co?

– Wadzą się. No, kłócą.

– O co się kłócą?

Staruszek zachichotał.

– O wszystko! – parsknął i wybuchnął śmiechem.

Abbott patrzył w ekran, podczas gdy bezpłciowe postacie kroczyły groźnie wokół siebie, szykując się do zwarcia, gdy nagły ruch pociągu

cisnął je najpierw w jedną, a potem drugą stronę. Toczyły się po podłodze i odbijały od ścian, co jednak nie robiło na nich większego wrażenia. Abbott nie widział krwi ani oznak cierpienia, nic nie wskazywało, by w ogóle dostrzegały owe przeszkody.

– Ale kim, a może raczej czym one są?

– To, mój młody kolego, są Nadzieja i Rozpacz. A jeśli chodzi o to, dlaczego się wadzą... Cóż, tak jest od zawsze. Nic innego dla nich się nie liczy. Wiesz, nie sądzę, by nagle zachciało im się robić przerwę czy wysiąść z pociągu, nawet gdyby mogły.

Odwrócił twarz ku Abbottowi i dodał: – A nie mogą.

– Są naturalnymi wrogami – ciągnął, znów patrząc przed siebie. – Stanowią swoje własne zaprzeczenia. Sama ich definicja sprawia, że nie mogą współżyć w harmonii.

Abbott przyglądał się profilowi maszynisty, podczas gdy ten w skupieniu obracał kołami, wciskał któryś z pedałów i pociągał za losowo wybraną dźwignię, dorzucając od czasu do czasu garść marzeń do pieca. Zauważył też, że gdy mężczyzna otwierał drzwiczki, ze środka nie buchało gorąco.

– Tak się nazywają? Nadzieja i Rozpacz?

Starzec pokręcił głową.

– Nie mają imion. One są Nadzieją i Rozpaczą. – Wyprostował się na moment i obdarzył Abbotta krótkim uśmiechem, nim powrócił do sterowania. – Od zawsze się wadzą.

Ja jedynie muszę dopilnować, żeby żadne z nich nie wygrało. A tak naprawdę to muszę uważać, żeby żadne z nich nawet nie dotknęło drugiego.

– Skąd wiesz, które jest które? – zapytał Abbott, ignorując natłok innych wątpliwości.

– Nie wiem. Ale to nie ma znaczenia.

– A co się stanie, gdy jedno z nich wygra?

– Nie ma mowy. Przynajmniej na mojej zmianie.

– A kiedy się kończy twoja zmiana?

Staruszek wzruszył ramionami.

– A kiedy się zaczęła?

Kolejne wzruszenie.

– Nie pamiętam. Jakoś tak kupę czasu temu. Jeżdżę tym pociągiem, odkąd sięgam pamięcią.

– Co? Zawsze tak zasuwasz pociągiem po prowincji, prób...

– Powoli. Nie po prowincji. Jeździłem tym pociągiem, ale ledwie kto go widział, a nikt nigdy do niego nie wsiadł. No, poza mną, się rozumie. No i tymi dwoma. – Wskazał skinieniem ekran. – Ale teraz... teraz wszystko się zmienia – stwierdził, kładąc nacisk na ostatnie słowo. – Nic już nie jest takie samo. Ludzie widzą teraz wiele rzeczy, których nie widzieli wcześniej.

Odwrócił się i spojrzał Abbottowi w oczy.

– Złe czasy nastały, sierżancie. Złe czasy.

Znów powrócił do sterowania, znów zakręcił kilkoma kołami, w wyniku czego obie postacie na ekranie przekoziółkowały po podłodze w różnych kierunkach.

– Jak wygra Nadzieja, to ludzie popadną w samozadowolenie – oznajmił rzeczowo. – Dojdą do wniosku, że wszystko będzie działać na cacy. Nie będzie czym się martwić, nie będzie do czego dążyć.

– Z drugiej strony, jak wygra Rozpacz i ludzie przestaną wierzyć, że cokolwiek się uda... Cóż, stracą wtedy ducha determinacji, umiejętność zachowania optymizmu. A zatem muszę utrzymać tych dwoje w dobrej kondycji i z dala od siebie, by nawzajem działali na siebie inspirująco. Przygnębienie dobrze działa na samozadowolenie, a optymizm podsyca niechęć do życia. Muszę utrzymać równowagę, zachować *status quo*.

Nie będzie czym się martwić, nie będzie do czego dążyć. Przygnębienie dobrze działa na samozadowolenie, powtarzał w myślach Abbott.

Głos i słowa maszynisty stanowiły osobliwy amalgamat tonów, dialektów i gwar.

Czasami staruszek mówił dobrze mu znanym, rozciągniętym dialektem z Południa, kiedy indziej jak człowiek inteligentny, znający mądro brzmiące określenia. Abbott nie mógł dojść, który z tych głosów jest prawdziwy, a który udawany – o ile którykolwiek był udawany.

– Kim ty jesteś? – wypalił. Przez chwilę zastanawiał się nad innym pytaniem, które przyszło mu właśnie do głowy, ale potem po prostu rzucił: – Jesteś Bogiem?

Śmiech starego maszynisty przypominał końskie rzenie.

– Ha, Bogiem? Nie, dajże spokój, sierżant! Ja jestem tylko maszynistą!
Znów wybuchnął śmiechem.

– Ja Bogiem? To ci dopiero!

Tymczasem na ekranie jedna z postaci złapała drugą kurczowo za rękę.

– Cholera! – Staruszek nadepnął gwałtownie na pedał, posyłając Abbotta prosto na kominek.

Potem obrócił kołem w lewo. Abbott oderwał się od ściany, a kawałek bariery, której się przytrzymał, został mu w dłoni. Nie mógł złapać równowagi, zatoczył się do przodu, wymachując gwałtownie rękoma. Trafił staruszką prętem w policzek, rozdzierając mu skórę.

Ku jego zaskoczeniu, z rany nie popłynęła krew.

Maszynista rozwarł szeroko powieki ze zdziwienia i przewrócił oczami. Zrobił kilka chwiejnych kroków, uniósł dłoń do głowy i osunął się na podłogę.

Abbott uklęknął przy nim pospiesznie i złapał go za przód koszuli.

– Hej, wszystko w porządku?

Odrzucił bezużyteczny kawałek metalu i uderzył mężczyznę w twarz.

– Hej, odezwij się! Powiedz mi coś jeszcze o...

Nagle urwał i spojrzał na zraniony policzek.

– Co jest? – zainteresował się staruszek.

Abbott nie odpowiedział. Uniósł dłoń i dotknął twarzy maszynisty. Była zimna. I twarda. Przesunął dłoń aż do rany, gdzie ujrzał coś ciemnoszarego pod skórą.

– Twoja twarz... – zaczął.

– Co z nią?

Abbott delikatnie wsunął palec między rozdarte kawałki ciała i natrafił na metal.

Cofnął rękę i spojrzał staruszkowi w oczy.

– Co się dzieje z moją twarzą?

A może miał tylko wprawioną metalową płytkę... Tak, to na pewno tylko płytka.

Pokiwał głową, przyznając samemu sobie rację.

– Zapytałem...

– Rozciąłeś się – odparł Abbott słabym głosem.

Maszynista znów otworzył szeroko oczy.

– Muszę... muszę się naprawić – powiedział, a jego głos zabrzmiał cokolwiek dziwnie, niczym płyta podczas regulacji prędkości obrotów gramofonu.

– Masz tam coś metalowego... Coś metalowego w policzku.

– Coś metalowego w policzku? – powtórzył, cedząc osobliwie sylaby. – Do licha, ja cały jestem metalowy, sierzancie. Z tego mnie właśnie zrobiono. A co ty sobie myślałeś? Że jestem z krwi i kości jak ty?

Zaśmiał się chrapliwie, widząc, jak Abbott gorączkowo szuka odpowiedzi.

– Sam pomyśl, chłopie! Jak inaczej mógłbym się obyć bez snu, jedzenia czy siurania raz na jakiś czas?

Zaśmiał się raz jeszcze, a Abbott ujrzał isierki w jego gardle.

– A więc wszystkie te opowieści...

– To nie opowieści.

Abbott spojrział na ekran. Dwie postacie szczepiły się w walce. Pociąg zwalniał.

– Pociąg hamuje!

– Spozrzegawczy jesteście, nie ma co, sierzancie. – Maszynista podparł się jedną ręką i machnął w stronę ściany. – Widzisz ten pedał? Nadepnij no na niego.

Abbott spojrział na oba pedały... to nie zadziała, to nie zadziała!
...pod mechanizmem sterującym.

– Który z nich?

– Że co? Którą nogą?

– Nie? Który pedał!

– Obojętnie! Ten to hamulec, a ten drugi gaz. Jak naciśniesz jeden, to szarpnie do tyłu, jak drugi, to szarpnie do przodu. Obojętne, co naciśniesz, musimy ich od siebie oderwać.

Abbott odwrócił się, wyciągnął prawą stopę i... przecież wszystko dobrze się skończy... o co to całe zamieszanie, przecież wszystko będzie dobrze...

...wcisnął go z całej siły.

Pociąg rozpoczął hamowanie.

Z dołu dobiegł przenikliwy zgrzyt metalu graniczący z piskiem. Nagle

odgłos przemieścił się w tył, a potem dołączył do niego łoskot kolizji, zderzeń i eksplozji.

– Składa się jak scyzoryk! – krzyknął maszynista, gdy już się podniósł. – Naciśnij ten drugi!

Abbott przesunął stopę i... kurwa, składa się jak scyzoryk... powiedział, że składa się jak scyzoryk... co ten facet ma na myśli? czy jemu chodzi o to, że umrzemy? że niby twój problem, sierżancie, a my wszyscy...

...wdusił drugi z pedałów. Pociąg skoczył do przodu, a Abbott poleciał do tyłu, daleko od pedałów.

Maszynista podszedł do urządzenia sterowniczego, pokręcił głową i raz jeszcze wcisnął pedał przyspieszenia, tym razem nie puszczając go przez dłuższą chwilę. Abbott wparł się plecami w ścianę... to koniec... już po wszystkim... już po nas... wszyscy zginiemy... zginę tutaj... jak będzie smakował mój ostatni oddech? jak się będę czuł, umierając?... i skrył twarz w dłoniach.

– O Jezu, Jezu, Jezu...

– Zamknij się!

– Już po nas! – Abbott przekrzyczał huk maszyny i łoskot kół. – Już mam wszystkiego dosyć! Wszyscy mamy już dosyć! Każdy z nas!

I zaczął szlochać.

Nie płakał od wielu, wielu lat. Tak naprawdę nie był w stanie sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz uronił choćby łzę. Przez jego umysł przepłynęła fala wspomnień, zrodzony pośród halucynacji kalejdoskop twarzy, niektórych starych, innych nieco młodszych, wreszcie i całkiem młodych. Rozpoznawał niektóre z nich, wiedział, że to twarze przyjaciół i kochanków, zaś reszta to... matki? ojcowie?

...krewni. Różnili się jednak kolorem skóry i stylem ubioru, a każda z owych twarzy wpatrywała się w niego z otchłani jego umysłu, przypominając obraz w źle nastrojonym odbiorniku telewizyjnym. Wszystkie one próbowały się do niego przebić, patrzyły na niego przez ekran i usiłowały się przedostać.

– Musisz się stąd ruszyć.

Abbott pokręcił głową, patrząc na wyobrażone – przypomniane – twarze.

Kim byli ci wszyscy ludzie? Dlaczego ich rozpoznał? Kręcili głowami, uwalniając kolejną falę wspomnień, odwracali się od niego, jakby odbierając mu prawo do tego, co zrobił. Oddychał z wielkim trudem, szloch przeszedł w spazmy, które rozdzierały jego gardło i klatkę piersiową.

– Ooooooooo...

Maszynista odwrócił się i z całej siły kopnął Abbotta w goleń.

– Powiedziałem, że musisz się ruszyć! Musisz je rozdzielić!

Abbott zacharczał i splunął na swoją dłoń.

– Co? Mam się stąd ruszyć? Przecież mówiłeś, że nigdy nie zatrzymujesz pociągu!

– Bo nie zatrzymuję. – Staruszek znów wpatrywał się w ekran i kiwał głową. – Chodziło mi o to, żebyś poszedł do ostatniego wagonu. Musisz je rozdzielić!

Abbott zaczął jęczeć i kręcić głową. A potem... przypomniał sobie blask słońca... i śmiech... przypomniał sobie mroczne dni, które okazały się nie tak bardzo mroczne...

przestał.

– Nic nie trzeba robić! – oznajmił z tryumfem, machając rękami. – Znów jedziemy!

Znów masz wszystko pod kontrolą! Nie ma czym się przejmować, nie rozumiesz?

– Posłuchaj mnie lepiej – rzucił maszynista, tłukąc się po głowie, przez co głoska „e” w ostatnim wyrazie rozciągnęła się w kilka dłuższych, przerywanych dźwięków. Z ucha wypadła mu sprężyna. – Kurwa! – warknął. – Przepraszam, wymknęło mi się. Spójrz lepiej, co się dzieje.

Wcisnął sobie oko w oczodół i przekręcił je, aż rozległo się głucho kliknięcie. Abbott dostrzegł kilka iskier i jeszcze więcej metalu.

– Obie zwały się w starciu – ciągnął staruszek, wskazując ekran. – Nie mogę ich rozdzielić. Najpierw Rozpacz zdobyła przewagę, a teraz Nadzieja... Rozumiesz, co tu się dzieje? Nie słyszysz tego? Tu właśnie o to chodzi! Nie mogę ich rozdzielić, nie mogę zaryzykować zatrzymania pociągu ani nie mogę ci go powierzyć! Istnieje tylko jedno rozwiązanie – musisz się przedostać do ostatniego wagonu!

Abbott zaśmiał się pod wpływem nagłego przypływu uniesienia.

– Stary, ale ty się przejmuj...

Niespodziewanie uniesienie wyparowało, zastąpione przygnębieniem, gęstą, czarną chmurą śmierci i zniszczenia, zapowiedzią rozkładu w milczącej świętości ludzkiego grobu, toczonymi przed świtem rozważaniami o stracie, chorobie i porażce, przeświadczeniem o nieuchronności ostatniego oddechu...

Abbott stał, wykorzystując ostatnie zasoby determinacji i energii, lecz nic mu to nie dawało. W tej grze determinacja i energia na nic się nie przydawały.

Po jego policzku spłynęła łza.

– Już po nas, nie?

Maszynista ściągnął czapkę i rzucił ją Abbottowi.

– Zakładaj.

– Co?

– Załóż czapkę. To pomoże.

...pomoże? uchroni mnie przed śmiercią? uchroni mnie przed guzami, niedowładem wątroby i zatorami? sprawi, że ludzie zaczną mnie kochać? sprawi, że moje serce nigdy nie przestanie bić? uchroni mnie przed pęknięciami kości? zdoła...

Maszynista odwrócił się i jednym płynnym ruchem uniósł czapkę z kolana Abbotta, by wcisnąć mu ją na głowę. Potem złapał za urządzenie sterowe i zakręcił nimi dziko.

Zaciekle walił przy tym w pedały, raz w jeden, raz w drugi, drugą ręką szarpiąc za dźwignie.

Pociąg wirował, zrywał się, zataczał piruety.

– Co się dzieje? – Abbott czuł, jak zalewają go walczące ze sobą fale, niektóre – niczym prawdziwe – wypychały go do przodu i w górę, a inne ściągały w dół. Odzyskał jednak panowanie nad sobą, był gotów sunąć razem z prądem i brnąć przez wodę.

– Napiierdalają się, aż trzeszczy! Ups, znowu mi się wymknęło – wysapał stary maszynista. Jego głos uległ zmianie i Abbott, który wpatrywał się w jego plecy, spostrzegł ze smutkiem – i lekkim ukłuciem strachu – że najwyraźniej zaczął płakać. Co się dzieje, gdy mężczyzna wykonany z metalu zaczyna płakać? Wolał się nad tym nie zastanawiać. Żałował, że w

ogóle musi o tym wszystkim myśleć.

– Mój Boże – rzekł maszynista. Mówił cicho, ale jego łagodny głos w jakiś sposób niósł się ponad łoskotem maszyny. – Bożebożebożeboże...

Abbott wcisnął czapkę mocniej na głowę i wstał.

– Ruszam.

Opuściwszy budkę maszynisty, Abbott przeskoczył między dwoma wagonami.

Rozpędzone powietrze uderzyło go jak obuchem i poderwało poły jego płaszcza. Wciągnął głęboko w płuca jego zapach i starając się nie myśleć o wolności, wdarł się do pierwszego wagonu.

Swego czasu ów wagon mógł stanowić ostatni – lub pierwszy, zważywszy na słowa maszynisty – krzyk mody w kategorii „lux”. Zdobne kotary, połączone kandelabry zwisające z sufitu, pluszowe draperie spięte szarfami musiały stanowić miły dla oka kontrast z zamazanym krajobrazem za zakurzonymi oknami. Była to jednak zamierzchła przeszłość.

Na podłodze zalegało teraz pobojuwisko najrozmaitszych szczątków i gnijącego płótna, spleśniałych kawałków drewna i zardzewiałych rur, które przetaczały się wraz z ruchami pociągu.

Abbott ostrożnie pokonał rumowisko, niemalże tracąc równowagę, gdy pociąg niespodziewanie skręcił w bok, ale w końcu dotarł do drzwi na drugim końcu wagonu.

Przez kilka minut był przekonany, że nie zdoła ich otworzyć. Wreszcie jednak ustąpiły i rozwarły się ze zgrzytem zawiasów, których nie używano chyba od tysiącleci. Spojrzał za siebie z nadzieją, że jeszcze kiedyś będzie miał okazję dokładniej to wszystko obejrzeć, i zadał sobie pytanie, jak w tym pociągu cokolwiek mogło działać. Zerknął na zakurzoną podłogę i obwieszone pajęczynami ściany i spróbował zestawzić beznadziejny stan wiekowego składu ze słowami maszynisty, który twierdził, że ten pociąg gnał przed siebie od zawsze – czyli przypuszczalnie od czasów, gdy świat był jeszcze bezkształtną masą niepowiązanej ze sobą energii, przez okres panowania dinozaurów i czasy ukrzyżowania Chrystusa, aż do dzisiaj.

Nie miał pojęcia, co go do tego przywiodło – była to w każdym razie jedna z tych sytuacji, kiedy ciało wykazuje motywację bez udziału ducha –

ale ułożył dłoń na sercu i przycisnął ją mocniej. Przez dłuższą chwilę niczego nie odczuwał, aż w końcu poczuł mocne, pojedyncze uderzenie. A potem znów nic.

Przycisnął palec do nadgarstka. Czekał dobrych parę minut, nim wreszcie został wynagrodzony pojedynczym drgnięciem.

A zatem o to chodziło. Czas zwolnił. To właśnie w ten sposób pociąg wciąż trzymał się kupy, pędząc na przełaj przez... kosmos? wymiary? niebios? ...podczas gdy już dawno powinien był rozpaść się w drobny mak.

Gdy Abbott przeciskał się przez drzwi prowadzące na platformę oddzielającą wagony, uświadomił sobie, że nawet to odkrycie wzbudziło w nim złe przeczucia. Przecież nie było wątpliwości, że i temu pociągowi – artefaktowi ani chybi stworzonemu u zarania dziejów – nie zostanie oszczędzony proces rozpadu. Brutalna prawda brzmiała tak, że któregoś dnia wszystkie te wagony zaczną się rozpadać bez względu na to, czy jemu, Abbottowi, powiedzie się, czy nie.

A kiedy zaczną się rozpadać, to wreszcie staną w miejscu.

A kiedy staną, nic już nie utrzyma z dala od siebie dwóch walczących istot.

A wtedy...

Abbot przycisnął się przez drzwi i wyszedł na platformę.

Wszystkie wagony wyglądały mniej więcej tak jak pierwszy. Każdy zawalony był strzępami płótna, kawałkami drewna, metalu i okruchami szkła. W połowie piątego odwrócił się i ujrzał rząd własnych śladów odcisniętych w wiekowym kurzu. Przed sobą zaś nie widział niczego, co by wskazywało na jakąkolwiek obecność. Wszystko wyglądało tak, jak zawsze, odkąd... No właśnie, od jak dawna? I jak to wyglądało, zanim pociąg ruszył? Gdzie wtedy były Nadzieja i Rozpacz?

Pociąg wychylił się ostro w bok i Abbott poleciał do przodu z wyciągniętymi rękami.

Walnął lewym ramieniem w podłogę i przetoczył się pod ścianę, lądując niedaleko drzwi. W jego twarz i szyję wbiły się okruchy szkła z dawno rozbitej latarni, ale ból był krótkotrwały.

Poderwał się i otrzepał z kurzu, zginając kolana, jakby surfował po

falach, usiłując zachować równowagę po nagłej zmianie kierunku. Gdy wydostał się za drzwi i stanął na platformie, uświadomił sobie, że ma przed sobą ostatni wagon, ten o wiele szerszy od reszty.

Ze środka doleciał grzmot.

Boki wagonu zadrżały – Abbott miał wrażenie, że dostrzegął, jak grube, drewniane deski zadygotały raz czy dwa, a potem grzmot zaczął się oddalać.

Zrozumiał, że to jego jedyna szansa.

Obróciwszy czapkę z daszkiem tyłem na przód, przekroczył szczelinę nad przewodami, które od zawsze łączyły ostatni wagon z wiecznym pociągiem, i złapał za barierkę.

Z obu stron migotały pola, budynki, jakieś mury, kilka domów. Wiatr rozwiewał mu włosy i unosił połę jego płaszcza niczym latawiec, ale Abbott nie odwrócił spojrzenia.

Na ścianie przed sobą zauważył dźwignię otwierającą drzwi.

Złapał za nią, pociągnął i pchnął drzwi.

Wślizgnął się do środka na spotkanie grzmotu pioruna.

Było to miejsce pełne cieni rozświetlanych wąziutkimi strużkami światła, które przypominały promienie lasera wnikające do środka przez niezliczone pęknięcia i dziury na drewnianych ścianach.

Hałas był ogłuszający.

Był to odgłos stada dinozaurów rozdeptujących jurajskie rośliny.

Był to odgłos niekończącej się elektrycznej burzy, która napędza słońce.

Był to odgłos niemającej końca walki między niezmordowanymi armiami na zalanym krwią polu bitwy. Pole sprawiało wrażenie tak ogromnego, jakby słońce nigdy nad nim nie zachodziło, a walczące armie były tak wielkie, że maszerowały przez wiele stref czasowych.

W hałasie kryło się to wszystko i jeszcze wiele, wiele więcej...

Dwie walczące postacie trwały w zwarcium.

Pierwsza trzymała drugą za nadgarstek i kark.

Druga, mając jedną rękę unieruchomioną, wczepiła palce wolnej dłoni w szyję przeciwnika i rozciągała ją coraz mocniej niczym indyjskie korale. Z każdym krokiem, jaki robiła do tyłu – bez wątpienia ciągnięta przez rękę trzymającą ją za kark – przeciwnik robił krok w przód. Obie potykały się,

zataczały, w ciszy i milczeniu walcząc o utrzymanie równowagi na podłodze wyszlizganej od stuleci toczzonego starcia, tak gładkiej, że bardziej przypominała marmur aniżeli drewno.

Abbott przywarł plecami do ściany i bokiem wszedł do pomieszczenia. Przez moment zastanawiał się, czy nie warto jakoś zabezpieczyć drzwi przez zatrzaśnięciem – nie miał ochoty zostać tu uwięzionym, by przez resztę życia unikać zmiżdżenia przez dwa walczące potwory – ale potem zauważył podobną dźwignię, co na zewnątrz. Złapał za nią i obrócił, a zamek cofnął się i znów pojawił. Abbott zmarszczył brwi.

Czemu one nie opuściły pociągu?

Wtedy przypomniały mu się słowa starego maszynisty: Nic innego dla nich się nie liczy... Wiesz, nie sądzę, by nagle zachciało im się robić przerwę czy wysiąść z pociągu... Nawet gdyby mogły.

A więc to dlatego.

Te istoty żyły tylko po to, by ze sobą walczyć. By toczyć to starcie i zwyciężyć.

Obserwując, jak zataczają się po wagonie, Abbott zastanawiał się jednak, czy właściwie to rozumiał. Czy tak naprawdę liczyła się tylko walka? i czy gdyby jedna z nich wygrała, nie byłoby to dla niej zwycięstwo pyrrusowe?

– Hej! – Zamachał rękami, jakby miał zamiar wzbić się w powietrze. – Hej, dajcie spokój, dobra?

Pociąg znów skręcił i obie istoty grzmotnęły o bok wagonu, lecz ani na chwilę nie poluźniły uścisku. Abbott poleciał razem z nimi i w ostatniej chwili złapał za dźwignię drzwi, wierzgając nogami. Uderzył w ścianę i padł na podłogę tuż obok otwartych drzwi.

Wtedy to ujrzał.

Świat zewnętrzny.

Światło zalało wagon, w pełni opromieniając chaos, w którym obie istoty tak długo funkcjonowały. Szczęśliwie – choć Abbott sądził, że z tą grą szczęście nie miało nic wspólnego – walczące istoty zostały uchwycone z profilu. Światło spływało po ich ciałach, uwydatniając wszystkie kości i mięśnie.

A potem rozejrzały się dookoła jako jedność, jako jeden byt, przerywając walkę na krótką chwilę, najkrótszą ze wszystkich istniejących. Ich twarze

stanowiły dziwaczne przeciwieństwo emocji i osobowości, jednocześnie łagodne, jak i straszliwe. Między bezwłosymi brwiami pojawiły się nawet identyczne bruzdy.

Bez choćby sekundy namysłu czy wahania Abbott zerwał się na równe nogi i natarł.

Wrzasnął.

Obie istoty zmarszczyły czoło. Ze zdumienia? Rozbawienia? Strachu? Nie miało to żadnego znaczenia. Wystarczył bowiem ten ułamek sekundy, krótki, króciuteński ułamek, by ich uścisk zelżał.

Abbott uderzył w istotę po prawej, a potem wpadł na jej przeciwnika. Poły jego płaszcza powiewały niczym szaty anioła zemsty lub któregoś z owych walczących ze złem bohaterów nocy, o których czytał komiksy w mniej skomplikowanych czasach.

W mniej skomplikowanych czasach?

Dawno temu.

Gdy wpadł na Nadzieję i Rozpacz, pociąg wyhamował gwałtownie, potem równie szybko przyspieszył i ostro skręcił w bok. Koła piszczały i zgrzytały, gwizdek wył, napełniając świat jednym, jedynym dźwiękiem – hałasem.

Walczący zatoczyli się, wyslizgnęli ze swych objęć, upadli.

Jeden zdołał uklęknąć, lecz poturlał się po podłodze, próbując za coś złapać.

Z ich twarzy nie dało się odczytać żadnych emocji.

Robili to, co robili, ponieważ to robili. Nie było w nich nienawiści, nie było strachu.

Nie było inteligencji.

Pociąg zakręcił.

Abbott potoczył się po podłodze w kierunku końca wagonu.

Drzwi się zatrzasnęły i wewnątrz znów zapadły ciemności.

Pociąg zakręcił w przeciwnym kierunku, przyspieszył, potem wyhamował niemalże całkowicie na swym torze – o ile w ogóle znajdował się na jakimś torze – i znów wystrzelił, wychylając się w drugą stronę.

Obie istoty dzieliła teraz większa odległość. Jedna leżała przy ścianie, druga zaczęła się podnosić przy drzwiach.

Abbott przewrócił się na brzuch i zaczął czołgać.

Nadzieja i Rozpacz już wstały i okręzały się szerokim łukiem z wyciągniętymi rękami i ugiętymi kolanami, by zapewnić sobie maksymalne przyspieszenie podczas ataku.

Powłócząc nogami, Abbott przemieszczał się wzdłuż ściany. Przy kolejnym dzikim zakręcie któraś z istot wyrznęła w ścianę ledwie kilka centymetrów od niego. Nie rejestrując obecności intruza, odwróciła się, by pochwycić przeciwnika, ale pociąg raz jeszcze zmienił kierunek jazdy i bezwładnie powirowała na tył wagonu. Druga istota pełzła tymczasem na czworakach, chcąc jej dopaść, lecz ośrodek grawitacji znów się zmienił i upadła na plecy.

Abbott zdołał uklęknąć, a potem rzucił się biegiem w kierunku drzwi.

Grzmot za nim nagle zamarł.

Otoczyła go cisza.

Burza się uspokoiła. Na razie.

Złapał za klamkę i wypadł na niewielką platformę, zamykając za sobą drzwi.

Przejeżdżali przez pola.

Morze kukurydzy kołysało się w blasku popołudniowego słońca.

Niebo lśniło błękitem.

Przez ułamek sekundy Abbott miał wrażenie, że dostrzega znak drogowy, ale już po chwili jego obraz uciekł między wspomnienia. Znał ten znak, gdzieś go wcześniej widział.

Powietrze uderzające w twarz Abbotta smakowało watą cukrową.

Wstał i spojrzał w górę.

Gdzieś na początku składu, w niewielkiej budce, stary maszynista obrócił kołem, a może tylko wcisnął któryś z pedałów... A może to pociąg w coś uderzył? W każdym razie Abbott stracił równowagę.

Leciał przez przestrzeń, przez szczelinę między wagonami, a potem pociąg przemknął obok niego, ostatni wagon ze swą niekończącą się waśnią, a on wciąż leciał...

Za ostatnim wagonem ciągnęła się głęboka bruzda trawy i ziemi, niczym brązowa zasłona z plamkami zieleni. Sam wagon zniknął, a żałosny skowyt maszyny, przypominający odgłos odległej burzy, zamierał w oddali.

Abbott uderzył w ziemię, sapnął głośno, sturlał się i odbił w górę, usiłując złapać oddech. Dotknął nogami skraju pola kukurydzy, ale pęd rzucił go jeszcze dalej, twarzą w żółte łodygi. W jego klatce piersiowej eksplodował ból, głowa uderzyła o wystające kamienie, miał też wrażenie, że ktoś wbił mu długą igłę prosto w oko.

Ale powoli wytracał prędkość.

Przetoczył się jeszcze kilka razy, teraz już bokiem. Najpierw skrzył sobie prawą rękę, a potem usłyszał – nie, bardziej poczuł – jak coś pęka mu w boku.

Znieruchomiał.

Wszystko go bolało... Nic go nie bolało...

Ogarnęły go cisza i bezruch. Nie wykonując żadnych ruchów, dokonał wewnętrznego przegrupowania, zwarł się, odbudował. Sporządził raport zniszczeń jak w filmach science fiction, kiedy to statek międzygalaktyczny wychodzi z pola asteroidów.

Powoli uniósł rękę, poruszył palcami. Chyba wszystko w porządku. Druga ręka. Lewa noga. Prawa.

Zamrugał. Z jednym okiem coś było nie tak, ale wciąż na nie widział.

Przyłożył dłoń do klatki piersiowej i pomacał.

Serce waliło mu jak młot pneumatyczny.

Zmusiwszy się do powolnego oddychania, wstał, krzywiąc się, gdy setki miejsc na jego ciele wrzasnęły bólem. Z niedowierzaniem stwierdził, że nic sobie nie złamał.

Choć może nie trzeba było dopatrywać się w tym cudu. Za nim, pośród połamanych, zmiażdżonych łodyg kukurydzy i ziemi wygniecionej upadkiem, leżała baseballówka. Pewnie miał ją na głowie aż do chwili, gdy całkiem znieruchomiał.

Sięgnął po nią, by ją założyć, ale ledwie dotknął daszka, czapka rozsypała się w pył, który rozwiął się w kierunku niewidocznego już pociągu.

Spojrzał za nim, osłaniając oczy przed słońcem. Wydawało mu się, że widzi cienki słup dymu unoszący się spiralą ku niebu, jakby gnał tam rumak Pesos Billa. Wydawało mu się też, że oczyma duszy dostrzega starego człowieka, który – niczym sam Pesos Bill – kręci kołami i wali po

pedałach... yeeeh haaaahhh! ...miażdżąc wszystko, co napotka na swej drodze. Kilka wagonów za nim personifikacje Nadziei i Rozpaczy nadal toczyły niekończącą się zażartą walkę. Abbott zadał sobie w duchu pytanie, czy staruszek przypadkiem nie marnował czasu i energii i czy kości w tej idiotycznej grze nie zostały już aby rzucone.

Może jednak nie. Może warto było toczyć tę walkę.

– Trzymaj się, stary! – krzyknął Abbott, a potem znacznie ciszej dodał: – Nie wiem, kto cię zrobił, ale wykonał kawał solidnej roboty.

Z oddali dobiegł go nikły odgłos gwizdka.

Obrócił się i uklęknął, a potem wstał. Nogi mu drżały, ale był w jednym kawałku.

Każdy element jego ciała, który powinien się zginać, zginał się posłusznie, a wszystkie, które nie powinny, były sztywne jak należy. Otrzepał płaszcz z kurzu i rozejrzał się.

Jakiś pickup zatrąbił na niego z drogi. Pokiwał głową i pomachał w odpowiedzi na uniesioną rękę, wysuniętą przez okno od strony kierowcy.

– To twój samochód tam na drodze? – ktoś zawołał. – Ten Trans Am?

– Tak, to mój – powiedział Abbott, podchodząc do pickupa.

Z okna wychylił się młody mężczyzna i wskazał kierunek, z którego właśnie nadjechał.

– Taki starszy gość powiedział, że możesz potrzebować pomocy, no to przyjechałem.

Co, wylegujesz się na słoneczku?

– Starszy gość? – Abbott zmarszczył brwi. Spojrzał na drogę, ale ujrzał jedynie osiadające kłęby kurzu.

– No, taki stary! Stary jak świat, wierz mi. Wyglądał, jakby miał co najmniej setkę.

Siedział sobie przy drodze! – Kierowca poruszył szybko palcami. – Z jednej dłoni został mu tylko jeden paluch plus kciuk. – Pokręcił głową. – Jasna cholera, wyglądał, jakby miał szpony, a nie dłoń!

Abbott wyteżył wzrok, ale w rozedrganym od upału powietrzu niczego nie mógł dostrzec.

– Znasz go?

Abbott otrzepał spodnie z kurzu.

– Można powiedzieć, że o nim słyszałem.

– Taaa? – Młody kierowca najprawdopodobniej chciałby usłyszeć coś więcej, ale jego rozmówca nie odezwał się już ani słowem, więc zapytał: – Co się stało w tę jego rękę?

Zwinął przy tym palce tak, że jego dłoń przypominała łapę z dwoma pazurami.

– Sporo pracował. – Abbott wzruszył ramionami. – Słyszałem, że niezły był z niego majster.

Kierowca pokiwał głową i zmierzył go od stóp do głów, po czym spojrzał na drogę.

Gdy jego wzrok znów padł na niego, zapytał: – To co? Podrzucić cię do miasta?

– Potrzebuję benzyny. – Abbott kiwnął głową w stronę samochodu.

– No to wskakuj. Stacja benzynowa jest jakiś kilometr czy dwa stąd.

– W Madrigal?

– Co?

Abbott rozsiadł się w samochodzie.

– W Madrigal. Tak się nazywa miasteczko przed nami.

– Coś ty. Miasto przed nami to Hobbes Corner. – Kierowca zmarszczył brwi i potarł policzek, gdy ruszyli z miejsca. – Nigdy nie słyszałem, żeby gdzieś tutaj było miasto o nazwie Madrigal.

– W porządku, podrzuc mnie gdziekolwiek. Obojętnie gdzie, bylebym tylko mógł kupić trochę benzyny.

– W Hobbes Corner da radę. Fajny dzień mamy, nie?

– Fajny – potwierdził Abbott.

Skądś, z miejsca, gdzie nie sięgał wzrok, dobiegł przenikliwy świst, znany całemu światu jako gwizdek pociągu. Abbott zerknął na kierowcę, ale wyglądało na to, że mężczyzna niczego nie usłyszał.

Znów spojrzał przed siebie i zamknął oczy, by lepiej skupić się na dźwięku. Teraz słyszał jednak już tylko warkot silnika... i wiatr... i szum opon pozerających asfalt lśniący w popołudniowym słońcu.